

**HARLAN COBEN**

**BEZ ŚLADU**

**Z angielskiego przełożył ANDRZEJ GRABOWSKI**

**WARSZAWA 2005**

**Tytuł oryginału: FADE AWAY**

*Larry'emu i Craigowi, najrówniejszym kumplom, jakich można sobie wymarzyć.*

*Nie wierzyście, to ich spytajcie.*

*Autor pragnie podziękować za pomoc następującym osobom: lekarzom Anne Armstrong-Coben i Davidowi Goldowi, Jamesowi Bradbeerowi jr. z firmy Lilly Pulitzer, Maggie Griffin, Jacobowi Hoye'owi, Lindsayowi Koehlerowi, Dave'owi Pepe'owi z Pro Agents Inc., Peterowi Roismanowi z Advantage International i oczywiście Dave'owi Boltowi.*

*Wszelkie błędy - rzeczowe i inne - to ich sprawka.*

*Autor jest niewinny.*

- Zachowuj się!

- Ja? - zachnął się Myron. - Mnie można jeść łyżkami.

Szedł za Calvinem Johnsonem, nowym dyrektorem klubu New Jersey Dragons, korytarzem zaciemnionej hali stadionu Meadowlands. Stukot butów o płyty posadzki odbijał się głośnym echem od pustych stoisk z jedzeniem, wózków z lodami, budek z preclami i kiosków z pamiątkami. Ściany tchnęły charakterystycznym dla masowych imprez - gumowatym, zaprawionym chemią, ale smakowitym i nostalgicznym - zapachem hot dogów. Było przytłaczająco cicho. Tak głuche i martwe są tylko puste areny sportowe. Calvin Johnson zatrzymał się przed drzwiami luksusowej łoży.

- Wiem, że wygląda to dziwnie - powiedział. - Ale się nie wcinaj, dobra?

- Dobra.

Calvin sięgnął do klamki i wziął głęboki oddech.

- W środku czeka właściciel Smoków, Clip Arnstein.

- Jakoś nie robię w spodnie - odparł Myron. Calvin Johnson pokręcił głową.

- Nie pajacuj - ostrzegł.

- W tym gajerku i krawacie? - Myron wskazał na siebie.

Calvin otworzył drzwi. Luksusową łożę usytuowano na wprost środka lodowiska. Robotnicy zakrywali je właśnie parkietem. Wczoraj grali tu hokeiści Devils. Dziś koszykarze Dragons. W łoży było bardzo wygodnie. Dwadzieścia cztery wyściełane fotele. Dwa ekrany telewizyjne. Z prawej drewniana lada z jedzeniem, zwykle zastawiona smażonymi kurczakami, hot dogami, pierogami ruskimi, kanapkami z kiełbasą i papryką i tym podobnymi. Z lewej mosiężny,

dobrze zaopatrzone, wyposażony w minilodówkę barek na kółkach. Była tu również oddzielna toaleta, żeby krezusi i utracjusze z wielkich korporacji nie musieli odcedzać kartofelków z motłochem.

Clip Arnstein odwrócił się ku nim. Łysy, krzepki, z zagonami siwizny nad uszami, potężnym torsem mimo ósmego krzyżyka, dużymi dłońmi pokrytymi brązowymi plamami i niebieskimi żyłami grubości gumowych ogrodowych węży. Był w granatowym garniturze i czerwonym krawacie. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Przez kilka sekund Clip lustrował Myrona od stóp do głów.

- Podoba się panu mój krawat? - spytał Myron.

Calvin Johnson skarcił go spojrzeniem. Clip Arnstein ani drgnął.

- Ile masz lat, Myron? - spytał.

Ciekawe pytanie na początek.

- Trzydzieści dwa.

- Grywasz w koszykówkę?

- Trochę.

- Jesteś w formie?

- Mam zademonstrować?

- Nie, to zbytęczne.

Nikt nie zaproponował Myronowi, żeby spoczął. Nikt nie usiadł. Wprawdzie w loży były fotele tylko dla widzów, ale dziwnie jest stać w pomieszczeniu przeznaczonym do siedzenia. Myron poczuł się nieswojo. Zaczęło mu to przeszkadzać. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Wyjął pióro, lecz to nie pomogło. Gest ten za bardzo kojarzył się z Bobem Dole'em. Wsadził więc ręce do kieszeni i stanął pod dziwnym kątem jak wyluzowany model z katalogu Searsa.

- Mamy dla ciebie interesującą propozycję, Myron - powiedział Clip Arnstein.

- Propozycję?

Zasada: zawsze sonduj kontrahenta.

- Tak. To ja pozyskałem cię do drużyny.

- Wiem.

- Dziesięć, jedenaście lat temu. Kiedy byłem związany z Celtics.

- Wiem.

- W pierwszej rundzie zaciągu.

- Wiem, panie Arnstein.

- Świetnie się zapowiadałeś, Myron. Byłeś inteligentnym graczem.

Obdarzonym niezwykłą charyzmą. Miałeś wielki talent.

- „Byłbym niezły w te klocki”.

Arnstein zmarszczył czoło w słynnym marsie, utrwalonym w ciągu ponad pół wieku zajmowania się zawodową koszykówką. Marsie, który pojawił się w latach czterdziestych, gdy Clip grał w nieistniejącej już drużynie Rochester Royals, a stał się sławny, kiedy Arnstein - już w roli trenera - doprowadził Celtów z Bostonu do wielu mistrzostw w kraju. Do legendy zaś przeszedł jako jego znak firmowy, kiedy jako Clip - prezes klubu - „wyciął” konkurencję (stąd jego przydomek), dokonując najszlachetniejszych zakupów w branży. Gdy trzy lata temu Arnstein stał się właścicielem większościowego pakietu akcji New Jersey Dragons, jego mars przeniósł się wraz z nim do East Rutherford, nieopodal zjazdu 16 z autostrady do New Jersey.

- To miał być Brando z filmu Na nadbrzeżach? - spytał szorstko.

- Dobry jestem, co? Marlon jak żywy.

Twarz Clipa Arnsteina raptem złagodniała. Wolno skinął głową, patrząc na Myrona dobrotliwie, po ojcowsku.

- Żartami zagłuszasz ból - rzekł z powagą. - Rozumiem.

Znalazł się psycholog!

- Ma pan do mnie jakiś interes, panie Arnstein?

- W lidze zawodowej nie rozegrałeś ani jednego meczu, prawda, Myron?

- Przecież pan świetnie wie. Clip skinął głową.

- Pierwszy mecz przed sezonem. Trzecia kwarta. Zdążyłeś zdobyć osiemnaście punktów. Nieźle jak na debiutanta. I wtedy wkroczył los.

Los przybrał postać wielkiego Burta Wessona z Washington Bullets. Zderzenie, piekielny ból i to koniec.

- Straszne - powiedział Clip.

- Mhm.

- Nie mogłem się pogodzić z twoim nieszczęściem. Wielka szkoda.

Myron zerknął na Calvina Johnsona. Stał z założonymi rękami, patrzył w inną stronę, gładką czarną twarz miał spokojną jak tafla stawu.

- Mhm - powtórzył.

- Dlatego chcę ci dać drugą szansę.

- Słucham?

Myron był pewien, że się przesłyszał.

- Mamy wakat w drużynie. Chcę z tobą podpisać kontrakt. Myron spojrzał na Clipa. Potem na Calvina Johnsona. Żaden się nie śmiał.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Co?

- Kamera. Jestem w ukrytej kamerze, tak? W programie Eda McMahona? Uwielbiam go.

- To nie żart, Myron.

- Jak to nie, panie Arnstein? Nie gram wyczynowo od dziesięciu lat. Rozwaliłem sobie kolano, pamięta pan?

- Aż za dobrze. Ale to było dziesięć lat temu. Wiem, że przeszedłeś pełną rehabilitację.

- Wie pan również, że próbowałem wrócić do sportu. Siedem lat temu. Kolano nie wytrzymało.

- Bo się pośpieszyłeś - odparł Clip. - Powiedziałeś, że znowu grasz.

- Przygodnie w weekendy. To nie to samo co gra w NBA.

Clip tylko machnął ręką na ten argument.

- Jesteś w formie. Chciałeś nawet to zademonstrować. Myron zmrużył oczy, wodząc wzrokiem od Clipa do Calvina i z powrotem. Z ich min nic nie mógł wyczytać.

- Coś mi mówi, że nie wiem wszystkiego - rzekł.

Clip wreszcie się uśmiechnął. Spojrzał na Calvina Johnsona.

Calvin odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem.

- Może powinienem wyrazić się... - Clip urwał, szukając słowa - jaśniej.

- Nie zawadziłoby.

- Chcę cię mieć w drużynie. Nieważne, czy będziesz grał.

Myron czekał na dalszy ciąg, ale tamci dwaj milczeli.

- Wolałbym jeszcze jaśniej - powiedział.

Clip wypuścił powietrze. Podszedł do barku, otworzył małą lodówkę i wyjął puszkę yoo-hoo. Czyżby trzymał jego ulubiony napój czekoladowy? Hmm. A to się przygotował.

- Wciąż pijesz tę breję?

- Tak - odparł Myron.

Clip rzucił mu puszkę i nalał z karafki do dwóch szklanek. Jedną podał Calvinowi Johnsonowi i wskazał fotele przy oszklonym oknie z widokiem na środek boiska. Przyjemnie. Dużo miejsca na nogi. Mógł je rozprostować nawet Calvin, który miał dwa metry z hakiem. Usiedli obok siebie, z twarzami zwróconymi w jednym kierunku, dziwnie, jak na spotkanie w interesach. Kontrahenci powinni siedzieć

naprzeciwko siebie, najlepiej przy stole lub biurku. Oni zaś siedzieli ramię w ramię, patrząc, jak ekipa monterów układa parkiet.

- Zdrowie - powiedział Clip.

Łyknął whisky. Calvin Johnson nie podniósł szklanki do ust. Myron, posłuszny zaleceni na puszcze, potrząsnął yoo-hoo.

- O ile się nie mylę, jesteś prawnikiem.

- Tak, członkiem palestry, ale prawem zajmuję się rzadko.

- I agentem sportowym.

- Tak.

- Nie ufam agentom - rzekł Clip.

- Ja również.

- Większość z nich to krwio pijcy, pijawki ... i

- Nasza branża woli słowo poprawniejsze politycznie: pasożyty.

Clip Arnstein wychylił się z fotela i wbił spojrzenie w Myrona.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci ufać? - spytał.

- Widzi pan tę twarz? - Myron wskazał na siebie. - Pała uczciwością.

Clip nie uśmiechnął się. Wychylił się jeszcze mocniej.

- To, co teraz powiem, musi pozostać między nami.

- Zgoda.

- Dajesz słowo, że nie wyjdzie to poza tę lożę?

- Tak.

Clip zawahał się, zerknął na Calvina Johnsona, poprawił się w fotelu.

- Znasz oczywiście Grega Downinga - powiedział.

Oczywiście, że znał. Razem dorastali. Odkąd jako szóstoklasiści zaczęli występować w rozgrywkach szkolnej ligi w mieście odległym niecałe dwadzieścia mil stąd, z miejsca stali się rywalami. Gdy zaczęli naukę w liceum, rodzina Grega przeniosła się do sąsiedniej miejscowości Essex Fells, bo jego ojciec nie życzył sobie, żeby syn



dzielił się koszykarską sławą z Myronem. Od tej chwili ich rywalizacja nabrała rumieńców. W szkole średniej zmierzyli się w ośmiu meczach, obaj wygrali po cztery. Potem, jako najbardziej utalentowanych młodych koszykarzy stanu New Jersey, przyjęto ich na uczelnie, których silne drużyny koszykówki od dawna z sobą rywalizowały - Myrona na Uniwersytet Duke'a, Grega na Uniwersytet Stanowy Karoliny Północnej.

Ich osobista rywalizacja rozgorzała na dobre. Na studiach obaj trafili dwukrotnie na okładkę „Sports Illustrated”. Ich drużyny dwukrotnie wygrały rozgrywki ACC (Konferencji Wybrzeża Atlantyckiego), ale Myron zdobył akademickie mistrzostwo kraju. Obu wybrano do akademickiej drużyny gwiazd jako najlepszych obrońców. Do końca studiów zagrali przeciw sobie dwanaście razy. Drużyna Uniwersytetu Duke'a wygrała pod wodzą Myrona osiem spotkań. Podczas zaciągu do NBA obu zakwalifikowano w pierwszej rundzie.

Ich osobista rywalizacja skończyła się katastrofą.

Koszykarską karierę Myrona przekreśliło zderzenie z wielkim Burtem Wessonem. Greg Downing miał więcej szczęścia i stał się czołowym obrońcą NBA. Podczas dziesięciu lat gry w drużynie New Jersey Dragons Greg osiem razy był nominowany do drużyny gwiazd. Dwukrotnie okazał się najlepszy w kwalifikacji rzutów za trzy punkty, czterokrotnie w wykonywaniu rzutów osobistych i raz w liczbie asyst. Trzy razy trafiał na okładkę magazynu „Sports Illustrated” i zdobył mistrzostwo NBA.

- Znam - potwierdził Myron.
- Często ze sobą rozmawiacie? - spytał Clip Arnstein.
- Nie.
- Kiedy rozmawialiście ostatnio?

- Nie pamiętam.  
- W ciągu kilku ubiegłych dni?  
- Nie rozmawiamy od dziesięciu lat.  
- Ach tak. - Clip znowu łyknął whisky. Calvin nie tknął swojej. - Ale słyszałeś o jego kontuzji.

- Coś z kostką. Wypadki chodzą po ludziach. Zaszył się, żeby się wylizać.

Clip skinął głową.

- Tak powiedzieliśmy mediom. Ale prawda jest inna.

- Aha.

- Greg nie jest kontuzjowany. Zniknął.

- Zniknął? - spytał sondujące Myron.

- Tak.

Clip pociągnął łyk. Myron również, co nie jest łatwe w przypadku yoo-hoo.

- Dawno? - spytał.

- Pięć dni temu.

Myron spojrzał na Calvina. Calvin zachował spokojną minę, ale taką już miał twarz. Będąc czynnym zawodnikiem, nosił przydomek „Mrożonka”, bo nigdy nie zdradzał swoich uczuć. Jak widać, zasługiwał na to miano.

- Kiedy mówi pan, że Greg zniknął... - zaczął Myron.

- Zawieruszył się, rozplynał, przepadł! - przerwał mi Clip. - Bez śladu, kamień w wodę! Jak zwał, tak zwał,

- Zawiadomiliście policję?

- Nie.

- Dlaczego?

Clip znowu machnął ręką.

- Znasz Grega. Niekonwencjonalny gość.

Niedopowiedzenie tysiąclecia.

- Zachowuje się nietypowo. Nie cierpi sławy. Lubi niezależność. Już nam zniknął, ale nigdy tuż przed finałami.

- No i?

- Miejmy nadzieję, że to tylko jego kolejny ekscentryczny wyskok - ciągnął Clip. - Greg rzuca jak marzenie, ale spójrzmy prawdzie w oczy: chłopak nie ma wszystkich w domu. Wiesz, co robi po meczach?

Myron zaprzeczył.

- Jeździ po mieście taksówką. Jeździ po Nowym Jorku żółtą taksówką! Mówi, że pozwala mu to zachować więź z szarym człowiekiem. Nie pojawia się publicznie, nie występuje w reklamach. Nie udziela wywiadów. Nie bierze udziału nawet w imprezach charytatywnych. Ubiera się jak postać z seriali z lat siedemdziesiątych. Jest walnięty.

- Właśnie za to kochają go kibice - odparł Myron. I kupują bilety.

- Owszem, ale to jeszcze bardziej umacnia mnie w przekonaniu, że zawiadamiając policję, możemy zaszkodzić i jemu, i drużynie. Wyobrażasz sobie, jaki cyrk zrobiłyby z tego media?

- Wielki - przyznał Myron.

- Właśnie. Przypuśćmy, że Greg przebywa we French Lick lub w podobnym grajdole, do którego jeździ po sezonie na ryby. Chryste, w życiu byśmy się z tego nie wykaraskali. Z drugiej strony podejrzewam, że coś kombinuje.

- Kombinuje?

- Nie wiem. Tak tylko gadam. Ale na pewno nie chcę skandalu. Nie teraz. Nie przed finałami, rozumiesz?

Choć Myron rozumiał to średnio, postanowił odłożyć temat na później.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytał.

- Tylko my trzej.

Ekipa monterów wtoczyła kosze. W magazynie były dwa zapasowe na wypadek, gdyby ktoś przy wsadzie stłukł tablicę w drobny mak jak Darryl Dawkins. Obsługa zaczęła rozstawiać dodatkowe siedzenia. W Meadowlands, podobnie jak w innych halach sportowych, na meczach koszykówki jest więcej miejsc dla widzów niż na meczach hokeja - w tym przypadku o tysiąc. Myron łyknął yoo-hoo, zaczekał, aż spłynie mu po języku do gardła, i zadał oczywiste pytanie:

- A jaka jest w tym wszystkim moja rola?

Oddychający głęboko, niemal z trudem, Clip zawahał się.

- Wiem, że spędziłeś kilka lat w FBI - rzekł wreszcie. - Wprawdzie nie znam szczegółów. Nie wiem, co tam zwojowałeś, grunt, że masz doświadczenie. Chcemy, żebyś odszukał Grega. Po cichu.

Myron nie odpowiedział. Jego „tajna” praca dla FBI była, jak widać, najgorzej strzeżoną tajemnicą w Stanach Zjednoczonych. Clip łyknął whisky. Spojrzał na pełną szklankę Calvina, zmierzył go wzrokiem. Calvin wreszcie pociągnął łyk. Clip znów skupił się na Myronie.

- Greg się rozwiódł - ciągnął. - W zasadzie jest samotnikiem. Jego przyjaciele... co ja mówię, znajomi to koledzy z drużyny. Jego grupa wsparcia, jak wolisz. Rodzina. Jeśli ktoś wie, gdzie się podział, jeśli ktoś pomaga mu się ukrywać, to na pewno któryś ze Smoków. Będę z tobą szczery. Koszykarze to urwanie głowy. Rozpieszczone, zepsute primadonny, które myślą, że naszym życiowym celem jest służenie im. Ale łączy ich jedno: władze klubu to dla nich wróg. My przeciwko światu i tym podobne bzdury. Nie powiedzą prawdy nam. Nie powiedzą prawdy dziennikarzom. Z tobą, jako, hm, „pasożytem”, też nie Porozmawiają. Co innego z graczem. Tylko tak do nich dotrzesz.

- Mam dołączyć do waszego zespołu, żeby znaleźć Grega?

Myron dosłyszał w swoim głosie urazę. Niezamierzoną, ale tamci dwaj też ją dosłyszeli. Poczzerwieniał z zakłopotania.

- Mówiłem szczerze. - Clip położył rękę na jego ramieniu. - Byłbyś świetnym koszykarzem. Jednym z najlepszych.

Myron pociągnął duży łyk yoo-hoo. Dość szczypania się, zdecydował.

- Przykro mi, panie Arnstein. Ale nie pomogę panu.

- Słucham?

Na czoło Clipa powrócił mars.

- Mam własne życie. Jestem agentem sportowym. Muszę dbać o klientów. Nie mogę raptem rzucić tego wszystkiego.

- Dostaniesz stawkę minimalną. Dwieście tysięcy dolarów minus coś tam. Finały już za dwa tygodnie. Do tego czasu tak czy siak pozostaniesz w zespole.

- Skończyłem z grą w koszykówkę. Nie jestem prywatnym detektywem.

- Musimy odnaleźć Grega. Może być w niebezpieczeństwie.

- Przykro mi, ale nic z tego.

Clip uśmiechnął się.

- A gdybym dodatkowo osłodził ci trudy?

- Nie.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów za podpis.

- Przykro mi.

- Greg może się pojawić choćby jutro, a pieniądze i tak będą twoje. Pięćdziesiąt tysięcy. Plus udział w zyskach z meczów finałowych.

- Nie.

Clip opadł na fotel. Wpatrzył się w szklaneczkę, zanurzył palec w whisky i zamieszał.

- Jesteś agentem, powiadasz? - zagadnął z głupia frant.

- Tak.

- A ja jestem w dobrych stosunkach z rodzicami trzech graczy, którzy wejdą do NBA z pierwszego naboru, wiesz?

- Nie.

- A gdybym ci zagwarantował - rzekł wolno Clip – że jeden z nich podpisze z tobą kontrakt?

Myron zamienił się w słuch. Kontrakt z zawodnikiem z pierwszego naboru?! Postarał się - wzorem Mrożonki - zachować chłodną minę, ale serce waliło mu jak młotem.

- Jakim sposobem? - spytał.

- Nie twoje zmartwienie.

- A czy to aby nie jest na bakier z etyką?

Clip prychnął szyderczo.

- Nie zgrywaj pierwszej naiwnej, Myron - rzekł. - Pójdiesz mi na rękę, a RepSport MB dostanie gracza z pierwszej rundy draftu. Masz to jak w banku. Bez względu na wynik sprawy z Gregiem.

RepSport MB. Jego firma. Agencja Myrona Bolitara, ergo MB. Reprezentująca sportowców, ergo RepSport. Razem: RepSport MB. Sam wymyślił tę nazwę, ale żadna z wielkich firm reklamowych nie złożyła mu dotychczas propozycji.

- Sto tysięcy za podpis - zaproponował.

Clip uśmiechnął się.

- Pojętny jesteś - pochwalił.

Myron wzruszył ramionami.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy - oznajmił Clip. - Nie ucz ojca dzieci robić, bierz i szlus.

Uścisnęły sobie dłonie.

- Mam kilka pytań w sprawie zniknięcia Grega - powiedział Myron.

Clip podparł się na podłokietnikach fotela i wstał.

- Na wszystkie pytania odpowie ci Calvin. - Wskazał głową dyrektora klubu. - Muszę iść.

- Kiedy mam przyjść na trening?

- Na trening? - zdziwił się Clip.

- Tak. Kiedy mam zacząć?

- Dziś wieczorem jest mecz.

- Dziś wieczorem?

- Oczywiście.

- Mam się przebrać do gry?

- Gramy dziś z moją dawną drużyną, z Celtami. Calvin zadba, żebyś przed meczem dostał kostium. O szóstej na konferencji prasowej ogłosimy, że podpisałeś kontrakt. Nie spóźnij się. - Clip ruszył do wyjścia. - Nie zmieniaj krawata. Podoba mi się.

- Dziś wieczorem? - powtórzył Myron, ale Clip już opuścił łóżę.

Po jego wyjściu Calvin Johnson pozwolił sobie na uśmieszek.

- Uprzedzałem, że będzie dziwnie - powiedział.

- Bardzo dziwnie - przyznał Myron.

- Wypiłeś swój pożywny czekoladowy napój?

- Tak.

Myron odstawił puszkę.

- Chodźmy. Przygotujmy się do wielkiego debiutu.

Calvin Johnson nosił idealnie skrojony garnitur od Braci Brooks, idealnie zawiązany krawat i idealnie wyczyszczone buty. Czarny, dwa metry trzy centymetry wzrostu, szczupły, zgrabny, proporcjonalnie zbudowany, z mocno skręconymi, przeredzonymi włosami nad lśniącym, oliwkowym i nieco powiększonym czołem, poruszał się płynnie, trzymał prosto. Kiedy Myron wstąpił na Uniwersytet Duke'a, Calvin kończył Uniwersytet Stanowy Karoliny Północnej. Miał obecnie około trzydziestu pięciu lat, ale wyglądał na starszego. Przez

jedenaście sezonów grał z powodzeniem w zawodowej lidze koszykówki. Gdy trzy lata temu zakończył karierę, nikt nie wątpił, że trafi w końcu do zarządu klubu. Zaczął od stanowiska asystenta coacha drużyny, potem został jej kierownikiem, a ostatnio awansował na wiceprezesa i dyrektora klubu New Jersey Dragons. Ale były to jedynie tytuły, wszystkim bowiem zarządzał Clip. Miał na swoje skinienie dyrektorów, wiceprezesów, kierownika drużyny, trenerów, a nawet coachów.

- Ufam, że sobie poradzisz - dodał Calvin.

- Dlaczego miałbym sobie nie poradzić? Calvin wzruszył ramionami.

- Grałem przeciwko tobie - odparł.

- No i?

- Nie znam bardziej zaciętego gracza od ciebie. Dla wygranej byłeś gotów uziemić rywala. A teraz przyjdzie ci grać ławę. Co ty na to?

- Dam sobie radę.

- A jakże.

- Z wiekiem zmięknę.

- Akurat.

Calvin pokręcił głową.

- Nie?

- Wydaje ci się, że zmięknęś. Może nawet wydaje ci się, że skończyłeś z koszykówką.

- Skończyłem.

Calvin przystanął, uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Jasne. Spójrz na siebie. Jesteś wzorem byłego sportowca. Pięknym przykładem dla innych. Twoja kariera legła w gruzach, ale się nie załamaleś, podjąłeś walkę. Wróciłeś na uczelnię, i to na prawo w Harvardzie! Założyłeś własną firmę, rozwijającą się agencję sportową. Nadal chodzisz z tą pisarką?



- Tak - odparł Myron, ale co do Jessiki nigdy nie był pewien, czy naprawdę są razem.

- Zdobyłeś wykształcenie, masz pracę, piękną dziewczynę. Z wierzchu jesteś szczęśliwy, dobrze ustawiony w życiu.

- Od spodu również. Calvin pokręcił głową.

- Wątpię - odparł.

Świat pełen był psychologów.

- Czy ja się prosiłem o przyjęcie do zespołu? - spytał Myron.

- Nie, ale nie za bardzo się też wzbraniałeś, z wyjątkiem podbicia ceny.

- Jestem agentem. Tym się zajmuję... podbijaniem cen.

Calvin przystanął i wpatrzył się w Myrona.

- Naprawdę sądzisz, że aby odnaleźć Grega, musisz być w drużynie?

- Tak sądzi Clip.

- Clip to wspaniały gość, ale często działa z ukrytych pobudek - odparł Calvin.

- Na przykład jakich?

Calvin nie odpowiedział. Ruszył dalej. Przy windzie nacisnął guzik. Drzwi rozsunęły się natychmiast, wsiedli i ruszyli w dół.

- Spójrz mi w oczy i powiedz, że nigdy nie myślałeś o powrocie do gry - rzekł Calvin.

- A kto o tym nie myśli? - odparował Myron.

- Pewnie, tylko nie mów, że na tym poprzestałeś. Że nigdy ci się nie śniło, nie marzyłeś o come backu. Że nawet teraz, gdy oglądasz w telewizji mecz, nie skręca cię z żalu, że nie grasz. Nie mów, że nie oglądasz Grega i nie myślisz o uwielbieniu tłumów i sławie. Że nigdy nie mówisz sobie, i słusznie, „Byłem lepszy od niego”. Greg to

światny koszykarz. Z pierwszej dziesiątki w lidze. Ale ty, Myron, byłeś lepszy. Obaj to wiemy.

- Dawno temu - odparł Myron.

- Owszem.

Calvin uśmiechnął się.

- Do czego zmierzasz?

- Jesteś tu, żeby odszukać Grega. Kiedy się znajdzie, odejdziesz. Przestaniesz być nowinką. Clip oświadczy, że dał ci szansę, ale nie sprostalesz zadaniu. I pozostanie dobrym facetem, który ma dobrą prasę.

- Dobrą prasą - powtórzył Myron, przypominając sobie o rychłej konferencji prasowej. - Czy to jedna z jego ukrytych pobudek?

Calvin wzruszył ramionami.

- Nieważne. Musisz zrozumieć, że nie masz szansy. Jeżeli wejdiesz do gry, to wyłącznie z głębokiej rezerwy, w co zresztą wątpię, bo rzadko wygrywamy albo przegrywamy dużą różnicą punktów. A jeżeli nawet zagrasz, jeżeli nawet zabłyśniesz, to, jak obaj wiemy, tylko przy przesądzonym wyniku. Ale ty nie zagrasz dobrze, bo jesteś zbyt zawzięty. Żeby dać z siebie wszystko, potrzebujesz rywalizacji, przeświadczenia, że od ciebie zależy wynik meczu.

- Rozumiem - odparł Myron.

- Spodziewam się, przyjacielu. - Calvin spojrzał na oświetlone cyferki. Zamigotały w jego piwnych oczach. - Marzenia nie umierają. Już myślisz, że są martwe, a one tylko zapadły w sen zimowy jak wielki stary niedźwiedź. A gdy takie marzenie drzemie dłuższy czas, niedźwiedź budzi się głodny i zły.

- Powinieneś pisać teksty piosenek country. Calvin pokręcił głową.

- Potraktuj to jako życzliwą radę - rzekł.

- Wielkie dzięki. Powiesz mi, co wiesz o zniknięciu Grega?

Winda się zatrzymała. Calvin wyszedł pierwszy.

- Niewiele mam do powiedzenia - odparł. - Grałiśmy z Sixers w Filadelfii. Po meczu Greg wszedł ze wszystkimi do autokaru, a po powrocie razem z innymi wysiadł. Ostatni raz widziano go, jak odjechał swoim samochodem. Koniec.

- Jak wtedy wypadł?

- Doskonale. Z Filadelfią zagrał dobry mecz. Zdobył dwadzieścia siedem punktów.

- W jakim był humorze?

- Nie zauważyłem niczego specjalnego - odparł Calvin po chwili.

- W jego życiu dzieje się coś nowego?

- Nowego?

- Jakież zmiany, te rzeczy.

- A owszem, rozwód. Paskudny. Ponoć Emily umie zająć za skórę.

Calvin znów się zatrzymał i uśmiechnął do Myrona jak kot z Cheshire. Myron przystanął, lecz nie odwzajemnił uśmiechu.

- Do czegoś pijesz, Mrożonka? - spytał.

Calvin uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czy ty i Emily nie byliście kiedyś parą? - zaczął ogródkiem.

- Wieki temu.

- Studencka miłość, jak pamiętam.

- Powiedziałem już, wieki temu.

- Z kobietami też ci szło lepiej niż Gregowi, co? Calvin ruszył.

Myron zignorował jego uwagę.

- Czy Clip wie o mojej „przeszłości” z Emily? - zapytał.

- Jest bardzo skrupulatny.

- To dlatego mnie wybraliście.

- Wzięliśmy to pod uwagę, choć przesądziło co innego.

- Nie?

- Greg nienawidzi Emily. Nigdy jej nie ufał. Ale odkąd zaczęli walczyć o prawo do opieki nad dziećmi, bardzo się zmienił.

- To znaczy?

- Po pierwsze, podpisał kontrakt reklamowy z Forte.

- Greg? - spytał zaskoczony Myron. - Podpisał kontrakt reklamowy?

- W wielkiej tajemnicy. Mają to ogłosić pod koniec tego miesiąca, tuż przed finałami.

Myron gwizdnął.

- Na pewno zapłacili mu jak za zboże.

- Jak za kilka zbóż. Podobno ponad dziesięć milionów rocznie.

- Całkiem możliwe. Sławny gracz, który przez ponad dziesięć lat nie chciał nic reklamować, to magnes, któremu nie można się oprzeć. Forte ma sukcesy w sprzedaży butów do biegów i do tenisa, ale w świecie koszykówki jest firmą prawie nieznaną. Greg ich z miejsca uwiarygodni.

- Zgadza się - potwierdził Calvin.

- Nie domyślasz się, dlaczego po tylu latach raptem zmienił zdanie?

Calvin wzruszył ramionami.

- Może zdał sobie sprawę, że się starzeje, i postanowił zarobić.

Może to wpływ rozwodu. A może upadł na głowę i mu odbiło.

- Gdzie mieszkał po rozwodzie?

- W swoim domu w Ridgewood. W powiecie Bergen.

Myron dobrze znał tę miejscowość. Poprosił Calvina o adres.

- A co z Emily? - zainteresował się. - Gdzie się trzymała?

- Mieszka z dziećmi u matki. Zdaje się, we Franklin, albo gdzieś tam.

- Sprawdzaliście już coś? Dom, karty kredytowe Grega, jego konta bankowe?

Calvin pokręcił głową.

- Zdaniem Clipa, to za gruba sprawa, by powierzyć ją detektywom. Dlatego zadzwonił do ciebie. Przejeżdżałem kilka razy koło domu Downinga, raz zapukałem do drzwi. Na podjeździe i w garażu ani śladu samochodu. Żadnych świateł.

- Ale do środka nie weszliście?

- Nie.

- Czyli że mógł się pośliznąć w wannie i wyrznąć głową w krawędź.

Calvin utkwiał wzrok w Myrona.

- Powiedziałem: żadnych świateł. Myślisz, że kapał się po ciemku?

- Masz rację.

- Bystrzak z ciebie.

- Wolno się rozkręcam.

Dotarli do magazynu.

- Zaczekaj tu - rzekł Calvin. Myron wyjął telefon komórkowy.

- Mogę zadzwonić? - spytał.

- Dzwon.

Calvin zniknął za drzwiami. Myron włączył komórkę i wybrał numer.

Po drugim sygnale odezwała się Jessica.

- Halo?

- Muszę odwołać dzisiejszą kolację - powiedział.

- Lepiej, żeby to był ważny powód - odparła.

- Bardzo ważny. Zagram zawodowo w koszykówkę w zespole New Jersey Dragons.

- To miło. Powodzenia, kochanie.

- Mówię serio. Gram w Smokach. Chociaż „gram” nie jest dobrym słowem. Ściślej, będę odciskał sobie tyłek, grzejąc u nich ławę.

- Naprawdę?

- Tak, to długa historia, ale właśnie zostałem zawodowym koszykarzem.

- Z zawodowym jeszcze nie figlowałam - odparła po chwili. - Będę jak Madonna.

- Jak dziewczica.

- Jejku. Co za staroświecka aluzja!

- A czego się spodziewałaś? Jestem faciem z lat osiemdziesiątych.

- A czy facio z lat osiemdziesiątych powie mi, co jest grane?

- Nie teraz. Wieczorem. Po meczu. W okienku zostawię ci bilet.

Zza drzwi wyrżał Calvin.

- Ile masz w pasie? Osiemdziesiąt sześć? - spytał.

- Dziewięćdziesiąt dwa. Może dziewięćdziesiąt cztery.

Calvin skinął głową i cofnął się do środka. Myron zadzwonił na prywatny numer Windsora Horne'a Lockwooda Trzeciego, prezesa prestiżowej firmy inwestycyjnej Lock-Horne Securities na środkowym Manhattanie. Win odebrał telefon po trzecim sygnale.

- Wysłów się - powiedział.

- Wysłów? - Myron pokręcił głową.

- Powiedziałem „wysłów”, a nie „powtórz”.

- Mamy sprawę.

- Huurraa! - odparł Win, przeciągając samogłoski jak na wielmożę z zachodniej Filadelfii przystało. - Jestem oczarowany. Wniebowzięty.

Ale zanim posikam się z radości, zadam ci jedno pytanie.

- Wal.

- Czy zająłeś się tą sprawą jak zwykle z pobudek dobroczynnych?

- Sikaj śmiało. Odpowiedź brzmi: nie.

- Co ja słyszę?! Więc to nie jest kolejna moralna kruczata dzielnego Myrona?

- Nie tym razem.

- Boże w niebiesiech, mów.

- Zaginął Greg Downing. Mamy go znaleźć.

- A za nasze usługi dostaniemy...

- Co najmniej siedemdziesiąt tysięcy plus klienta, którego Smoki wybrały w pierwszej rundzie naboru.

Nadszedł czas, by poinformować Wina o przejściowej zmianie zawodu.

- No, no - rzekł radośnie Win. - Powiedz, proszę, od czego zaczniemy.

Myron podał mu adres domu Grega w Ridgewood.

- Spotkajmy się tam za dwie godziny.

- Wezmę batmobil - odparł Win i rozłączył się.

Wrócił Calvin z fioletowo-niebieskim strojem Smoków w ręku.

- Przymierz - powiedział.

Myron nie od razu wziął kostium. Kiedy na niego patrzył, ścisnęło go w żołądku.

- Numer trzydziesty czwarty? - spytał cicho.

- Tak. Twój dawny numer z Duke'a. Pamiętałem... No, przymierz - zachęcił Calvin milczącego Myrona.

Myron poczuł, że coś zbiera mu się w oku. Potrząsnął głową.

- Nie muszę - rzekł. - Na pewno będzie pasował.

Ridgewood to ekskluzywne przedmieście, jedno ze starych miasteczek, wciąż nazywanych przez mieszkańców wsiami, skąd dziewięćdziesiąt pięć procent uczniów idzie na studia, a ich rodzice nie pozwalają swoim latoroślom zadawać się z pozostałymi pięcioma procentami. Jest tam trochę monottonnych ciągów urbanistycznych, przykładów podmiejskiej eksplozji budowlanej z połowy lat sześćdziesiątych, ale większość pięknych domów pochodzi z wcześniejszych, teoretycznie bardziej niewinnych czasów.

Myron znalazł dom Downinga bez żadnego kłopotu. Bardzo duży, w stylu wiktoriańskim, ale zgrabny, dwupiętrowy, kryty pięknie spławiętym cedrowym gontem. Z lewej strony okrągła wieża ze szpiczastym dachem. Przestronne werandy z akcentami jak z rycin Rockwella: podwójną huśtawką, na której Atticus i Skautka z „Zabić drozda” mogliby się raczyć lemoniadą w gorącą alabamską noc, przewróconym rowerkiem i drewnianymi sankami, mimo że ostatni śnieg spadł sześć tygodni temu. Przy podjeździe wisiała obowiązkowa, nieco zardzewiała obręcz do kosza. W oknach na górze połyskiwały srebrno-czerwono nalepki Straży Pożarnej, wskazujące pokoje dzieci. Przy chodniku niczym wysłużeni strażnicy rosły rzędem stare dęby.

Win jeszcze nie przyjechał. Myron zatrzymał się i otworzył okno. Był piękny marcowy dzień. Niebo niebiesciutkie jak jajko wędrownego drozda. Konwencjonalnie ćwierkały ptaki. Myron próbował wyobrazić sobie w tej scenerii Emily, ale jej obraz wciąż pierzchał. Znacznie łatwiej mógł wyobrazić ją sobie w nowojorskim wieżowcu lub w rezydencji dla nuworyszy, całej na biało, z rzeźbami Ertego, srebrnymi perłami i nadmiarem niegustownych luster. Poza tym nie kontaktowali się od dziesięciu lat. Może się zmieniła. A może źle ją wtedy ocenił. Nie byłaby to pierwsza jego pomyłka.

Dziwnie się czuł z powrotem w Ridgewood, gdzie w chowała się Jessica. Nie lubiła tu wracać. A teraz wioska Ridgewood połączyła dodatkowo dwie wielkie miłości jego życia - Jessicę i Emily, dopisując następny punkt do listy ich wspólnych cech - poznał je, zabiegał o ich względy, zakochały się w nim i - niczym obcas szpilki pomidora - bezlitośnie rozgniotły mu serce. Banalna historia.

Emily była jego pierwszą dziewczyną. Sądząc z przechwałek kolegów, późno stracił dziewictwo, bo na pierwszym roku studiów.



Ale jeśli na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wśród amerykańskich nastolatków rzeczywiście doszło do rewolucji seksualnej, to on albo ją przegapił, albo nie był rewolucjonistą. Podobał się kobietom, no i co z tego. Podczas gdy koledzy rozprawiali z detalami o swoich orgiastycznych podbojach, do niego lgnęły tylko niewłaściwe dziewczyny, same miłe, takie, które wciąż odmawiały albo odmówiłyby mu, gdyby się odważył do nich „wystartować”.

Zmieniło się to w college'u, kiedy poznał Emily.

Namiętność. To wyświechtane określenie nieźle pasowało do ich związku. A jeszcze lepiej „nieodparta żądza”. Emily należała do kobiet, których mężczyźni nie zaliczają do „pięknych”, lecz „gorących”. Na widok prawdziwie „pięknej” kobiety chcesz ją namalować lub utrwalić w wierszu. Na widok Emily miałaś ochotę zerwać z siebie i z niej ubranie. Była wcielonym erotyzmem, no może z pięciokilową nadwagą, ale za to wyśmienicie rozmieszczoną. Stworzyli niezwykle sprawny duet. Oboje niespełna dwudziestoletni, oboje bardzo pomysłowi, oboje pierwszy raz poza domem.

Jednym słowem: zaskrzyło! Zadzwoił telefon w samochodzie. Myron odebrał go.

- Wnoszę, że zamierzasz włamać się ze mną do rezydencji Downinga - powiedział Win.

- Tak.

- W takim razie zaparkowanie samochodu przed wspomnianą rezydencją nie jest mądrym pomysłem. Myron rozejrzał się dookoła.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Dojeżdż do pierwszej przecznicy, skręć w lewo, a następnie w drugą z prawej. Stoję za biurowcem.

Myron rozłączył się, uruchomił silnik i zgodnie ze wskazówkami Wina dojechał na parking. Win stał z założonymi rękami, oparty o

jaguara. Wyglądał tak jak zawsze - jakby pozował do zdjęcia na okładkę pisma dla białej elity „WASP Quarterly”. Jasne włosy miał idealnie uczesane, cerę lekko zarumienioną, twarz jak z porcelany, szlachetną i ździebko za doskonałą. Ubrany był w spodnie khaki, granatową marynarkę, mokasyны włożone na gołe stopy i krzykliwy krawat od Lilly Pulitzer. Wyglądał naprawdę jak ktoś, kto nazywa się Windsor Horne Lockwood Trzeci - snobistyczny, zajęty sobą wymoczek.

Dwa trafienia, jedno pudło.

Biurowiec był siedzibą wielu firm i fachowców. Mieścił się tam gabinet ginekologa. Gabinet depilacji. Biuro dostarczania wezwań sądowych. Poradnia dietetyczna. Siłownia dla kobiet. Win, co nie zaskakiwało, stał blisko wejścia do niej.

- Skąd wiesz, że zaparkowałem przed domem Downinga? - spytał Myron, podchodząc do niego.

Nie spuszczać z oka drzwi, Win wskazał głową kierunek.

- Z tamtego pagórka przez lornetkę widać wszystko - odparł.

Z siłowni wyszła dwudziestokilkuletnia kobieta w czarnym lycrowym kostiumie do aerobiku. Z dzieckiem na ręku. Niedługo zajęło jej odzyskanie figury po porodzie. Win uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Uwielbiam młode matki - rzekł.

- Uwielbiasz kobiety w kostiumach z lycry. Win skinął głową.

- Właśnie. - Z trzaskiem złożył okulary słoneczne. Zaczynamy?

- Przewidujesz jakieś trudności z włamaniem się do jego domu?

Win zrobił minę „Udam, że nie zadałeś tego pytania”. Z siłowni wyszła kolejna kobieta, niestety, niezasługująca na jego uśmiech

- Oświeć mnie - powiedział. - Ale się odsuń. Niech widzą mojego jaguara.

Myron zrelacjonował mu wszystko, co wiedział. Zabrało mu to pięć minut. W tym czasie z siłowni wyszło osiem kobiet. Tylko dwie zasłużyły na uśmiech Windsora Horne'a Lockwooda Trzeciego. Jedną z nich, w trykocie w tygrysie pasy; obdarzył tysiącwatowym uśmiechem od ucha do ucha. Sądząc po jego minie, nic nie wskazywało, że dociera do niego cokolwiek ze słów Myrona. Nie przestał wpatrywać się z nadzieją w drzwi damskiej siłowni nawet na wieść, że przyjaciel czasowo zastąpi Grega w drużynie Smoków. Ale tak zachowywał się zawsze.

- Jakies pytania? - zakończył Myron. Win stuknął palcem w wargę.

- Jak myślisz, czy ta w trykocie w tygrysie pasy miała coś pod spodem?

- Nie wiem, ale na jej palcu widziałem obrączkę.

Win wzruszył ramionami. To mu nie przeszkadzało. Nie wierzył w miłość i trwałe związki z płcią przeciwną. Niektórzy uznaliby to za seksizm. Ale nie mieliby racji. Win nie traktował kobiet przedmiotowo. Niektóre przedmioty darzył szacunkiem.

- Chodź - powiedział.

Znajdowali się niecałe pół mili od domu Downinga. Win zdążył dokonać zwiadu i znalazł przejście, stwarzające największą szansę, że dojdą niezauważeni, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Szli swobodnie, w milczeniu, ot dwóch starych przyjaciół, którzy znają się jak łyse konie.

- Jest w tej sprawie pewien ciekawy margines - odezwał się Myron.

Win czekał na dalszy ciąg.

- Pamiętasz Emily Schaeffer?

- Coś kojarzę.

- Chodziłem z nią przez dwa lata na studiach.

Myron poznał Wina na Uniwersytecie Duke'a. Przez cztery lata mieszkali w jednym pokoju. To Win namówił go do nauki wschodnich sztuk walki i pracy w FBI. Obecnie był siłą napędową w Locke-Horne Securities przy Park Avenue, firmie, którą jego rodzina prowadziła od powstania rynku inwestycyjnego w Stanach. Myron wynajmował od niego powierzchnię biurową, a Win prowadził wszystkie sprawy finansowe klientów jego agencji RepSport MB.

- Czy to ta, która popiskiwała jak małpka? - spytał Win po chwili zastanowienia.

- Nie - odparł Myron.

Wina zaskoczyła jego odpowiedź.

- To która popiskiwała jak małpka?

- Nie mam pojęcia.

- Może któraś z moich.

- Może.

Win rozważył tę możliwość i wzruszył ramionami.

- I co z nią? - spytał.

- Była żoną Grega Downinga.

- Rozwiedli się?

- Tak.

- Przypominam ją sobie - rzekł Win. - Emily Schaeffer. Dobrze zbudowana.

Myron skinął głową.

- Nie podobała mi się. Z wyjątkiem tych małpich popiskiwań. Bardzo intrygujących.

- To nie ona popiskiwała.

Win uśmiechnął się łagodnie

- Ściany były cienkie - odparł.

- A ty jak zwykle podsłuchiwałeś.

- Tylko wtedy, gdy spuszczałeś roletę i nie mogłem podglądać.

Myron pokręcił głową.

- Świnia - powiedział.

- Przynajmniej nie mała.

Doszli do trawnika przed domem i skierowali się do drzwi. Najważniejsze to zachowywać się naturalnie. Jeżeli przygarbiony przemykasz chyłkiem za dom, możesz rzucić się komuś w oczy. Jednakże nikt normalny nie weźmie dwóch mężczyzn w krawatach za złodziei.

Na małej metalowej klawiaturze przy wejściu płonęło czerwone światło:

- Alarm - ostrzegł Myron.

- Lipny - uspokoił Win. - To tylko światło. Pewnie ze sklepu internetowego. - Przyjrzał się zamkowi i mlasnął z dezaprobatą. - Taki chłam przy zarobkach zawodowego koszykarza?! - rzekł zniechęcony. - Równie dobrze mógł tu wstawić zamek ze sklepu z zabawkami.

- A co z rygłem? - spytał Myron.

- Nie jest zasunięty.

Win zdążył wyjąć kawałek celuloideu. Karty kredytowe są za sztywne. Celuloid - używany do tak zwanego celuloidowania zamka - spisywał się znacznie lepiej. Win otworzył drzwi; równie szybko jak kluczem i znaleźli się w holu wejściowym.; Podłogę zaścielały przesyłki wrzucone przez otwór w drzwiach. Myron sprawdził kilka stempli na kopertach. Najstarszy był; sprzed pięciu dni.

Wystrój wnętrza - miły, pseudorustykalny - utrzymano w stylu Marthy Stewart. Meble z tych, które zwą wiejską prostotą, z wyglądu istotnie proste, lecz horrendalnie drogie. Dużo sosnowego drewna,

wikliny, antyków i suszonych kwiatów. W powietrzu unosiła się silna, mdława woń mieszanki kwiatnych zapachów.

Rozdzielili się. Win wszedł na piętro do gabinetu, włączył komputer i zaczął przegrywać pliki z dysku na dyskietki. W pokoju zwanym dawniej bawialnią, a obecnie znacznie wznioślej pokojem kalifornijskim bądź salonem Myron znalazł automatyczną sekretarkę. Przed każdą nagraną informacją sekretarka podawała datę i godzinę. Co za wygoda. Nacisnął przycisk. Taśma przewinęła się i zaczęła grać. Już pierwsza wiadomość, według cyfrowego głosu sekretarki nagrana o 21.18 w dniu, w którym zniknął Greg, okazała się trafieniem w dziesiątkę. - ***Tu Carla - usłyszał Myron drżący kobiecy głos. - Do północy czekam na kanapce w boksie w głębi.*** Trzask.

Myron przewinął taśmę i odsłuchał ją ponownie. W tle było mnóstwo hałasów - gwar rozmów, muzyka, pobrzękiwanie szklanek. Kobieta dzwoniła prawdopodobnie z jakiegoś baru albo restauracji, o czym świadczyło zdanie o boksie w głębi. Kim była Carla? Przyjaciółką? Chyba. No, bo jaka kobieta dzwoniłaby tak późno, by umówić się tego samego wieczoru na spotkanie o jeszcze późniejszej porze? Tyle że nie był to byle jaki wieczór. Pomiędzy jej telefonem a rankiem następnego dnia Greg Downing zniknął. Dziwny zbieg okoliczności.

Gdzie zatem się spotkali? Zakładając, że doszło do ich spotkania w boksie. I dlaczego Carli, kimkolwiek była, drżał głos? A może tylko tak mu się wydało? Myron odsłuchał resztę taśmy. Nie było więcej wiadomości od Carli. Czy zadzwoniłaby ponownie, gdyby Greg nie przyszedł na spotkanie? Pewnie tak. Można więc śmiało przyjąć, że jakiś czas przed swym zniknięciem Greg Downing spotkał się z Carla.

Trop?

Cztery razy dzwonił agent Grega Martin Felder. Z każdym telefonem coraz bardziej zaniepokojony. Ostatnia wiadomość Brzmiała: „Jasny gwint, Greg, dlaczego nie oddzwoniasz? Z tą kostką to poważna sprawa? Nie unikaj mnie, nie teraz, kiedy dopinamy kontrakt z Forte. Zadzwoń, dobrze?”. Były też trzy telefony od niejakiego Chrisa Darby'ego, pracownika Forte Ports Incorporated. On również panikował. **„Marty nie chce mi powiedzieć, gdzie pan jest. Podejrzewam, że z nami po. grywa, że próbuje podbić cenę. A przecież ustaliliśmy warunki, prawda? Zostawię panu numer mojego telefonu w dom dobrze? Przy okazji, co z pańską kontuzją?”.**

Choć jego klient zniknął, Martin Felder robił, co mógł, by obrócić to na swoją korzyść. Myron uśmiechnął się. Agenci! Po kilkakrotnym naciśnięciu przycisku na wyświetlaczu sekretarki pojawił się zakodowany numer - 317. Po jego wybraniu mogłeś odsłuchiwać wiadomości. Nowy bajer telefoniczny. Wystarczyło zadzwonić pod numer Grega, wcisnąć 317 i sprawdzić, kto się nagrał na sekretarkę. Myron wcisnął guzik automatycznego wybierania ostatniego numeru. To kolejne w miarę nowe udogodnienie telefoniczne pozwalało ustalić, do kogo Greg dzwonił ostatnio. „Bracia Kimmel”, odezwała się po dwóch dzwonekch jakaś kobieta. Nie pytając, kto zacz, Myron odłożył słuchawkę i wszedł na piętro do Wina.

W czasie kiedy Win przegrywał kolejne pliki z komputera, Myron przejrzał szuflady. Nie znalazł w nich nic przydatnego. Przeszli do sypialni małżeńskiej. Wielkie łóżko było pościelone. Na obu nocnych stolikach walały się długopisy, klucze i papiery.

Zastanawiające w przypadku mężczyzny, który mieszkał sam.

Myron rozejrzył się po sypialni i zatrzymał wzrok na fotelu, służącym również za wieszak. Na jego poręczy i oparciu leżały ciuchy rzucone przez Grega. Nie widział w tym nic nadzwyczajnego - sam

był jeszcze mniej porządny. Ale gdy przyjrzał się dokładniej, na drugiej poręczy fotela dostrzegł dwie nieco bardziej niezwykłe części garderoby - białą bluzkę i szarą spódnicę.

Spojrzał na Wina.

- Mogła je zostawić panna Małpie Piski - rzekł Win. Myron pokręcił głową.

- Emily nie mieszka tu od miesiący. Co robiłyby jej rzeczy na fotelu?

W łazience też odkryli ciekawe rzeczy. Na prawo była duża wanna z masażem wodnym, przestronna kabina prysznicowa z sauną oraz dwie umywalki z toaletkami. Na jednej stał męski krem do golenia, kulkowy dezodorant, butelka płynu po goleniu Polo i maszynka Gillette Atra, a na drugiej otwarta damska kosmetyczka, perfumy Calvina Kleina, puder dla niemowląt i kulkowy dezodorant Secret. Na posadzce przy umywalce leżał rozsypany puder, a w mydelniczce przy wannie dwie jednorazowe damskie maszynki do golenia.

- Ma dziewczynę - orzekł Myron.

- Zawodowy koszykarz pomieszkuje z jakąś atrakcyjną panią? Rewelacja. Któryś z nas powinien krzyknąć „Eureka!”.

- W każdym razie rodzi to ciekawe pytanie. Czy ta pani zawiadomiłaby policję o nagłym zniknięciu kochanka?

- Nie, gdyby zniknęli razem.

Myron skinął głową i powiedział o tajemniczym telefonie od Carli.

- Gdyby planowali uciec, nie podałyby mu miejsca spotkania - rzekł Win.

- Nie podała. Powiedziała tylko, że do północy będzie czekać w boksie w głębi.

- Kto robi coś takiego przed zniknięciem? Gdyby mieli powód, żeby na jakiś czas zniknąć, Greg znałby miejsce i godzinę spotkania.



- Może je zmieniła?
- Z czego na co? Z boks z przodu na boks w głębi?
- Skąd mam wiedzieć?

Sprawdzili resztę pomieszczeń na piętrze. Nie wymagało to zachodu. W wytapetowanej w samochody wyścigowe sypialni synka Grega wisiał plakat z jego tatą, na którym mijał on „Penny'ego” Hardawaya, by wykonać z dwutaktu rzut na kosz. W pokoju córki była tapeta w stylu wczesnych Jaskiniowców - fioletowa z dinozaurami. Żadnych tropów. Kolejne znaleźli dopiero w suterenie.

Po zapaleniu światła Myron dostrzegł ją natychmiast. Pomieszczenie zamieniono w kolorowy pokój zabaw dla dzieci. Z mnóstwem samochodzików, wielkich klocków lego, plastikowym domem ze zjeżdżalnią i scenami z Disneyowskich filmów Aladyn i Król Lew na ścianach. Był tu telewizor i magnetowid, zabawki dla dzieci w starszym wieku - bilard elektryczny, szafa grająca - oraz meble: małe bujaki i kanapy wypoczynkowe.

A ponadto krew. Dużo kropel krwi na podłodze, sporo rozsmarowanej na ścianie.

Myron poczuł żółć w gardle. Choć widok krwi nie był dla niego pierwszozną, nadal silnie na nią reagował. W przeciwieństwie do Wina. Win podszedł do karmazynowych plam z miną prawie rozbawioną. Nachylił się, żeby im się lepiej przyjrzeć.

- Wszystko ma swoje dobre strony - rzekł, gdy się wyprostował. - Twoje chwilowe zastępstwo w drużynie Smoków może się wydłużyć.

Nie było zwłok. Tylko krew.

Używając znalezionej w kuchni plastikowej torebki na kanapki, Win zebrał kilka próbek. Dziesięć minut później, gdy po ponownym zatrzaśnięciu drzwi znaleźli się przed domem, minął ich granatowy oldsmobile delta 88, z dwoma mężczyznami na przednich

siedzeniach. Myron zerknął na Wina. Ten ledwo zauważalnie skinął głową.

- Drugi raz - powiedział Myron.

- Trzeci - sprostował Win. - Widziałem ich wcześniej, kiedy tu podjechałem.

- Robią to niefachowo.

- Owszem. Ale nie wiedzieli, że zadanie będzie wymagać fachowości.

- Sprawdzisz ich numery rejestracyjne? Win skinął głową.

- Sprawdzę też, czy Greg brał jakieś pieniądze z automatu i czy płacił kartą kredytową - odparł, doszedł do jaguara i go otworzył. - Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem. Zajmie mi to najwyżej parę godzin.

- Wracasz do firmy?

- Najpierw jadę do mistrza Kwona.

Kwon był ich mistrzem taekwondo. Obaj mieli czarne pasy - Myron pas drugiego stopnia, Win, jako jeden z najbardziej wtajemniczonych białych na świecie, pas szóstego stopnia. Myron nie znał nikogo lepszego od niego w sztukach walki. Win wyuczył się wielu ich odmian, włącznie z brazylijskim džudo, pięcioma zwierzęcymi stylami kung-fu i dżit-kun-do Bruce'a Lee. Win był Chodzącą Sprzecznością. Chociaż wyglądał na rozpieszzonego, bogatego maminsynka, był w rzeczywistości niezrównanym wojownikiem. A już w żadnym wypadku nie był - wbrew swojej powierzchowności - osobą normalną i zrównoważoną.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytał Myron. Win wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem.

- Mogę ci załatwić bilet na mecz. Win nie odpowiedział.

- Chcesz przyjść?

- Nie.

Win wsunął się za kierownicę jaguara, zapalił silnik i ruszył z kopyta bez pisku opon. Zdziwiony jego obcesowością, Myron stał i patrzył, jak auto przyspiesza. W zasadzie, parafrazując jedno z czterech pytań święta Paschy, czemu dzisiejszy dzień miałby się różnić od innych?

Sprawdził godzinę. Do konferencji prasowej zostało kilka godzin. Dość czasu, żeby wrócić do biura i zawiadomić Esperanzę o zmianach w życiorysie. Wiedział, że jego gra w drużynie Smoków poruszy ją jak nikogo.

Autostradą numer 4 skierował się w stronę mostu George'a Washingtona. Na roгатce nie musiał czekać w kolejce, a więc Bóg jednak istniał. Niestety, Henry Hudson Parkway była zatłoczona. Koło ośrodka medycznego Columbia Presbyterian skręcił i przedostał się na Riverside Drive. „Zmywaki”, bezdomni czyszczący samochodowe szyby kompozycją złożoną w równych częściach ze smaru, sosu tabasco i moczu, zniknęli. Można sądzić, że za sprawą burmistrza Giulianiego. Zastąpili ich Latynosi handlujący kwiatami oraz czymś podobnym do brystolu. Kiedyś spytał, co to jest. Z otrzymanej po hiszpańsku odpowiedzi zrozumiał tyle, że ten papier miło pachnie i ozdabia każdy dom. Może to nim Greg aromatyzował swój.

Na Riverside Drive ruch był znośny. Myron zajechał do garażu Kinneya na Czterdziestej Szóstej i rzucił kluczyki Mariowi. Mario nie stawiał jego forda taurusa w jednym rzędzie z rollsami, mercedesami i jaguarem Wina. Z reguły znajdował dla niego przytulisko pod miejscem schadzki gołębi z chroniczną biegunką. Dyskryminacja samochodowa! Co prawda taurus był brzydalem, ale gdzie się podzieli obrońcy praw szpetnych samochodów?!

Budynek Lock-Horne Securities stał prostopadle do budynku Helmsleya, na rogu Park Avenue i Czterdziestej Szóstej, w dzielnicy wysokich czynszów. Ulica kipiała wielką forszą. Przed biurowcem parkowało nieprzepisowo bok w bok kilka długiach limuzyn. Nikt nie ukradł paskudnej nowoczesnej rzeźby, żalostnej jak ludzkie flaki. Kobiety i mężczyźni siedzący w biurowych strojach na schodach, zagubieni we własnych myślach, połykali w pośpiechu kanapki. Niektórzy mówili do siebie, ćwicząc się przed ważnymi popołudniowymi spotkaniami lub odgrzewając poranne błędy. Ludzie pracujący na Manhattanie nauczyli się być samotni spośród otaczającego ich tłumu.

Myron wszedł do głównego holu, nacisnął guzik windy i skinął głową trzem hostessom firmy Lock-Horne, znanym powszechnie jako gejsze Lock-Horne'a. Wszystkie trzy były modelkami marzącymi o karierze aktorskiej. Zatrudniono je, by doprowadzały krezusów do biur Lock-Horne Securities i pięknie wyglądały. Win przywiózł ów pomysł z podróży na Daleki Wschód i wykorzystał go w sposób maksymalnie seksistowski.

- Gdzieś się podziewał, do diabła?! - przywitała go w drzwiach nieoceniona partnerka, Esperanza Diaz.

- Musimy porozmawiać - odparł.

- Później. Masz milion wiadomości.

Ciemnowłosa, czarnooka Esperanza, o śniadej skórze lśniacej jak księżyc na Morzu Śródziemnym, wyglądała zabójczo w białej bluzce. Kiedy miała lat siedemnaście, wypatrzył ją łowca Modelek, ale po kilku dziwnych zakrętach w karierze wybiła się w końcu w świecie zawodowych zapasów. Tak jest, w damskim wrestlingu. Znano ją jako Małą Pocahontas, dzielną Indiańską Księżniczkę, ozdobę organizacji Wspaniałych Dam Wrestlingu (WDW). W moralitecie,

jakim jest zawodowa wolnoamerykanka, występowała w zamszowym kostiumie bikini, zawsze w roli „dobrej” wojowniczkii. Była młoda, drobna, wysportowana, śliczna i, mimo latynoskiego pochodzenia, dostatecznie smagła, by ujść za Indiankę. W WDW rasa się nie liczyła. Na przykład prawdziwe imię i nazwisko zapaśniczki Saddamowej Husajnowej, złej odaliski skrytej za czarnym czarczafem, brzmiało Szari Weinberg. Zadzwoił telefon.

- RepSport MB - powiedziała do słuchawki Esperanza. - Jedną chwilę, jest tutaj. - Błysnęła oczami. - Perry McKinley. Dzwoni trzeci raz.

- Czego chce? Wzruszyła ramionami.

- Niektórzy nie lubią załatwiać spraw z podwładnymi.

- Nie jesteś moją podwładną - rzekł Myron. Spojrzała na niego bez wyrazu.

- Rozmówisz się z nim czy nie? - spytała.

Zawód agenta sportowego - używając terminologii komputerowej - to środowisko wielozadaniowe, umożliwiające świadczenie rozmaitych usług za naciśnięciem klawisza. Nie ogranicza się do zwykłego negocjowania kontraktów. Od agentów wymaga się, by byli księgowymi, finansistami, agentami nieruchomości, pocieszycielami, zaopatrzeniowcami, agentami biur podróży, doradcami rodzinnymi, doradcami do spraw małżeńskich, szoferami, chłopcami na posyłki, łącznikami z rodziną, lokajami, pochlebcami et cetera. Jeśli nie potrafiłeś sprostać wszystkim wymaganiom klienta - być „agencją zapewniającą kompleksową obsługę” - to czekali już na niego twoi konkurenci.

Żeby konkurować w tej branży, musiałeś mieć zespół, Myron zaś dobrał sobie zespół mały, lecz nader skuteczny. Win, na przykład, zajmował się finansami jego klientów. Wszystkim zakładał oddzielne

portfele, spotykał się z nimi co najmniej pięć razy w roku i upewniał, czy rozumieją, co się dzieje z ich pieniędzmi i dlaczego. Zapewnił tym Myronowi dużą przewagę nad konkurencją. W świecie finansów Win stał się niemal legendą. Opinię miał nieskazitelną, osiągnięcia niezrównane. Dzięki niemu Myron natychmiast „wszedł do gry”, z miejsca zyskując wiarygodność w branży, w której wiarygodność jest ekscytującym białym krukiem. Myron był doktorem praw, Win profesorem finansów, a Esperanza uniwersalnym graczem, niewzruszonym kameleonem, który trzymał w ryzach całość. I taki układ działał.

- Musimy porozmawiać - powtórzył Myron.

- Porozmawiamy - ucięła temat. - Ale najpierw przyjmij telefon.

Wszedł do siebie i spojrzał przez okno na „wspaniały widok” - śródmiejską Park Avenue. Na jednej ścianie gabinetu wisiały plakaty broadwayowskich musicali. Na drugiej fotosy z filmów jego ulubionych aktorów i reżyserów: Braci Marx, Woody'ego Allena, Alfreda Hitchcocka oraz z kilku innych klasycznych dzieł. Na trzeciej zdjęcia klientów. Nie tak licznych, jak by pragnął. W wyobraźni umieścił pośrodku fotografię nowego gracza NBA. Dobrze. Doskonale, zdecydował.

Włożył na głowę słuchawki z mikrofonem.

- Hej, Perry - powiedział.

- Kurdemol, Myron, od rana próbuję się do ciebie dodzwonić.

- U mnie w porządku, Perry. A u ciebie?

- Ja się nie gorączkuję, ale to ważna sprawa. Słysząc coś z moją łodzią?

Perry McKinley, zawodowy gracz w golfa, to i owo zarabiał, lecz jego nazwisko znali tylko najzagorzalsi entuzjaści tego sportu. Perry lubił żeglować i zapragnął mieć nową łódkę.

- Mam coś na oku - odparł Myron.

- Jaka firma?

- Prince.

Na Perrym nazwa nie zrobiła wrażenia.

- Ich łódzie są w porządku - burknął. - Ale to nic wielkiego.

- Zamienią twoją starą łódź na nową. W zamian za pięć osobistych promocji.

- Pięć?

- Tak.

- Za pięcioipółmetrową łódź Prince'a? Za dużo.

- Chcieli dziesięć. Decyzja należy do ciebie. Perry chwilę się zastanawiał.

- A niech tam, zgoda - odparł. - Wpierw jednak chcę się upewnić, czy ta łódź mi pasuje. Całe pięć i pół metra?

- Tak powiedzieli.

- No, dobra, Myron. Dzięki. Jesteś gościem.

Rozłączyli się. Handel wymienny - ważny składnik wielozadaniowego środowiska agenta sportowego. W tej branży nikt nikomu nie płacił. Wymieniano usługi. Towary za reklamę. Chcesz darmową koszulę? Pokaż się w niej publicznie. Chcesz nowy wózek? Wymień serię uścisków dłoni na kilku pokazach samochodowych. Wielkie gwiazdy za udział w reklamach żądały dużych pieniędzy. Mniej znani sportowcy zadowalali się darmowymi upominkami.

Myron spojrział na stos wiadomości i pokręcił głową. Jak, do diabła, pogodzić grę w Smokach ze sprawnym działaniem RepSport MB?

- Przyjdź do mnie, proszę - wezwał Esperanzę przez interkom.

- Jestem zajęta...

- W tej chwili.

- Boże, ale z ciebie macho - odparła po chwili.

- Nie wygłupiaj się.
- Naprawdę mnie wystraszyłeś. Rzucam wszystko i jestem na rozkazy.

Odłożyła słuchawkę i wpadła do gabinetu.

- Wystarczająco szybko? - spytała, udając zadyszkę i przestkach.
- Tak.
- O co chodzi?

Powiedział jej. Kiedy doszedł do tego, że zagra w Smokach, zaskoczył go brak jej reakcji. Dziwne. Najpierw Win, teraz ona. Dwójka jego najlepszych przyjaciół. Uwielbiali nabijać się z niego, a jednak żadne nie wykorzystało tak świetnej okazji. Ich milczenie na temat jego „come backu” trochę go zaniepokoiło.

- Twoim klientom to się nie spodoba - oświadczyła.
- Naszym klientom! - sprostował.

Skrzywiła się.

- Musisz poprawiać sobie samopoczucie moim kosztem? - spytała.

Nie raczył odpowiedzieć.

- Spożytkujemy to - odparł.
- Jak?

- Jeszcze nie wiem - rzekł wolno i rozsiadł się w fotelu. - Możemy powiedzieć, że taka reklama im pomoże.

- Jak?

- Dzięki nawiązaniu nowych kontaktów - wymyślił na poczekaniu. - Zbliżeniu się do sponsorów, lepszym ich poznaniu. Im więcej ludzi usłyszy o mnie, tym, pośrednio, o moich klientach.

Esperanza prychnęła.

- Myślisz, że to wypali? - spytała.
- Czemu nie?
- Bo to bzdury. „Pośrednio o moich klientach”? Bujda na resorach.



Miała rację.

- O co się piekiesz? - spytał, wznosząc dłonie ku sufitowi. - Na koszykówkę poświęcę parę godzin dziennie. Resztę czasu spędzę tu. Nie rozstaję się z komórką. A poza tym, podkreślam, to nie potrwa długo.

Esperanza przyjrzała mu się sceptycznie.

- O co chodzi? Pokręciła głową.

- Naprawdę chcę wiedzieć. O co?

- O nic. A co na to ta jędza? - spytała słodkim głosem, Patrząc mu prosto w oczy.

Tym pieszczotliwym mianem nazywała Jessicę.

- Możesz tak o niej nie mówić?

Zrobiła minę „Jak chcesz”, tym razem rezygnując z kłótni. Dawno, dawno temu ona i Jessica przynajmniej się tolerowały. Aż do czasu, gdy zobaczyła, jak ciężko Myron przeżył odejście ukochanej. Niektórzy dają wyraz urazie. Esperanza zachowała ją głęboko w sercu. Nie liczyło się dla niej to, że Jessica do niego wróciła.

- No więc, co ona na to? - powtórzyła.

- Na co?

- Na perspektywę pokoju na Bliskim Wschodzie! - odburknęła. - Znowu ze mną pogrywasz?

- Nie wiem. Jeszcze nie zdążyliśmy o tym porozmawiać. A dlaczego pytasz?

- Będzie nam potrzebna pomoc - zamknęła poprzedni temat. - Ktoś, kto odbierałby telefony, pisał na maszynie i tak dalej.

- Myślisz o kimś konkretnym? Skinęła głową.

- O Cyndi. Myron zbladł.

- O Wielkiej Cyndi?

- Może odbierać telefony, wykonywać różne prace. Jest robotna.

- Nie miałem pojęcia, że ona mówi.

Wielka Cyndi, partnerka Esperanzy w walkach zapaśniczych, występowała na ringu jako Wielka Szefera.

- Wypełnia polecenia. Wykonuje czarną robotę. Nie jest ambitna.

- Wciąż pracuje na bramce w tej spelunie ze striptizem? - spytał, starając się nie skrzywić.

- Jakim striptizem? To bar sado-maso.

- Mój błąd.

- A poza tym jest teraz barmanką.

- Awansowała?

- Tak.

- Za żadne skarby nie chciałbym zakłócać jej rozkwitającej kariery, prosząc, żeby pracowała tutaj.

- Nie rznij głupa. Pracuje tam nocą.

- Czyżby w Skórze-i-Chuci nie było tłumów w czasie lunchu?

- Znam Cyndi. Nada się w sam raz.

- Przeraża ludzi. I przeraża mnie.

- Będzie siedzieć w salce konferencyjnej. Nikt jej nie zobaczy.

- Czy ja wiem...

Esperanza wstała płynnym ruchem.

- Skoro tak, to znajdź kogoś. W końcu jesteś szefem. Wszystko wiesz najlepiej. Gdzie mnie, prostej, głupiej sekretarce, kwestionować sposób, w jaki traktujesz klientów.

- Cios poniżej pasa. - Wspierając się na łokciach, Myron pochylił się nad biurkiem i ścisnął głowę dłońmi. - Dobrze - rzekł wreszcie. Wypuścił powietrze. - Zobaczymy, jak sobie poradzi.

Esperanza zmierzyła go spojrzeniem.

- W tym momencie mam podskoczyć i powiedzieć „dziękuję, dziękuję”? - spytała po kilku sekundach.

- Nie, w tym momencie wyjdę. - Myron sprawdził godzinę. - Przed konferencją prasową muszę porozmawiać z Clipem o tych śladach krwi.

- Przyjemnej zabawy. Esperanza ruszyła do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał. - Masz dziś zajęcia? Obróciła się ku niemu. Studiowała wieczorowo prawo na Uniwersytecie Nowojorskim.

- Nie.

- Chcesz zobaczyć mecz? - Myron odchrząknął. - Możesz przyjść z... Lucy, jeśli chcesz.

Lucy była najnowszą miłością Esperanzy. Przed nią chodziła z Maxem. Jej preferencje seksualne były chwiejne.

- Zerwałyśmy - odparła.

- Och, przykro słyszeć - rzekł, nie wiedząc, co powiedzieć. - Kiedy?

- W zeszłym tygodniu.

- Nic nie mówiłaś.

- Pewnie dlatego, że to nie twoja sprawa. Miała rację.

- No, to może przyjdiesz z... kimś nowym. Albo sama. Gramy z Celtami.

- Nie skorzystam - odparła.

- Na pewno?

Skinęła głową i wyszła z gabinetu. Myron chwycił marynarkę i wrócił na parking. Mario, nie podnosząc oczu, rzucił mu kluczyki. Przed tunelem Lincolna Myron przeskoczył na drogę numer 3. Minął znany hipermarket Tops ze sprzętem i elektroniką. Nad jezdnią sterczał z billboardu wielki kinol. Napis na tablicy głosił: „Tops! Masz go tuż pod nosem”. Jakie realistyczne. W wielkim nochalu brakowało jedynie sterczących włosków. Gdy do stadionu Meadowlands pozostała mila, w taurusie zadzwonił telefon.

- Mam wstępne dane - oznajmił Win.

- Mów.  
- W ciągu zeszłych pięciu dni nikt nie korzystał z kart kredytowych Grega ani z jego kont bankowych.

- W ogóle?
- W ogóle.
- Żadnych wypłat w banku?
- Nie w ubiegłych pięciu dniach.
- A wcześniej? Może przed zniknięciem wyjął grubszą kasę.
- Jeszcze nie wiem. Pracuję nad tym.

Myron zjechał z autostrady. Zastanawiał się, co to wszystko znaczy. Na razie znaczyło niewiele, lecz nie były to dobre wieści. Krew w suterenie. Ani śladu Grega. Żadnych operacji finansowych. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Coś jeszcze? - spytał. Win zawahał się.  
- Może wkrótce ustalę, gdzie najdroższy Greg wypił drinka z nadobną Carlą.

- Gdzie?
- Po meczu - odparł Win. - Będę wiedział więcej.

- Sport to folklor - powiedział Clip Arnstein do tłumu reporterów wypełniających salę. - Do naszej wyobraźni przemawiają nie tylko zwycięstwa i porażki, ale historie. Historie o wytrwałości. Historie o sile woli. Historie o ciężkiej pracy. Historie o rozpacz. Historie o cudownych przypadkach. Historie o triumfach i tragediach. Historie o powrotach.

Spojrzał na Myrona stosownie wilgotnymi oczami, z najdobrotliwszym uśmiechem na ustach. Myron skulił się. Przewyciężył silne pragnienie, żeby skryć się pod stołem konferencyjnym.

Po zrobieniu stosownej pauzy stojący przy pulpicie Clip znów obrócił się twarzą do dziennikarzy. Milczeli. Sporadycznie błyskały flesze. Przełknął kilka razy ślinę, jakby przetrawiał w duchu jakąś decyzję. Grdyka mu chodziła. Podniósł wilgotne oczy.

Występ niezły, podsumował Myron, choć nieco szmirowaty.

Na konferencję przyszło więcej ludzi, niż oczekiwał. Nie było wolnych miejsc, wielu stało. Dzień widać nie obfitował w wydarzenia. Clip niespiesznie odzyskał utracone opanowanie. Nieco ponad dziesięć lat temu ściągnąłem do drużyny nadzwyczajnego młodego koszykarza, gracza, któremu pisana była wielkość. Miał świetny rzut z wyskoku, doskonałe wyczucie boiska, odporność psychiczną, a przede wszystkim był wyjątkową osobą. Lecz bogowie mieli względem niego inne plany. Wszyscy wiemy, co spotkało Myrona Bolitara tamtego fatalnego wieczoru w Landover w Marylandzie. Nie ma powodu rozpamiętywać przeszłości. Ale jak powiedziałem na wstępie konferencji, sport to folklor. Dziś drużyna Smoków daje temu młodemu mężczyźnie szansę na wplecenie swojej legendy w bogatą materię sportu. Dziś drużyna Smoków umożliwia temu młodemu mężczyźnie odzyskanie tego, co w tak okrutny sposób los zabrał mu przed laty.

Myron zaczął zwiijać się z zakłopotania. Poczzerwieniał. Strzelając oczami na wszystkie strony, szukał schronienia, ale go nie znalazł. Poprzestał więc na wpatrywaniu się w twarz Clipa, jak tego oczekiwali dziennikarze. Tak bardzo skupił się na znamieniu na jego policzku, że w końcu szczęśliwie rozmyło mu się przed oczami.

- Nie będzie to łatwe, Myron - zwrócił się do niego Clip.

Myron, wpatrzony w znamię, nie mógł spojrzeć mu w oczy.

- Niczego ci nie obiecaliśmy. Nie wiem, co z tego wyniknie. Czy będzie to finał twojej historii, czy może początek nowego

wspaniałego rozdziału. Ale ci z nas, którzy kochają sport, zachowują nadzieję. Mamy to w swej naturze. To natura wszystkich prawdziwych wojowników i kibiców.

Clipowi załamał się głos.

- Tak już jest - ciągnął. - Przypominam ci o tym niechętnie, Myron, ale muszę. W imieniu New Jersey Dragons witam cię, znakomity i dzielny gracz, w naszym zespole. Życzymy ci wszystkiego najlepszego. Jesteśmy pewni, że bez względu na to, co cię spotka na boisku, przyniesiesz zaszczyt naszemu klubowi. - Zamilkł, zacisnął usta. - Dziękuję - dorzucił prędko i wyciągnął rękę do Myrona.

Myron wszedł w rolę. Wstał, chcąc uścisnąć Clipowi dłoń, ale ten miał inny pomysł. Otoczył go ramionami i przyciągnął do siebie. Flesze aparatów rozmigotały się jak światła w dyskotecie. Kiedy Clip wreszcie puścił Myrona, dwoma palcami otarł oczy. A bodaj go, zagrał to lepiej niż Al. Pacino. Clip wyciągnął rękę i poprowadził Myrona do pulpitu.

- Jakie to uczucie wrócić do sportu? - zawołał jakiś reporter.

- Straszne - odparł Myron.

- Jest pan zdolny do gry na tym poziomie?

- Nie za bardzo.

Jego szczerość na chwilę powstrzymała dziennikarzy. Ale tylko na chwilę. Clip roześmiał się, a inni poszli w jego ślady. Wzięli to za żart. Myron nie myślał wyprowadzać ich z błędu.

- Wciąż ma pan dobrze ustawiony celownik do rzutów za trzy punkty? - spytał inny.

Myron skinął głową.

- Celownik owszem, ale nie wiem, czy dopełniacz. Zapożyczony żart, ale co tam. Znów rozległy się śmiechy.

- Dlaczego wraca pan dopiero teraz? Co pana przekonało do powrotu?

- Telewizyjna Stacja Jasnowidzów.

Clip wstał i podniesieniem ręki powstrzymał dalsze pytania.

- Wybaczcie, ludzie, ale na dziś wystarczy. Myron musi się przebrać do meczu - powiedział.

Myron podążył za Arnsteinem do jego gabinetu, w którym czekał już Calvin. Clip zamknął drzwi.

- Jak się sprawy mają? - spytał, zanim usiadł.

Myron powiedział mu o krwi w suterenie. Clip wyraźnie zbladł. Mrożonka zacisnął palce na poręczach fotela.

- Co sugerujesz? - spytał ostrym tonem Clip.

- Sugeruję?

Clip Arnstein wzruszył teatralnie ramionami.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział.

- Tu nie ma nic do rozumienia - odparł Myron. - Greg zniknął. Nikt nie widział go od pięciu dni. Nie korzystał z bankomatu ani karty kredytowej. A w suterenie jego domu jest krew.

- W pokoju zabaw dla dzieci? Tak powiedziałeś. W pokoju zabaw.

Myron skinął głową.

Clip spojrział pytająco na Calvina, a potem unióśł dłonie w górę.

- I co to znaczy, u licha? - spytał.

- Trudno powiedzieć.

- To jeszcze nie dowodzi, że kogoś tam zabito - ciągnął Clip. - Zastanów się, Myron. Jeżeli Grega zamordowano, to gdzie są zwłoki? Zabrał je morderca lub mordercy? Co się tam wydarzyło? Zaskoczono go? Samego? W pokoju zabaw, gdzie bawił się lalką? I co dalej? Zabili go, wywlekli ciało z domu, ślady krwi pozostawiając tylko w suterenie? - Clip rozłożył ręce. - Gdzie tu sens?

Myrona zaniepokoił taki scenariusz. Zerknął na zamyślonego Calvina. Clip wstał.

- Równie dobrze mogło się tam skaleczyć któreś z jego dzieci - rzekł.

- Jeśli tak, to bardzo mocno - odparł Myron.

- Albo komuś poszła krew z nosa. Z nosa krew wali jak diabli. Może ktoś po prostu rozkwaślił tam sobie nos.

- Albo zarznął kurę. To też możliwe.

- Po co ten sarkazm, Myron?

Myron odczekał chwilę. Spojrzał na Calvina. Żadnej reakcji. Spojrzał na Clipa. Nic.

- Znowu brak mi jasności - powiedział.

- Słucham?

- Wynajął mnie pan, żebym znalazł Grega. Wpadłem na ważny trop. A pan nie chce o nim słyszeć.

- Jeśli sądzisz, że nie chcę dopuścić myśli, że Grega spotkało najgorsze...

- Ja nie o tym. Pan się czegoś boi. Czego? Bo nie tylko tego, że Grega spotkało najgorsze.

Clip spojrzął na Calvina. Mrożonka prawie niedostrzegalnie skinął głową. Clip usiadł. Zabębnił palcami w biurko. Stojący zegar w kącie tykał jak echo.

- Zakładam - rzekł Clip - że wszystkim nam leży na sercu interes Grega.

- Mhm.

- Słyszałeś o wrogich przejściach?

- W latach osiemdziesiątych byłem już na świecie - odparł Myron. - Ktoś nawet niedawno wytknął mi, że jestem bardzo w stylu tych lat.

- No więc próbują tego wobec mnie.



- Myślałem, że ma pan większość udziałów w klubie.
- Czterdzieści procent - odparł Clip. - Reszta ma najwyżej po piętnaście. Dwaj z nich się zmówili i chcą mnie wysadzić z siodła. - Zacisnął dłonie i położył je na biurku jak przyciski do papieru. - Twierdzą, że za bardzo obchodzi mnie koszykówka, a za mało interesy. Że powinienem zająć się graczami i meczami. Za dwa dni będą głosować.
- I co z tego?
- Głosowanie jest tuż-tuż. Wystarczy skandal i po mnie. Myron przyjrzał się obu mężczyznom.
- Mam się tym zająć? - spytał po krótkiej chwili.
- Nie, skądże - zaprzeczył szybko Clip. - Nie w tym rzecz. Nie chcę tylko, żeby prasa zrobiła widły z czegoś, co może być igłą. W tej sytuacji nie mogę dopuścić, by na jaw wyszło coś kompromitującego.
- Kompromitującego?
- Tak.
- Na przykład?
- Skąd mam wiedzieć - obruszył się Clip.
- A jeśli Greg nie żyje?
- W takim razie, choć zabrzmi to cynicznie, dzień czy dwa nic tu nie zmieni. Zresztą jeśli coś mu się przytrafiło, to może nie bez powodu.
- Nie bez powodu? Clip uniósł ręce.
- Ja nic nie wiem. Wystarczy, że ruszysz trupa czy choćby kogoś, kto się ukrywa, a wypełzną robaki. Rozumiesz?
- Nie - odparł Myron.
- Nie mogę do tego dopuścić. Nie teraz. Nie przed tym głosowaniem.
- Innymi słowy, chce pan, żebym się tym zajął - stwierdził Myron.

- Wcale nie. Chcemy uniknąć niepotrzebnej paniki. Jeżeli Greg nie żyje, nic na to nie poradzimy. Ale jeżeli zniknął tylko ty dajesz nadzieję, że nie rzuca się na to media i że go uratujesz.

Wciąż coś przed nim ukrywali, lecz postanowił na razie ich nie naciskać.

- Nie domyśla się pan, dlaczego ktoś obserwuje dom Grega? - spytał.

- Ktoś obserwuje dom Grega? - zdziwił się Clip.

- Tak myślę.

- Calvin?

Clip utkwiał wzrok w Calvina.

- Nie mam pojęcia - odparł Calvin.

- Ja również, Myron. Domyślasz się, kto to jest?

- Jeszcze nie. Mam pytanie: czy Greg miał dziewczynę? Clip znów spojrzał na Calvina.

Calvin wzruszył ramionami.

- Sypiał na prawo i lewo - rzekł. - Ale wątpię, czy był z kimś związany.

- Nie znasz żadnej z tych, z którymi sypiał?

- Nie z nazwiska. To były fanki, tym podobne.

- Dlaczego to cię interesuje? Myślisz, że uciekł z jakąś kobietą? - spytał Clip.

Myron wzruszył ramionami i wstał.

- Pora iść do szatni - powiedział. - Niedługo mecz.

- Chwileczkę. Myron zatrzymał się.

- Wiem, Myron, że wychodzę na bezdusznego, ale naprawdę przejmuję się Gregiem. Bardzo. Chcę, żeby znalazł się cały i zdrowy.

- Clip przełknął ślinę. Zmarszczki na jego skórze pogłębiły się, jakby ktoś go wyszczytał. Poblądł. - Jeżeli szczerze powiesz mi, że

najlepiej będzie ujawnić, co wiemy, to tak zrobię. Bez względu na koszty. Przemyśl to sobie. Chcę dla Grega jak najlepiej. Bardzo mi na nim zależy. Bardzo zależy mi na was obu. Świetne z was chłopaki. Naprawdę. Obu wam wiele zawdzięczam.

Clip miał minę, jakby zbierało mu się na płacz. Myron nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Postanowił, że nie powie. Skinął głową, otworzył drzwi i wyszedł.

Gdy się zbliżał do windy, dobiegł go znajomy ochryply głos:

- Kogo ja widzę? Czyż to nie nasz powrotnik?

Myron przyjrzał się reporterce sportowej Audrey Wilson. Była w swoim zwykłym stroju: granatowym żakiecie, czarnym golfie i marmurkowych džinsach. Jeśli nosiła makijaż, to bardzo dyskretny, paznokcie miała krótkie, niepolakierowane. Barwniejsze były tylko jej buty - niebieskie sportowe chunky taylor. Nie rzucała się w oczy. Brunetka, ostrzyżona na pazia. Jej rysom nie brakowało niczego, ale też niczym się nie wyróżniały.

- Czyżbym wyczuwał nutę cynizmu? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba nie sądzisz, że to kupię - powiedziała.

- Co kupisz?

- Bajeczkę o twoim nagłym pragnieniu, by - zadrżała do notatek - „wpleść swoją legendę w bogatą materię sportu”. - Podniosła oczy, pokręciła głową. - Clip przecież picuje, aż się kurzy, nie?

- Muszę się przebrać, Audrey.

- Nie dasz mi przedtem cynku?

- Cynku, Audrey? A może od razu „bombę”? Jak ja lubię to słowo w ustach dziennikarzy.

Uśmiechnęła się. Miło, szeroko i szczerze.

- Bronimy się? - spytała.

- Ja? W życiu.

- To może, że użyję innego frazesu, złożysz oświadczenie dla prasy?

Myron skinął głową i po aktorsku przyłożył rękę do piersi.

- Zwycięzca nigdy się nie poddaje, poddający się nigdy nie zwycięża - zadeklamował.

- Vince Lombardi?

- Felix Unger. W odcinku Dziwnej pary, w którym gościnnie wystąpił Howard Cosell. Myron skrzywił i poszedł do szatni. Audrey - chyba najlepsza dziennikarka sportowa w kraju - podążyła za nim. Pisała o Smokach dla największej gazety na Wybrzeżu Wschodnim. Miała własny program w stacji radiowej WFAN, wysoko oceniany i nadawany w najlepszym czasie antenowym. Prowadziła też poranny niedzielny program telewizyjny „Rozmowy o sporcie” na kanale sportowym ESPN. A jednak jej pozycja, podobnie jak niemal wszystkich kobiet w tej zdominowanej przez mężczyzn branży, nigdy nie była pewna, a kariera zawodowa, niezależnie od sławy, zawsze o krok od zwichnięcia.

- Jak tam Jessica? - spytała.

- Dobrze.

- Nie rozmawiałam z nią od miesiąca - dodała śpiwnie. - Może powinnam do niej zadzwonić, usiąść z nią i pogadać, wiesz, tak od serca.

- Ojej, nie licz na jej szczerość.

- Próbuję ułatwić ci sprawę, Myron. Dzieje się coś dziwnego. Przecież wiesz, że i tak dowiem się, o co chodzi. Co ci szkodzi powiedzieć?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Najpierw Greg Downing w tajemniczych okolicznościach zostawia zespół...

- Co jest tajemniczego w skręconym stawie skokowym?

- A potem jego miejsce zajmujesz ty, jego dawny wróg, który od jedenastu lat nie grał zawodowo w koszykówkę. Nie uważasz, że to dziwne?

Pięknie. Od pięciu minut w pracy i od razu podejrzenia. Myron Bolitar, mistrz kamuflażu.

- Muszę iść, Audrey - powiedział, gdy dotarli do drzwi szatni. - Porozmawiamy później.

- Masz to jak w banku. - Uśmiechnęła się do niego z kpiarską słodyczą. - Powodzenia, Myron. Rzuć ich na kolana.

Skinął głową, wziął głęboki oddech i pchnął drzwi. Zaczęło się.

Nikt go nie powitał. Nikt nie przerwał zajęć. Nikt nawet na niego nie spojrział. W szatni nie zaległa martwa cisza jak w starym westernie, kiedy szeryf otwiera pchnięciem skrzypiące drzwiczki i posuwicie wkracza do saloonu. Może właśnie w tym tkwił szkopuł. Może drzwi powinny skrzypieć. Albo on popracować nad posuwistym krokiem.

Nowi koledzy z drużyny walali się po szatni jak skarpetki w akademiku. Trzej, na wpół ubrani i pogrążeni w półdrzemce, leżeli rozwaleni na ławach. Dwaj inni na posadzce. Asystenci rozciągali mięśnie czwórgłowe i łydki w czyjejs sterczącej w powietrzu nodze. Kolejna para graczy kozłowała piłki. Czterech, oklejonych taśmą, kuśtykało do szafek. Niemal wszyscy żuli gumę i słuchali walkmanów. Malutkie głośniczki w uszach dudniły niczym rywalizujące ze sobą szafy głośnikowe w sklepie ze sprzętem stereo.

Myron bez trudu znalazł swoją szafkę. Na pozostałych widniały plakietki z brązu z wygrawerowanymi nazwiskami zawodników. Na

jego szafce plakietki nie było. Był za to kawałek białej taśmy, używanej do oklejania stawów skokowych, z wypisaną czarnym flamastrem inskrypcją M. BOLITAR. Nie dodawało to wiary w siebie, nie świadczyło o integracji z drużyną.

Myron rozejrzał się za kimś, z kim mógłby porozmawiać, ale walkmany stanowiły idealne parawany, zamykające każdego we własnej odrębnej przestrzeni. W kącie dostrzegł siedzącego Terry'ego „T.C.” Collinsa, nową rozkapryszoną supergwiazdę, T.C. dla mediów najnowszy modelowy przykład rozpieszczonego, zepsutego wyczynowca, „rujującego” szlachetny świat sportu, „jaki znamy” (cokolwiek znaczyło to sformułowanie), był okazem wyjątkowym. Dwa metry osiem centymetrów wzrostu, muskularny, silny, giętki. Wygolona głowa, połyskująca w świetle jarzeniówek. Podobno Murzyn, bo spod pokrywających go artystycznych dziarów nie prześwitywał choćby kawałek czarnej skóry. Niemalże całą jej powierzchnię pokrywały tatuaże, a ciało miał poprzekłuwane w tylu miejscach, że trudno było to nazwać hobby, prędeż stylem życia, Wyglądał jak koszmarna wersja Mister Muscle'a.

Napotkawszy spojrzenie Terry'ego, Myron uśmiechnął się i skinął mu głową. T.C. zasztyletował go wzrokiem i odwrócił oczy. Zakumplowali się od pierwszego wejrzenia.

Kostium Myrona wisiał na swoim miejscu. Na plecach wyszyto dużymi literami nazwisko BOLITAR. Myron przyglądał mu się chwilę, a potem szybko zdjął z wieszaka. Powróciła przeszłość. Miękki dotyk bawełny. Przypominające sznurowadło troczki w spodenkach. Lekki, elastyczny ucisk w pasie przy ich wkładaniu. Lekki opór koszulki na ramionach. Wprawny ruch dłoni wsuwających ją w spodenki. Snurowanie butów. Od tych wszystkich czynności ścisnęło go w

sercu. Trudniej mu było oddychać. Z żalu zamrugał powiekami. Zaczekał, aż uczucia te miną.

Spostrzegł, że większość graczy zamiast ochraniaczy nosi elastyczne spodnie z lycry. Pozostał przy tradycji. Ortodoks. Mocując na nodze urządzone zwane ściągaczem, miał wrażenie, jakby wkładał nogę w sprężarkę. Na koniec ubrał się w dresy. Spodnie były zapinane na szereg zatrząsków, tak by gracz wpuszczany do gry mógł je zdjąć z siebie jednym dramatycznym ruchem.

- Się masz, chłopcze, jak leci?

Myron wstał i uściśnął dłoń Kipowi Corovanowi, jednemu z asystentów trenerów zespołu. Z przykrótkich rękawów kraciastej, o trzy numery za małej marynarki wystawały mu przedramiona, a brzuch napierał buntowniczo na guziki. Wyglądał jak farmer na wiejskiej zabawie.

- W porządku, trenerze.

- To świetnie, świetnie. Mów mi Kip. Albo Kiper. Tak nazywają mnie wszyscy. Siadaj, odpręż się.

- Jasne. Kiper?

- Świetnie. Dobrze cię mieć wśród nas. - Kiper przysunął krzesło, obrócił je oparciem do Myrona i usiadł okrakiem. Szwów w kroku jego spodni ten ruch nie uszczęśliwił. - Będę z tobą szczerzy, Myron. Donny nie jest zachwycony. Osobiście nic przeciw tobie nie ma. Tyle że sam lubi dobierać graczy. Nie lubi interwencji z góry, rozumiesz?

Myron skinął głową. Donny Walsh był szkoleniowcem drużyny.

- Świetnie, doskonale. Donny to równy gość. Pamięta ciebie z dawnych czasów, bardzo cię cenił. Ale drużyna szykuje się do finałów. Jeżeli nam się pofarci, zapewnimy sobie mistrzostwo w meczach u siebie. Poukładanie gry trochę trwało. I wreszcie idzie

nam jak po sznurku. Trzeba to utrzymać. Strata Grega zabrała nam trochę wiatru z żagli, a gdy znowu poukładaliśmy grę, raptem przychodzisz ty. Clip nic nam nie tłumaczy, ale upiera się, żebyś wszedł do składu. Proszę bardzo, jest tu wielkim wodzem. Chcemy jednak, żeby dalej szło nam jak po sznurku, kapujesz?

Od tego melanzu przenośni Myronowi zakręciło się w głowie.

- Jasne. Nie chcę sprawiać kłopotów.

- Wiem. - Kiper wstał i odsunął krzesło. - Fajny z ciebie chłopak, Myron. Zawsze byłeś w porządku. I tego nam trzeba. Gracza, który na pierwszym miejscu stawia dobro drużyny. Myron skinął głową.

- Gracza, który chodzi po sznurku.

- Świetnie, doskonale. Do zobaczenia na placu. Nie bój się wejdiesz, chyba że wcześniej damy im łupnia.

Kiper podciągnął pasek na sterczącym brzuchu i spacerowym, niemal posuwistym krokiem przemierzył szatnię.

- Zbiórka przy planszy, chłopcy! - zawołał trzy minuty później.

Nikt nie zareagował. Kiper powtórzył to wiele razy, klepiąc po ramionach graczy wprawionych w trans przez walkmany, żeby go usłyszeli. Gdy po dziesięciu minutach udało mu się wreszcie przemieścić dwunastu zawodowych koszykarzy o parę metrów, do szatni wszedł bardzo ważnym krokiem coach Danny Walsh, zajął środek sceny i wygłosił wiązanek frazesów. To nie znaczy, że był złym trenerem. Ale jeśli prowadzi się sto meczów w sezonie, trudno wystąpić z czymś nowym.

Odprawa przedmeczowa trwała dwie minuty. Niektórzy gracze nie raczyli nawet ściszyć walkmanów. Ekipa wykwalifikowanych techników w wielkim skupieniu przystąpiła do rozbierania T.C. z biżuterii. Kilka minut potem drzwi szatni otworzyły się. Gracze zostawili walkmany i ruszyli na parkiet.



Mecz.

Myron stanął na końcu linii. Przełknął ślinę. Przeszedł go chłodny prąd. Wbiegając po rampie, usłyszał z głośnika okrzyk:

- A teraaaaz wasi New Jersey Dragons! Buchnęła muzyka. Trucht graczy przeszedł w kłus. Grzmotnęły owacje. Zawodnicy rozdzielili się odruchowo na dwie szóstki, by poćwiczyć rzuty z dwutaktu. Myron robił to milion razy, ale pierwszy raz się na tym skoncentrował. Kiedy jesteś gwiazdą albo zawodnikiem, rozgrzewasz się od niechcenia, swobodnie, bez pośpiechu. Nie musisz się wysilać. Masz przed sobą cały mecz, żeby pokazać publiczności, co potrafisz. Rezerwowi - do których dotąd się nie zaliczał - zachowywali się podczas rozgrzewki dwojako. Niektórzy szli na całość: robili młynki, wsady tyłem, innymi słowy - popisywali się. Dla niego takie zachowanie było tanim efekciarstwem. Inni trzymali się supergwiazd, podając im piłki, albo udawali obrońców, odgrywając podobną rolę jak sparingpartnerzy bokserów. Równi goście. Znalazł się na przedzie, wśród ćwiczących rzuty z dwutaktu.

Ktoś podał mu piłkę. Kiedy się rozgrzewasz, podświadomie sądzisz, że spoczywają na tobie oczy wszystkich w hali, podczas gdy w rzeczywistości większość widzów mości się w fotelach, kupuje jedzenie, rozgląda po tłumie, a tych, którzy na ciebie patrzą, nie obchodzi twoje popisy. Myron zrobił dwa kozły i rzucił. Piłka odbiła się od szklanej tablicy i wpadła do kosza. No nie, pomyślał. Gra się jeszcze nie zaczęła, a ty już jesteś zagubiony.

Pięć minut później dwa rzędy graczy rozeszły się i zaczęto ćwiczyć rzuty wolne. Myron poszukał wzrokiem Jessiki. Z łatwością wypatrzył ją na trybunie. Rzucała się w oczy, jakby oświetlała ją latarnia morska, jakby wyszła przed szary tłum, jakby była obrazem

Leonarda da Vinci w ramie z otaczających ją twarzy. Gdy posłała mu uśmiech, poczuł falę ciepła.

Bliski zaskoczenia, zdał sobie sprawę, że Jessica po raz pierwszy zobaczy go w prawdziwym zawodowym meczu. Poznał ją trzy tygodnie przed kontuzją. Na tę myśl się zatrzymał. Oddał wspomnieniom. Na chwilę powrócił do przeszłości. Dopadło go poczucie winy i cierpienie, z których wyrwała go odbita od tablicy piłka, trafiając w głowę. Ale pozostała myśl: Mam dług wobec Grega!

Zabuczał brzęczyk i koszykarze wrócili na ławkę. Coach Walsh wyrzucił z siebie kolejną porcję banałów i upewnił się, czy grający wiedzą, kogo kryją. Zawodnicy, nie słuchając go, skinęli głowami. T.C. wciąż patrzył wilkiem. Myron miał nadzieję, że jest to jego mina meczowa, lecz nie bardzo w to wierzył. Obserwował też Leona White'a, współlokatora Grega na wyjazdach, jego najbliższego kumpla w zespole. Drużyna rozdzieliła się. Pierwsze piątki Podeszły do środkowego koła, wymieniając powitalne uściski i klepięcia dłońmi. Po wejściu na parkiet zawodnicy obu drużyn Próbowali, pokazując palcami, ustalić, kto kogo kryje, ponieważ pół minuty wcześniej żaden nie słuchał wskazówek trenerów. Ci zaś stali, wykrzykując polecenia w sprawie krycia aż do chwili, Kiedy sędzia wreszcie, Bogu dzięki, wyrzucił piłkę w górę.

Koszykówka to zwykle gra wyrównana i wynik waży się do ostatnich minut. Dziś było inaczej. Smoki ostro natarły. Pierwszą kwartę wygrały różnicą dwunastu punktów, w połowie meczu prowadziły dwudziestoma punktami, a po trzech kwartach dwudziestoma sześcioma. Myron zaczął się denerwować. Znaczna przewaga Smoków dawała mu szansę wejścia na parkiet. Właściwie na to nie liczył. W duchu poniekąd kibicował Celtom, mając nadzieję, że się odkują na tyle, by mógł pozostać na aluminiowym krześle.

Przeliczył się. Cztery minuty przed końcem przewaga Smoków wzrosła do dwudziestu ośmiu punktów. Coach Walsh spojrzął na ławkę rezerwowych. W meczu wystąpiło jak dotąd dziewięciu z tuzina graczy. Szepnął coś do Kipera. Kiper wstał, przeszedł wzdłuż ławki i zatrzymał się przed Myronem. Myronowi zabiło serce.

- Coach chce wpuścić pozostałych graczy z ławki - rzekł Kiper. - Pyta, czy chcesz wejść.

- Jestem do dyspozycji - odparł Myron, wysyłając telepatycznie „nie, nie, nie”.

Ale nie mógł im tego powiedzieć. Byłoby to sprzeczne z jego naturą. Musiał grać gościa z kośćcami, dla którego najważniejszy jest zespół, który rzuci się na granat, jeśli wódz tak rozkaże. Inaczej nie potrafił.

Coach Walsh wziął czas i przyjrzał się ławie rezerwowych.

- Gordon! Reilly! - powiedział. - Zmieniacie Collinsa i Johnsona!

Myron odetchnął. Lecz natychmiast wściekł się na siebie, że tak mu ulżyło. Co z ciebie za zawodnik? - zadał sobie pytanie. - Kto chciałby grać ławę? W tym momencie prawda wymierzyła mu siarczysty policzek.

Nie siedział tu po to, żeby grać w koszykówkę!

Co sobie ubzdurał, do diabła?! Był tu po to, by odszukać Grega Downinga. Miał do spełnienia potajemne zadanie, to wszystko. Jak policjant. Tajniak udający handlarza narkotyków nie staje się przecież dealerem. W tym przypadku obowiązywała ta sama zasada. To, że udawał koszykarza, nie czyniło zeń zawodowego gracza.

Nie była to pocieszająca myśl. Pół minuty później zaczęło się. Struchlał.

A sprawił to jeden głos. Głos piwosza, wybijający się wyraźnie ponad inne. Na tyle tubalny, na tyle odmienny, by wyróżnić się z kakofonii głosów kibiców w hali.

- Hej, Walsh! A może wpuścisz Bolitara!

Myrona ścisnęło w żołądku. Wiedział, co się zaraz stanie. Zdarzało się to innym, jemu nigdy. Dlatego chętnie zapadłby się pod parkiet.

- Taak! - zawołał ktoś inny. - Wpuście nowego! Wsparty go inne okrzyki.

Stało się. Tłum poparł słabeusza, ale nie serdecznie, nie życzliwie, tylko bardzo protekcyjnie i kpiąco. Bądźcie mili dla fajtlapy. Wygraliśmy mecz. Teraz chcemy się trochę pośmiać.

Jeszcze kilka głosów wezwało do wpuszczenia Myrona, a potem... zaczęto skandować. Zrazu cicho, z każdą chwilą głośniejsze: „Chcemy Myrona! Chcemy Myrona!”. Myron próbował zachować niedbałą pozę. Udawał, że nie słyszy, udawał, że skupia się na meczu, miał nadzieję, że się nie zaczerwienił. Skandowanie, coraz głośniejsze i szybsze, skrócono wreszcie do jednego słowa, powtarzanego raz po raz, wśród śmiechów:

- Myron! Myron! Myron!

Musiał to uciąć. Był na to tylko jeden sposób. Zerknął na zegar. Do końca meczu pozostały trzy minuty. Musiał zagrać. Wiedział, że na tym się nie skończy, ale że jego wejście na boisko na jakiś czas uciszy tłum. Spojrzał na drugi koniec ławy na Kipera, skinął głową. Kiper nachylił się w stronę Walsha i coś szepnął. Coach Walsh nie wstał, tylko krzyknął:

- Bolitar! Za Camerona!

Myron przełknął ślinę i podniósł się z krzesła. Tłum zareagował sarkastyczną wrzawą. Myron ruszył do stolika sekretarza zawodów, zdzierając z siebie dres. Nogi miał sztywne i zdrętwiałe. Dał znak

sędziemu, ten skinął głową, rozległ się brzęczyk. Myron podszedł do linii i wskazał Camerona. Cameron zbiegł z boiska.

- Kraven - powiedział, wymieniając nazwisko gracza, którego pilnował.

- Za Boba Camerona - rozległo się przez głośniki - wchodzi numer trzydzieści cztery, Myron Bolitar!

Tłum oszalał. Rozległy się pohukiwania, gwizdy, okrzyki, śmiechy. Ktoś mógłby pomyśleć, że widownia dobrze mu życzy, lecz wcale tak nie było. Życzyli mu dobrze, jak się życzy klaunowi cyrkowemu. Czekali na potknięcia i wpadki. Bolitar nadawał się do tego w sam raz!

Kiedy wszedł na boisko, nagle zdał sobie sprawę, że to jego debiut w NBA.

Do końca meczu dotknął piłki pięciokrotnie, zawsze przy wtórce szyderczych wiwatów. Strzelił tylko raz, tuż sprzed linii pola trzech sekund. Strzelił niemal wbrew sobie, wiedząc, że widownia zareaguje niezależnie od wyniku rzutu, ale pewne rzeczy człowiek robi odruchowo. On zrobił to nieświadomie. Piłka wpadła do kosza z przyjemnym świstem. Do końca meczu pozostało tylko pół minuty, tak więc niemal wszyscy ruszyli już na szczęście do swoich samochodów i szyderczy aplauz był minimalny. Ale na parę sekund, gdy po złapaniu piłki wymacał rowek, zgiął łokieć, zakołysał nią centymetr nad dłonią i czołem, wyprostował ramię, nadgarstkiem zatoczył płynny łuk i zatańczył palcami po powierzchni, nadając piłce bezbłędną wsteczną rotację, znalazł się sam z sobą. Skupił wzrok na obręczy, tylko na niej, nie patrząc na kulę lecącą tukiem do kosza. Przez te kilka chwil byli tylko on, obręcz i koszykówka. I to mu wystarczyło.

Nastrój w szatni po meczu znacznie się ożywił. Myron zawarł znajomość ze wszystkimi graczami oprócz T.C. i najbliższego kolegi Grega, Leona White'a, tego, z którym chciał się poznać bliżej. Ważniaki. Narzucanie się Leonowi przyniosłoby odwrotny skutek. Postanowił, że spróbuje innym razem. Może jutro.

Rozebrał się. W kolanie zastrzykało mu tak, jakby ktoś naciągał ścięgna. Przyłożył torebkę z lodem, owinał je, pokuśtykał pod prysznicę i osuszył się ręcznikiem. Kiedy kończył się ubierać, spostrzegł, że stoi nad nim T.C.

Podniósł głowę. T.C. miał na sobie z powrotem wszystkie kolczyki. Trzy w jednym uchu, cztery w drugim, jeden w nosie, był w czarnych skórzanych spodniach i uciętym czarnym siatkowym podkoszulku, odsłaniającym w pełnej krasie biżuterię w lewym sutku i pępku oraz tatuaże. Wyglądały jak zawijasy. Jego okulary przeciwsłoneczne przypominały opaskę na oczy.

- Twój jubiler na pewno przysłał ci na Boże Narodzenie kartkę z najserdeczniejszymi życzeniami - powiedział Myron.

W odpowiedzi T.C. wysunął język i pokazał jeszcze jeden kolczyk na jego końcu. Myron niemal się zakrztusił. T.C. ucieszyła jego reakcja.

- Jesteś nowy? - spytał.
- Tak. - Myron wyciągnął rękę. - Myron Bolitar. T.C. jej nie przyjął.
- To czeka cię łomot.
- Słucham?
- Łomot. Jesteś nowy. Czeka cię łomot. Kilku graczy roześmiało się.
- Łomot? - powtórzył Myron.
- A jak. Jesteś nowy, tak?
- Tak.
- No to czeka cię łomot. Rozległy się nowe śmiechy.

- Zrozumiałem. Łomot - odparł Myron.

- I o to biega.

T.C. skinął głową, strzelił palcami, wskazał na niego i wyszedł.

Myron skończył się ubierać. Łomot?

Pod szatnią czekała Jessica. Uśmiechnęła się na jego widok. Odpowiedział jej uśmiechem. Czuł się głupio. Uściśnęła go i cmoknęła. Powąchał jej włosy. Pachniały ambrozją.

- Co za słodziutka scenka - usłyszał głos Audrey Wilson. Nie rozmawiaj z nią - uprzedził Jessicę. - To antychryst.

- Za późno. - Audrey wzięła Jessicę pod rękę. - Jess i ja idziemy na parę głębszych, pogadać o starych czasach itp.

- Mój Boże, wstydu nie masz... Nic jej nie mów - zwrócił się do Jessiki.

- Ja nic nie wiem.

- Otóż to. Dokąd dziś jedziemy? - spytał.

- Donikąd! - odparła i kciukiem wskazała za siebie na Wina, który stał w swobodnej pozie oparty o ścianę. - Uprzedził, że będziesz zajęty.

- Aha.

Myron spojrział na przyjaciela. Win skinął głową. Myron przeprosił Jessicę i Audrey i podszedł do niego.

- Greg po raz ostatni wziął gotówkę z bankomatu trzy po jedenastej wieczorem, gdy zniknął - oznajmił Win bez wstępów.

- Gdzie?

- Na Manhattanie. W Banku Chemicznym blisko Osiemnastej Ulicy przy West Side.

- To by się zgadzało. Carla dzwoni osiemnaście po dziewiątej i umawia się z nim w jakimś lokalu w boksie w głębi. Greg jedzie do miasta i przed spotkaniem z nią wyjmuje gotówkę.

Win zmierzył go chłodnym wzrokiem.

- Dzięki za oczywiste wnioski - rzekł.

- Ma się ten talent.

- Wiem. Przechodząc do rzeczy: w promieniu czterech przecznic od tego bankomatu jest osiem barów. Poszukiwania ograniczyłem do nich. Z tych ośmiu tylko w dwóch jest coś, co można nazwać „boksem w głębi”. W innych są stoliki i tym podobne, ale żadnych boksów. Oto nazwy.

Myron dawno przestał pytać Wina, jak zdobywa informacje.

- Chcesz, żebym prowadził? - spytał.

- Nie pojedę z tobą - odparł Win.

- Dlaczego?

- Wyjeżdżam na parę dni.

- Kiedy?

- Za godzinę z lotniska w Newark.

- Nagle.

Win nie raczył odpowiedzieć. Ruszyli w kierunku wyjścia dla graczy. Do Myrona podbiegło pięciu chłopców, prosząc o autograf. Spełnił ich życzenie. Jeden z nich, na oko dziesięcioletni, wziął kartkę, zerknął na jego podpis i spytał:

- Kto to jest?

- Jakiś cienias - odparł drugi.

- Dla ciebie pan Cienias! - skarcił go Win.

- Dzięki - powiedział Myron.

Win zrobił gest „nie ma za co”.

- Pan jest kimś? - spytał pierwszy chłopak, patrząc na niego. - Jestem Dwight D. Eisenhower - odparł Win.

- Kto?

Win rozłożył ręce.



- Oto przyszłość narodu - powiedział i odszedł. Nigdy nie dbał o pożegnania.

Myron dotarł do samochodu. Kiedy wkładał kluczyk do zamka, ktoś klepnął go w ramię. Był to T.C.

- Pamiętaj - rzekł, celując w niego palcem, na którym było więcej biżuterii niż na zjeździe rodzinnym sióstr Gabor.

Myron skinął głową.

- Łomot.

- Dokładnie - potwierdził T.C. i odszedł.

Po przyjeździe do pierwszego baru na liście Wina, pubu MacDougala, Myron zajął miejsce w wolnym boksie w głębi. Siedząc tam chwilę, liczył, że parapsychiczne moce podpowiedzą mu, czy to tu Greg spotkał się z Carłą. Nie podpowiedziały. A może powinien urządzić seans spirytystyczny?

Podeszła kelnerka. Dobrnęła do niego tak wolno, z takim wysiłkiem i miną, jakby szła przez głęboki śnieg i należała jej się za to nagroda. Myron ogrzał ją jednym ze swoich wypróbowanych diabolicznych, acz przyjacielskich uśmiechów, zapożyczonym od Christiana Slatera (nie mylić z diabolicznym, acz przyjacielskim uśmiechem Jacka Nicholsona).

- Cześć - powiedział.

Położyła przed nim kartonową podkładkę pod naczynia.

- Co podać? - spytała, siląc się na przyjazny ton, ale z marnym wynikiem.

Na Manhattanie rzadko znajdziesz przyjazną obsługę, chyba że w postaci neofitek z sieci TGI Friday i Bennigana, przedstawiających się z imienia jako twoje „kelnerki”, tak jakbyś mógł je pomylić z „prawniczkami” czy „lekarkami”.

- Czy macie yoo-hoo? - spytał.

- Mamy co?

- Nieważne. A piwo?

Spojrzała na niego chłodno.

- Jakie?

W tym lokalu nie warto było silić się na subtelność.

- Lubi pani koszykówkę? - spytał.

Wzruszenie ramion.

- Zna pani Grega Downinga? Skinienie głową.

- Polecił mi wasz pub. Był tu niedawno wieczorem. Zmrużenie oczu.

- Pracowała pani w sobotę? Skinienie głową.

- Obsługiwała pani ten sam rejon? Ten boks? Szybsze skinienie głową. Zniecierpliwione.

- Widziała go pani?

- Nie. Mnie obchodzą stoliki. Może być Michelob? Myron spojrzał na zegarek i udał zaskoczenie.

- Oj, to już ta godzina? Muszę iść. - Wręczył kelnerce dwa dolary. -  
Dzięki za fatygę.

Drugi bar w spisie Wina, Szwajcarska Chata, w niczym jej nie przypominał. Była to straszna nora. Tapeta miała przekonać klientów, że ściany są z drewna. Efekt byłby nieco lepszy, gdyby w tylu miejscach nie odłaziła od ścian. Migocąca w kominku sztuczna kłoda bynajmniej nie tworzyła ciepłej atmosfery górskiego schroniska. Pośrodku „chaty” zawieszono ni przypiął, ni przyłatał lustrzaną kulę dyskotekową. Nie było parkietu do tańca ani świateł. Tylko kula, bez której zapewne nie mógł obyc się żaden alpejski szalet. Lokal cuchnął skwaśniałym piwem i leciutkim odorem wymiocin, wonią znaną jedynie z niektórych barów i studenckich

klubów, wżartą w ściany niczym gryzonie, które wyzionęły ducha i gniją.

Grająca szafa ryczała Little Red Corvette Prince'a. A może „artysty znanego wcześniej jako Prince”? Czyż nie tak teraz siebie nazywał? Niemniej w chwili wydania Little Red Corvette na płycie był Prince'em. Który z nich dwu miauczał zatem z szafy? Próba rozwikłania tego doniosłego dylematu pokicała Myronowi w głowie tak bardzo, jak paradoksy czasowe z trzech Powrotów do przyszłości, więc dał sobie spokój.

W Chacie było pustawo. Przy barze siedział bujnowąsy gość w baseballówce drużyny Houston Astros. Pośrodku, przy najbardziej widocznym stoliku na sali, migdalili się bez najmniejszej żenady kobieta i mężczyzna. Nikt się tym nie przejmował. W głębi zaś kulili się niczym klient sklepu wideo w dziale pornosów drugi osobnik.

Myron usiadł w boksie z tyłu i zagadnął kelnerkę, znacznie żwawszą niż ta z pubu. Kiedy doszedł do tego, że Greg Downing polecił mu Szwajcarską Chatę, odparła:

- Tak? Co pan powie. Widziałam go tu tylko raz. Strzał w dziesiątkę!

- W sobotę wieczorem? Ściągnęła twarz w namyśle.

- Hej, Joe! - zawołała do barmana. - Downing był tu w sobotę wieczorem?

- A kto chce wiedzieć?! - odkrzyknął zza baru Joe. Miał w sobie coś z ptaka z mysimi włosami. Ptaszek i myszka. Seksowne połączenie.

- Ja i ten gość. Rozmawiamy.

Joe Ptak przyjrzał się Myronowi paciorkowatymi, myszkującymi oczkami. Oczka się zaokrągliły.

- Eee, to przecież ten nowy gracz, co nie? - spytał. - Ze Smoków? Widziałem pana w wiadomościach. Takie głupie nazwisko.

- Myron Bolitar.
- O właśnie, tak jest. Zaczniecie tu bywać, Myron?
- Czy ja wiem.
- Mamy tu całkiem ekskluzywną klientelę - pochwalił się Joe, wycierając kontuar ścierką czystą jak szmata ze stacji benzynowej. - Wiesz pan, kto tu kiedyś wpadł? Kuzyn Brucie. Dyskdzokej. Równiacha.
- Wiele straciłem - odparł Myron.
- No. Były też inne sławy, no nie, Zganiacz?
- Bujnowąsy klient w baseballówce Astros z ożywieniem skinął głową.
- Na przykład ten gość podobny do Soupy'ego Salesa. Pamiętasz?
- A jaka rozmowa. Sławy.
- Z tą różnicą, że to nie był Soupy Sales. Ktoś podobny.
- Na jedno wychodzi.
- Znacie Carłę? - spytał Myron.
- Carłę?
- Dziewczynę, z którą przyszedł Greg.
- Tak się nazywała? Nie, nie miałem okazji jej poznać. Ani Grega.
- Zaszył się, że się tak wyrażę, w ką, inkoguto. Się nie narzucaliśmy. - Joe wyprężył pierś jak do odznaczenia. - W Szwajcarskiej Chacie szanujemy znakomitości. - Machnął ścierką w stronę Myrona. - Pan powie innym chłopakom, dobra?
- Zrobi się.
- Fakt faktem, z początku nie mieliśmy pewności, czy to Downing.
- Jak w przypadku Soupy'ego Salesa - wtrącił Zganiacz.
- Tak jest. Tyle że to naprawdę był Greg.
- Ale tamten tylko wyglądał jak Soupy. Świetny aktor z tego Soupy'ego.
- I jaki pseudonim!

- Wszechstronny talent - przyznał Zganiacz.
- Czy kiedyś już tu zaglądał? - spytał Myron. Gość podobny do Soupy'ego?
- Ty mówicie pneumatyczny! - Joe zamachnął się ścierką na Zganiacza. - Na kij mu ta wiadomość? Pyta o Grega Downinga.
- A skąd mam wiedzieć, w mordę jeża? Czy ja jestem Jasnowidz z telewizji?
- Panowie! - wtrącił Myron. Joe podniósł rękę.
- Skaż mnie Bóg, Myron, pardon. Normalnie w Szwajcarskiej Chacie takie rzeczy się nie zdarzają. Tu nikt się z nikim nie kłóci, no nie, Zganiacz?
- Zganiacz rozłożył ręce.
- A kto się tu z kim kłóci?
- Moje słowa. Ale do rzeczy, Greg nie jest naszym stałym klientem. Był tu pierwszy raz.
- Tak jak Kuzyn Brucie - dorzucił Zganiacz. - Też zaszedł jeden raz.
- Owszem. Ale mu się spodobało.
- Zamówił drugą szklankę. To o czymś świadczy, nie?
- No chyba. Dwie szklanki. Mógł wypić jedną i pójść. Z tym że to były dietetyczne cole.
- A co z Carlą?
- Z kim?
- Z kobietą, z którą przyszedł Greg.
- A o co pan pyta?
- Była tutaj wcześniej?
- Widziałem ją pierwszy raz. A ty, Zganiacz?
- Nie. - Zganiacz pokręcił głową. - Zapamiętałbym ją.
- Dlaczego? - spytał Myron

- Ze względu na duże bufory - odparł bez wahania Joe. Jego kolega złożył dłonie w miseczki i przytknął je do piersi.

- Miała czym oddychać - powiedział.

- Ale ładna to ona nie była.

- Wcale - potwierdził Zganiacz. - Stara jak na młodego faceta.

- W jakim wieku? - spytał Myron.

- Starsza od Grega Downinga, na pewno. Pod pięćdziesiątkę. No nie?

Zganiacz potwierdził skinieniem głowy.

- Ale gary pierwsza klasa.

- Giganty.

- Olbrzymy.

- Wiem, wiem - wtrącił Myron. - Coś jeszcze? Zaskoczył ich tym pytaniem,

- Kolor oczu? - zagadnął.

Joe zamrugał, spojrzał na Zganiacza.

- Miała oczy?

- Cholera wie.

- A kolor włosów?

- Szatynka - odparł Joe. - Z tych jaśniejszych.

- Bruneta - odparł Zganiacz.

- Może i bruneta - przystał Joe.

- Chociaż jakby jaśniejsza.

- Ale mówię panu, Myron. Taka mleczarnia! Takie działa!

- Działa Nawarony! - potwierdził Zganiacz.

- Greg i ona wyszli razem?

Joe spojrzał na Zganiacza. Ten wzruszył ramionami.

- Chyba tak - odparł Joe.

- O której?

Joe pokręcił głową.

- A pan pamięta, panie Zaganiacz? - zagadnął Myron. Daszek baseballówki skoczył w jego stronę jak pociągnięty za sznurek.

- Tylko nie Zaganiacz, cholera! Bez „a” po „z”! Zganiacz! Zganiacz! Bez „a”! Czy ja wyglądam, kurna, jak kindybał?!

Joe znów sieknął ścierką.

- Nie obrażaj mi sławy, kołku.

- Sławy? Kurdebalans, Joe, to zwykły rezerwowy! Kudy mu do Soupy'ego! To nikt, pionek. - Zganiacz obrócił się do Myrona. - Bez obrazy, Myron - powiedział bez śladu wrogości.

- Ja się nie obrażam.

- Ma pan zdjęcie? - spytał Joe. - Machnąłby pan autograf znajomkom ze Szwajcarskiej Chaty i powiesilibyśmy je na ścianie. Założylibyśmy ścianę ze zdjęciami sławnych klientów, co?

- Przykro mi, ale nie mam ani jednego.

- A może pan nam przysłać? Znaczy się, z autografem. Albo przynieść następnym razem.

- No... to następnym razem.

Dalszymi pytaniami Myron wyciągnął z nich tylko tyle, że poznał datę urodzin Soupy'ego Salesa. Wyszedł, ruszył ulicą minął chińską restaurację z martwymi kaczkami na wystawie.

Martwe kaczki? W sam raz na zaostrenie apetytu. Może Burger King powinien wywieszać w witrynach zarżnięte krowy. Dzieciaki waliłyby drzwiami i oknami.

Spróbował zebrać to, czego się dowiedział. Carla dzwoni do Grega i umawia się z nim w Szwajcarskiej Chacie. Dlaczego? Dlaczego akurat tam? Nie chcą, żeby ich ktoś zobaczył? Czemu? A poza tym, kim ona jest? Jak to wszystko się ma do zniknięcia Grega? No, a krew w

suterenie? Greg wrócił do domu z Carłą czy sam? Czy to ona z nim mieszkała? A jeżeli tak, to dlaczego spotkali się tutaj?

Tak bardzo się zamyślił, że dosłownie w ostatniej chwili uniknął zderzenia z człowiekiem, który mu stanął na drodze. Zresztą nazwanie tego egzemplarza człowiekiem było przesadą. Bardziej przypominał mur z cegły niż istotę ludzką. Pod rozpiętą krótką kwiecistą bluzą nosił eksponującą muskularny tors koszulkę w prążki. W rowku pomiędzy bochnami mięśni wisiał złoty róg. Gangster. Myron próbował ominąć go z lewej. Ale Cegłowa zastąpił mu drogę. Myron cofnął się i ponowił próbę. Cegłowa zrobił to samo.

- To pan zna cza-czę? - spytał Myron.

Cegłowa zareagował tak, jak się można było spodziewać po ceglany murze. Zresztą dowcip Myrona też nie należał do przednich. Bydlak był naprawdę wielki. Jak budka telefoniczna. Myron usłyszał kroki. Od tyłu zaszedł go drugi, też duży, lecz przynajmniej z gatunku homo sapiens, ubrany w modne teraz w mieście drelichowe panterkowe spodnie maskujące.

- Gdzie jest Greg? - spytał Panterka.

- Słucham? - Myron udał, że się wzdryga. - Och, nie zauważyłem pana.

- Co?

- W tych sztanach. Ależ pan się wtopił w tło. Panterce nie spodobała się jego odpowiedź.

- Gdzie jest Greg?

- Greg?

Nie ma to jak szybka riposta.

- Greg. Gdzie jest?

- Kto?

- Greg.



- Jaki Greg?
- Jaja sobie robisz?
- To mają być jaja?

Panterka spojrział na Cegłową. Cegłowa nic nie powiedział. Zanosilo się na wymianę fizycznych argumentów. Myron był w tym niezły. Mógł też śmiało założyć, że ci dwaj troglodyci również są dobrzy w te klocki. Wbrew wymowie filmów z Bruce'em Lee w pojedynkę bardzo trudno się obronić przed wytrawnymi przeciwnikami. Doświadczeni wyjadacze nie są w ciemną bici. Działają zespołowo. Nie rzucają się do walki jednocześnie.

- No to jak, chłopaki, skoczmy na piwo? Obgadamy sprawę.

Panterka prychnął drwiąco.

- Wyglądamy na rozmownych? - spytał.
- Zwłaszcza on. Myron wskazał Cegłową.

Są trzy sposoby, żeby wyjść z takich kłopotów bez szwanku. Pierwszy, zawsze dobry, to ucieczka. Ci dwaj byli jednak na tyle blisko, żeby odciąć mu drogę lub spowolnić. Za duże ryzyko. Drugie wyjście: niedocnienie cię przez napastników. Jesteś przestraszony, kulisz się, a potem nagle - trach! - walisz zniecka. W tym przypadku zaskoczenie odpadało. Doświadczone oprychy rzadko lekceważą drągala, który ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i waży sto kilo. Trzecie Wyjście: uderzasz pierwszy, z całej siły. Zwiększa to prawdopodobieństwo unieszkodliwienia jednego wroga, zanim drugi zdąży zareagować. Należy to jednak zrobić z wyczuciem. Dopóki nie uderzysz, nie wiesz, czy mogłeś uniknąć fizycznego starcia. Lecz jeżeli czekasz na atak przeciwnika, wykluczasz trzecie wyjście. To wyjście wybrały Win. Win wybrały je zresztą nawet wobec jednego napastnika.

Myron nie miał jednak okazji dokonać wyboru, bo Cegłowa zadał cios w jego krzyż. Na szczęście to przewidział i unikiem ratując nerki i resztę, rąbnął bandziora łokciem w nos. Chrupnęło optymistycznie, jakby rozwalił pięścią ptasie gniazdo.

Zwycięstwo, niestety, było krótkotrwałe. Tych dwóch znało się na robocie. Panterka zaatakował w momencie, gdy jego koleżka padł. Myron poczuł ból w nerce, ugięły się pod nim kolana, ale wytrzymał. Pochylił się nad Cegłową i wyrzucił nogę do tyłu niczym tłok, lecz z braku pełnej równowagi chybił. Kopniak wyładował na udzie Panterki, nie wyrządzając mu krzywdy, był jednak na tyle silny, że go odepchnął. Tymczasem Cegłowa, sięgając na oślep, odnalazł włosy Myrona, chwycił, pociągnął i wrzasnął, bo Myron, unieruchomiwszy mu dłoń, wbił palce w czułe punkty pomiędzy stawami. Zaraz potem powracający Panterka rąbnął go w żołądek. Mocno zabołało. Myron wiedział, że jest w opałach. Przyklęknął na kolano i poderwał się, przyszykowaną dłonią trafiając w krocze Cegłowy. Bandzior wybałuszył oczy i upadł, jakby ktoś wyrwał mu spod siedzenia stołek. Chwilą potem od ciosu Panterki Myronowi zdrętwiała głowa. A po kolejnym obraz rozmył mu się przed oczami. Próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Poczuł kopniak w żebra. Świat zawirował.

- Ej! Ej, co robisz? Hej, ty!

- Przestań! Co jest?!

Zamroczony Myron rozpoznał głosy Joego i Zganiacza z baru. Skorzystał z okazji, by odpełznąć na czworakach. Nie musiał. Panterka pomógł Cegłowie wstać. Pobiegli.

Do Myrona podeszli szybko Joe i Zganiacz.

- Jest pan cały? - spytał Joe. Myron skinął głową.

- Nie zapomnij pan przysłać zdjęcia z autografem. Kuzyn Brucie nie przysłał.

- Przyślę dwa - obiecał Myron.

Przekonał Joego i Zganiacza, by nie wzywali policji. Nie było to trudne. Ludzie na ogół unikają kontaktów ze stróżami prawa. Pomogli mu wsiąść do taksówki. Kierowca w turbanie słuchał muzyki country. Wielokulturowość. Myron wydusił z siebie adres Jessiki w Soho i opadł na rozdarte siedzenie. Taksiarz - na szczęście - nie był rozmowny.

Myron podsumował swój stan fizyczny. Kości całe. W najgorszym razie stłuczone żebra. Można wytrzymać. Inna sprawa, głowa. Na dziś wystarczy tylenol z kodeiną, a jutro rano może advil lub podobny środek. Na urazy głowy nic nie działa lepiej niż czas i środki przeciwbólowe.

Drzwi otworzyła Jessica w płaszczu kąpielowym. Na jej widok, co zdarzało się często, znów trochę go zatkało. Bez żadnych wymówek napełniła wannę, pomogła mu się rozebrać i wsunęła się za jego plecy. Przyjemny dotyk wody koił. Jessica obłożyła mu głowę myjkami. Przyłgnął do niej plecami i uszczęśliwiony głęboko westchnął.

- Kiedy studiowałaś medycynę? - spytał.

- Lepiej ci? Pocałowała go w policzek.

- Tak, pani doktor. Znacznie lepiej.

- Powiesz mi, co się stało?

Opowiedział. Słuchała w milczeniu, palcami delikatnie rozmasowując mu skronie. Jej dotyk przynosił ulgę. W życiu były pewnie przyjemniejsze rzeczy niż leżenie w wannie z ukochaną, lecz w tej chwili nie potrafił wyobrazić sobie nic przyjemniejszego. Ból stępsiał i zelżał.

- Domyślasz się, co to za jedni? - spytała.  
- Pojęcia nie mam - odparł. - Wynajęte bandziory.  
- Chcieli wiedzieć, gdzie jest Greg?  
- Na to wygląda.  
- Gdyby to mnie szukali, też wolałabym zniknąć.  
- Pewnie - odparł, dzielając tę myśl.  
- Co zrobisz? Uśmiechnął się i zamknął oczy.  
- Jak to? - spytał. - Żadnych kazań? Żadnych wyrzutów, że to zbyt niebezpieczne?

- Zbyt pospolite - odparła. - A poza tym jest coś jeszcze.  
- Co?  
- Coś, o czym nie mówisz.  
- To Ja - Przytknęła palec do jego ust.  
- Powiedz tylko, co zamierzasz zrobić.

Usiadł prosto. To straszne, jak łatwo w nim czytała.

- Muszę porozmawiać z ludźmi.  
- Jakimi ludźmi?  
- Z jego agentem. Z Leonem White'em, kolegą, z którym mieszka podczas meczów wyjazdowych. Z Emily.  
- Z Emily. Twoją dawną miłością z uczelni?  
- Uhm - odparł, szybko zmieniając temat z obawy, że Jessica znów odczyta jego myśli. - Jak udał się wieczór z Audrey?  
- Doskonale. Gadałyśmy głównie o tobie.  
- A konkretnie?

Zaczęła gładzić jego pierś. Jej dotyk już nie tylko koił. Palce pieściły jego ciało jak piórko. Delikatnie. Za delikatnie. Grała na nim jak Itzhak Perlman na skrzypcach.

- Och, Jess! Uciszyła go.  
- O twoim tyłku - powiedziała cicho.

- Moim tyłku?

- Tak, właśnie o nim. - Przyłożyła dłoń do jego pośladka - Nawet Audrey przyznała, że wygląda apetycznie, kiedy biegasz po parkiecie.

- Mam też rozum - zaprotestował. - Mózg. Uczucia.

- A kogo to obchodzi? - powiedziała, przytykając usta do jego ucha. Kiedy dotknęły małżowiny, podskoczył.

- Ach, Jess...

- Ciiii - powiedziała, sunąc ręką w dół po jego torsie. - To ja tu jestem lekarzem, zapomniałeś?

Dzwonek telefonu ugodził go w nerwy z tyłu czaszki. Myron zamrugał powiekami i otworzył oczy. Przez szparę w zasłonach wdarły się promienie słońca. Zbadał puste miejsce obok - rękami, a potem wzrokiem. Jessiki nie było. Telefon dzwonił dalej. Myron podniósł słuchawkę.

- Halo.

- A więc tu jesteś.

Zamknął oczy. Ból z tyłu czaszki się zdziesięciokrotnił.

- Cześć, mamó - powiedział.

- To już nie sypiasz w domu?

Jego domem była piwnica w domu rodziców, tym samym, w którym się wychował. Coraz częściej nocował u Jessiki. Miał trzydzieści dwa lata, był całkiem normalny, pieniędzy mu nie brakowało. Nie widział powodu, by nadal mieszkać z tatą i mamą.

- Jak tam podróż? - spytał.

Rodzice wybrali się na wycieczkę po Europie. Autokarową. Taką, podczas której zwiedza się w cztery dni dwanaście miast.

- Myślisz, że dzwonię z wiedeńskiego Hiltona, płacąc bajońskie sumy, żeby paplać z tobą o naszej podróży?

- Domyślam się, że nie.

- Czy wiesz, ile kosztuje rozmowa z hotelu w Wiedniu? Po doliczeniu wszystkich opłat, podatków i reszty?

- Na pewno dużo.

- Mam tu gdzieś te stawki. Powiem ci dokładnie. Zaczekaj.

Al co zrobiłeś z cennikiem?

- Mamo, to nieważne.

- Miałam go przed sekundą. Al?

.- A może powiesz mi po powrocie - podsunął. – Będę umierał z ciekawości.

- Te bezczelne odzywki zostaw dla swoich znajomych, dobrze? Świetnie wiesz, dlaczego dzwonię.

- Nie wiem, mamo.

- Tak? To ci powiem. Są z nami na wycieczce Smeltmanowie, bardzo miłe małżeństwo. On robi w jubilerstwie. Na imię ma Marvin. Chyba. Mają sklep w Montclair. Na Bloomfield Avenue, blisko kina. Kiedy byłeś mały, jeździliśmy tamtędy bez przerwy. Pamiętasz?

- Aha.

Ułatwił sobie sprawę. Nie miał pojęcia, o czym mówi matka.

- No więc Smeltmanowie rozmawiali wczoraj z synem. Zadzwoił do nich, Myron! Zna trasę wycieczki, wszystko. Zadzwoił do rodziców, żeby się upewnić, że dobrze się bawią.

- Aha.

Kiedy matka zaczynała jójczyć, przypadło. W okamgnieniu z nowoczesnej, inteligentnej kobiety przeistaczała się w postać z ogródkowej inscenizacji Skrzypka na dachu. W tej chwili stała się Goldą idącą do Jenty.

- No a ci zaczęli mu się przechwalać, że są na wycieczce z rodzicami Myrona Bolitara. Wielkie mi mecyje. Kto jeszcze cię zna?

Nie grałeś od lat. Ale Smeltmanowie to niby kibice koszykówki. Już to widzę! W każdym razie ich syn, Herb, Herbie albo Ralph, jakoś tak, który oglądał cię kiedyś w akcji, mówi im, że grasz zawodowo w kosza. Że przyjęli cię do Smoków, że to twój come back czy coś, nie znam się. Twój ojciec bardzo się zmieszał. Całkiem obcy ludzie mówią o czymś, o czym twoi rodzice nie wiedzą! Myśleliśmy, że Smeltmanowie zbzikowali.

- To nie jest tak, jak myślisz - wtrącił Myron.

- Co nie jest tak, jak myślę? Rzucasz sobie do kosza na naszym podjeździe. Trudno, rzucaj. Ale żebyś słowem nie wspomniał rodzicom, że znowu grasz?! Tego nie rozumiem.

- Nie gram.

- Nie kłam mi. Wczoraj zdobyłeś dwa punkty. Ojciec sprawdził w sportowej informacji telefonicznej. Czy wiesz, ile kosztuje telefon do nich z Wiednia?

- Mamo, to naprawdę nic takiego.

- Znasz ojca, Myron. Udaje, że to go nie rusza. Kocha cię bezwarunkowo. Lecz odkąd o tym usłyszał, cały czas się uśmiecha. Chce natychmiast lecieć do domu.

- Nie róbcie tego.

- Nie róbcie?! - powtórzyła zirytowana. - No, to weź mu wyperswaduj. Ten człowiek ma fiksum dyrdum. To meszuga. Więc wyjaśnij mi, co się dzieje.

- To długa historia, mamo.

- Ale prawdziwa? Znowu grasz?

- Tylko tymczasowo.

- Co to znaczy „tylko tymczasowo”?

Telefon Jessiki zasygnalizował, że ktoś dzwoni.

- Mamo, muszę kończyć. Przepraszam, że was nie zawiadomiłem.

- Co? I to wszystko?
- Więcej powiem ci później.
- Uważaj na kolano - powiedziała, niespodziewanie ustępując.
- Będę uważał. Przełączył się na drugą rozmowę.
- To nie jest krew Grega - oznajmiła bez powitania Esperanza.
- Co?
- Krew z sutereny. Ma grupę AB plus. A Greg ma grupę zero minus. Myron nie spodziewał się takiej wieści. Spróbował się z nią oswoić.
- Być może Clip ma rację - odparł. - Może to krew któregoś z dzieci Grega.
- Niemożliwe.
- Dlaczego?
- W szkole nie miałeś biologii?
- Miałem, w ósmej klasie. Ale nie uważałem, bo gapiłem się na Mary Ann Palmiero. W czym rzecz?
- AB to rzadka grupa. Żeby miało ją dziecko, jego rodzice muszą mieć grupy A i B. A ponieważ Greg ma grupę zero, jego dzieci nie mogą mieć grupy AB.
- Może to krew ich kolegi - podsunął Myron. - Może któreś z nich kogoś gościło.
- Jasne, pewnie. Dzieci zapraszają do domu kolegów. Któreś z nich zalewa krwią cały pokój i nikt jej nie sprząta. No a potem dziwnym zbiegiem okoliczności znika Greg.
- Myron nawinął na palce sznur telefonu.
- To nie jest krew Grega - powtórzył. - I co dalej? Nie odpowiedziała.
- Jak w takich warunkach prowadzić śledztwo bez wzbudzenia podejrzeń? - ciągnął. - Muszę przecież zadawać pytania. Ludzie zechcą wiedzieć, dlaczego ich wypytuje.



- Ogromnie ci współczuję. - W tonie głosu Esperanzy nie dało się wyczuć ani krzty współczucia. - Jadę do agencji. Wpadniesz?

- Może po południu. Rano zajrzę do Emily.

- Twojej dawnej dziewczyny, o której mówił mi Win?

- Tak - odparł.

- Tylko nie ryzykuj. Od razu włóż prezerwatywę. Rozłączyła się.

To nie jest krew Grega? Niepojęte. Wczoraj przed zaśnięciem obmyślił całkiem zgrabną teoryjkę. Wyglądała następująco: zbiry szukały Downinga. Trochę go poturbowały, upuściły krwi. Żeby pokazać mu, że nie żartują. Zareagował ucieczką.

Wszystko do siebie pasowało. Wyjaśniało, skąd się wzięła krew w suterenie i dlaczego Greg znienacka zwiął. Sprowadzało się w sumie do bardzo prostego równania: pobicie plus groźba utraty życia równa się ucieczka.

Niestety, krew w suterenie nie była jego. To zaś obalało powyższą teorię. Gdyby Grega pobito w suterenie, zawałałby ją swoją krwią, nie cudzą. Myron pokręcił głową. Musiał wziąć prysznic. Jeszcze trochę takiego dedukowania, a po głowie zaczęłyby mu chodzić zarżnięte kurczaki.

Namydlił się, stanął tyłem do prysznicza pod kaskadą wody spadającej mu na ramiona i pierś, wytarł się ręcznikiem i ubrał. Jessica siedziała w pokoju przy komputerze. Nauczył się, żeby nie przeszkadzać jej, kiedy stuka w klawiaturę. Zostawił krótki liścik i wyszedł. Metrem linii 6 dojechał do śródmieścia i na piechotę doszedł do garażu Kinneya na Czterdziestej Szóstej Ulicy. Mario rzucił mu kluczyki, nie podnosząc głowy znad gazety. Przy Sześćdziesiątej Drugiej Myron skręcił w FDR Drive i skierował się na północ do Harlem River Drive. Wprawdzie z powodu remontu prawego pasa ruch odbywał się w spowolnionym tempie, ale do mostu George'a

Washingtona dotarł w niezłym czasie. Autostradą numer 4 przejechał obok miejsca zwanego Paramus, w istocie wielkiego centrum handlowego, przy okazji udającego ratusz, skręcił w prawo i minął fabrykę Nabisco przy drodze 208. Miał nadzieję wciągnąć w nozdrza jej bogaty aromat, lecz tym razem obył się smakiem.

Gdy podjechał pod dom Emily, wspomnienia trzepnęły go w potylicę niczym ostrzegawcze pacnięcie ojca. Oczywiście bywał tu podczas przerw w zajęciach, kiedy ze sobą chodzili. Nowoczesny, duży dom z cegły stał na końcu zadbanego zaułka. Podwórze otaczał płot. Za domem znajdował się basen. Pamiętał, jak kochali się z Emily w altanie. W ubraniach zsuniętych do kostek, pokryci cienką warstwą potu. O słodki ptaku młodości.

Zaparkował, wyjął kluczyk ze stacyjki i jakiś czas siedział. Nie widział swojej dawnej dziewczyny od dziesięciu lat. Wiele w ciągu nich się wydarzyło, mimo to obawiał się, jak Emily zareaguje na jego widok. Nie miał odwagi zapowiedzieć się telefonicznie. Kiedy widział ją ostatni raz, po otwarciu drzwi wrzasnęła do niego „Ty draniu!” i zatrzasnęła mu je przed nosem.

Wyjrzał przez szybę. Na uliczce panował bezruch. Ale stało tu zaledwie dziesięć domów. Zastanawiał się, jaką taktykę obrać, niczego jednak nie wymyślił. Sprawdził godzinę, lecz jej nie zapamiętał. Westchnął. Jedno nie ulegało wątpliwości: nie mógł tu przesiedzieć całego dnia. W tak porządnej dzielnicy, jeśli cię zauważą, wzywają policję. Pora ruszać. Otworzył drzwiczki i wysiadł. Osiedle, choć co najmniej piętnastoletnie, wciąż wyglądało jak nowe. Podwórka były dość łysawe. Za mało drzew i krzewów. Trawa rzadka jak włosy po przeszczepie.

Myron ruszył ceglany chodnikiem. Sprawdził dłonie. Były mokre. Zadzwoił. Przeciągła, z dawna znajoma melodyjka dzwonka

wykrzesła wspomnienia o wcześniejszych wizytach w tym domu. Drzwi otworzyła Emily.

- No, no, no - powiedziała.

Z sarkazmem? Zaskoczona? Nie był pewien. Zmieniła się. Schudła, nieco wysubtelniała. Twarz też miała szczuplejszą, co uwydatniło policzki. Włosy krótsze, wymodelowane.

- Czyżby to ten wróbel, którego wypuściłam?

- Cześć, Emily - odparł (mistrz błyskotliwych wstępów do rozmowy).

- Przyszedeś się oświadczyć? - spytała.

- Już raz to zrobiłem.

- Ale nieszczerze, Myron. A ja pragnęłam wtedy szczerości.

- A teraz?

- Już wiem, że jest przereklamowana. Uśmiechnęła się.

- Dobrze wyglądasz, Emily - rzekł.

Daj takiemu jak on się rozkręcić, to sypie bon motami jak z rękawa.

- Ty też - odparła. - Ale ci nie pomogę.

- Nie pomożesz w czym? Zrobiła minę.

- Wejdz - zaprosiła.

Wszedł za nią. W domu pełno było świetlików, witraży i białych ścian. Przestronnie. Hol wejściowy wyłożony drogimi płytkami. Emily wprowadziła go do salonu z podłogą z drewna brzoźowego. Usiadł na białej kanapie. Nic tu się nie zmieniło od dziesięciu lat. Albo gospodarze mieli wyjątkowo grzecznych gości, albo kupili nowe identyczne meble. Nie dostrzegł na nich jednej plamki. Nieporządnie wyglądał tylko stos gazet w kącie. Sądząc z okładek, brukowców. Przez pierwszą stronę „New York Post” biegł tłustymi wołami tytuł SKANDAL. Też mi wiadomość!

Do pokoju wkroczył na zeszywniałych nogach stary pies. Chyba chciał zamerdać ogonem, ale tylko nim żałośnie zakołysał. Polizał rękę Myrona suchym językiem.

- Coś takiego?! - zdziwiła się Emily. - Benny cię pamięta.

- To jest Benny? - spytał skonsternowany. Skinęła głową.

Kiedy Myron i ona zaczęli się spotykać, rodzice Emily kupili tego rozbrykanego psiaka dla Todda, jej młodszego brata. Myron był tu akurat wtedy, gdy przywieźli szczeniaka od hodowcy. Mały Benny, mrugając oczami, potykał się na brzoszowej podłodze i sikał, lecz się tym nie przejmowano. Szybko przyzwyczaił się do ludzi. Witał się ze wszystkimi, skacząc na nich z typowo psią wiarą, że nikt mu nie zrobi krzywdy. Teraz już nie skakał. Wyglądał bardzo staro. Jakby był o krok od śmierci. Myronowi zrobiło się smutno.

- Dobrze się wczoraj prezentowałaś - powiedziała Emily. - Miło było znów zobaczyć cię na parkiecie.

- Dziękuję.

Myron - skarbnica dowcipnych ripost.

- Spragniony? - spytała. - Mogę zrobić ci lemoniady. Jak w sztuce Tennessee Williamsa. „Lemoniada dla dżentelmena”, chociaż wątpię, czy Amanda Wingfield używała lemoniady w proszku.

Nim zdążył odpowiedzieć, znikła za rogiem. Benny czynił wysiłki, aby dojrzeć go oczami zmętniałymi od zaćmy. Myron podrapał psa za uchem. Ogon Benny'ego przyspieszył kołysanie. Myron uśmiechnął się smutno. Pies przysunął się bliżej, jakby pojął i docenił jego uczucia. Do pokoju powróciła Emily.

- Proszę.

Podawała mu szklankę i usiadła.

- Dziękuję.

Myron łyknął lemoniady.

- Jaki masz następny punkt programu? - spytała.
- Następny punkt?
- Jeszcze jeden come back?
- Nie rozumiem.

Znowu się do niego uśmiechnęła.

- Skoro najpierw zastępujesz Grega na boisku, kto cię wie, czy nie zechcesz zastąpić go w sypialni.

Myron omal nie zakrzuszył się lemoniadą, ale udało mu się stłumić odgłos. Szok - klasyczna zagrywka Emily.

- Kiepski dowcip - powiedział.
- Tak się tylko droczyć.
- Właśnie widzę.

Położyła łokieć na oparciu kanapy i podparła głowę ręką.

- Podobno spotykasz się z Jessicą Culver.
- Tak.
- Podobają mi się jej książki.
- Powtórzę jej to.
- Ale ty i ja znamy prawdę.
- Jaka?

Pochyliła się do przodu i łyknęła wolno ze szklanki.

- Seks z nią nie jest tak dobry jak ze mną. Klasyczna zagrywka na bis.

- Takaś pewna? - spytał.

- Bardzo pewna - odparła. - To nie zarozumiałość. Twoja pani Culver jest, nie wątpię, biegła w tych sprawach. Ale dla mnie seks był zupełną nowością. Odkryciem. Rewelacją. Żadne z nas nie przeżyło podobnej ekstazy z nikim. Bo nie mogło. Musiałoby cofnąć czas.

- Ja nie robię porównań.

Uśmiechnęła się, przekrzywiła głową.

- Chrzanisz.

- A ty wcale ich nie pragniesz. Jej uśmiech nie stracił pewności.

- Daj spokój, Myron. Daruj sobie bzdury o więzi duchowej? Nie mów, że wasz związek jest lepszy, bo głęboki i piękny i dlatego wasz seks wykracza poza fizyczność. Taki banał ci nie przystoi.

Myron milczał. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Rozmowa zmierzała w niepokojącym kierunku.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że mi nie pomożesz? - spytał, zmieniając temat.

- To, co powiedziałam.

- W czym mi nie pomożesz? Znów się uśmiechnęła.

- Masz mnie za kretynkę, Myron?

- Skądże.

- Sądzisz, że uwierzyłam w twój powrót do koszykówki? Albo w to, że Greg - palcami nakreśliła w powietrzu cudzystów - „schronił się w zaciszu” z powodu kontuzji kostki? Twoja wizyta umacnia mnie w podejrzeniach.

- Jakich?

- Że Greg zniknął. A ty próbujesz go znaleźć.

- Dlaczego sądzisz, że zniknął?

- Nie kręć, Myron, proszę. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

Wolno skinął głową.

- Czy wiesz, gdzie on jest? - spytał.

- Nie. Mam nadzieję, że drań nie żyje i gnije w jakimś dole.

- Nie wykręcaj się. Powiedz, co naprawdę czujesz.

Jej uśmiech posmutniał. Myrona zakłuło w sercu. Greg i Emily zakochali się w sobie. Wzięli ślub. Mieli dwójkę dzieci. Co zniszczyło ich związek? Coś z niedawnych wydarzeń... a może coś z przeszłości, co od początku go psuło - Myron poczuł suchość w gardle.

- Kiedy widziałas go po raz ostatni? - spytał.
- Miesiąc temu - odparła.
- Gdzie?
- Na sprawie rozwodowej.
- Rozmawiacie ze sobą?
- Wcale nie żartowałam z tą śmiercią i gniciem.
- Czyli nie rozmawiacie.

Skinęła głową na znak, że może sobie myśleć, co chce.

- Jeżeli się ukrył, to domyślasz się gdzie?
- Nie.
- Nie ma letniego domku? Miejsca, dokąd lubił wyjeżdżać?
- Nie.
- Miał może jakąś dziewczynę?
- Nie. Ale współczułabym biedaczce.
- Słyszałaś kiedyś imię Carla?

Zawahała się. Stuknęła palcem wskazującym w kolano. Tak dobrze znał ten gest, że sprawił mu ból.

- Czy na moim piętrze w akademiku nie mieszkała jakaś Carla? - spytała. - Tak, Carla Anderson. Z drugiego roku. Ładna dziewczyna.
  - A czy słyszałaś to imię ostatnio?
  - Nie. - Emily usiadła prosto i skrzyżowała nogi. - Jak tam Win?
  - Jak zwykle.
  - Jeden z życiowych pewników. Win ciebie kocha. Może Jest utajonym homoseksualistą.
  - Dwaj mężczyźni mogą się kochać i nie być gejami. Uniosła brew.
  - Co ty powiesz? Pozwolił jej się dopaść. Głupi błąd.
  - Czy wiesz, że Greg miał podpisać kontrakt reklamowy? - spytał.
- To ją zainteresowało.
- Poważnie?

- Tak.
  - Duży?
  - Z tego co wiem, ogromny - odparł. - Z Forte. Gdyby nie długie paznokcie, zacisnęłaby dłonie w pięści.
  - Skurwysyn!
  - Słucham?
  - Zaczekał do rozwodu, ja dostałam gie, a ten skurwysyn podpisuje kontrakt!
  - Jak to gie? Greg jest bogaty.
  - Był! Jego agent stracił wszystko. Przynajmniej tak zeznał w sądzie.
  - Martin Felder?
  - Tak. Greg został bez grosza. Skurwysyn!
  - Ale przecież nie zerwał z Felderem. Dlaczego trzyma się agenta, który stracił jego pieniądze?
  - Nie wiem, Myron! - odparła ostro, z irytacją. - Może kłamie. Zresztą nie pierwszy raz.
- Myron zaczął. Emily spojrzała na niego ze łzami w oczach. Opanowała się, wstała, przemierzyła salon i wyjrzała przez zasuwane szklane drzwi na ogrodzone podwórze. Basen był przykryty brezentem. Do niebieskich kafelków przywarły patyki i liście. Pojawiła się dwójka dzieci. Mniej więcej dziesięcioletni chłopiec gonił dziewczynkę wyglądającą na osiem lat. Zaśmiewali się serdecznie, z pyzatymi buziami zaróżowionymi z zimna i wysiłku. Na widok matki chłopiec przystanął, uśmiechnął się do niej i pomachał ręką. Pomachała mu lekko w odpowiedzi. Dzieci odbiegły. Emily skrzyżowała ręce tak, jakby się chciała utulić.
- Chce mi je zabrać - rzekła z niezwykłym spokojem. - Nie cofnie się przed niczym.



- Na przykład?
- Nawet przed największym świństwem.
- Jak wielkim?
- Nie twoja sprawa. - Zamilkła. Widział, jak jej drżą plecy. - Wyjdź
- powiedziała.
- Emily...
- Chcesz mu pomóc, Myron.
- Chcę go znaleźć. A to różnica.

Pokręciła głową..

- Nic mu nie jesteś winien. Mimo że tak myślisz, wiem. To silniejsze od ciebie. Winę miałaś wypisaną na twarzy i wtedy, i dziś, kiedy otworzyłam drzwi. Niepotrzebnie wyrzucasz sobie to co zaszło między nami. Greg się nie dowiedział.

- I to ma mi poprawić samopoczucie? - spytał. Obróciła się twarzą do niego.

- Wcale nie ma ci poprawić samopoczucia - odparła. - Nie chodzi o ciebie. To ja wyszłam za niego. To ja go zdradziłam. Nie do wiary, że wciąż się tym gryziesz.

Myron przełknął ślinę.

- Po tym, jak odniosłem kontuzję, Greg odwiedził mnie w szpitalu. Przegadaliśmy wiele godzin.

- I dlatego jest klawym gościem?
- Nie powinniśmy byli tego robić.
- Dorośnij, Myron. To było przeszło dziesięć lat temu. Było i dawno minęło.

Nie odpowiedział.

- Naprawdę możesz stracić dzieci? - spytał po chwili, podnosząc wzrok.

- Tak.

- Jak daleko się posuniesz, żeby je zatrzymać?
- Tak daleko, jak będę musiała.
- Gotowa byłabyś zabić?
- Tak - odparła bez wahania.
- Naprawdę?
- Nie.
- Nie domyślasz się, dlaczego Grega szukają jakieś zbiry?
- Nie.
- Nie wynajęłaś ich?
- Gdyby tak było, i tak bym ci nie powiedziała. Ale jeśli te zbiry chcą go dopaść, to zrobię wszystko, żeby go znalazły.

Myron odstawił lemoniadę.

- Lepiej pójdę - rzekł.

Odprowadziła go do drzwi. Nim je otworzyła, położyła mu na ramieniu. Jej dotyk parzył przez materiał.

- W porządku. Odpuść sobie - powiedziała łagodnie. - Greg o niczym nie wie.

Myron skinął głową. Wzięła głęboki oddech i znów się uśmiechnęła.

- Miło cię było widzieć, Myron. Jej głos odzyskał zwykłą barwę.
- Mnie ciebie również.
- Wrócisz jeszcze? - rzuciła niby od niechcienia, ponownie go prowokując. - Na szybki numer jak za dawnych lat? Co nam szkodzi?

Szokowała do końca. Nie dał się na to złapać.

- To samo powiedzieliśmy sobie poprzednim razem - odparł. - I szkodzi nam do dzisiaj.

- Zrobiliśmy to w przeddzień ich ślubu - zaczął.

Wrócił do agencji. Esperanza wpatrywała się w niego, lecz o tym nie wiedział. Z palcami splecionymi na piersi siedział w fotelu mocno odchyłonym do tyłu i patrzył w sufit.

- Chcesz poznać szczegóły?

- To zależy tylko od ciebie - odrzekła. Opowiedział jej, jak Emily zadzwoniła do niego, odwiedziła go w pokoju i oboje za dużo wypili. To ostatnie zdanie wypuścił jako balon próbny, ale jedno szybkie spojrzenie na Esperanzę zestrzeliło ów balon z nieba.

- A w jakim czasie po twoim zaciągu do NBA to zrobiliście? - spytała.

Była taka spostrzegawcza, że nie musiał odpowiadać. Uśmiechnął się do sufitu.

Wnioskuje, że ta mała schadzka miała miejsce pomiędzy zaciągiem do NBA a kontuzją.

- Wnioskujesz słusznie.

- Aha. - Lekko skinęła głową. - Sprawdźmy zatem, czy dobrze zrozumiałam. Jesteś na ostatnim roku studiów. Twoja drużyna zwycięża w finale. Punkt dla ciebie. Tracisz Emily, ta zaręcza się z Gregiem. Punkt dla niego. Nabór do NBA. Greg zostaje wybrany jako siódmy z listy, ty jako ósmy. Punkt dla Grega.

Myron zamknął oczy i skinął głową.

- Zastanawiasz się, czy chciałem wyrównać rachunki.

- Nie zastanawiam się.. Odpowiedź jest oczywista - odparła.

- Nie pomagasz mi.

- Szukasz pomocy, idź do psychiatry. Szukasz prawdy, przyjdź do mnie.

Miała rację. Zdjął ręce z piersi i nie rozplatając dłoni, wsunął je za głowę. Nogi oparł na biurku.

- Zdradzała cię z nim?

- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno. Poznali się po naszym zerwaniu.
- Szkoda, miałybyś dobrą wymówkę.
- Pewnie. Niepowetowana.
- Czy dlatego czujesz się zobowiązany wobec Grega? Bo przespałeś się z jego narzeczoną?
- Owszem, głównie dlatego, lecz to nie jedyny powód.
- To znaczy?
- Może to zabrzmieć banalnie, ale pomiędzy nim a mną zawsze istniała więź.
- Więż?

Myron przesunął wzrok z sufitu na ścianę z fotosami. Woody Allen z Diane Keaton dobrze się bawili na Manhattanie w Annie Hall. Bogie i Bergman opierali się na pianinie Sama w czasach, gdy Paryż należał do nich.

- Greg i ja byliśmy rywalami - rzekł. - A pomiędzy rywalami tworzy się szczególna więź. Taka jak między Magie Johnsonem i Larrym Birdem. Jeden określa drugiego. Ze mną i z Gregiem było tak samo. Łączyła nas cicha więź, z której zdawaliśmy sobie sprawę.

Urwał. Esperanza czekała na dalszy ciąg.

- Kiedy uszkodziłem sobie kolano, Greg odwiedził mnie w szpitalu. Wpadł następnego dnia. Obudziłem się z narkozy i go zobaczyłem. Siedział z Winem. Zrozumiałem natychmiast Win również, bo inaczej by go stamtąd wyrzucił.

Esperanza skinęła głową.

- Greg mnie nie opuścił. Pomógł w rehabilitacji. To nazywam więzią. Na wieść o mojej kontuzji tak się zmartwił, jakby ją sam odniósł. Próbował mi wyjaśnić, dlaczego tak bardzo się tym przejął,

ale nie umiał ubrać tego w słowa. Nieważne. Rozumiałem go. To było silniejsze od niego.

- W jakim czasie po przespaniu się z jego młodą żoną uszkodziłeś sobie kolano?

- Mniej więcej miesiąc później.

- To, że był cały czas przy tobie, pomogło ci czy zaszkodziło?

- Pomogło. Zamilkła.

- Zrozumiałaś? - spytał. - Rozumiesz, dlaczego muszę go odnaleźć?

Chyba masz rację, że stoczyłem z nim głupią walkę. Przespałem się z Emily z zemsty za to, że wyprzedził mnie w zaciągu do NBA. Ale jak można to zrobić świeżo startującemu małżeństwu? Jestem dłużnikiem Grega Downinga. To bardzo proste.

- To wcale nie jest proste.

- Dlaczego?

- Bo na powierzchnię wypływa za dużo twojej przeszłości. Najpierw Jessica...

- Proszę cię, zostaw ten temat.

- Nie zostawię - odparła spokojnie, choć o Jessice rzadko mówiła ze spokojem. - Stwierdzam fakt. Załamaneś się, kiedy cię rzuciła. I już nie doszedłeś do siebie.

- Przecież do mnie wróciła.

- Owszem.

- Więc o co ci chodzi?

- Załamaneś cię też rozbrat z koszykówką. Nie doszedłeś do siebie.

- Doszedłem. Pokręciła głową.

- Przez trzy lata próbowałeś wszelkich dostępnych środków żeby wyleczyć kolano...

- Chciałem wydobrzcć - wtrącił. - Co w tym złego?

- Nic. Ale byłeś strasznie upierdliwy. Odepchnąłeś Jessicę. Nie wybaczę jej tego, co ci zrobiła. Nie zasłużyłeś na to. Choć przyczyniłeś się do jej odejścia.

- Po co to wszystko wyciągasz?

- To ty wszystko wyciągasz, Myron. Całą przeszłość. Jessicę, a teraz koszykówkę. Chcesz, żebyśmy patrzyli na powtórkę tego wszystkiego. Ale nic z tego.

- Powtórkę czego? Nie odpowiedziała.

- Wiesz, dlaczego nie poszłam wczoraj na twój mecz?

Skinął głową, nie patrząc jej w oczy. Zapiekły go policzki, poczerwieniał.

- Bo w przypadku Jessiki istnieje pewna szansa, że więcej cię nie skrzywdzi. Szansa, że ta wiedźma sporządniała. Natomiast w przypadku koszykówki szansy nie ma. Nie wrócisz do gry.

- Uporam się z tym - rzekł, zdając sobie sprawę, że się powtarza.

Milczała.

Zapatrzony w przestrzeń, jak przez mgłę usłyszał dzwonek telefonu. Ale żadne z nich nie podniosło słuchawki.

- Twoim zdaniem powinienem dać sobie z tym spokój? - spytał.

- Tak. Emily ma rację. To ona go zdradziła. Ty byłeś tylko narzędziem. Jeśli to zatruło jakoś ich związek, to za jej sprawą. To ona zdecydowała. Nic nie jesteś winien Gregowi Downingowi.

- Nawet jeśli to prawda, pozostaje więź - odparł.

- Bzdury! Samcze bzdury! Dzielenie włosa na czworo. Tylko potwierdzasz moje zdanie. Jeśli w ogóle istniała między wami jakaś więź, już jej nie ma. Od dziesięciu lat nie uprawiasz koszykówki. O tej więzi pomyślałeś tylko dlatego, że wróciłeś do gry.

Zabębnono w drzwi. Zabębnono z taką siłą, że omal nie wypadła futryna. Myron poderwał się w fotelu i usiadł prosto.

- Kto jest przy telefonach? - spytał.

Esperanza uśmiechnęła się.

- O nie!

- Wejdz - powiedziała.

Drzwi się otworzyły. Choć Myron widział ją już tyle razy, na jej widok opadły mu szczeka i nogi. Do gabinetu wkroczyła Wielka Cyndi, olbrzymka - metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, sto czterdzieści kilo wagi - w białym podkoszulku z oddartymi rękawkami. Bicepsów i barów mógł jej pozazdrościć Hulk Hogan. Makijaż miała jeszcze bardziej jaskrawy niż na ringu, oczy w oprawie fioletowych cieni o ton ciemniejszych od fryzury z fioletowych szpikulców, a uszmkowane usta tworzyły krwawą plamę. Wyglądała jak stwór z musicalu Rocky Horror Picture Show. Tak przerażającej istoty Myron jeszcze nie widział.

- Cześć, Cyndi - wydusił.

Warknęła, uniosła środkowy palec, odwróciła się, przestąpiła próg i zamknęła drzwi.

- Co jest...

- Masz połączenie na linii pierwszej - wyjaśniła Esperanza.

- To Cyndi odbiera telefony?

- Pewnie.

- Przecież ona nie mówi!

- Oko w oko. Przez telefon jest bardzo rozmowna.

- Chryste Panie!

- Nie jęcz, odbierz telefon.

Dzwoniła Lisa z nowojorskiej centrali Bella. Sądzi się powszechnie, że tylko policji udostępnia się wykazy połączeń telefonicznych. Nieprawda. Niemal każdy detektyw w tym kraju ma wtyczkę w lokalnej firmie telefonicznej. To tylko kwestia pieniędzy. Cena

wykazu połączeń telefonicznych z danego miesiąca waha się od tysiąca do pięciu tysięcy dolarów. Myron i Win poznali Lisę za czasów pracy w FBI. Nie brała od nich pieniędzy, ale zawsze jej się rewanzowali w taki czy inny sposób.

- Zdobyłam to, co chciał Win - powiedziała.

- Mów.

- O godzinie dziewiętej osiemnastej wieczorem dzwoniło z automatu telefonicznego w barze w pobliżu Broadwayu i Dyckman Street.

- Z okolic Dwusetnej?

- Chyba. Chcesz numer telefonu?

Carla zadzwoniła do Grega z baru przy Dwusetnej? Dziwne, coraz dziwniejsze.

- Jeśli masz. Podała mu numer.

- Może się przyda.

- Na pewno, Liso. Dzięki. - Myron podał kartkę Es-peranzy. - Spójrz tylko, co mam. Najprawdziwszy świeży trop - powiedział.

Jadłodajnia Parkview zasługiwała na swoją nazwę. Rzeczywiście widać było z niej park imienia porucznika Williama Tighe'ego po drugiej stronie ulicy, mniejszy od średniego podwórka, z tak wysokimi krzakami, że zasłaniały ogród za nimi. Wiszące na otaczającym go siatkowym ogrodzeniu tabliczki ostrzegały dużymi tłustymi wołami: NIE KARMIC SZCZURÓW. Nie był to żart. Pod spodem mniejszymi literami powtarzano to samo po hiszpańsku: No des comida a las ratas. Tabliczki umieszczała tam grupa o nazwie Strefa Jakości Życia. Myron pokręcił głową. Tylko w Nowym Jorku trafiali się ludzie, ulegający nieodpartej pokusie tuczenia szkodników. Jeszcze



raz zerknął na ostrzeżenie, a potem na bar. Szczury. Świetnie zaostrzały apetyt.

Przeszedł przez ulicę. Z wysokości dwóch pięter nad barem Parkview pies z głową wciśniętą w kratownicę schodów przeciwpożarowych obszczekiwał przechodniów. Zielona markiza nad wejściem była rozdarta w kilku miejscach, napis na niej tak spłóviały, że nieczytelny, a podtrzymujący ją słupek tak Ugięty, że Myron musiał schylić głowę. Plakat w oknie reklamował pite z mięsem i warzywami. Z czarnej tablicy i z plakatu wynikało, że dzisiejszymi daniami dnia są między innymi bakłażan z parmezanem, kurczak po królewsku i bulion wołowy. Na drzwiach przyklejono niczym znaczki kontroli technicznej pojazdu pozwolenia nowojorskiego zarządu budynków.

Tuż za progiem powitał go znajomy, choć nieokreślony zapach manhattańskiej garkuchni. Powietrze przesycił tłuszcz. Gdy wciągałeś je głęboko, miałaś wrażenie, że zatyka ci arterie. Kelnerka z rozjaśnionymi włosami barwy słomy zaproponowała mu stolik. Spytał o kierownika.

- To Hector - wyjaśniła, wskazując ołówkiem za siebie, na mężczyznę przy kontuarze. - Właściciel.

Myron podziękował i usiadł na barowym stołku przy saturatorze. Miał ochotę zakręcić się na nim, ale bał się, że wezmą to za dziecinadę. Siedzący dwa stołki w prawo od niego nieogolony, chyba bezdomny mężczyzna w czarnych staroświeckich kamaszach i wystrzępionym płaszczu z uśmiechem skinął mu głową. Myron odpowiedział mu tym samym. Mężczyzna powrócił do swojej kawy. Uniósł ramiona i zgarbił się nad nią, jakby bał się, że ktoś mu wyrwie kubek.

Myron wziął kartę dań w popękanej okładce, otworzył ją, ale nie przeczytał. Liczne sfatygowane fiszki wsunięte w winylowe ochronne przegródki anonsowały rozmaite specjały. Wprawdzie słowo „sfatygowane” pasowało jak ulał do baru Parkview, lecz nie w pełni oddawało ogólne wrażenie. Było tu całkiem przyjemnie i czysto. Kontuar lśnił. Podobnie przybory kuchenne, srebrny mikser do koktajli, saturator. Większość klientów czytała gazety lub gawędziła z innymi niczym przy posiłku w domu. Znali z imienia kelnerkę i mogłeś postawić ostatniego dolara, że kiedy siadali do stolika, nie przedstawiała się ona jako ich „kelnerka”.

Właściciel krzątał się przy ruszcie. Dochodziła czternasta. Choć nie był to szczyt obiadowy, klientów nie brakowało. Nie spuszczać z oczu potraw, Hector wydał kilka poleceń po hiszpańsku, po czym wytarł ręce w ścierkę i z grzecznym uśmiechem zwrócił się do Myrona z pytaniem, czym może służyć. Myron zapytał, czy mógłby skorzystać z automatu.

- Nie, proszę pana, przykro mi. - Hector mówił z wyraźnym hiszpańskim akcentem, nad którego pozbyciem się ewidentnie pracował. - Automat jest na rogu ulicy. W lewo.

Myron spojrział na numer telefonu podany przez Lisę i odczytał go na głos. Hector zrobił kilka rzeczy naraz: przewrócił hamburgery, złożył omelet, sprawdził frytki. Oczy miał dookoła głowy - patrzył na kasę, klientów przy stolikach i barze oraz na kuchnię po lewej.

- Ach, ten - powiedział. - Jest na zapleczu w głębi. W kuchni.
- W kuchni?
- Tak, proszę pana - rzekł właściciel z tą samą uprzejmością.
- Automat w kuchni?
- Tak, proszę pana.

Hector, w białym fartuchu i czarnych spodniach z poliestru, był niskawy i szczupły. Kilka razy złamano mu nos. Przedramiona miał jak stalowe liny.

- Dla personelu - dodał.

- Nie macie służbowego telefonu?

- Oczywiście, że mamy - odparł właściciel o ton ostrzej, jakby uraziło go to pytanie. - Robimy dużo dań na wynos i realizujemy dostawy. Mnóstwo ludzi zamawia u nas lunchy. Mamy również faks. Ale nie chcę, żeby personel blokował linię. Kto ma zajęty telefon, ten nabija kasę konkurencji. Dlatego założyłem na zapleczu automat.

- Klienci z niego, jak rozumiem, nie korzystają? - spytał Myron, któremu wpadło coś do głowy.

- No, wie pan, gdyby któryś bardzo nalegał, to bym mu nie odmówił - odparł Hector z wyćwiczoną grzecznością dobrego biznesmena. - W Parkview klient jest naszym panem. Zawsze.

- A czy któryś kiedyś nalegał?

- Nie, proszę pana. Wątpię, czy nasi klienci wiedzą o tym automacie.

- A czy może wie pan, kto dzwonił z niego w zeszłą sobotę osiemnaście po dziewiątej wieczorem?

To pytanie wreszcie zwróciło uwagę właściciela.

- Słucham?!

Myron chciał je powtórzyć, lecz Hector wpadł mu w słowo.

- A dlaczego to pana interesuje? - zdziwił się.

- Nazywam się Bernie Worley - rzekł Myron. - Z agencji nadzoru produktu kompanii Amerykańskich Telefonów i Telegrafu.

- Jakiego znowu produktu?!

- Ktoś próbuje nas oszukać, co bardzo nas martwi.

- Oszukać?

- Igrek pięćset jedenaście.

- Słucham?

- Igrek pięćset jedenaście - powtórzył Myron. Kiedy raz zaczniesz wciskać kit, pozostaje ci tylko wciskać go dalej. - To elektroniczne urządzenie monitorujące wyprodukowane w Hongkongu. Nowe na rynku, ale je rozpracowaliśmy. Sprzedają je na ulicach. Osiemnastego marca tego roku o dziewiętej osiemnaście wieczorem ktoś skorzystał z pańskiego automatu. Zadzwoił do Kuala Lumpur i rozmawiał przez prawie dwanaście minut. Całkowity koszt połączenia wyniósł dwadzieścia trzy dolary osiemdziesiąt dwa centy, ale za użycie igrek pięćset jedenaście grozi grzywna w wysokości co najmniej siedmiuset dolarów, a ponadto do roku więzienia. Oraz usunięcie aparatu.

Twarz Hectora stężała z przerażenia.

- Słucham? - wydusił.

Choć zastraszanie uczciwego, ciężko pracującego imigranta nie należało do przyjemności, Myron wiedział, że lęk przed władzą i wielkim biznesem zrobi swoje. Hector krzyknął coś po hiszpańsku do nastolatka.

- Nic z tego nie rozumiem, panie Worley - powiedział, gdy bardzo do niego podobny chłopak zajął się rusztem.

- To telefon publiczny, proszę pana. Przed chwilą przyznał się pan agentowi nadzoru do używania telefonu publicznego w celach prywatnych. Że nie ma do niego powszechnego dostępu i korzystają z niego tylko pańscy pracownicy. Jest to sprzeczne z regulaminem naszej firmy, paragraf sto dwadzieścia cztery B. Zazwyczaj nie zgłaszam takich wykroczeń, lecz gdy doda się do tego użycie igrek pięćset jedenaście...

- Ale ja go nie użyłem!

- Tego nie wiemy, proszę pana - odparł Myron, służbista do szpiku kości. Nic bardziej nie obezwładniało petenta. Żadna otchłań nie wydawała się równie ciemna i przepastna jak puste oczy biurokraty. - Automat znajduje się w pańskim lokalu - ciągnął znudzonym, śpiewnym tonem. - Przed chwilą przyznał pan, że korzystają z niego tylko pańscy pracownicy...

- Właśnie! - uchwycił się nadziei Hector. - Moi pracownicy! Nie ja!  
- Ale to pański lokal. To pan za niego odpowiada. - Myron rozejrzał się po salce z miną znudzonego mopsa, której wyuczył się w tasiemcowej kolejce w wydziale komunikacji. - Będziemy również musieli sprawdzić status prawny pańskich pracowników. Może dzięki temu wykryjemy winowajcę.

Hector zrobił wielkie oczy. Cios był celny. Na Manhattanie nie znajdziesz restauracji, która nie zatrudniałaby kogoś na czarno. Hectorowi zwiotczał podbródek.

- I to wszystko z powodu jednej rozmowy z automatu? - spytał.  
- Rozmowy z użyciem nielegalnego urządzenia elektronicznego igrek pięćset jedenaście, proszę pana. Oraz odmowy współpracy z agentem nadzoru produktu badającym poważne naruszenie prawa.  
- Odmowy współpracy? - Hector chwycił się rzuconej mu deski ratunkowej. - Skądże. Ja chcę współpracować. Bardzo chcę, proszę pana.

Myron pokręcił głową.

- Nie widzę tego - odparł. Hector połknął przynętę.  
- Myli się pan - zaprzeczył maksymalnie grzecznym tonem. - Jak najbardziej pragnę współpracować z waszą firmą. W jaki sposób mogę pomóc?

Myron westchnął i odczekał kilka sekund. W barze panował gwar. Zadzwońska kasa, bezdomny w staroświeckich kamazach miał z

brudnej dłoni kilka lepkich monet. Zaskwierczał tłuszcz, wonie licznych potraw walczyły o zdobycie przewagi, ale żadna nie wzięła, góry. Patrząc na coraz bardziej zaniepokojoną minę Hectora, Myron zdecydował, że wystarczy.

- Najpierw powie mi pan, kto dzwonił z tego automatu w zeszłą sobotę wieczorem osiemnaście po dziewiątej.

Hector uniósł w górę palec, prosząc o cierpliwość. Zawołał po hiszpańsku do kobiety (żony?) przy kasie. Odkrzyknęła coś, zamknęła szufladę i podeszła do nich. Hector spojrzał nagle dziwnie na Myrona. Czyżby się połapał, że wciska mu gruby kit? Możliwe. Kiedy jednak Myron zmierzył go twardym spojrzeniem, szybko zmiękł. Być może żywił jakieś podejrzenia, lecz nie dość mocne, by zrazić do siebie wszechwładnego biurokratę, podważając jego kompetencje.

Hector szepnął coś do kobiety, a gdy ta odpowiedziała mu szeptem, rzekł „Aha”, zwrócił się do Myrona i pokręcił głową.

- Zgadza, się - rzekł.
- Co?
- Dzwoniła Sally.
- Kto?
- Myślę, że ona. Żona widziała ją wtedy przy telefonie. Ale mówi, że rozmawiała najwyżej minutę, dwie.
- A nazwisko tej Sally?
- Guerro.
- Jest w pracy?
- Nie ma jej od soboty - odparł Hector. - Dlatego powiedziałem: zgadza się. Wpakowała mnie w kłopoty i zwiła.
- Dzwoniła, że jest chora?
- Nie. Po prostu wstała i wyszła.

- Ma pan jej adres? - spytał Myron.

- Chyba tak, sprawdzę.

Hector wydobyl duze pudlo po „Mrożonej herbacie brzoskwiniowej Snapple”. Gorąca blacha za jego plecami zasyczała w zetknięciu ze świeżym naleśnikiem. Akta, schludnie ułożone w pudle, były zaopatrzone w kolorowe oznaczenia. Hector wyjął teczkę, otworzył ją, przerzucił karki, znalazł to, czego szukał, i zmarszczył czoło.

- O co chodzi? - zagadnął Myron.

- Sally nie podała nam adresu - wyjaśnił Hector.

- A numer telefonu?

-Też nie. - Właściciel baru podniósł wzrok, coś sobie przypominając. - Mówiła, że nie ma. Dlatego tak często korzystała z automatu na zapleczu.

- Może mi pan opisać panią Guerro?

Hector nagle się stropił. Spojrzał na żonę i odchrząknął.

- Hm, ciemne włosy - zaczął. - Wzrost sto sześćdziesiąt kilka. Średni.

- Coś jeszcze?

- Piuwne oczy. - Urwał. - To wszystko.

- W jakim była wieku? Hector zajął do dokumentów.

- Według tego, miała czterdzieści pięć lat. To by się zgadzało.

- Jak długo tu pracowała?

- Dwa miesiące.

Myron skinął głową, energicznie potarł podbródek.

- To pasuje do podejrzanej, podającej się za Carlę.

- Carlę?

- Notorycznej oszustki telefonicznej - ciągnął Myron. - Ścigamy ją od jakiegoś czasu. - Rozejrzał się jak spiskowiec. - Słyszał pan, żeby używała imienia Carla? Czy ktoś tak się do niej zwracał?

Hector spojrział na żonę. Pokręciła głową.

- Nie, nigdy.

- Ktoś ją odwiedzał? Jacyś znajomi?

Hector skonsultował się wzrokiem z żoną. Ponownie pokręciła głową.

- Nie, nie widzieliśmy nikogo. Nie była towarzyska. Myron zdecydował się pójść krok dalej i potwierdzić to, co wiedział. Gdyby Hector stanął okoniem, trudno. Kto nie ryzykuje, ten nie ma. Pochylił się do przodu. Hector z żoną również.

- Być może zabrmi to nietaktownie, ale czy ta kobieta ma duże piersi? - spytał szeptem. Natychmiast skinęli głowami.

- Bardzo duże - odparł Hector.

Podejrzenie się potwierdziło.

Zadał jeszcze kilka pytań, lecz więcej użytecznych informacji z tego stawu nie wyłowił. Przed pożegnaniem się z właścicielami zapewnił, że są oczyszczeni z zarzutów i mogą dalej naruszać paragraf sto dwadzieścia cztery B. Mało brakowało, a Hector pocałowałby go w rękę. Myron poczuł się jak gnida. Co dziś robieś, Batmanie? No początek, Rabinie, przeraziłem ciężko pracującego imigranta stekiem kłamstw. A niech cię kaczki, Batmanie, jesteś super! Myron pokręcił głową. Co by tu zrobić na bis? Obrzucić butelkami po piwie psa na schodkach przeciwpożarowych?

Wyszedł z baru Parkview. Rozważał, czy przejść na drugą stronę ulicy. No, a gdyby nagle uległ nieodpartej pokusie nakarmienia szczurów? Nie mógł podjąć takiego ryzyka. Musiał się jej wystrzegać. Gdy ruszył w stronę stacji metra na Dyckman Street, usłyszał pytanie:

- Szuka pan Sally?



Odwrócił się i zobaczył bezdomnego w staroświeckich kamaszach, którego widział w garkuchni. Siedział na chodniku, oparty plecami o ceglany mur. W ręku trzymał pusty plastikowy kubek po kawie. Żebrał.

- Zna ją pan? - spytał Myron.

- Ona i ja... - Obszarpaniec mrugnął i skrzyżował palce. - Poznaliśmy się dzięki temu automatowi.

- Co pan powie.

Trzymając się ściany, mężczyzna wstał. Twarz miał pokrytą siwą szczecinę, za krótką by mogła uchodzić za brodę, a za długą jak na wielbiciela zarostu z serialu Policjanci z Miami. Długie włosy zaś były czarne jak węgiel.

- Sally cały czas korzystała z mojego telefonu, co mnie wkurzało.

- Pańskiego telefonu?

- Automatu na zapleczu - odparł, oblizując usta. - Jest przy tylnych drzwiach. Często zapuszczam się w zaułek za barem, więc go słyszę. To jakby mój telefon służbowy.

Myron nie potrafił odgadnąć jego wieku. Twarz chłopięca, choć zniszczona, trudno powiedzieć, przez upływ lat czy trudy życia. Brak paru zębów z przodu. Przypomniawszy sobie jedną ze swoich ulubionych bożonarodzeniowych piosenek: „Pod choinkę marzą mi się przednie zęby dwa”. Miły kawałek. Dzieciakowi marzyły się nie zabawki, nie gry komputerowe, tylko siekacze. To się nazywa bezinteresowność.

- Kiedyś miałem komórkę - ciągnął mężczyzna. - I to nie jedną, dwie. Ale mi ukradli. Na tym szajsie nie można jednak polegać, zwłaszcza pośród wieżowców. Może cię podsłuchać każdy, kto ma odpowiedni sprzęt. A ja muszę zachować w tajemnicy to, co robię. Wszędzie pełno szpiegów. Zresztą od komórek... od elektronów czy

czegoś tam, dostaje się guzów mózgu. Guzów mózgu wielkości piłek plażowych.

- Ach tak.

Myron - „wciskać kit to ja, a nie mnie” - zachował kamienną twarz.

- No więc Sally zaczęła korzystać z automatu. Wkurzyłem się. Prowadzę interesy. Dostaję ważne telefony. Nie mogę mieć zajętej linii. Tak czy nie?

- Bezwarunkowo.

- Bo wie pan, jestem hollywoodzkim scenarzystą. - Obdartus wyciągnął rękę. - Norman Lowenstein.

Myron przypomniał sobie nie bez trudu fałszywe imię i nazwisko, które podał Hectorowi.

- Bernie Worley.

- Miło mi pana poznać, Bernie.

- Wie pan, gdzie mieszka Sally Guerro?

- Jasne. Kiedyś byliśmy... Nowy znajomy skrzyżował palce.

- Wiem. Poda mi pan jej adres?

Norman Lowenstein zesznurował usta i palcem wskazującym poskrobał pryszcz na gardle.

- Nie mam głowy do adresów - odparł. - Ale mogę tam Pana zaprowadzić.

Myron rozważył, ile straci czasu.

- Mógłby Pan? - spytał.

- Jasne, bez problemu. Idziemy?

- W którą stronę?

- Do linii A - odparł Norman. - Dojedziemy do Sto Dwudziestej Pierwszej.

Ruszyli do metra.

- Często pan chodzi do kina, Bernie? - zagadnął Norman.

- Jak każdy.

- Powiem panu coś o kręceniu filmów - zadeklarował Norman z ożywieniem. - To nie sam splendor i blichtr. Produkcja marzeń dla ludzi to najbardziej brutalna i bezwzględna branża pod słońcem. Bezpardonowe ciosy w plecy, walka o forszę, sławę, o zwrócenie na siebie uwagi... sprawiają, że ludzie robią dziwne rzeczy. Mój scenariusz wziął Paramount. Prowadzą rozmowy z Willisem. Z Bruce'em Willisem. Bardzo się zainteresował.

- Życzę powodzenia - rzekł Myron. Norman rozpromienił się.

- Dzięki, Bernie, to miło z pańskiej strony. Naprawdę. Streściłbym panu ten film, niestety, mam związane ręce. Wie pan, jak to jest. W Hollywoodzie kradną na potęgę. Wytwórnia żąda dyskrecji.

- Rozumiem.

- Nie to, żeby panu nie ufał. Wymagają tego wytwórnice. Muszą chronić swoje interesy, prawda?

- Tak.

- Zdradzę tylko, że to film sensacyjno-przygodowy. Ale z sercem. A nie zwykła strzelanka. Chciał w nim zagrać Harrison Ford, szkoda, że jest za stary. Willis będzie w sam raz. Nie jest to mój ulubieniec, ale co poradzić.

- Uhm.

Stacja przy Sto Dwudziestej Pierwszej Ulicy nie należała do najprzyjemniejszych. Myron przypuszczał, że w dzień jest tu dość bezpiecznie, niemniej dziś czuł się odrobinę różniej dzięki temu, że wziął z sobą broń. Nie lubił nosić „kopyta” i rzadko to robił. Nie z powodu wrodzonej wrażliwości, po prostu cenił życie. Kabura na ramieniu wrzynała się w pachę, wywołując swędzenie niczym wełniany kondom. Po wczorajszym wieczorku zapoznawczym z

Panterką i Cegłową poruszanie się po mieście bez broni byłoby jednak lekkomyślne.

- W którą stronę? - spytał.

- Do centrum.

Ruszyli Broadwayem na południe. Myron szedł i kiwał głową, słuchając opowieści Normana o blaskach i cieniach Hollywoodu. Z każdym krokiem dzielnica porządniała. Minęli znajomą żelazną bramę Uniwersytetu Columbia i skręcili w lewo.

- To tam - powiedział Norman. - W pół drogi między przecznicami.

Po obu stronach ulicy biegły niskie domy, w których mieszkali głównie doktoranci i wykładowcy Columbii. Dziwne, że również kelnerka z baru. A zresztą czemu nie. Nic, co wiązało się z jej udziałem w tej sprawie, nie miało na razie sensu. Równie dobrze mogła mieszkać, na przykład, z Bruce'em Willisem w Hollywood.

- Pan próbuje jej pomóc, tak? - wyrwał go z zamyślenia towarzysz.

- Słucham?

Norman Lowenstein zatrzymał się. Spowaźniał.

- Ta historia z firmą telefoniczną. Nałgał pan. Myron nie odpowiedział.

- Proszę pana. - Norman położył dłoń na rękę Myrona. - Hector to dobry człowiek. Przyjechał do Stanów goły. W tej garkuchni urabia ręce po łokcie. On, jego żona i syn harują od świtu do nocy. Świątek, piątek. I cały czas w strachu, że ktoś im to zabierze. Ten lęk... maćmi jasność myślenia. Ja nie mam nic do stracenia, więc niczego się nie boję. Łatwiej dostrzegam pewne rzeczy. Rozumie pan?

Myron skinął głową.

Normanowi przygasł wzrok, bo spojrzał w oczy rzeczywistości. Myron przestał wreszcie prześlizgiwać się po nim spojrzeniem, które ledwo zauważa wiek, wzrost, płeć. Pierwszy raz Przyjrzał mu się

naprawdę i zdał sobie sprawę, że pod jego kłamstwami i samooszukiwaniem się kryją się marzenia, nadzieje, pragnienia i potrzeby właściwe tylko gatunkowi ludzkiemu.

- Martwię się o Sally - ciągnął Norman. - Być może przeszkadza mi to jasno myśleć, ale wiem jedno: nie odeszłaby tak nagle bez pożegnania się ze mną. Tego by nie zrobiła. - Zatrzymał się i popatrzył Myronowi w oczy. - Pan nie jest z firmy telefonicznej, co?

- Nie.

- Chce pan jej pomóc?

- Tak - odparł Myron. - Chcę.

- To tutaj. - Norman wskazał głową dom. - Mieszkanie 2E.

Pozostał na ulicy. Myron wszedł na ganek i nacisnął guzik 2E. Nikt się nie odezwał. Żadna niespodzianka. Nacisnął klamkę. Drzwi nie puściły.

- Niech pan tam zostanie - powiedział do Normana. Prawdziwym zadaniem otwieranych przez domofon drzwi, nie stanowiących żadnej przeszkody dla przestępców, było zapobiec wtargnięciu włóczęgów i rozbiciu przez nich w holu obozowiska. Myron musiał zaczekać, aż ktoś będzie wchodził lub wychodził, żeby się dostać do środka, tak jakby tutaj mieszkał. Niepodobna, żeby mężczyzna w beżach i markowej koszuli z guziczkami wzbudził podejrzania lokatorów. Gdyby jednak towarzyszył mu obdartus, te same osoby mogłyby zareagować inaczej.

Myron zszedł dwa stopnie niżej. Ujrawszy przez szybę dwie młode kobiety, obmacał kieszenie, niby to szukając kluczy, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi, uśmiechnął się i zaczął, aż je otworzą. Pantomima okazała się niepotrzebna. Młode kobiety, zapewne studentki, nawet nie podniosły oczu, w najlepsze mieląc językami. Paplały na wyprzódki, w ogóle nie słuchając tego,

co do siebie mówią. Nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi. Co za umiar? Oczywiście nie mogły widzieć jego tyłka, stąd też ich samokontrola, aczkolwiek godna podziwu, była poniekąd zrozumiała. Obejrzał się na Normana. Ten na szczęście odprawił go gestem.

- Niech pan idzie. Nie chcę sprawić kłopotów - powiedział.

Myron puścił drzwi.

Korytarz był taki, jak oczekiwał. Pomalowany na biało. Bez pasków i deseni. Na ścianie samotna tablica ogłoszeniowa, przypominająca manifest polityczny schizofrenika. Z tuzinami ulotek informujących o wszystkim, od tańców sponsorowanych przez Indiańskie Stowarzyszenie Gejów i Lesbijek po wieczory poezji ultraprawicowej grupy poetyckiej Przegląd Rusha Limbaugha. Ach, uczelniane życie.

Wszedł po schodach oświetlonych dwiema nagimi żarówkami. Dzisiejsze spacer i marsze po schodach dały się we znaki jego słabszemu kolanu. Staw chodził jak zardzewiały zawias. Myron miał wrażenie, że ciągnie za sobą nogę. Trzymając się poręczy, zadawał sobie pytanie, co będzie, gdy z wiekiem zacznie dokuczać mu artretyzm.

Plan piętra był daleki od symetrii. Drzwi porozmieszczano jakby na chybił trafił. Te z numerem 2E znalazł na końcu korytarza, dobry kawałek od pozostałych. Podsuwało to myśl, że mieszkanie powstało później, jakby ktoś po odkryciu dodatkowej powierzchni z tyłu domu postanowił zrobić tu pokoje. Myron zapukał. Cisza. Żadna niespodzianka. Rozejrzał się po korytarzu. Pusto. Dobrze, że nie było z nim Normana. Nie chciał, by ktoś widział, że się włamuje.

Nie miał do tego wielkiej smykałki. Z biegiem lat poduczył się nieco fachu, ale forsowanie zamków przypominało grę wideo. Na wyższy poziom przechodziłeś, gdy nad tym popracowałeś. Lecz on się nie przykładał. Po prostu nie lubił się włamywać. Brakło mu wrodzonego

drygu. Najczęściej wzorując się na Bameyu z serialu Mission: Impossible - zadania związane z mechaniką pozostawiał Winowi.

Sprawdził drzwi i stropił się. Nawet jak na nowojorskie zwyczaje te ryglowe zamki robiły imponujące wrażenie. Trzy, Jeden nad drugim, najniższy piętnaście centymetrów nad gałką, ostatni piętnaście centymetrów od górnej framugi. Najwyższej jakości. Sądząc po braku zadrapań i połysku, całkiem nowe. Dziwne. Czy takie środki bezpieczeństwa świadczyły o nadzwyczajnej ostrożności Sally-Carli, czy też o nienormalności? Dobre pytanie. Ponownie przyjrzał się zamkom. Win z radością podjąłby to wyzwanie. Ale nie on. Wiedział, że sobie z nimi nie poradzi.

Gdy się zastanawiał, czy zdoła wkopać drzwi do środka, coś zauważył. Przysunął się bliżej, zerknął przez szparę i znowu się zdziwił. Rygle nie były zasunięte. Po co kupować takie drogie zamki i z nich nie korzystać? Chwyił gałkę. Drzwi były zatrzaśnięte, ale dało się je otworzyć z pomocą „celuloidu”.

Wyjął kartę. Nie pamiętał, kiedy użył jej poprzednio. Wyglądała nieskazitelnie. Wręcz dziewiczo. Wsunął ją w szparę. Mimo że zamek był stary, trafienie na właściwe miejsce zajęło mu pięć minut. Odepchnął zatrzask. Chwyił gałkę. Drzwi się otworzyły. Ledwie je trochę uchylił, uderzył go smród.

Z przedpokoju niczym sprężony gaz buchnął mrozący krew w żyłach fetor. Myron poczuł, jak mu się przewraca żołądek. Lekko go zemdliło, pierś przygniótł ciężar. Znał tę woń. Wystraszony, poszukał w kieszeniach chusteczki, ale nie znalazł. Zatkał więc nos i usta zgiętym łokciem, jak Bela Lugosi w Draculi. Nie miał ochoty tam wchodzić. Źle znosił takie sytuacje. Wiedział, że cokolwiek zobaczy za tymi drzwiami, obraz ten nie opuści go nigdy, nawiedzając nie tylko w nocy, często również w dzień. Że zostanie z nim jak drogi sercu

przyjaciel, co jakiś czas klepiąc go po ramieniu, gdy będzie sądził, że jest sam. Pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Odrażający fetor przeniknął wątlą osłonę z łokcia. Myron próbował wciągać powietrze przez usta, ale nie mógł na myśl o tym, co wdycha. Całe szczęście, że nie musiał zapuszczać się daleko, żeby odkryć źródło smrodu.

- Co to, Bolitar, zmieniłeś wodę kolońską?

- Jajarz z ciebie, Dimonte.

- W mordę, co za smród.

Detektyw nowojorskiego wydziału zabójstw, Roland Dimonte, pokręcił głową. Nie był w mundurze, choć trudno powiedzieć też, że był po cywilnemu. Miał na sobie zieloną jedwabną koszulę i za ciasne, strasznie granatowe dzinsy, których nogawki wpuścił w fioletowe buty z wężowej skóry, mieniające się zależnie od kąta patrzenia jak psychodeliczny plakat z Hendriksem z lat sześćdziesiątych. W ustach międlł wykałaczkę. Pewnie nabrał tego zwyczaju, kiedy, zerknąwszy w lustro, uznał, że wygląda dzięki niej na twardziela.

- Dotykałeś czegoś? - spytał.

- Tylko gałki u drzwi - odparł Myron. Przeszukał też resztę mieszkania, by się upewnić, czy nie ma innych makabrycznych niespodzianek. Nie było.

- Jak tu wszedłeś?

- Drzwi nie były zamknięte.

- Poważnie? - Dimonte uniósł brew i przyjrzał się drzwiom. - Te drzwi zamykają się automatycznie na zatrask.

- Powiedziałem, że nie były zamknięte? Były uchylone.

- Jasne. - Dimonte przygryzł wykałaczkę, pokręcił głową i przeczesał palcami tłuste włosy. Przyklejone do jego czoła loczki ani drgnęły. - Co to za jedna? - spytał.



- Nie wiem - odparł Myron.

Dimonte zacisnął twarz niczym pięść, demonstrując wielki sceptycyzm. Subtelny język ciała nie był jego mocną stroną.

- Mam wyciągnąć pistolet, Bolitar?

- Nie znam jej nazwiska. Może Sally Guerro. A może Carla.

- Uhm. - Wykałaczką poszła w ruch. - Wczoraj widziałem cię w telewizji. Znowu grasz w kosza.

- Gram.

Podszedł do nich wysoki, szczupły koroner w za dużych w stosunku do jego pociągłej twarzy okularach w drucianej oprawie.

- Nie żyje od co najmniej czterech dni - oznajmił.

- Przyczyna?

- Pewności nie mam. Zginęła od ciosu tępym przedmiotem. Więcej dowiem się, kiedy trafi na stół. - Koroner z zawodową obojętnością spojrzał na zwłoki. - Przy okazji, nie są prawdziwe - rzekł do Dimonte'a.

- Co?

Koroner wskazał na tors ofiary.

- Jej piersi. To implanty.

- Boże święty, to ty teraz zabawiasz się z trupami? - spytał Dimonte.

Pociągła twarz koronera zwiotczała, szczeka opadła mu w okolice pępka.

- Wypraszam sobie takie żarty - ostrzegł teatralnym szeptem. - Czy wiesz, jak takie plotki mogą zaszkodzić komuś w moim fachu?

- Dostaje awans?

Koroner nie roześmiał się. Spojrzał z wyrzutem na Myrona, a potem na detektywa.

- Myślisz, że to śmieszne? Robisz sobie jaja z mojej kariery?!

- Wyluzuj, Peretti, tylko się z tobą droczę.  
- Drocysz?! Moja kariera to dla ciebie żart?! Co z tobą?! Dimonte zmrużył oczy.

- Coś taki „ty mnie nie rusz”, Peretti? - spytał.

- Też byś był na moim miejscu - odparł koroner, prostując się.

- Skoro tak mówisz.

- O co ci chodzi?!

- „Ta damula przyrzeka za wiele”.

- Słucham?

- Szekspir - wyjaśnił Dimonte. - To z Makbeta. Spojrzał na Myrona.

Myron uśmiechnął się.

- Z Hamleta - sprostował.

- Gównu mnie obchodzi, skąd to jest! - wybuchnął Peretti. - Nie igra się dobrym imieniem człowieka. Mnie to nie bawi.

- W dupie mam, co cię bawi. Masz coś do dodania? - spytał Dimonte.

- Na głowie ma perukę.

- Perukę? Ja cię kręcę. No, to sprawa rozwiązana. Teraz wystarczy tylko znaleźć zboka, który nienawidzi peruk i fałszywych cycków. Bardzo mi pomogłeś, Peretti. A jakie majtki nosi? Już je obwąchałeś?

- Ja tylko...

- Zrób coś dla mnie, Peretti. - Dimonte wyprostował się i podciągnął spodnie, zaznaczając, znów subtelnie, że to ważna sprawa. - Powiedz mi, kiedy zginęła. Powiedz mi, jak zginęła. A potem pogadamy o jej modnych ciuszkach, zgoda?

Peretti poddał się, unosząc ręce, i wrócił do ciała.

- Implanty i peruka mogą być ważne - wtrącił Myron. - Słusznie ci o tym wspomniał.

- Wiem - przyznał Dimonte. - Ale lubię mu dokuczać.

- A ten cytat z Szekspira brzmi: „Zdaje mi się, że ta dama Przyrzeka za wiele”.

- Aha.

Dimonte zmienił wykałaczkę. Poprzednią rozczochrał zębami Jak grzywę konia.

- Powiesz mi,, co się dzieje, czy mam cię zawlec na komendę? - zagroził.

Myron zrobił minę.

- Zawlec na komendę?

- Nie przeginaj pały, Bolitar, dobra?

Myron zmusił się do spojrzenia na zakrwawione zwłoki. Jego żołądek fikał salta w tył. Myśl, że powoli zaczyna przywykać do smrodu, stała się niemal równie obrzydła jak sam smród. Peretti zabrał się do roboty, rozcinając skalpelem zwłoki, żeby dostać się do wątroby. Myron odwrócił wzrok. Do dzieła przystąpiła ekipa kryminalistyczna z laboratorium Johna Jaya, robiąc zdjęcia i inne rzeczy. Partner Dimonte'a, młody detektyw Krinsky, chodził w milczeniu po mieszkaniu i notował.

- Dlaczego zrobiła sobie takie wielkie? - zapytał Myron.

- Co?

- Piersi. Rozumiem chęć, żeby je powiększyć. Presja społeczna, moda. Ale żeby do aż takich rozmiarów?

- Robisz sobie jaja? - spytał Dimonte.

- Wszystkie jej rzeczy są w tych dwóch walizkach - rzekł Krinsky, wskazując walizki na podłodze.

Myron spotkał go dotąd najwyżej kilka razy. Z pewnością nie był gadułą. Odzywał się chyba tak często, jak on się włamywał.

- Moim zdaniem, wyprowadzała się stąd.

- A wiesz już, jak się nazywała? - spytał Dimonte.

- Z jej portfela wynika, że Sally Guerro - odparł cicho Krinsky. - To samo z jednego z jej paszportów.

Myron i Dimonte czekali na dalszy ciąg. Nadaremnie.

- Jak to, z jednego z paszportów?! - zirytował się Dimonte. - To ile ich miała?

- Trzy.

- Cholera, Krinsky, mów!

- Jeden wystawiony na Sally Guerro. Drugi na Robertę Smith. A trzeci na Carlę Whitney.

- Daj mi je.

Dimonte obejrzał paszporty. Myron zapuścił żurawia przez jego ramię. Ta sama kobieta na wszystkich trzech zdjęciach, choć z różnymi fryzurami (perukami) i numerami ubezpieczenia. Sądząc po liczbie pieczętek, intensywnie podróżowała. Dimonte gwizdnął.

- Fałszywe paszporty - stwierdził. - I to dobrze podrobione. - Przewrócił kilka kartek. - W dodatku kilka razy odwiedzała Amerykę Południową. Kolumbię. Boliwię. - Zamknął paszporty z dramatycznym trzaskiem. - No, no, no. Zdaje się, że trafiliśmy na narkotyki.

Myron przetrwał tę wiadomość. Narkotyki - czy to wyjaśniało częściowo sprawę? Jeżeli Sally-Carla-Roberta handlowała narkotykami, to tłumaczyłoby jej związek z Gregiem Downingiem. Zaopatrywała go w towar. W sobotę spotkali się wyłącznie w celach handlowych. Praca kelnerki służyła za kamuflaż. Wyjaśniało to również, dlaczego korzystała z automatu i miała w drzwiach tak potężne zamki - akcesoria z branży dealerów narkotykowych. Sensowny domysł. Naturalnie Greg nie wyglądał na narkomana, ale nie byłby pierwszym ćpunem, który wszystkich zwiódł.

- Coś jeszcze, Krinsky? - spytał Dimonte. Młody detektyw skinął głową.

- W komodzie przy łóżku znalazłem plik banknotów. - Zamilkł.  
- Przeliczyłeś? - zirytował się Dimonte. Krinsky ponownie skinął głową.

- Ile?

- Trochę ponad dziesięć tysięcy.

- Dziesięć patyków w gotówce? - ucieszył się Dimonte. - Pokaż.

Krinsky wręczył mu banknoty. Nowe, ściśnięte gumką. Myron patrzył, jak detektyw je przegląda. Same setki. Z kolejnymi numerami seryjnymi. Spróbował je zapamiętać. Dimonte rzucił pakiet Krinsky'emu.

- Tak jest - powiedział, wciąż się uśmiechając. - Wszystko pasuje i dowodzi, że trafiliśmy na narkotyki. - Urwał. - Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- Ty, Bolitar. - Dimonte wskazał na Myrona. - Psujesz mi wersję z handlem narkotykami. No, bo co, do diabła, robisz... - Urwał w pół zdania i strzelił palcami. - Jasny gwint... - Klepnął się w skroń, a iskra w jego oku urosła. - Mój Boże!

Ach ta subtelność!

- Coś cię oświeciło, Rolly? - spytał Myron. Dimonte zignorował jego pytanie.

- Peretti! - Co jest?

Koroner podniósł wzrok znad zwłok.

- Te plastikowe cyce. Myron powiada, że są duże.

- Owszem, i co z tego?

- Jak duże?

- Co?

- Jak duże są te cyce?

- Pytasz o rozmiar miski? - upewnił się Peretti.

- No.

- Czy ja produkuję biustonosze? Skąd mam wiedzieć, do kurwy nędzy?

- Ale są duże, no nie?

- Tak.

- Bardzo duże.

- Przecież masz oczy.

Przysłuchując się w milczeniu tej wymianie zdań, Myron próbował podążyć za logiką Dimonte'a - nadzwyczaj zdradliwym tropem.

- Większe od balonów z wodą? - zapytał Dimonte. Peretti wzruszył ramionami.

- Zależy jakich.

- W dzieciństwie nigdy nie napełniałeś balonów kranówką?

- Pewnie, że tak. Ale nie pamiętam, jak duże były te balony. Dzieciom wszystko wydaje się większe. Dwa lata temu zajrzałem do mojej dawnej podstawówki, żeby odwiedzić nauczycielkę z trzeciej klasy. Nadal tam pracuje, dasz wiarę pani Tansmore. Jak Boga kocham, stara buda wydała mi się mała jak domek dla lalek. A kiedy się tam uczyłem, była ogromna. Wielka jak...

- Dobra, ciemna maso, ujmę to jaśniej. - Dimonte wziął głęboki oddech. - Czy można w nich przewieźć narkotyki?

Cisza. Wszyscy w pokoju zamarli. Myron zastanawiał się, czy usłyszał przed chwilą najbardziej durny, czy najbłyskotliwszy domysł na świecie. Spojrzał na Perettiego. Koroner podniósł głowę i rozdziawił usta, jakby polował na muchy.

- No więc, Peretti? Można?

- Co można?

- Czy mogła ukryć narkotyki w cyckach? Przeszmuglować je w nich?

Peretti spojrzał na Myrona. Ten wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł wolno koroner.
- A jak można się o tym przekonać?
- Muszę je obejrzeć.
- No, to co się na mnie gapisz? Do roboty.

Peretti zabrał się do oględzin. Dimonte uśmiechnął się do Myrona. Brwi mu lekko zatańczyły. Był dumny ze swojej dedukcji. Myron milczał.

- Wykluczone - oznajmił Peretti.
- A to czemu?! - spytał zawiedziony Dimonte.
- Nie ma zbliznowaceń. Gdyby szmuglowała w nich narkotyki, musieliby rozcinać i zaszywać skórę. A potem to samo powtarzać w Stanach. A takich śladów brak.

- Jesteś pewien?
- Całkowicie.
- Szlag by to! - Dimonte spojrzał groźnie na Myrona i zaciągnął go w kąt. - Chcę wiedzieć wszystko, Bolitar. Ale już.

Jak to rozegrać? - zastanawiał się Myron, choć po prawdzie nie miał wyboru. Musiał mu powiedzieć. Nie mógł dłużej taić, że Greg Downing zniknął. Miał jedynie nadzieję, że to się nie rozniesie. W tym momencie przypomniał sobie, że na zewnątrz czeka Norman Lowenstein.

- Jedną chwilę - rzekł.
- Co? A ty dokąd?
- Zaraz wracam. Zaczekaj.
- Akurat.

Dimonte puścił się za nim po schodach i wypadł na ganek. Normana nie było. Myron rozejrzał się. Ani śladu Lowensteina. Nic dziwnego. Pewnie czmychnął na widok policji. Bezdomny, winny czy

niewinny, szybko uczy się, że najlepiej ulotnić się z miejsca, gdzie zjawia się władza.

- O co chodzi? - spytał Dimonte.

- O nic.

- Więc gadaj. Od początku.

Myron powiedział prawie wszystko. Jego opowieść o mały figiel nie wytrąciła Dimonte'owi wykałaczkę z ust. O nic nie pytał, za to, kiedy Myron robił pauzy, wykrzykiwał „Kurza pała!” i „Ja piórkuje!”. Na koniec zatoczył się do tyłu i usiadł na stopniach ganku. Przez kilka ładnych chwil, nim wreszcie się pozbierał, patrzył niewidzącym wzrokiem.

- Niewiarygodne! - rzekł wreszcie. Myron skinął głową.

- Twierdzisz, że nikt nie wie, gdzie jest Downing?

- Jeżeli wiedzą, to nie mówią.

- Po prostu zniknął?

- Na to wygląda.

- I w suterenie jego domu jest krew?

- Tak.

Detektyw znów pokręcił głową. Opuścił rękę i położył ją na prawym bucie. Myron widział już kiedyś ten gest. Dimonte lubił z jakiegoś powodu pieścić buty. Dlaczego, nie wiadomo. Może dotyk wężowej skóry go koił. Może przypominał mu łono matki.

- Przypuśćmy, że Downing zabił ją i uciekł - rzekł Dimonte.

- To bardzo duże „przypuśćmy”.

- Owszem, ale pasuje.

- Niby jak?

- Powiedziałeś, że Downing spotkał się z ofiarą w sobotę wieczorem. O ile się założysz, że kiedy Peretti weźmie ją na stół, to okaże się, że zginęła mniej więcej w tym czasie?



- To jeszcze nie znaczy, że Downing ją zabił.

Dimonte przyśpieszył pieszczoty buta. W dole minął ich mężczyzna na łyżworolkach, któremu próbował dotrzymać tempa mocno zziębnięty pies.

Pomysł na nowy produkt: łyżworolki dla psów.

- W sobotę Greg Downing i ofiara spotkali się wieczorem w śródmiejskiej knajpce. Wyszli stamtąd około jedenastej. Co dalej? Wiemy, że ona nie żyje, a on zniknął. - Dimonte spojrzał na Myrona.

- To wskazuje, że zabił ją i zwiął.

- To wskazuje na tuzin innych rzeczy.

- Na przykład?

- Na przykład, że Greg był świadkiem morderstwa, wystraszył się i uciekł. Albo że był świadkiem morderstwa i go porwano. Kto wie, czy ci sami ludzie go nie zabili.

- Gdzie w takim razie jest ciało? - spytał Dimonte.

- Może być wszędzie.

- Dlaczego nie zostawili go tutaj, z jej zwłokami?

- Może zabili go gdzie indziej. A może zabrali zwłoki, bo jest sławny, a oni chcą uniknąć szumu.

- Fantazjujesz, Bolitar.

- Ty też.

- Może. Pozostaje jedno. - Dimonte wstał. - Trzeba rozesłać przez radio komunikat wewnętrzny o Downingu.

- Zaraz, zaraz. To nie jest dobry pomysł.

Dimonte spojrzał na Myrona jak na niespuszczoną zawartość muszli klozetowej.

- Bardzo przepraszam - rzekł z fałszywą grzecznością. - szanowny pan bierze mnie za kogoś, kto ma gdzieś, co pan myśli. Chcesz

nadać przez policyjne radio list gończy za sławnym, uwielbianym sportowcem?

- Mam go traktować po uważaniu, bo jest sławny i uwielbiany?

- Skądże - odparł Myron, myśląc gorączkowo. - Zastanów się, co się stanie, kiedy go nadasz. Pochwyci go prasa i rozpętasz gorączkę taką jak ta wokół O. J. Simpsona. Z pewną różnicą. Ty nie masz nic na Downinga. Ani motywu. Ani materialnego dowodu. Zero.

- Na razie - przyznał Dimonte. - Za wcześniej jednak...

- Otóż to, za wcześniej. Radzę ci, zaczekaj. I działaj zgodnie z prawem, bo świat będzie ci patrzył na ręce. Każ tym głąbom na górze, by starannie rejestrowali na taśmie każdy twój krok. Nie zostawiaj niczego przypadkowi. Nie dopuść, żeby ktoś zarzucił ci później, że coś spaskudziłeś albo naciągnąłeś fakty. Zanim wejdiesz do domu Downinga, weź nakaz przeszukania. Wszystko rób zgodnie z regulaminem.

- Jasne, ale nadam również komunikat.

- Dimonte, załóżmy, że Greg Downing ją zabił. Czy wiesz, co nastąpi, jeśli nadasz ten komunikat? Po pierwsze, uznają, że wbiłeś sobie do łba, że to Downing, i tyle. Że masz klapki na oczach. Po drugie, ściągniesz sobie na kark media. Będą śledzić każdy twój ruch, starać się pierwsi dotrzeć do dowodów, komentować i podważać wszystko, co robisz. Po trzecie, jeżeli teraz wmieszasz w to Grega, to czy zdajesz sobie sprawę, z jakimi pijawkami zadrzesz?

Dimonte skinął głową i zrobił minę, jakby ssał cytrynę.

- Jebani prawnicy.

- Z gażami jak gwiazdy koszykówki. Nim cokolwiek na niego znajdziesz, wypełnią wnioski, wszystko zablokują i... znasz resztę.

- Kurwa mać! - zaklął Dimonte. Myron skinął głową.

- Rozumiesz? - spytał.

- Rozumiem. Ale o czymś zapomniałeś, Bolitar. - Dimonte zademonstrował, jak się gryzie wykałaczkę. - Gdybym puścił ten komunikat, twoje małe zespołowe śledztwo diabli by wzięli. Przegrałbyś.

- Możliwe - odparł Myron.

Dimonte przyjrzał mu się z krzywym uśmiechem.

- Co nie znaczy, że nie masz racji, i nie myśl, że nie kapuję, co kombinujesz.

- Czytasz we mnie tak płynnie jak Vasco da Gama mapę. Dimonte posłał mu kose spojrzenie. Myron poskromił chęć, żeby wyrzucić oczami.

- A więc zagramy tak. Zostaniesz w zespole, kontynuując swoje małe śledztwo. A ja postaram się zachować dla siebie, co mi powiedziałeś, tak długo - dla podkreślenia Dimonte uniósł palec - tak długo, jak uznam za stosowne. Jeżeli znajdę dość dowodów na Downinga, wypuszczę komunikat. A ty będziesz mnie informował o wszystkim. Niczego nie zataisz. Masz pytania?

- Tylko jedno - odparł Myron. - Gdzieś kupił swoje buty?

W drodze na trening zadzwonił z telefonu w samochodzie.

- Higgins - odezwał się głos.

- Fred? Tu Myron Bolitar.

- Hej, kopę lat. Co u ciebie, Myron?

- Nie narzekam. A u ciebie?

- W Departamencie Stanu ciągle coś się dzieje.

- Jasne.

- Jak tam Win? - spytał Higgins.

- Bez zmian.

- Ten gość przyprawia mnie o ciarki, wiesz, o czym mówię?

- Pewnie.
- Tęsknicie za robotą dla federalnych?
- Ja nie - odparł Myron. - Win chyba też nie. Nie mógł się w niej wyżyć.
- Wszystko słyszę. Ej, wyczytałem w gazetach, że znowu grasz.
- Tak.
- W twoim wieku i z takim kolanem? Jak to możliwe?
- Długo by mówić, Fred.
- Ani słowa więcej. Ej, w następnym tygodniu przyjeżdżacie do nas zagrać z Bullets. Załatwisz mi bilety?
- Zrobię, co się da.
- Świetnie, dzięki. O co chodzi, Myron?
- O informację na temat studenckich banknotów. Z kolejnymi numerami. Z serii B028856011A.
- Na kiedy ją potrzebujesz?
- Jak najszybciej.
- Zrobię, co będę mógł. Trzymaj się, Myron.
- Ty też, Fred.

Nie stracił nic ze swoich walorów. Wyluzował się. Niesamowite uczucie, przemożne. Grał jak z nut. Kiedy strzelał, niewidzialna ręka zdawała się nieść piłkę do kosza. Gdy kozłował, piłka stawiała się przedłużeniem dłoni. Zmysły miał wyostrzone niczym wilk w puszczy. Czuł się tak, jakby wpadł w czarną dziurę i wyłonił się z niej dziesięć lat wcześniej na akademickich finałach koszykówki. Nawet kolano sprawowało się wspaniale.

Trening wypełniła głównie gra wyjściowej piątki z pięcioma najczęściej grzejącymi ławę. Myronowi wychodziło wszystko. Strzały na kosz z wysoku. Bloki, po których gotów był do

natychmiastowego rzutu. Do tego wykonał dwa rajdy na kosz - wpadając w paszczę strefy obrotowych - i oba zakończył zwycięsko.

Zdarzały się chwile, że zapominał o Gregu Downingu, poharatanych zwłokach Carli-Sally-Roberty, krwi w suterenie, zbirach, którzy go napadli, a nawet - tak, tak - o Jessice. W żyłach płynęła mu rozkoszna energia - energia sportowca u szczytu formy. Mówiono o fizycznym błogostanie biegaczy, euforii spowodowanej wydzielinami gruczołów, gdy ciało jest zmuszone do najwyższego wysiłku. Wprawdzie nie mógł tego odnieść do siebie, lecz rozumiał towarzyszące wyczynowi sportowemu wzloty i upadki. Jeśli grałeś dobrze, twoje ciało rozsadzał wigor, a do oczu cisnęły się łzy czystej radości. Wigor ten trwał do późna w nocy - leżałeś w łóżku, nie mogąc zasnąć, i odtwarzałeś najwspanialsze chwile, często w zwolnionym tempie, niczym nadgorliwy sprawozdawca sportowy z palcem na guziku „replay”. Kiedy grałeś źle, godzinami, a nawet dniami chodziłeś opryskliwy i struty. Oba te biegunowe nastroje wyolbrzymiały znaczenie uderzenia piłki kijem, ciśnięcia nią z wielką prędkością lub przepchnięcia jej przez metalową obręcz. Jeśli grałeś słabo, próbowałeś się pocieszać, że to głupie przejmować się czymś tak błahym. Ale gdy wzbijałeś się na szczyt własnych możliwości, zamykałeś usta gadule, który siedział w tobie.

Kiedy Myron biegał tam i z powrotem po parkiecie niesiony falami zmiennych akcji, tylną furtką wkradła mu się do głowy myśl. Trzymała się z boku, kryła za kanapą, pojawiała się co jakiś czas na moment, żeby zaraz znów się schować. Dasz radę, drwiła z niego. Znów możesz grać.

Jego szczęśliwa passa trwała także w pojedynkach z Leonem White'em, najlepszym kumplem Grega, z którym dzielił pokój na wyjazdach. W trakcie gry nawiązali ze sobą rodzaj więzi, jaka łączy

kolegów z drużyny, a nawet przeciwników. Czekaając pierś w pierś na podanie, wymieniali szeptem na ucho krótkie żarty. Klepali się po plecach, komplementując za udane zagrania. Leon był facetem z klasą. Żadnych docinków. Nawet gdy Myron przestrzelił lub, cofając się za pole trzech sekund, padł na tyłek, Leon White miał dla niego wyłącznie słowa zachęty.

Coach Donny Walsh dmuchnął w gwizdek.

- Wystarczy, panowie - oznajmił. - Po dwadzieścia osobistych i do domu.

Leon i Myron uściśli sobie dłonie, przybijając piątki, tak jak robią to tylko dzieci i zawodowi sportowcy. Myron zawsze uwielbiał tę część treningu, niemal żołnierskie poczucie koleżeństwa. Nie doświadczył go od lat. Było wspaniałe. Gracze podzielili się na pary - jeden strzelał, drugi zbierał i podawał - rozeszli się pod kosze. Znów dopisało mu szczęście, bo stworzył parę z Leonem White'em. Wzięli ręczniki, butelki z wodą i przeszli pod trybunami. Siedzieli na nich trochę reporterów. Wśród nich naturalnie Audrey. Spojrzała na Myrona z rozbawionym uśmiechem. Oparł się pokusie, żeby pokazać jej język lub tyłek. Treningowi przyglądał się też Calvin Johnson. Stał w garniturze, oparty o ścianę, jakby pozował do niepozowanego zdjęcia. W czasie sparingu Myron próbował ocenić jego reakcję, ale z miny Mrożonki nie dało się oczywiście nic wyczytać.

Rzucił pierwszy. Stanął na linii, z szeroko rozstawionymi nogami i oczami utkwionymi w obręczy. Lecąca ze wsteczną rotacją piłka przeszła kosz.

- Będziemy dzielić pokój - powiedział Myron.

- Tak słyszałem - odparł Leon.

- Pewnie niedługo. - Myron znowu strzelił. Kosz zaszeleścił. - Jak myślisz, kiedy wróci Greg?

Leon złapał piłkę i płynnie mu ją odrzucił.

- Nie wiem.
- Jak on się czuje? Z jego kostką lepiej?
- Nie wiem - powtórzył Leon.

Po kolejnym rzucie osobistym kosz znów zaszeleścił. Przepocona koszulka przyjemnie ciążyła. Myron chwycił ręcznik i wytarł twarz.

- Rozmawiałeś z nim? - spytał.
- Nie.
- Dziwne.

Leon podał mu piłkę.

- Co jest dziwne?

Myron wzruszył ramionami, zrobił cztery kozły.

- Słyszałem, że się przyjaźnicie - odparł. Leon uśmiechnął się półgębkiem.

- Kto tak mówi?

Myron strzelił. Kosz zaszeleścił.

- Różni. Gazety et cetera.
- Nie wierz wszystkiemu, co przeczytasz.
- Dlaczego? Leon przekazał mu kozłem piłkę.
- Prasa uwielbia zaprzyjaźniać z sobą białych i czarnych graczy.

Wciąż szukają kogoś na wzór Gale'a Sayersa i Briana Piccolo.

- Nie jesteście przyjaciółmi?
- Cóż, znamy się od dawna, fakt.
- Ale nie jesteście zżyci?

Leon spojrział na niego podejrzliwie.

- Co tak wypytyujesz?
- Po prostu rozmawiam. Z tym zespołem łączy mnie jedynie Greg.
- Łączy?

Myron wznowił kozłowanie.

- Kiedyś byliśmy rywalami.

- No i?

- A będziemy kolegami z drużyny. Dziwne uczucie.

Myron przestał kozłować, bo Leon utkwiał w nim wzrok.

- Myślisz, że Greg dba o dawną rywalizację z uczelni? - W głosie Leona zabrzmiało niedowierzanie.

- Była bardzo zażarta... To znaczy, wtedy - odparł Myron, wiedząc, że brzmi to bardzo nieprzekonująco.

Nie patrząc na Leona, oddał strzał.

- Nie chcę cię urazić - rzekł Leon. - Dzielę z Gregiem pokoje od ośmiu lat, ale ani razu o tobie nie wspomniał. Nawet gdy rozmawialiśmy o studiach.

Szykujący się do rzutu Myron znieruchomiał i spojrzał na Leona, próbując zachować obojętną minę, bo choć bardzo nie chciał się do tego przyznać, jego słowa, o dziwo, zabolowały go.

- Strzelaj. Chcę już jechać - ponaglił Leon.

Ciężkim krokiem podszedł do nich T.C. W dłoniach miał dwie piłki, które trzymał z taką łatwością, jakby to były grejpfruty. Upuścił jedną i po rytualnej wymianie uścisków i klepnięć dłoni z Leonem spojrzał z szerokim uśmiechem na Myrona.

- Pamiętam, pamiętam - zapewnił Myron. - Łomot, tak? T.C. skinął głową.

- A co się za tym kryje? - spytał Myron.

- Dziś wieczorem wszystko się wyjaśni - odparł T.C. - Na imprezie w moim domu.

Na parkingu pod stadionem Meadowlands czekał Dimonte.

- Wsiadaj - powiedział, wychylając się z czerwonej corvetty.

- Czerwona corvette? Dlaczego mnie to nie dziwi?



- Wskakuj.

Myron otworzył drzwiczki i wsunął się na fotel z czarnej skóry. Choć silnik był zgaszony, Dimonte ścisnął dłońmi kierownicę i patrzył przed siebie. Twarz miał białą jak prześcieradło. Wykałaczką zwisała mu z ust. Subtelny jak zwykle, raz po raz kręcił głową.

- Coś się stało, Rolly?

- Jaki jest ten Downing?

- Słucham?

- Głuchy jesteś?! - rozeźlił się Dimonte. - Jaki jest?

- Nie wiem. Od lat nie zamieniłem z nim słowa.

- Ale znałeś go, tak? W szkole. Jaki był? Zadawał się z wywrotowcami?

Myron zatrzymał na nim wzrok.

- Z wywrotowcami?

- Odpowiedz na pytanie.

- Co ty pleciesz? Z wywrotowcami?!

Dimonte włączył zapłon. Narobił hałasu. A potem dodał gazu, żeby silnik się rozkręcił. Chevrolet - podrasowany na samochód wyścigowy - ryczał tak, że mucha nie siada (ze strachu). Dobrze, że w pobliżu nie było kobiet, bo na dźwięk tego męskiego zewu godowego w te pędy wyskoczyłyby z szatek. Detektyw wreszcie wrzucił bieg.

- Dokąd jedziemy? - spytał Myron.

Dimonte nie odpowiedział. Wjechał na estakadę, łączącą halę ze stadionem Gigantów i torem wyścigów konnych.

- Czy to jedna z moich ulubionych randek w ciemno? - zażartował Myron.

- Nie graj w wała i odpowiedz na pytanie.

- Jakie?

- Jaki jest Downing? Muszę wiedzieć o nim wszystko.

- Pytasz nie tego, co trzeba, Rolly. Nie znam go za dobrze.

- No, to mów, co wiesz o nim na pewno - zażądał Dimonte tonem niemal wykluczającym sprzeciw.

Jego głos, nie tak sztucznie supermęski jak zwykle, dziwnie drżał. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Greg wychował się w New Jersey - zaczął Myron. - Jest świetnym koszykarzem. Rozwiódł się, ma dwójkę dzieci.

- Chodziłeś z jego żoną, tak?

- Dawno temu.

- Czy ona była lewicowa?

- Rolly, gadasz całkiem od czapy.

- Odpowiedz na pytanie! - W mającym wyrażać gniew i zniecierpliwienie głosie Dimonte'a górę wziął strach. - Nazwałbyś ją polityczną radykałką?

- Nie.

- Nigdy nie zadawała się z wywrotowcami?

- Z wywrotowcami? To jest takie słowo? Dimonte pokręcił głową.

- Czy ja jestem w nastroju do wysłuchiwania twoich pierdół? - spytał.

- Dobrze, dobrze.

Myron zrobił gest, że się poddaje. Corvette zatoczyła łuk na pustym parkingu pod stadionem.

- Nie, Emily nie zadawała się z żadnymi wywrotowcami.

Minęli tor wyścigów konnych i pomknęli drugą estakadą i powrotem w stronę hali. Okrążali wielkie połacie brukowanych parkingów kompleksu sportowego Meadowlands.

- No, to wróćmy do Downinga.

- Powiedziałem już, że nie rozmawiałem z nim od lat.

- Ale sporo o nim wiesz. Poszukujesz go. Pewnie nie mało o nim czytałeś. - Dimonte włączył wyższy bieg. Dodał gazu - Myślisz, że jest rewolucjonistą?

- Nie, panie przewodniczący - odparł Myron, nie pojmując jego pytań.

- Nie wiesz, z kim przestaje?

- Nie bardzo. Podobno najbliższym był z graczami z drużyny, ale Leon White, kolega, z którym dzieli pokój na wyjazdach, chyba niezbyt za nim przepada. Aha, jest coś, co cię może zainteresować: po meczach tutaj Downing zamienia się w taksjarza.

- Pobiera opłaty za kurs itp.? - zdziwił się Dimonte.

- Tak.

- A po kiego grzyba?

- Greg jest trochę... - Myron poszukał słowa - nie tego.

- Aha. - Dimonte potarł twarz z taką energią, jakby czyścił szmatą zderzak. Przez kilka sekund nie patrzył na drogę. Na szczęście mknęli przez pusty parking. - Czuje się przez to bardziej normalnie? O to chodzi? O zbliżenie się do szarych mas?

- Pewnie tak - odparł Myron.

- Co dalej? Ma jakieś zainteresowania? Hobby?

- To miłośnik przyrody. Lubi wędkować, polować, wędrować, pływać łodzią, jak to goj.

- Zwolennik powrotu do natury?

- Poniekąd.

- Życia na łonie natury, we wspólnocie?

- Na łonie natury owszem, ale w pojedynkę.

- Nie domyślasz się, gdzie może być?

- Nie.

Dimonte dodał gazu, okrążył halę, podjechał do forda taurusa i stanął.

- Dobra, dzięki, za pomoc. Pogadamy później.
- Zaraz, zaraz. Myślałem, że pracujemy razem.
- To się myliłeś.
- Nie powiesz mi, co się dzieje?
- Nie - rzekł zaskakująco cicho Dimonte.

Reszta zespołu już się rozjechała. Na pustym placu stał jedynie taurus.

- Jest aż tak źle? - spytał Myron. Dimonte ani drgnął. Niedobrze.
- Wiesz, kim ona jest, tak? Zidentyfikowaliście ją? Dimonte poprawił się w fotelu. Znowu potarł twarz.
- Nic jeszcze nie jest pewne - mruknął.
- Musisz mi powiedzieć, Rolly.
- Nie mogę. Detektyw pokręcił głową.
- Nikt się nie dowie. Wiesz przecież...
- Wyskakuj z wozu, Myron. - Dimonte sięgnął ponad kolanami Myrona i otworzył drzwiczki. - Już cię nie ma.

T.C. mieszkał na jednej z lepszych ulic Englewood w New Jersey, w otoczonej dwumetrowym ceglany murem, wybudowanej na przełomie wieków rezydencji z czerwonej cegły. Przy tej samej ulicy rezydował Eddie Murphy, a także należący do pięćsetki najbogatszych z listy „Forbesa” trzej prezesi zarządów oraz kilku największych japońskich bankierów. Przy bramie była stróżówka, Myron podał nazwisko. Strażnik sprawdził je na liście.

- Proszę zaparkować na podjeździe. Przyjęcie jest za domem - poinformował.

Podniósł bramę w czarno-żółte pasy i dał Myronowi znak, żeby wjechał. Myron zaparkował obok czarnego bmw. Stało tam już około tuzina innych samochodów, lśniących po świeżym myciu i woskowaniu albo po prostu nowych. Głównie mercedesów benz, ale też kilka bmw, bentley, jaguar, rolls. Jego taurus pasował tu jak przyszcz do reklamy kosmetyków Revlon.

Trawnik przed domem był idealnie zadbane, a ceglanej fasady strzegły perfekcyjnie przystrzyżone krzewy. Z tą majestatyczną scenerią ostro kontrastowała nastawiona na ful muzyka rapowa z głośnikami. Krzewy najwyraźniej boleśnie odbierały jej ryk. Dla Myrona nie cały rap był dopustem bożym. Kawałki Johna Tesha i Yanniego codziennie potwierdzały, że może być coś jeszcze gorszego. Niektóre piosenki raperskie uważał za ciekawe, a nawet głębokie. Wiedział jednak, że muzyka rap jest nie dla niego. Nie rozumiał jej i podejrzewał, że tak właśnie ma być.

Wokół dobrze oświetlonego basenu, nad którym odbywało się przyjęcie, snuło się dość ospałe około trzydziestu osób. Myron miał na sobie granatową marynarkę, prążkowaną koszulę z kołnierzykiem na guziczki, kwiecisty krawat i mokasyny od J. Murphy'ego. Bolitar elegant. Win byłby z niego dumny. Niemniej w porównaniu z innymi koszykarzami prezentował się raczej skromnie. Trzeba stwierdzić, ryzykując osądzenie o rasizm, że czarni gracze - w drużynie Smoków grało obecnie tylko dwóch białych - wiedzieli, jak ubierać się z fasonem. Wprowadzie nie w jego stylu (jeśli miał jakiś styl), ale z fasonem na pewno. Wyglądali jak grupa modeli szykujących się do wyjścia na wybieg pokazu mody w Mediolanie. Idealnie skrojone garnitury. Jedwabne koszule zapięte pod szyją. Bez krawatów. Buty lśniące jak lustra.

T.C. spoczywał na szezlongu przy płytszym końcu basenu. Otaczająca go grupa białych o wyglądzie studentów college'u reagowała śmiechem na każde jego słowo. Myron dostrzegł też Audrey. Strasznie się wystroiła - do swojego powszedniego dziennikarskiego uniformu dodała na tę okazję perły. Nim zdążył dołączyć do towarzystwa, podeszła do niego kobieta około czterdziestki.

- Witam - powiedziała.

- Cześć.

Riposta godna mistrza słowa.

- Myron Bolitar, prawda? Jestem Maggie Mason - przedstawiła się.

- Cześć, Maggie. Uścisnęli sobie dłonie.

Miała silny chwyt, miły uśmiech. Ubrana konserwatywnie: w białą bluzkę, grafitowy żakiet, czerwoną spódnicę i czarne czółenka, ale włosy puszczone luzem i w lekkim nieładzie, jakby przed chwilą rozplotła kok. Szczupła, atrakcyjna, idealnie pasowała do roli adwokatki w Prawnikach z Miasta Aniołów. Uśmiechnęła się.

- Pewnie nie wiesz, kim jestem - zagadnęła.

- Nie, przepraszam, nie wiem.

- Nazywają mnie Łomot.

- Mhm - odbąknął, gdy nic nie dodała.

- T.C. nic ci nie mówił?

- Wspomniał coś o Łomocie...

Myron urwał w pół słowa. Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

- Nie rozumiem - rzekł po dłuższej chwili.

- Nie ma co rozumieć - odparła rzeczowo. - Zaliczam wszystkich graczy z drużyny. Jesteś nowy. Twoja kolej.

Myron otworzył usta.

- Nie wyglądasz na fankę-zaliczankę - rzekł.

- Fankę? - Pokręciła głową. - Boże, nienawidzę tego słowa.
- Zamknął oczy i uszczypnął się w grzbiet nosa.
- Sprawdź, czy dobrze cię zrozumiałem.
  - Proszę.
  - Spałaś ze wszystkimi koszykarzami Smoków?
  - Tak.
  - Nawet z żonatymi?
  - Tak - potwierdziła. - Ze wszystkimi, którzy grali w tej drużynie od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Wtedy zaczęłam ich zaliczać. Od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego zaliczam Gigantów.
  - Zaraz. A więc jesteś również fanką futbolistów?
  - Uprzedzałam, że nie znoszę określenia „fanka”.
  - A jakie by ci odpowiadało? Przekrzywiła głowę, zachowując uśmiech.
  - Pracuję na Wall Street w bankowości inwestycyjnej - Powiedziała.
  - Ciężko haruję. Chodzę na kursy gotowania i mam fioła na punkcie ćwiczeń ze stepem. Według obowiązujących norm jestem w sumie całkiem normalna. Nikogo nie krzywdzę. Nie chcę wychodzić za mąż ani być w stałym związku. Mam za to ten mały fetysz. Seks z zawodowymi sportowcami.
- Uniosła palec wskazujący.
- Tylko z graczami Gigantów i Smoków.
  - Miło widzieć w tej epoce braku lojalności taką wierność barwom klubowym.
- Roześmiała się.
- Zabawne.
  - Czyżbyś spała ze wszystkimi Gigantami?

- Prawie. Mam miejsca na wprost środka boiska. Po każdym meczu łomoczę dwóch zawodników: napastnika i obrońcę.

- Wybierasz dwóch „najbardziej wartościowych graczy”?

- Właśnie.

Myron wzruszył ramionami.

- Bardziej cię to rajcuje niż piłka meczowa?

- Tak - odparła wolno. - Na pewno bardziej niż piłka meczowa.

Przetarł oczy. Czacha dymiła, mózg się lasował! Otaksował ją wzrokiem. A ona jego.

- Skąd się wziął twój przydomek? - spytał.

- Nie jest tak, jak myślisz.

- Jak myślę o czym?

- Skąd się wziął przydomek „Łomot”. Wszyscy myślą, że się bzykam jak królicia.

- Nie stąd?

- Nie. - Podniosła oczy. - Jak by to delikatnie ująć?

- Zależy ci na delikatności? Skarciła go wzrokiem.

- Nie bądź taki.

- Jaki?

- Prawicowy, ograniczony, prymitywny jak Pat Buchanan. Ja też mam serce.

- Powiedziałem, że nie masz?

- Nie, ale tak się zachowujesz. Nikogo nie krzywdzę. Jestem uczciwa. Postępowa. Bezpośrednia. Panuję nad tym, co robię i z kim. Jestem szczęśliwa.

- I zaraźliwa - usłyszał własny głos i natychmiast pożałował tych słów. Wymknęły mu się.

- Słucham?!



- Przepraszam. To było bardzo niestosowne - rzekł, spostrzegając, że uderzył w czułą strunę.

- Mężczyźni, z którymi uprawiam seks, wkładają prezerwatywy - odpaliła. - Często się badam. Jestem zdrowa.

- Przepraszam. Nie powinienem tego mówić.

- I nie śpię z nikim, kto mógłby mnie czymś zarazić - dodała. - Jestem ostrożna.

Myron przygryzł wargę. Przegrał starcie.

- Mój błąd - przyznał. - Nie chciałem. Przepraszam. Wybacz mi.

Piersi jej falowały, ale już się uspokoiła.

- Zgoda - odparła na wydechu. - Wybaczam.

Ich oczy znów się spotkały i wymienili uśmiechy. O wiele za długie. Myron poczuł się jak uczestnik teleturnieju. Z dziwnego półtransu wyrwała go pewna myśl.

- Spałaś z Gregiem Downingiem? - spytał.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim. Był jednym z moich pierwszych Smoków.

Greg pewnie po tym napęczniał z dumy.

- Widujecie się nadal?

- Oczywiście. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaźnię się prawie ze wszystkimi, których zaliczyłam. Z większością.

- Często rozmawiacie?

- Czasami.

- A ostatnio?

- Z miesiąc, może dwa temu.

- Nie wiesz, czy się z kimś spotyka? Maggie Łomot spojrzała na niego bacznie.

- Dlaczego o to pytasz?

Myron wzruszył ramionami.

- Podtrzymuję rozmowę - rzekł, znów nieprzekonująco.

Dziwny temat.

- Dużo o nim myślałem. Tyle powiedziano o naszej historii o przyjsciu do jego druzyny. Dało mi to do myślenia.

- Do myślenia o jego życiu erotycznym?

Nie kupiła tego wyjaśnienia.

Wzruszył lekko ramionami i wymamlał coś, czego sam nie rozumiał. Z drugiego końca basenu dobiegł śmiech. Grupę jego nowych kolegów rozśmieszył jakiś żart. Był wśród nich Leon White. Napotkał spojrzenie Myrona i skinął mu głową. Myron odpowiedział skinieniem. Wprawdzie nikt nie gapił się na niego i Maggie Łomot, ale wszyscy wiedzieli, po co do niego podeszła. Znów poczuł się jak w college'u, lecz tym razem nie przeżył nawrotu miłych wspomnień. Widząc, że Łomot ponownie lustruje go z uwagą zwężonymi oczami, starał się zachowywać swobodnie, choć czuł się jak dureń. Nie lubił tak jawnego taksowania. Spróbował spojrzeć jej w twarz.

Nagle uśmiechnęła się i splotła ręce.

- Nareszcie rozumiałam - powiedziała.

- Co?

- To oczywiste.

- Co jest oczywiste?

- Chcesz się zemścić.

- Zemścić? Za co?

Na chwilę jej uśmiech się poszerzył.

- Greg ukradł ci Emily. Dlatego chcesz ukraść kogoś jemu.

- Wcale mi jej nie ukradł - odparł szybko Myron obronnym tonem, który mu się nie spodobał. - Emily i ja zerwaliśmy ze sobą, zanim zaczęła się spotykać z Gregiem.

- Skoro tak twierdzisz.

- Twierdę.

Cięta riposta. Maggie Mason zaśmiała się gardłowo i położyła rękę na jego ramieniu.

- Spokojnie, tylko się z tobą droczę - zapewniła. Znów na niego spojrzała. Mając dość ciągłych kontaktów wzrokowych, wpatrzył się w jej nos.

- No więc jak, zrobimy to? - spytała.

- Nie.

- Jeżeli boisz się złapać...

- Nie boję. Jestem z kimś związany.

- I co z tego?

- To, że jej nie zdradzę.

- A kto żąda od ciebie zdrady? Mnie chodzi wyłącznie o seks.

- Według ciebie, te dwie rzeczy się wykluczają?

- Pewnie. Ten stosunek w żaden sposób nie wpłynie na wasz związek. Nie żądam, żebyś przestał kochać swoją dziewczynę. Ani myślę wkraczać w twoje życie. Nie chcę żadnej zażyłości.

- Jaka z ciebie romantyczka.

- Sam widzisz. To nie romans, to zwykły akt fizyczny. Owszem, bardzo przyjemny, ale czysto cielesny. Tak jak uścisk dłoni.

- Uścisk dłoni - powtórzył Myron. - Powinnaś pisać teksty na kartki z życzeniami.

- Ja tylko mówię, jak jest. Cywilizacje przeszłości, znacznie przewyższające nas intelektualnie, rozumiały, że uciechy cielesne nie są grzechem. Skojarzenie erotyki z poczuciem winy to nowożytna, absurdałna fiksacja. Koncepcja łącząca seks z posiadaniem jest spadkiem po surowych purytanach, którzy chcieli zachować kontrolę nad swoją główną własnością, żoną.

Historiozofka, pomyślał Myron. Jak miło.

- Gdzie jest napisane, że dwoje ludzi, którzy nie są w sobie zakochani, nie może osiągnąć szczytów fizycznej ekstazy? - ciągnęła.

- Przecież to absurd! Idiotyzm!

- Być może. Ale ja i tak mówię pas, dzięki.

Wzruszyła ramionami w geście „jak chcesz”.

- T.C. będzie bardzo zawiedziony - powiedziała.

- Jakoś to przeżyje.

- No cóż - odezwała się po chwili. - Pora wmieszać się w tłum. Miło się z tobą rozmawiało, Myron.

- To było niezapomniane przeżycie - odparł.

Myron również wmieszał się w tłum. Jakiś czas spędził z Leonem White'em. Leon przedstawił mu swoją żonę, blond seksbombę imieniem Fiona. Jak wyjętą z „Playboya”. Należała do kobiet, które najzwyczajszą rozmowę zamieniają w długą grę dwuznaczników. Miała matowy głos i była tak nawykła do rozsiewania powabów, że nie bardzo wiedziała, kiedy zaniechać siewu. Po krótkiej pogawędce przeprosił ich i odszedł.

Od barmana usłyszał, że w barku nie ma yoo-hoo. Wziął więc oranginę. Nie sodówkę z sokiem pomarańczowym, oranginę! Jak europejsko! Łyknął. Smakowało.

Ktoś klepnął go w plecy. T.C. W białych skórzanych spodniach, takiejż kamizelce, bez koszuli, za to w ciemnych okularach wyglądał jak model z magazynu „Gentelman's Quaterly”.

- Dobrze się bawisz? - spytał.

- Niezgorzej - odparł Myron.

- Chodź. Coś ci pokażę.

Odeszli od towarzystwa, wspinając się w milczeniu na trawiasty pagórek. Stok stawał się coraz bardziej stromy, muzyka coraz cichsza. Zamiast rapu słyhać było niekonwencjonalnych Cranberries.

Myron lubił ich piosenki. W tej chwili leciała Zombie. Dolores O'Riordan śpiewała raz po raz „W twojej głowie, w twojej głowie”, a kiedy się zmęczyła, zaczęła powtarzać do znudzenia „zombi, zombi, zombi”. Zgoda, Cranberries mogliby popracować nad słowami refrenu, ale piosenka i tak działała na słuchaczy. Na wzgórzu nie było świateł, ale wystarczał blask tych znad basenu. Gdy dotarli na płaski szczyt, T.C. wskazał przed siebie.

- Tam.

Myrona niemal zatkało. Znajdowali się na tyle wysoko, by nic nie zakłócało okazałego widoku na panoramę Manhattanu. Morze świateł lśniło jak kropelki wody. Most George'a Washingtona wydawał się na dotknięcie ręki. Dłuższą chwilę stali w milczeniu.

- Ładnie, co? - zagadnął T.C.

- Bardzo.

T.C. zdjął ciemne okulary.

- Często tu przychodzę. Sam. To miejsce nastraja do refleksji.

- Ja myślę.

Znów zapatrzyli się na Manhattan.

- Łomot już z tobą rozmawiała? - spytał Myron. T.C. skinął głową.

- Zawiodłeś się?

- Nie. Wiedziałem, że odmówisz.

- Skąd?

T.C. wzruszył ramionami.

- Przecucie. Ale nie daj się zwieść. Łomot jest w porządku.

Mógłbym ją nawet nazwać moją przyjaciółką.

- A tych, którzy cię otaczali? T.C. uśmiechnął się nieznacznie.

- Mówisz o tych białych chłopcach?

- Tak.

- To nie są przyjaciele. Gdybym jutro przestał grać w kosza, potraktowaliby mnie jak czarnucha, który zesrał im się na kanapę.

- Poetycko mówiąc.

- Taka jest prawda, stary. Takie fakty. Tacy jak ja nie mają przyjaciół. Biali, czarni, bez różnicy. Ludzie kleją się do mnie, bo jestem bogatą supergwiazdą. Kombinują, że wpadnie im coś za friko.

- I dobrze ci z tym?

- Nieważne, czy mi z tym dobrze. Tak już jest. Nie narzekam.

- Czujesz się samotny? - spytał Myron.

- Z tyloma ludźmi dookoła?

- Wiesz, o co pytam.

- Wiem. - T.C. poruszył głową na boki tak energicznie, jakby próbował przed grą rozluźnić mięśnie karku. - W kółko się gada o cenie sławy, ale chcesz wiedzieć, jaka jest prawdziwa cena? Pomiń pierdoły o utracie prywatności. Jasne, że w kinie bywam rzadziej niż kiedyś. Też mi problem. A zresztą tam, skąd pochodzę, ludzi nie stać na kino. Prawdziwą ceną jest to, że tracisz człowieczeństwo. Stajesz się rzeczą, przedmiotem lśniąącym jak te merce na podjeździe. Dla biednych ziomali z getta jestem złotą drabiną z frykasami na każdym szczeblu. A dla tych bogatych białych chłopców żywą maskotką. Tak jak O.J. Simpson. Pamiętasz gości okupujących jego salon z trofeami?

Myron skinął głową.

- Nie zrozum mnie źle. Ja się nie skarżę. To znacznie lepsza robota niż pompowanie benzyny czy praca w kopalni węgla. Ale zawsze muszę pamiętać, że od reszty czarnuchów z ulicy odróżnia mnie tylko gra w koszykówkę. Tak jest. Walnie mi kolano, jak kiedyś tobie, i ląduję tam z powrotem. Nigdy o tym nie zapominam. Nigdy. - Słowa T.C. zawisły w rześkim powietrzu. Spojrzał surowo na Myrona. - Tak

więc, kiedy jakaś ekstracizia traktuje mnie, jakbym był nie wiem kim, nie o mnie jej chodzi. Rozumiesz? Oślepia ją moja kasa i sława. Tak jak wszystkich.

- Więc się nigdy nie zaprzyjaźnimy? - spytał Myron.

- A czy zadałbyś mi to pytanie, gdybym był ciemnym durniem nalewającym benzynę na stacji?

- Może.

- Chrzanisz - powiedział z uśmiechem T.C. - Ludzie obgadują moje zachowanie. Mówią, że się zachowuję, jakby każdy był mi coś winien. Że jestem primadonną. Mówią tak, bo ich przejrzałem. Są wściekli, że znam prawdę. Wszyscy: właściciele klubu, trenerzy, kto tylko, mają mnie za ciemnego czarnucha, za co więc mam ich szanować? Odzywają się do mnie tylko dlatego, że wsadzam piłkę do kosza. Jestem małą, na której zarabiają. Z chwilą gdy przestanę zarabiać, koniec. Stanę się jeszcze jednym śmieciem z getta, niegodnym siadania czarną dupą na ich białym klozecie. - Zamilkł, jakby zabrakło mu tchu. Znów spojrzał na panoramę miasta. Jej widok go odmłodził. - Spotkałeś kiedykolwiek Isiaha Thomasa? - spytał.

- Z Detroit Pistons? Tak, raz.

- Słyszałem jakiś czas temu wywiad z nim, Pistons zdobyli wtedy mistrzostwo. Gość zapytał go, co by robił, gdyby nie został koszykarzem. Wiesz, co odpowiedział mu Isiah?

Myron pokręcił przecząco głową.

- Że byłby senatorem Stanów Zjednoczonych. - T.C. zaniósł się gromkim, wysokim śmiechem, który odbił się echem w cichej nocy. - Pomyślałem: Czy ten czarny zwariował? Naprawdę w to wierzy? Senatorem Stanów Zjednoczonych?! Z kogo robi balona?! - Zaśmiał się ponownie, ale jakby z przymusem. - Ja wiem, kim bym był. Zapieprzałbym w stalowni od północy do dziesiątej rano, a może

siedziałbym w pierdłu albo nie żył. - Pokręcił głową. - Senator Stanów Zjednoczonych. W mordę.

- A co z grą? - wtrącił Myron.

- O co pytasz?

- Lubisz grać w koszykówkę? T.C. rozbawiło to pytanie.

- Ty lubisz, co? Łapiesz się na cały ten kit „kocham tę grę”.

- A ty nie?

T.C. pokręcił ogoloną głową. Księżyc, który się w niej odbił, skapał ją w niemal mistycznej poświacie.

- Nie - odparł. - Koszykówka zawsze była dla mnie tylko środkiem do celu. Do zdobycia pieniędzy. Do ustawienia się na całe życie.

- Nigdy nie kochałeś tej gry?

- Pewnie, że kochałem. Było dokąd pójść, rozumiesz? Ale nie chodziło o samą grę... nie o bieganie, skakanie i resztę. Chodziło o koszykówkę. Wszędzie indziej byłem pierwszym lepszym, głupim czarnym chłopakiem, za to na boisku gościem, kimś. Bohaterem. To daje niewiarygodnego kopa, wszyscy traktują cię, wiesz jak.

Myron skinął głową. Wiedział.

- Mogę cię o coś spytać?

- Proszę.

- Po co ci te wszystkie tatuaże i kolczyki? T.C. uśmiechnął się.

- Przeszkadzają ci?

- Nie. Tylko jestem ciekaw.

- Powiedzmy, że lubię je nosić. Wystarczy?

- Tak - odparł Myron.

- Ale w to nie wierzysz? Myron wzruszył ramionami.

- Nie.

- To prawda, trochę je lubię. Ale przede wszystkim chodzi o biznes.

- Biznes?



- Biznes koszykarski. Pieniądze. Mnóstwo. Wiesz, ile kasy tłukę z reklam? Kupę szmalu. Dlaczego? Bo szokowanie popłaca. Spójrz na Deona. Popatrz na Rodmana. Im większy odpał, tym więcej mi płacą.

- Więc to wszystko pic?

- W dużej mierze. A poza tym lubię szokować, już taki jestem. Głównie na użytek prasy.

- Przecież prasa rozrywa cię na strzępy.

- I co z tego? Piszą o mnie, a ja na tym zarabiam. To proste. - T.C. uśmiechnął się. - Coś ci powiem. Prasa to najgłupsze zwierzę na tej bożej ziemi. Wiesz, co kiedyś zrobię?

Myron pokręcił głową.

- Pozbędę się tych kolczyków i reszty, zacznę się ładnie ubierać, grzecznie się wyrażać: „Tak, proszę pana”, „Tak, proszę pani”, i paść ich bzdurami o zespołowym wysiłku, które tak chętnie łykają. Czy wiesz, co się stanie? Ci sami popaprańcy, którzy piszą, że niszczą zasady gry, będą całować mój czarny tyłek niczym kamień w zamku Blarney. Będą pieprzyć o mojej cudownej przemianie. Nazwą mnie bohaterem. A ja tylko zmienię rodzaj picu. T.C. uśmiechnął się szeroko.

- Niezły z ciebie agregat, T.C. - powiedział Myron. T.C. odwrócił się plecami do basenu. Myron przyglądał się mu w milczeniu. Nie kupił wszystkich jego wynurzeń. Coś się za nimi kryło. Wprowadzie T.C. nie kłamał, ale nie mówił też całej prawdy. A może nie potrafił się do niej przyznać nawet przed sobą? Cierpiał. Naprawdę wierzył, że go nikt nie kocha, a taka świadomość, niezależnie od tego, kim jesteś, boli. Nie czujesz się pewnie. Chcesz się ukryć, otoczyć murami. Najsmutniejsze było to, że T.C. miał po części rację. Kto by się nim przejmował, gdyby nie grał w zawodową koszykówkę? Gdyby nie wrodzony talent do tej prostej gry, gdzie byłby teraz? Przypominał

piękną dziewczynę, która pragnie, byś odkrył w niej duszę. Do tego zaś mogła cię skłonić tylko jej uroda. Gdyby ją straciła, stała się brzydka, nikomu nie przyszłoby do głowy szukać pod zewnętrzną powłoką wewnętrznego piękna. Gdyby T.C. stracił sprawność fizyczną, spotkałoby go to samo. W sumie nie był takim dziwakiem, za jakiego miała go opinia publiczna, ani też takim poukładanym gościem, za jakiego pragnął uchodzić w jego oczach. Myron, chociaż nie psycholog, nie miał wątpliwości, że za tatuażami i kolczykowaniem kryje się nie tylko chęć zdobycia pieniędzy. Tak gładkie wyjaśnienie nie tłumaczyło podobnej dewastacji ciała. W przypadku T.C. w grę wchodziło wiele czynników. Jako była gwiazda koszykówki, Myron niektóre z nich znał i rozumiał. W innych jednak nie mógł się połapać, ponieważ T.C. i on pochodzili z całkiem różnych światów.

- Mam pytanie - przerwał ich wspólną samotność T.C.

- Wał.

- Co tu robisz?

- Tu? W twoim domu...

- W zespole. Kiedy chodziłem do gimnazjum, oglądałem twoją grę w lidze akademickiej. Byłeś świetny... Dawno temu. Wiesz przecież, że to przeszłość. Przekonałeś się o tym na dzisiejszym treningu.

Myron starał się ukryć osłupienie. Czy on i Terry uczestniczyli w tym samym treningu? A jakże. I, niestety, T.C. miał rację. Doskonale pamiętał czasy, gdy był supergwiazdą drużyny. Pamiętał sparingi z ostatnią piątką w zespole, wychodzącą ze skóry w walce z pierwszą, która grała od niechcenia i bez motywacji. Pamiętał rozczarowanie tych pięciu z rezerwy, Wmawiających sobie, że dorównują graczom z wyjściowego składu, zmęczonym prawdziwymi meczami. W dodatku, jako student, rozgrywał najwyżej dwadzieścia pięć meczów w

sezonie, podczas gdy zawodowcy rozgrywali ich blisko sto przeciwko znacznie lepszym rywalom.

Czy to mogło wystarczyć, by grać z nimi w drużynie? Kogo oszukiwał?

- Po prostu próbuję - odparł cicho.

- Trudno zrezygnować, co?

Myron nie odpowiedział. Zapadło krótkie milczenie.

- Hej, byłbym zapomniał - rzekł T.C. - Podobno jesteś za pan brat z finansowym magikiem z Lock-Horne Securities. To prawda?

- Tak.

- Czy to ten białasek, z którym gadałeś po meczu? Myron skinął głową.

- Na imię ma Win.

- Wiesz, że Łomot pracuje na Wall Street?

- Powiedziała mi.

- Chce zmienić pracę. Czy twój przyjaciel mógłby z nią pogadać?

Myron wzruszył ramionami.

- Spytam go - obiecał. Win z pewnością przyklasnęłyby jej poglądom na rolę seksu w starożytnych cywilizacjach. - A dla kogo ona pracuje w tej chwili?

- Dla małej firmy. Braci Kimmel. Ale musi się przenieść. Nie chcą jej wziąć na partnera, mimo że zapieprza dla nich jak mały samochodzik.

T.C. dodał coś jeszcze, lecz Myron przestał go słuchać. Bracia Kimmel. Natychmiast skojarzył sobie nazwisko. Kiedy w domu Grega wcisnął guzik wybierający numer, pod który dzwoniono ostatnio, kobiecy głos w słuchawce powiedział: „Bracia Kimmel”. A przecież Łomot dopiero co mówiła mu, że nie rozmawiała z Gregiem od paru miesięcy.

Przypadek? Wątpił w to. Maggie Łomot już się ulotniła.

- Przyjechała specjalnie dla ciebie - wyjaśnił T.C. - Nic nie wyszło, więc wybyła. Jutro rano musi iść do pracy.

Myron sprawdził godzinę. Wpół do dwunastej. Długi dzień. Czas na lulu. Pożegnał się, życząc dobrej nocy, i skierował do samochodu. Stała tam - jakby nigdy nic - Audrey. Oparta o maskę, z rękami splecionymi na piersiach, skrzyżowanymi nogami.

- Wracasz do Jessiki? - zagadnęła.

- Tak.

- Mógłbyś mnie podwieźć?

- Wskakuj.

Obdarzyła go takim samym uśmiechem jak na treningu. Sądził wtedy, że jest pod wrażeniem jego gry. Teraz stało się jasne, że jej rozbawienie bliższe było kpinie niż uznaniu. W milczeniu otworzył drzwiczki. Zdjęła granatowy żakiet i położyła na tylnym siedzeniu. Poszedł w jej ślady. Poprawiła przy szyi golf barwy leśnej zieleni, robiąc dodatkową fałdę. Zdjęła perły i wcisnęła je do przedniej kieszeni džinsów. Myron uruchomił silnik.

- Zaczynam składać to wszystko do kupy - powiedziała tonem, który mu się nie spodobał. W jej głosie było za dużo pewności. Wcale nie potrzebowała podwiezienia do domu. Chciała z nim pogadać w cztery oczy. To go zaniepokoiło. Uśmiechnął się do niej dobrodusznie.

- Ale nie ma to nic wspólnego z moim tyłkiem? - spytał.

- Słucham?

- Wiem od Jessiki, że obgadywałyście mój tyłek. Zaśmiała się.

- Tak. Z niechęcią przyznaję, że wygląda pysznie.

- Pisziesz o tym artykuł? - zażartował, starając się ukryć samozadowolenie.

- O twoim tyłku?

- Tak.
- Jasne. Moglibyśmy go rozreklamować. Jęknął.
- Próbujesz zmienić temat - upomniała go.
- Jaki temat?
- Powiedziałam, że składam wszystko do kupy.
- To ma być temat?

Zerknął na nią. Usiadła tak, żeby go widzieć, z kolanem na siedzeniu i lewą kostką wetkniętą pod pośladek. Szeroką twarz pstrzyły jej nieliczne piegi, lecz założyłby się, że w dzieciństwie miała ich znacznie więcej. Pamiętacie tę sympatyczną chłopczycę z szóstej klasy? Dorosła. Z pewnością nie pretendowała do miana piękności w klasycznym sensie. W jej urodzie było jednak coś tak ujmującego swojskiego, że miałeś ochotę ją przytulić i wytarzać w liściach w rześki jesienny dzień.

- Późno się w tym połapałam - ciągnęła. - Ale po fakcie jest to jasne jak słońce.

- Mam się domyślić, do czego pijesz?
- Skądże. Jeszcze kilka minut masz udawać Greka.
- To moja specjalność.

- Świetnie, jedź i słuchaj. - Będące w ciągłym ruchu ręce Audrey wznosiły się i opadały wraz z głosem. - Zwiodła mnie poetycka ironia sytuacji. Na niej się skoncentrowałam. Ale tło waszej sportowej rywalizacji ma drugorzędne znaczenie. W każdym razie o wiele mniejsze niż twój dawny związek z Emily.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie grałeś w żadnym klubie amatorskim. Ani w letniej lidze. Co najwyżej raz w tygodniu towarzysko w Hebrajskim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej. Trenujesz głównie z Winem w szkole mistrza Kwona, a tam nie ma boiska do koszykówki.

- Do czego zmierzasz? - spytał. Rozłożyła ręce w geście niedowierzania.

- Nie doskonaliłeś umiejętności. Nie grałeś nigdzie, gdzie mogliby cię zobaczyć Clip, Calvin czy Donny. Dlaczego więc Smoki podpisały z tobą kontrakt? Dla reklamy? Wykluczone. Gdzie tu sens? Jeżeli zawiedziesz, co, nie oszukujmy się, jest bardzo prawdopodobne, przekreśli to wszelki pozytywny, minimalny zresztą, oddźwięk. Bilety się sprzedają. Zespół spisuje się dobrze. Klub nie potrzebuje żadnych chwytów reklamowych. Więc powód musi być inny. - Urwała i poprawiła się na fotelu. - Na scenę wkracza czas.

- Czas?

- Tak. Dlaczego teraz? Dlaczego podpisują z tobą kontrakt pod koniec sezonu? Odpowiedź jest prosta. Wyjaśnienie tylko jedno.

- Jakie?

- Nagłe zniknięcie Downinga.

- Downing nie zniknął - sprostował Myron. - Jest kontuzjowany. Oto masz swój czas. Greg doznał kontuzji. Zwolniło się miejsce. Zastąpiłem go.

Audrey uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Chcesz dalej udawać Greka? Proszę bardzo, udawaj. Masz rację. Downing podobno odniósł kontuzję i zaszył się na odludziu. To dlaczego, choć jestem dobra w swoim fachu, nie udało mi się odnaleźć jego kryjówki? Uruchomiłam wszystkie kontakty i nie dowiedziałam się niczego. Nie sądzisz, że to dziwne? Myron wzruszył ramionami.

- Gdyby Downing istotnie chciał się schować, żeby wyleczyć staw skokowy, a nawiasem mówiąc, na żadnej taśmie z meczów nie widać jego kontuzji, to oczywiście znalazłby sposób. Ale czy zaszyłby się tak głęboko, żeby ją wykurować? Po co?

- Żeby takie zarazy jak ty mu nie przeszkadzały. Audrey o mało co się nie zaśmiała.

- Powiedziałeś to z takim przekonaniem, jakbyś w to wierzył.

Nie odpowiedział.

- W takim razie dodam kilka argumentów, żebyś przestał udawać Greka. Po pierwsze - zaczęła odliczać na lekko zgrubiałych palcach - wiem, że pracowałeś dla federalnych. Masz pewne doświadczenie w prowadzeniu śledztwa. Po drugie, Downing lubi znikać. Już to robił. Po trzecie, znam sytuację Clipa wobec innych właścicieli. Zbliża się głosowanie udziałowców. Po czwarte, wczoraj odwiedziłeś Emily, ale wątpię, czy po to, żeby wskrzesić dawny płomień.

- Skąd o tym wiesz? Uśmiechnęła się i opuściła rękę.

- Jak się doda to wszystko, wniosek jest jeden: szukasz Downinga. Znowu przepadł. Tym razem jednak czas nagli znacznie bardziej: zbliża się głosowanie w sprawie Clipa i finały. Twoim zadaniem jest znaleźć Grega.

- Ależ ty masz wyobraźnię, Audrey.

- No chyba, ale oboje wiemy, że rozgryzłam sprawę, więc przestań udawać Greka i przejdźmy do rzeczy: wchodzę w to.

- Wchodzisz? Ach ten reporterski żargon.

- Chcę, żebyś go odszukał. - Kolano wciąż trzymała na fotelu. Minę miała promienną i wyczekującą jak uczennica przed ostatnim szkolnym dzwonkiem w maju. - Powinniśmy działać wspólnie. Pomogę ci. Mam świetnych informatorów. Mogę zadawać pytania bez obawy, że odkryją moje intencje. Znam drużynę Smoków od podszewki.

- A czego oczekujesz w zamian?

- Całej prawdy. Pierwsza dowiem się, gdzie on jest, dlaczego zniknął i tak dalej. Przyrzekniesz, że powiesz to tylko mnie. Że będę mieć wyłączność.

Minęli kilka obskurnych moteli i kolekcję stacji benzynowych przy autostradzie numer 4. W New Jersey tanie motele z pokojami na godziny noszą same wzniosłe nazwy, zadające kłam ich statusowi. Właśnie przejeżdżali obok Zajazdu Uprzejmość, przybytku, w którym nie tylko darzono cię uprzejmymi względami, ale również liczone za nie od godziny - według reklamy na tablicy, 19,82 \$ za jedną. Nie dwadzieścia dolarów, ludziska, tylko dziewiętnaście osiemdziesiąt dwa! Dlaczego tyle? Pewnie dlatego, że w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim ostatni raz zmienili pościel. Następnym lokalem po prawej był, jak głosił szyld, SKŁAD TANIEGO PIWA. Szczera reklama. Tylko chwalić. Zajazd Uprzejmość powinien wziąć z niego przykład.

- Oboje wiemy, że mogę napisać o tym od razu - ciągnęła Audrey. - Wiadomość, że Downing nie jest kontuzjowany, a ty jesteś w drużynie, żeby go odszukać, też byłaby niemałą sensacją. Ale chętnie zamienię ją na większą.

Płacąc za przejazd na roгатce, Myron zastanawiał się nad jej propozycją. Zerknął na twarz Audrey. Wyrażała oczekiwanie. Wzrok był błędny, włosy w nieładzie, jak u żydowskiej uciekinierki z filmu Exodus, schodzącej ze statku w Palestynie, gotowej walczyć o odzyskanie ojczyzny.

- Musisz mi coś przyrzec - powiedział.

- Co?



- Bez względu na okoliczności, żeby nie wiem jak niewiarygodna była ta historia, nie zrobisz falstartu. Wstrzymasz się z pisaniem aż do odnalezienia Grega.

Audrey omal nie podskoczyła na fotelu.

- Niewiarygodność?! Jak wielka?!

- Nie ma o czym mówić. Napisz, co chcesz.

- No dobrze, dobrze, umowa stoi - zgodziła się szybko, unosząc ręce w geście poddania. - Wiedziałaś, że takie słowa tylko rozbudzą moją ciekawość.

- Przyrzekasz?

- Tak, tak, przyrzekam. Mów, co się dzieje.

- Najpierw ty - odparł. - Co mogło skłonić Grega do zniknięcia?

- Kto go tam wie. To prawdziwy dziwak.

- Co możesz powiedzieć o jego rozwodzie?

- Że był bardzo burzliwy.

- Co słyszałaś?

- Walczyli o dzieci. Oboje próbują udowodnić, że to drugie nie nadaje się do opieki nad potomstwem.

- Znasz jakieś szczegóły?

- Nie. Wszystko odbyło się po cichu.

- Wiem od Emily, że Greg uciekł się do świństw. Słyszałaś coś o tym? - spytał Myron.

Audreyssała kilka chwil dolną wargę.

- Doszła mnie plotka, niepotwierdzona, że Greg wynajął detektywa, żeby ją śledził.

- Po co?

- Nie wiem.

- Żeby ją sfilmował? Przyłapał z innym? Wzruszyła ramionami.

- To tylko plotka - odparła.

- Znasz nazwisko tego detektywa lub wiesz, dla kogo pracuje?  
- To tylko plotka, Myron - powtórzyła. - Plotka. Rozwód zawodowego koszykarza to żadna sensacja. Nie śledziłam tego dokładnie.

Myron zakonotował w pamięci, żeby sprawdzić, czy Greg płacił jakiejś firmie detektywistycznej.

- Jakie stosunki łączyły Downinga z Martym Felderem?  
- Z jego agentem? Chyba dobre.  
- Emily twierdzi, że Felder stracił miliony jego dolarów. Wzruszyła ramionami.

- Nic o tym nie słyszałam.

Most Washingtona był przejezdny. Pozostali na lewym pasie i skręcili na południe w Henry Hudson Parkway. Na prawo połyskiwała jak płaszcz z czarnych cekinów rzeka Hudson, na lewo uśmiechał się z billboardu przyjacielsko, ale pewnie, Tom Brokaw. Slogan pod zdjęciem głosił: „NBC News - teraz więcej niż zwykle”. Mocne słowa! Tylko, co znaczyły?

- A co z jego życiem osobistym? - spytał Myron. - Z dziewczynami itd.?

- Pytasz, czy był z kimś związany?

- Tak.

Przeczesała palcami gęste kędziory i pomasowała kark.

- Miał kogoś. Utrzymywał to w tajemnicy, ale myślę, że jakiś czas ze sobą mieszkali.

- Znasz jej imię?

- Nie powiedział mi. Widziałam ich raz w restauracji. W Saddle River Inn. Nie ucieszył się na mój widok.

- Jak wyglądała?

- O ile pamiętam, nic specjalnego. Brunetka. Siedziała, więc trudno mi określić jej wzrost i wagę.

- Wiek?

- Bo ja wiem. Po trzydziestce.

- Dlaczego uważasz, że mieszkali razem?

Choć pytanie wydawało się łatwe, Audrey zamilkła.

- Kiedyś wymknęło się to Leonowi - odparła, podnosząc oczy.

- Co powiedział?

- Już nie pamiętam. Coś o dziewczynie. Tylko tyle.

- Dawno temu?

- Trzy, cztery miesiące. Może więcej.

- Leon dał mi do zrozumienia, że nie przyjaźnił się z Gregiem aż tak bardzo, jak rozdmuchały to media.

Audrey skinęła głową.

- Jest między nimi jakiś konflikt... Chyba przejściowy.

- Na jakim tle?

- Nie wiem.

- Kiedy to zauważyłaś?

- Niedawno. Ze dwa tygodnie temu.

- Nic ci nie wiadomo, co zaszło ostatnio pomiędzy Gregiem i Leonem?

- Nic. Przyjaźnili się od dawna. Przyjaciele czasem się kłócą. Nie wzięłam tego poważnie.

Myron wypuścił powietrze. Przyjaciele istotnie czasem się kłócili, zastanawiało jednak to, że do sprzeczki doszło właśnie teraz.

- Znasz Maggie Mason? - spytał.

- Łomot? Oczywiście.

- Czy ona i Greg byli ze sobą blisko?

- Jeśli pytasz, czy się różnili...

- Nie, nie o to.

- Różni się. Wiem na pewno. Ale bez względu na to, co ona twierdzi, nie wszystkich w drużynie udało jej się wyłomotać. Niektórzy się nie skusili. Choć, trzeba przyznać, niewielu. Na ciebie już polowała?

- Parę godzin temu. Uśmiechnęła się.

- Podejrzewam, że dołączyłeś do hardej garstki Niewyłomotanych?

- Podejrzewasz słusznie. A co z nią i Gregiem? Są ze sobą blisko?

- Powiedziałabym, że bardzo blisko. Ale Łomot jest najbliższej z T.C. Łączy ich wielka zażyłość. I to nie czysto fizyczna. Nie zrozum mnie źle. Jestem pewna, że T.C. i Maggie sypiali ze sobą i pewnie nadal im się to zdarza. Poza tym są jak brat i siostra. Dziwne.

- Jak odnoszą się do siebie T.C. i Greg? - spytał.

- Nie najgorzej jak na supergwiazdy zespołu.

- Możesz to rozwinąć? Zamilkła, zbierając myśli.

- T.C. i Downing są w centrum zainteresowania od pięciu lat. Na parkiecie się poważają, jednak nie rozmawiają o tym. W każdym razie niewiele. Nie mówię, że się nie lubią, ale gra w koszykówkę to praca jak każda inna. W pracy można znosić jakąś osobę i nie utrzymywać z nią kontaktów towarzyskich. - Audrey spojrzała przez szybę. - Zjedź przy Siedemdziesiątej Dziewiątej.

- Nadal mieszkasz przy Osiemdziesiątej Pierwszej?

- Tak.

Myron skręcił w zjazd i zatrzymał się na światłach przy Riverside Drive.

- Twoja kolej - powiedziała. - Dlaczego cię wynajęli?

- Jest tak, jak przypuszczałaś. Chcą, żebym odnalazł Grega.

- Czego się dotąd dowiedziałaś?

- Niewiele.

- To dlaczego przejąłeś się moim falstartem, tym, że opiszę tę historię przedwcześnie?

Myron zawahał się.

- Obiecałam, że nie powiem nikomu - przypomniała. - Masz moje słowo.

- Przysługa za przysługę. Na wieść o krwi w suterenie domu Grega Audrey opadła szczeka. A gdy powiedział o znalezieniu zwłok Sally-Carli, zląkł się, że nie wytrzyma jej serce.

- Mój Boże - wydusiła, kiedy skończył. - Myślisz, że Downing ją zabił?

- Tego nie powiedziałem.

Głowa Audrey zwiśla bezwładnie na podgłówniku, jakby szyja nie była w stanie dłużej jej utrzymać.

- Chryste, co za historia!

- Której w dodatku nie możesz opisać.

- Nie przypominaj mi. - Wyprostowała się w fotelu. - Myślisz, że niedługo nastąpi przeciek?

- Kto wie.

- A czy mógłby wyjść ode mnie?

- Jeszcze nie teraz. Na razie musimy trzymać sprawę w tajemnicy. Nie możesz jej ujawnić.

Z niechęcią skinęła głową.

- Myślisz, że Downing zabił ją i uciekł?

- Nie ma na to dowodu. - Myron podjechał pod dom Audrey. - Ostatnie pytanie. Czy Greg był zaplątany w coś podejrzanego?

- Na przykład?

- Czy jest powód, żeby chciały go dopaść zbiry?

Jej podekscytowanie rzucało się w oczy. Była zelektryzowana.

- Co ty mówisz? Jakie zbiry?

- Dwóch bandziorów obserwowało jego dom.  
- Zbiry? - powtórzyła z pałającą twarzą. - Zawodowi gangsterzy?  
- Prawdopodobnie. Jeszcze nie wiem. Nie przychodzi ci na myśl nic, co mogłoby łączyć Grega z gangsterami albo z zamordowaniem tej kobiety? Na przykład, narkotyki?

Audrey natychmiast zaprzeczyła, kręcąc głową.

- Narkotyki na pewno nie.  
- Skąd wiesz?  
- Downing ma bzika na punkcie zdrowia, to nałogowy pożeracz musli.

- Tak jak nieboszczyk River Phoenix. Znów pokręciła głową.  
- To nie narkotyki - powiedziała. - Jestem pewna.  
- Poszperaj - rzekł. - Zobaczymy, co znajdziesz.  
- Oczywiście. Sprawdzę wszystko, o czym mówiliśmy.  
- Tylko dyskretnie.  
- Bez obawy. - Wysiadła z samochodu. - Dobranoc, Myron. Dzięki za zaufanie.

- A miałem jakiś wybór?

Audrey uśmiechnęła się i zatrzasnęła drzwiczki. Patrzył, jak wchodzi do kamienicy. Uruchomił samochód, zawrócił do Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, wjechał na Henry Hudson Parkway i skierował się na południe do Jessiki. Właśnie miał sięgnąć po komórkę, kiedy zadzwonił telefon w taurusie. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 12.07. Na pewno dzwoniła ona.

- Halo?

Ale to nie była Jessica.

- Prawy pas, trzy samochody za tobą. Śledzą cię - poinformował go Win.

- Kiedy wróciłeś? - spytał Myron. Win zignorował pytanie.

- Jedzie za tobą ten sam wóz, który widzieliśmy przy domu Grega. Jest zarejestrowany w Atlantic City, na magazyn bez widomych powiązań z mafią, ale można śmiało się założyć, że je ma.

- Długo mnie śledzisz? Win znów zignorował pytanie.
- Jak wyglądali ci dwaj, którzy cię wczoraj napadli? - spytał.
- Byki - odparł Myron. - Jeden naprawdę wielki.
- Ostrzyżony na jeża?
- Tak.
- Jest w tym samochodzie. Na fotelu pasażera.

Myron nie spytał, skąd przyjaciel wie o wczorajszym napadzie. Domyślał się.

- Dużo rozmawiają przez telefon - ciągnął Win. - Uzgadniają z kimś, co robić. Zadzwonili, kiedy zatrzymałeś się na Osiemdziesiątej Pierwszej. Chwileczkę. Zaraz się odezwę. Rozłączył się. Myron zerknął w lusterko wsteczne. Jechali za nim. Minutę później znów zadzwonił telefon. Co się stało? - zaniepokoił się.

- Ponownie rozmawiałem z Jessicą.
- Jak to: ponownie?

Win westchnął niecierpliwie. Nie znosił udzielać wyjaśnień.

- Jeśli zamierzają cię napaść, logika wskazuje, że zrobią to koło jej mieszkania.

- Racja.
- Dlatego zadzwoniłem do niej dziesięć minut temu i przekazałem, żeby miała oko na nietypowe szczegóły.
- No i?
- Po drugiej stronie ulicy stoi biały nieoznakowany van. Nikt z niego nie wysiadł.

- To znaczy, że zaatakują.
- Tak - potwierdził Win. - Mam to udaremnić?

- Jak?
- Unieszkodliwię samochód za tobą.
- Nie. Niech zrobią ruch. Zobaczmy, co to da.
- Słucham?
- Wspieraj mnie. Jeżeli mnie wezmą, może dotrę do ich szefa.

Win prychnął.

- O co chodzi? - spytał Myron.
- Komplikujesz prostą sprawę. Czy nie łatwiej byłoby zdjąć tych dwóch w samochodzie i wycisnąć z nich, dla kogo pracują?
- Najtrudniej przychodzi mi właśnie „wyciskanie”.
- Oczywiście. Po tysiącokrotnie przepraszam za mój brak etyki. Znacznie mądrzej jest nadstawić karku, niż narazić na przejściową nieprzyjemność nikczemnego zbira.

Win wypowiadał czasem zdania, których logika porażała.

- To tylko najmici. Nic nie będą wiedzieć - rzekł Myron, pamiętając, że w przypadku Wina zachowanie logiczne często przynosi skutki straszniejsze od zachowania nielogicznego.

- Celny argument - przyznał Win. - Lecz przypuśćmy, że po prostu cię zastrzelą.

- Po co? Interesuję ich tylko dlatego, bo myślą, że wiem, gdzie jest Greg.

- A z martwych nie da się nic wyciągnąć - dodał Win.
- Właśnie. Chcą mnie zmusić do mówienia. Dlatego za mną jeżdżą. Jeśli zawiozą mnie w jakieś dobrze strzeżone miejsce...

- Wkroczę.

Myron ani przez chwilę w to nie wątpił. Mocniej ścisnął kierownicę. Puls mu przyspieszył. Na podstawie racjonalnej analizy łatwo mógł odrzucić możliwość, że go zastrzelą. Co innego zaparkować na ulicy przy zbirach, o których wiedziałeś, że chcą zrobić ci kuku. Gdyby



jednak z białego vana najpierw zamiast osoby wyłoniła się lufa, on i Win, pilnie go obserwując, poradziliby sobie z sytuacją.

Zjechał z autostrady. Biegące z północy na południe i ze wschodu na zachód, zaprojektowane jako regularna siatka współrzędnych ulice Manhattanu były ponumerowane, proste. Ale kiedy dojeżdżałeś do Greenwich Village i Soho, odnosiłeś wrażenie, że ich sieć zaprojektował Salvador Dali. Znikały wszelkie pozory prostoty i symetrii. Ginęły ulice oznaczone numerami, a te, które je zachowały, wiły się pośród oznaczonych nazwami.

Na szczęście Spring Street biegła prosto. Myrona minął rowerzysta, prócz niego wokół ani żywej duszy. Biały van stał tam, gdzie zapowiedziała Jessica. I rzeczywiście nieoznakowany. Przyciemnione szyby nie pozwalały zajrzeć do środka. Myron nie widział samochodu Wina, ale tak właśnie powinno być. Jechał wolno. Minął biały samochód. W tym momencie w vanie zapalono silnik. Gdy zatrzymał się blisko rogu ulicy, van ruszył. Zaczęło się.

Myron wyprostował kierownicę, zgasił silnik, schował kluczyki do kieszeni. Van sunął bardzo wolno. Myron wyjął rewolwer i wsadził pod siedzenie, jako rzecz mało użyteczną. Gdyby go dopadli, toby przeszukali. A odpowiadanie ogniem na ich strzały byłoby stratą czasu. Usunięcie zagrożenia zależało od Wina.

Sięgnął do klamki. Nacisnął ją z sercem w gardle, otworzył drzwiczki i wysiadł w ciemności. Z latarni w Soho był taki sam pożytek jak z latarki paluszka w czarnej dziurze. Blask z pobliskich okien nie tyle rozjaśniał mrok, co tworzył dziwną poświatę. Na ulicy leżały plastikowe worki ze śmieciami. Przeważnie rozdarte. W powietrzu unosił się odór zepsutej żywności. Van podjechał wolno. Od strony wejścia podszedł bez wahania mężczyzna w czarnym

płaszczu i czarnym golfie. Wycelował w Myrona rewolwer. Van zatrzymał się, odsunęły się boczne drzwi.

- Wsiadaj, dupku - rozkazał mężczyzna z rewolwerem.

- Do mnie mówisz? - spytał Myron, pokazując na siebie.

- Już. Ładuj dupę.

- To pełny golf czy tylko kołnierz? Typ z rewolwerem przysunął się bliżej.

- Już, powiedziałem.

- Po co te nerwy? - odparł Myron, ale ruszył w stronę vana. - Jeżeli tylko kołnierz, to nie do rozpoznania. Bardzo twarzowy.

W zdenerwowaniu zawsze mówił za dużo. Wiedział, że to niebezpieczne. Win niejedyn raz mu to wypominał. Nie mógł się jednak powstrzymać. Cierpiał na słowotok albo pokrewną dolegliwość.

- Ruszaj się!

Myron wsiadł do vana. Gangster z rewolwerem za nim. W środku było jeszcze dwóch, a trzeci za kierownicą. Wszyscy w czerni, z wyjątkiem szefa w granatowym garniturze w prążki i w zawiązanym w węzeł windsorskim krawacie, ozdobionym złotą spinką. Europejski szyk. Mężczyzna nie wyglądał na zawodowego gangstera, raczej na starzejącego się surfistę. Miał długie rozjaśnione włosy i opaleniznę nieco za idealną, by zdobył ją na słońcu.

Wnętrze wozu urządzono na zamówienie, co jednak nie wyszło mu na korzyść. Wyrwano wszystkie fotele, prócz fotela kierowcy. W ich miejscu przy jednej ścianie stała skórzana kanapa, na której siedział blondyn w prążki. Zakrywający podłogę gruby żółtozielony dywan, który nawet Elvis uznałby za zbyt krzykliwy, piął się po burtach vana niczym bluszcz dla ubogich.

Mężczyzna w garniturze uśmiechnął się. Był bardzo odprężony, ręce trzymał splecione na kolanach. Van ruszył. Rewolwerowiec szybko obszukał Myrona.

- Siadaj, dupku - warknął.

Myron usiadł na dywanie i przejechał ręką po włosiu.

- Limonowy - powiedział. - Ładniutki.

- Tani. Nie musimy się martwić o plamy krwi - odparł Prążkowany.

- Tniemy koszty. - Myronowi zaschło w ustach, ale jakby nigdy nic skinął głową. - Bardzo mądrze.

Prążkowany nie raczył odpowiedzieć. Spojrzał na gangstera w golfie. Rewolwerowiec poderwał się i odchrząknął.

- To jest pan Kill - przedstawił Prążkowanego. - Powszechnie zwany Kościejem. - Znow odchrząknął. Mówił tak, jakby przedtem przećwiczył ten mały spicz. - Nazywają go Kościejem, bo kocha łamać kości.

- Taka ksywa na pewno rajcuje kobiety.

Kościej uśmiechnął się zębami w koronkach, bielą dorównującymi uzębieniu z dawnych reklam pepsodentu.

- Przytrzymaj mu nogę - polecił.

Typ w golfie wbił lufę w skroń Myrona na tyle mocno, by wycisnąć w niej trwałą ślad. Drugą ręką otoczył jego szyję i przydusił mu tchawicę.

- Ani drgnij, dupku - wyszeptał i zmusił go, żeby się położył. Drugi bandzior usiadł Myronowi na piersi i przygwoździł mu nogę do podłogi. Wystraszony Myron z trudem łapał dech, ale się nie ruszał. W tej sytuacji ruch nie był wskazany. Pozostało czekać na rozwój wypadków.

Kościej wstał wolno z kanapy, wpatrzony w jego gorsze kolano. Na twarzy miał uśmiech.

- Jedną rękę położę odsiebnie na kości udowej, a drugą dosiebnie na piszczeli - wyjaśnił tonem, jakim chirurg instruuje studenta. - Kciuki oprę na przyśrodkowej części rzepki. Kiedy je przesunę, oderwę ci ją. - Spojrzał Myronowi w oczy. - Trzaśnie troczek rzepki i kilka innych więzadeł. Pękną ściagną. Będzie to, niestety, potwornie bolało. Myron nawet nie próbował zażartować.

- Chwileczkę - rzekł szybko. - Po co bez powodu sięgać po takie środki?

Kościęj uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- A musi być jakiś powód? - spytał.

Myron wytrzeszczył oczy. Strach zaciążył mu w żołądku jak kamień.

- Zaczekaj - dodał prędko. - Będę mówił.

- O to jestem spokojny - odparł Kościęj. - Ale przedtem trochę nas pozwodzisz...

- Nie.

- Nie przerywaj mi, proszę. - Kościęj przestał się uśmiechać. - To bardzo niegrzecznie przerywać. Na czym skończyłem?

- Że najpierw nas pozwodzi - odpowiedział szofer.

- Właśnie, dziękuję. - Na twarz Kościęja powrócił uśmiech. - Najpierw zagrasz na zwłokę. Zacznesz nam mydlić oczy, licząc, że zawieziemy cię dokądś, gdzie twój partner cię wybawi.

- Partner?

- Przecież nadał przyjaźnisz się z Winem. Ten oprawca znał Wina. Niedobrze.

- Z jakim Winem?

- No widzisz? Zwodzisz. Wystarczy.

Kościęj przysunął się bliżej. Myron szarpnął się, ale wepchnięto mu lufę do ust. Uderzyła go w zęby i zakneblowała. Była chłodna, miała metaliczny smak.

- Najpierw stracisz kolano, a potem porozmawiamy. Drugi zbir wyprostował nogę Myrona, a rewolwerowiec wyjął mu lufę z ust i ponownie docisnął do skroni. Przytrzymywali go z jeszcze większą siłą. Kościej opuścił rozczapierzone jak orle szpony dłonie na kolano.

- Zaczekaj! - krzyknął Myron.

- Nie - odparł chłodno Kościej.

Myron zaczął się wyrwać i wić. Wymacawszy wystający z podłogi uchwyt do przywiązywania ładunków, przytrzymał się go i napiął wszystkie mięśnie. Długo nie czekał.

Samochodem gwałtownie targnęło. Myron przygotował się na wstrząs. Ale nikt oprócz niego. Gangsterami rzuciło, ich uchwyty osłabły. Posypało się szkło. Zazgrzytał metal uderzający w metal. Zaskrzeczały hamulce. Myron trzymał się uchwytu w podłodze, dopóki van nie zwolnił. A wtedy zwinął się w kłębek i odturlał w bezpieczne miejsce. Usłyszał krzyki, szcęk otwieranych drzwiczek, strzał, kakofonię zdezorientowanych głosów. Kierowca wypadł z vana, a za nim, skacząc jak pasikonik, Kościej. Ktoś odsunął boczne drzwi. Do środka wskoczył Win z pistoletem. Gangster w golfie doszedł już do siebie i chwycił rewolwer.

- Rzuć go - powiedział Win.

Rewolwerowiec nie posłuchał. Win strzelił mu w twarz i wymierzył pistolet w zbira, który wcześniej siedział okrakiem na piersi Myrona.

- Rzuć go - powtórzył. Bandzior rzucił broń.

- Jaki pojętny.

Win nagroził go uśmiechem, cały czas sunąc wzrokiem na prawo i lewo. Win nie rzucał spojrzeń. Nie tyle szedł, co płynął. Ruchy miał krótkie, ekonomiczne.

- Mów - rozkazał, wracając spojrzeniem do jeńca.

- Ja nic nie wiem.

- Niedobra odpowiedź - skonał Win tonem spokojnym, władczym i rzeczowym, groźniejszym od krzyku. - Jeżeli nic nie wiesz, nic mi po tobie. A skoro nic mi po tobie, skończysz jak on. - Wskazał ręką na nieruchome ciało u swoich stóp.

Gangster uniósł ręce. Tak wybałuszył oczy, że widać było białka.

- Chwileczkę - rzekł pośpiesznie. - To żadna tajemnica. I kolega zna jego nazwisko. To Kill. Nazywa się Kill. wszyscy mówią o nim Kościej.

- Kościej działa na Środkowym Zachodzie. Kto go tu ściągnął?

- Nie wiem. Przysięgam.

- A jednak nic mi po tobie - stwierdził Win, zbliżając pistolet do gangstera.

- Mówię prawdę. Powiedziałbym, gdybym wiedział. Wiem tylko, że Kościej przyleciał wczoraj późnym wieczorem.

- Dlaczego? - spytał Win.

- W związku z Gregiem Downingiem. Przysięgam, wiem tylko tyle.

- Ile jest mu winien Downing?

- Nie mam pojęcia.

Win przysunął się jeszcze bliżej i przyłożył mu lufę między brwi.

- Z takiej odległości rzadko chybiam - uprzedził. Bandzior opadł na kolana.

- Proszę - zaskamlał. - Nic więcej nie wiem. - Jego oczy wypełniły się łzami. - Jak Boga najświętszego kocham.

- Wierzę ci.

- Win - odezwał się Myron.

- Spokojnie - odparł Win, wpatrując się w bandziora. - Chciałem się tylko upewnić, że nasz nowy znajomy wyznał wszystko. Wszak spowiedź dobrze robi duszy, co?

Gangster skwapliwie skinął głową.

- Wyznałeś wszystko? Penitent znów pokiwał głową.
- Na pewno? Skinienie za skinieniem. Win opuścił pistolet.
- Idź i nie grzesz więcej - rzekł. Zbirowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Win spojrzął na zwłoki z taką miną, jakby miał przed sobą worek torfu.

- Czas w drogę - powiedział.

Myron skinął głową. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął komórkę. Stosunkowo nowy bajer. Nie przerwali połączenia, dzięki czemu Win słyszał wszystko, co się dzieje w vanie. Komórki działały równie sprawnie jak podsłuch i krótkofalówka.

Wysiedli w chłodną noc. W ciągu dnia na Washington Street roiło się od samochodów dostawczych, za to w nocy było zupełnie cicho. Rano czekała ktoś bardzo niemiła niespodzianka.

Win zazwyczaj jeździł jaguarem, ale w samochód Kościeja wbił się chevroletem nova z 1983 roku. Całkiem go skasował. Bez żalu. W New Jersey trzymał kilka takich pojazdów, których używał do śledzenia lub działań na lekki bakier z prawem. Wykrycie ich właściciela było niemożliwe. Miały sfalszowane tablice rejestracyjne i papiery. Myron spojrzął na przyjaciela.

- Tak dobrze urodzony człowiek jeździ novą? Zamlaskał z dezaprobatą.

- Od jazdy nim o mały włos nie dostałem wysypki - odparł Win.
- Gdyby zobaczył cię ktoś z twojego klubu... Win zadygotał.
- Nie waż się o tym myśleć - powiedział. Myronowi wciąż drżały zeszywniałe nogi. Nawet gdy Kościej sięgnął do jego kolana, święcie wierzył, że Win znajdzie sposób na wybawienie go z opresji. Jednakże świadomość, że tak niewiele brakowało, by do końca życia pozostał kaleką, wciąż szczypała go w mięśnie łydki i uda. Raz po raz

schylał się i dotykał kontuzjowanego kolana, jakby nie mógł uwierzyć, że je nadal ma. Spojrzał na Wina i do oczu napłynęły mu łzy. Widząc je, Win odwrócił wzrok. Myron podążył za nim.

- Skąd znasz tego Kościeja? - spytał.

- Działa na Środkowym Zachodzie. Jest też znakomity w sztukach walki. Spotkaliśmy się w Tokio.

- Czym się zajmuje?

- Tradycyjną mieszanką firmową: hazardem, narkotykami, lichwą, wymuszeniami. I po trosze prostytutką.

- To co robi tutaj?

- Zapewne twój Greg Downing jest mu winien pieniądze, najprawdopodobniej z hazardu - odparł Win. - Kościej specjalizuje się w hazardzie.

- Dobrze jest mieć specjalność.

- Owszem. Przypuszczam, że pan Downing winien jest dużą sumę.

- Win zerknął na Myrona. - Dla ciebie to dobra wiadomość.

- Dlaczego?

- Bo oznacza, że Downing uciekł i żyje. Kościej nie jest rozrzutny. Nie zabije nikogo, kto jest mu dużo winien.

- Martwi nie zwracają długów.

- Właśnie. A szuka Downinga na pewno. Gdyby go zabił, nie byłbyś mu potrzebny.

- To się zazębia z tym, co wiem od Emily - rzekł Myron po krótkiej chwili. - Powiedziała, że Greg nie ma pieniędzy. Hazard wyjaśniałby dlaczego.

Win skinął głową.

- Zechciej mnie oświecić, co zaszło pod moją nieobecność - poprosił. - Jessica wspomniała o znalezieniu zwłok kobiety.



Gdy Myron opowiadał mu o wszystkim, przyszły mu do głowy nowe teorie. Spróbował je posegregować i z grubsza uporządkować. Zrekapitulował je i przedstawił pierwszą:

- Załóżmy, że Greg Downing jest winien Kościejowi kupę forsy. Tłumaczyłoby to, dlaczego wreszcie zgodził się podpisać kontrakt reklamowy. Potrzebuje pieniędzy.

Win skinął głową.

- Mów - zachęcił.

- Załóżmy też, że Kościej nie jest głupi. Chce odebrać swoje. Za nic więc nie zrobi mu krzywdy. Tylko fizyczna sprawność Grega zapewnia zwrot pieniędzy. Połamanie mu kości dałoby wynik odwrotny, przekreślając wypłacalność dłużnika, czyli możliwość odzyskania pieniędzy.

- To prawda - przyznał Win.

- Jeśli więc Greg jest winien kupę forsy, to może Kościej chciał go nastraszyć w inny sposób.

- Jaki?

- Robiąc krzywdę bliskiej mu osobie. Żeby go ostrzec. Win ponownie skinął głową.

- Mogłoby poskutkować.

- Przypuśćmy, że go śledzili. Zobaczyli go z Carlą i doszli do wniosku, że są sobie bliscy. - Myron podniósł wzrok. - Czy zabicie jej nie byłoby mocnym ostrzeżeniem?

Win zmarszczył brwi.

- Myślisz, że Kościej zabił ją, żeby ostrzec Downinga? - spytał.

- Dopuszczam taką możliwość.

- To dlaczego nie złamał jej po prostu kilku kości?

- Bo go tu jeszcze nie było. Przyjechał wczoraj wieczorem. Morderstwa mógł dokonać najemny gangster.

- Twoja teoria jest, łagodnie mówiąc, mało prawdopodobna - podsumował Win. - Jeżeli morderstwo miało być ostrzeżeniem, to gdzie się podział Downing?

- Uciekł.

- Dlaczego? Z obawy o swoje życie?

- Tak.

- Uciekł tuż po odkryciu, że Carla nie żyje? W sobotę wieczorem?

- Tak wskazywałaby logika.

- Wystraszył się? Morderstwa?

- Tak.

- Aha.

Win zamilkł i uśmiechnął się do Myrona.

- O co chodzi? - spytał Myron.

- Skoro zwłoki Carli odkryto dopiero dziś - zaczął śpiewnie Win - to powiedz mi z łaski swojej, w jaki sposób Downing dowiedział się o morderstwie w zeszłą sobotę wieczorem?

Myrona przeszedł dreszcz.

- Żeby twoja teoria się potwierdziła, Downing musiałby zrobić jedną z trzech rzeczy - ciągnął Win. - Po pierwsze, być świadkiem morderstwa. Po drugie, wpaść do mieszkania Carli po jej śmierci. Po trzecie, sam ją zabić. Co więcej, w jej mieszkaniu było dużo gotówki. Dlaczego? Skąd tam wzięły się te pieniądze? Miały pomóc w spłaceniu Kościeja? Jeśli tak, to dlaczego jego ludzie ich nie wzięli? Albo jeszcze lepsze pytanie: dlaczego nie wzięli ich Downing?

Myron pokręcił głową.

- Strasznie dużo luk - przyznał. - A poza tym wciąż nie wiemy, co łączyło Grega z tą Carłą, Sally czy jak ją zwał.

Win skinął głową. Nie przerwali marszu.

- I jeszcze jedno - dodał Myron. - Czy to możliwe, żeby mafia zabiła kobietę tylko dlatego, że spotkała się z Gregiem w barze?

- Bardzo wątpliwe.

- Tak więc ta teoria nadaje się w zasadzie do kosza.

- Nie w zasadzie - sprostował Win. - W całości. Szli dalej.

- Istnieje oczywiście możliwość, że Carla pracowała dla Kościeja.

Myron poczuł szturchnięcie lodowatego palucha.

- Słucham? - spytał, choć wiedział, do czego zmierza Win.

- Może była łączniczką Kościeja. Odbierała jego dług. Spotykała się z Downingiem, bo wisiał im na mnóstwo pieniędzy. Downing obiecuje zapłacić, choć nie ma z czego. Wie, że go osaczają. Wystarczająco długo grał na zwłokę. Wraca więc do mieszkania Carli, zabija ją i ucieka.

Zamilkli. Myron próbował przełknąć ślinę, ale w gardle dławilo go coś jak lód. Takie analizowanie możliwości miało jednak dobrą stronę: pomagało mu. Wprawdzie nogi wciąż były jak z gumy, lecz, w zasadzie, najbardziej uwierała go świadomość, że tak łatwo przeszedł do porządku dziennego nad martwym gangsterem w vanie. Owszem, człowiek ten był zapewne skończonym łotrem. Owszem, wepchnął mu lufę rewolweru do ust i, mimo polecenia Wina, nie rzucił broni. Owszem, świat bez niego najprawdopodobniej zyskał. Dawniej z powodu śmierci kogoś takiego czułby mimo wszystko jakieś wyrzuty sumienia. A dziś, szczerze mówiąc, nie odczuwał nic. Próbował wykrzesać z siebie odrobinę współczucia, ale było mu smutno jedynie dlatego, że nie jest mu smutno. Dość autoanalizy. Otrząsnął się.

- Z twoim scenariuszem też są kłopoty - powiedział.

- Na przykład?

- Po co Greg by ją zabijał? Dlaczego nie uciekł przed spotkaniem w barze?

- Słuszne pytania - odparł po namyśle Win. - Chyba że w trakcie ich spotkania coś zaszło.

- Na przykład?

Win wzruszył ramionami.

- Wszystko sprowadza się do Carli - rzekł Myron. - Nic w niej się nie zgadza. Żaden handlarz narkotyków tak nie działa. Pracowała w barze jako kelnerka, ukrywała studolarówki o kolejnych numerach seryjnych, chodziła w perukach, miała kilka fałszywych paszportów, a na domiar wszystkiego... Szkoda, żeś nie widział miny Dimonte'a. Wie, kim była, i wpadł w popłoch.

- Rozmawiałeś z Higginsem z Departamentu Skarbu? - spytał Win.

- Tak. Szuka tych numerów seryjnych.

- To się przyda.

- Musimy też zdobyć wykaz rozmów telefonicznych z baru Parkview. Sprawdzić, do kogo dzwoniła Carla.

Zamilkli i szli dalej piechotą, żeby nie łapać taksówki za blisko miejsca zdarzenia.

- Win?

- Tak?

- Dlaczego nie chciałeś przyjść przedwczoraj na mecz? Win nie zwolnił kroku.

- Nie oglądałeś powtórki z tamtego meczu, co? - zapytał po chwili.

Mówił o meczu, w którym Myron odniósł kontuzję kolana.

- Nie.

- Dlaczego?

Myron wzruszył ramionami.

- Nie było sensu.

- Był.
  - Zdradzisz jaki?
  - Gdybyś go obejrzał, mógłbyś się uporać z przeszłością. Zamknąć sprawę.
  - Nie rozumiem - odparł Myron.
  - Wiem.
  - Pamiętam, jak ty to oglądałeś. Pamiętam, że oglądałeś to wciąż od nowa.
  - Nie bez powodu.
  - Żeby się zemścić.
  - Żeby ocenić, czy Burt Wesson sfaulował cię umyślnie - sprostował Win. - Chciałeś mu odpłacić.
  - Powinieneś być mi na to pozwolić.
  - A wtedy może zapomniałbyś o przeszłości.
  - Znasz tylko jedno rozwiązanie, Win: przemoc. Win zmarszczył czoło.
  - Nie melodramatyzuj - rzekł. - Wyrządzono ci podłe świństwo. Wyrównanie rachunków pozwoliłoby ci zapomnieć o sprawie. Nie chodzi o zemstę, lecz o równowagę. O podstawową ludzką potrzebę zrównoważenia szal.
  - To jest twoja potrzeba, nie moja. Zrobienie krzywdy Burtowi Wessonowi nie uleczyłoby mi kolana.
  - Ale pomogłoby zamknąć sprawę.
  - Jak to zamknąć? To była przypadkowa kontuzja. Pech. Win pokręcił głową.
  - Nie oglądałeś taśmy z meczu.
  - Po co? Kolano było już do niczego. Obejrzenie tej taśmy nic by nie zmieniło.
- Win milczał.

- Nie wiem, o co ci chodzi - dodał Myron. - Po tej kontuzji żyłem dalej. Nigdy się nie skarżyłem, tak czy nie?

- Nigdy.

- Nie płakałem, nie wyklinałem bogów, nic z tych rzeczy.

- Nigdy - powtórzył Win. - Nigdy nas tym nie zamęczałeś.

- To dlaczego uważasz, że muszę przeżyć wszystko od nowa?

Win zatrzymał się i spojrzał uważnie na Myrona.

- Sam odpowiedziałeś na pytanie, tylko siebie nie słuchasz.

- Oszczędź mi tych pseudofilozoficznych sentencji z Legendy Kung Fu - odgryź się Myron. - Dlaczego nie przyszedłeś na mecz?

Win ruszył.

- Obejrzyj taśmę - odparł.

Myron nie obejrzał taśmy. Ale miał sen.

Przyśnił mu się szarżujący Burt Wesson. Dostrzegł w jego twarzy bliską oszołomienia rozradowaną agresję. We śnie wystarczyło mu czasu, żeby zejść z drogi Burtowi. Ale w tym śnie - jak w wielu innych - nie mógł się poruszyć. Zbliżało się nieszczęście, a jego nogi nie reagowały, stopy ugrzęzły w ruchomych, gęstych piaskach świata snu. W rzeczywistości nie widział szarżującego Burta Wessona. Nic go nie ostrzegło. W chwili gdy obracał się na prawej nodze, nastąpiło straszliwe zderzenie. Nie tyle poczuł, co usłyszał trzask łamanej kości. Na początku nie było bólu, tylko bezbrzeżne zdumienie. Zdumienie trwające niespełna sekundę, lecz była to sekunda zatrzymana w czasie - zdjęcie, które robił tylko w snach. A potem przyszedł ból.

We śnie Burt Wesson znalazł się tuż-tuż. Wielki, siłowy gracz, koszykarski odpowiednik hokejowego brutala. Średni talent, ale ogromna masa ciała, z której potrafił robić użytek. Dzięki temu zaszedł daleko, choć na grę w szeregach zawodowców to nie

wystarczyło. Przepadł w przedsezonowym naborze - ironia losu sprawiła, że ani on, ani Myron nie zagraли w zawodowej lidze. Zmieniło się to dopiero dwa dni temu. We śnie Myron przyglądał się nadbiegającemu Burtowi Wessonowi i czekał. Gdzieś w podświadomości wiedział, że obudzi się przed zderzeniem. Jak zawsze. Zawisł na krawędzi koszmaru i przebudzenia - w malutkim oknie czasu, kiedy wciąż jeszcze śpisz, lecz wiesz, że to sen, i choćby cię przerażał, chcesz go śnić dalej, do samego końca, bo przecież to tylko sen, więc nic ci nie grozi. Ale rzeczywistość nie pozwalała, by okienko długo stało otworem. Tak było zawsze. Wypływając z głębi snu na powierzchnię, wiedział, że bez względu na to, jakie jest rozwiązanie zagadki, nie odnajdzie go w żadnej z nocnych wypraw w przeszłość.

- Telefon do ciebie - oznajmiła Jessica.

Była ubrana. Zamrugał oczami i przekręcił się na plecy.

- Która godzina? - spytał.

- Dziewiąta.

- Która?! Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Potrzebowałeś snu. - Wręczyła mu telefon. - To Esperanza.

- Halo! - powiedział.

- Jezus Maria! To ty nie śpisz w swoim łóżku? - zakpiła. Nie był w nastroju do żartów.

- O co chodzi? - spytał.

- Dzwoni Fred Higgins z Departamentu Skarbu. Pomyślałam, że zechcesz z nim porozmawiać.

- Daj go. - W słuchawce kliknęło. - Fred?

- Tak, co u ciebie, Myron?

- W porządku. Masz coś w sprawie tych numerów seryjnych?

- Wdepnąłeś w gówno, Myron - rzekł Higgins po chwili wahania. -  
Bardzo wielkie gówno.

- Słucham.

- Ludzie nie chcą, żeby to się wydało, rozumiesz? Żeby to zdobyć,  
musiałem się nagimnastykować niczym akrobata.

- Będę milczał jak grób.

- No dobra. - Higgins wziął głęboki oddech. - Te banknoty pochodzą  
z Tucson w Arizonie. A konkretnie z tamtejszego Pierwszego  
Miejskiego Banku Narodowego. Zrabowano je podczas napadu z  
bronią.

Myron zerwał się z pościeli.

- Kiedy?!

- Dwa miesiące temu.

Przypomniał sobie nagłówek i go zmroziło.

- Myron?

- Brygada Kruka - wydusił. - To ich skok, zgadza się?

- Tak. Czy w FBI miałeś kiedykolwiek do czynienia z ich  
przypadkiem?

- Nie, nigdy - odparł Myron, ale pamiętał.

On i Win zajmowali się sprawami wymagającymi spełnienia  
sprzecznych warunków - byli osobami powszechnie znanymi, które  
muszą działać incognito. Pasowali do takich zadań jak ułał, no, bo kto  
wpadłby na to, że była gwiazda koszykówki i biały wykształcony  
bogacz są tajniakami? Obracali się w jakich tylko chcieli kręgach, nie  
wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Nie musieli występować pod  
żadnym pseudonimem. Najlepszym kamuflażem były role, jakie  
odgrywali w rzeczywistym świecie. Myron nigdy nie pracował dla FBI  
na cały etat. Ulubieńcem federalnych był Win. Myron zaś służył mu  
za pożytecznego pomocnika, wzywanego w razie potrzeby.



Ale wiedział oczywiście o Brygadzie Kruka. Słyszała o niej większość Amerykanów, którym obili się o uszy informacje o ekstremizmie z lat sześćdziesiątych. Kruki, powołane do życia przez charyzmatycznego przywódcę Cole'a Whitemana, były jeszcze jednym odłamem radykałów z Weather Underground. Bardzo podobnym do Symbionistycznej Armii Wyzwolenia, która uprowadziła Patty Hearst. Kruki również porwały osobę powszechnie znaną, lecz skończyło się to jej śmiercią. Czteroosobowa grupa zeszła do podziemia. Pomimo usilnych poszukiwań przez FBI, czwórka zbiegów - w ich liczbie należący, podobnie jak Win, do białej elity blondyn Cole Whiteman - od blisko ćwierć wieku pozostawała na wolności.

Dziwaczne pytania Dimonte'a na temat radykałów i wyrotowców straciły na dziwaczności.

- Czy ofiara należała do Kruków? - spytał Myron.

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie musisz. Wiem, że to Liz Gorman. Higgins znów krótko się zawahał.

- Skąd to wiesz?

- Implanty.

- Co?

Ognistoruda Liz Gorman wchodziła w skład założycieli Brygady Kruka. Podczas pierwszej „misji” Kruków - nieudanej próby spalania laboratorium chemicznego na uczelni - policja przechwyciła kryptonim jednego z członków: MS. Później okazało się, że mężczy członkowie Brygady tak nazwali Liz: MS - skrót od Marzenia Stolarza - ponieważ była „płaska jak deska i łatwa do przerżnięcia”. Radykałowie z lat sześćdziesiątych, mimo głoszonych przez siebie postępowych haseł, okazali się największymi seksistami na świecie. Wyjaśniało to sprawę implantów. Wszyscy pytani o „Carłę”

zapamiętali rozmiar jej biustu. Najlepszym kamuflażem dla słynącej z płaskich piersi Liz Gorman stały się ponadwymiarowe implanty.

- Federalni współpracują nad tym z policją - powiedział Higgins. - Na razie próbują utrzymać śledztwo w tajemnicy.

- Dlaczego?

- Obserwują jej mieszkanie. Może liczą na zwinięcie któregoś z Kruków.

Myron zdrętwiał. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczej ofierze i dowiedział się: była nią Liz Gorman, słynna radykałka, niewidziana od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. Przebrania, paszporty na różne nazwiska, implanty - wreszcie wszystko do siebie pasowało. Nie handlowała narkotykami, była ścigana. Jeśli jednak liczył, że poznanie prawdy o Liz Gorman pomoże mu w śledztwie, srogo się pomylił. Co mogło ją łączyć z Gregiem Downingiem? W jaki sposób zawodowy koszykarz wpłatał się w intrygę z poszukiwaną ekstremistką, która zeszała do podziemia, kiedy on był chłopcem? Gdzie tu sens?

- Ile zrabowali z tego banku? - spytał.

- Trudno powiedzieć - odparł Higgins. - Około piętnastu tysięcy w gotówce, ale rozbili też skrytki bankowe. Ich właściciele wystąpili o ponad półmilionowe odszkodowanie za skradzione dobra, ale większość roszczeń jest lipna. Wiesz, jak jest, obrabowany próbuje naciąć towarzystwo ubezpieczeniowe i twierdzi, że w skrytce trzymał nie jednego, lecz dziesięć roleksów.

- Z drugiej strony, nikt, kto trzymałby tam trefne dolary, by się tym nie chwalił. Musiałby przełknąć stratę - rzekł Myron, znów myśląc o narkotykach i pieniądzach z handlu nimi. Ekstremiści działający w podziemiu potrzebowali środków. Rabowali więc banki,

szantażowali byłych wyznawców, którzy podjęli normalne życie, handlowali narkotykami itp., itd.

- A więc łup mógł być większy - dodał.

- Owszem, trudno powiedzieć jaki.

- Wiesz coś więcej w tej sprawie?

- Nie. Nikt nie puszcza pary z ust, a ja nie należę do kręgu wtajemniczonych. Strasznie trudno było mi cokolwiek wydobyć. Masz u mnie duży dług, Myron.

- Obiecałem ci bilety, Fred.

- W pierwszym rzędzie?

- Postaram się.

Do pokoju weszła Jessica. Na widok twarzy Myrona zatrzymała się i spojrzała pytająco. Rozłączył się i opowiedział, co zaszło. Kiedy go słuchała, przypomniła mu się przymówka Esperanzy i zdał sobie sprawę, że spędził tu cztery noce z rzędu - rekord olimpijski i świata od chwili, gdy z sobą zerwali. Zaniepokoiło go to nie dlatego, że nie lubił nocować u Jessiki. Lubił. Nie dlatego, że bał się zaangażowania i tym podobnych dyrdymałów. Przeciwnie, bardzo pragnął się zaangażować. Niemniej żywił też pewne obawy o stare, niezagojone rany.

Wiedział, że czasem za bardzo się odsłania. W przypadku Wina i Esperanzy nic mu nie groziło. Ufał im bezgranicznie. Jessicę kochał z całego serca, lecz w przeszłości go zraniła. Pragnął więc zachować ostrożność, dystans, nie obnażać się, nie wystawiać na cios, ale serce nie służy. Przynajmniej jego serce. Ścierały się w nim dwie pierwotne siły: naturalny instynkt, by w miłości dać całego siebie, z instynktem samozachowawczym, nakazującym unikania cierpień.

- Piekielnie dziwna sprawa - oceniła Jessica, kiedy skończył.

- Owszem. - W nocy zamienili niewiele słów. Zapewnił ją, że nic mu nie jest, i poszli spać. - Powinienem ci podziękować.

- Za co?

- Że zadzwoniłaś do Wina. Skinęła głową.

- Po napaści tych bandziorów.

- Obiecałaś, że nie będziesz się wtrącała do moich spraw.

- Nieprawda. Obiecałam, że nie będę cię powstrzymywać. To różnica.

- Pewnie.

Jessica przygryzła dolną wargę. Miała na sobie dżinsy i o parę numerów za dużą bluzę Uniwersytetu Duke'a, a włosy mokre, bo przed chwilą brała prysznic.

- Powinieneś się do mnie wprowadzić - powiedziała.

- Słucham? - spytał, bo jej słowa uderzyły go jak cios prosty w szczękę.

- Przepraszam, że tak z tym wyskakuję, ale nie umiem owijać w bawełnę.

- Za to ja owijam jak marzenie - odparł. Pokręciła głową.

- Żartujesz w najdziwniejszych momentach.

- Przepraszam.

- Wiesz, że nie jestem w tym dobra. Wiedział.

Przechyliła głowę, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się nerwowo.

- Lubię, kiedy tu jesteś - powiedziała. - Tu jest twoje miejsce.

Serce mu urosło, zaśpiewało i zadrżało z obawy.

- To poważny krok.

- Wcale nie. Zresztą większość czasu spędzasz tutaj. A ja cię kocham.

- Ja ciebie też.

Zamilkli na dłużej, niż powinni. Jessica przerwała milczenie, zanim mogło wyrządzić nieodwracalną szkodę.

- Nic nie mów - wyrzuciła z siebie. - Chcę, żebyś to przemyślał. Głupio wybrałam moment, tyle masz teraz na głowie. A może wybrałam go właśnie dlatego, czy ja wiem. Nie mów nic. Wszystko przemyśl. Nie dzwoń do mnie. Wieczorem też nie. Przyjdę na twój mecz, a po meczu zabiorę Audrey na kielicha. Ma dziś urodziny. Zanocuj w domu. Porozmawiamy jutro, zgoda? Jutro?

- Jutro - zgodził się Myron.

Przy biurku w recepcji siedziała Wielka Cyndi. „Siedziała” to niewłaściwe słowo. Na ten widok przychodził na myśl przysłowiowy wielbłąd, próbujący precyzyjnie się przez ucho igielne. Błat biurka, którego nogi wisiały w powietrzu, kołysał się na jej kolanach jak huśtawka. Kubek z kawą niknął w dłoniach wielkich jak jaśki. Krótkie szpikulce włosów były dziś w oczy różem. Makijaż kojarzył mu się z wypadkiem z kredkami świecowymi, którymi wymazał się w dzieciństwie, a biała szminka na ustach z filmem dokumentalnym o Elvisie.

Zazwyczaj Cyndi witała go warknięciem. Dziś jednak uśmiechnęła się i zatrzepotała powiekami, przerażając go o wiele bardziej niż zwykle. Wyglądała jak Bette Davis w „Co się zdarzyło Baby Jane”, tyle że Bette Davis na serydach. Palcem środkowym wskazała w górę, unosząc go i opuszczając.

- Pierwsza linia? - spytał.

Pokręciła przecząco głową. Ruchy jej palca przyspieszyły. Spojrzała na sufit. Myron podążył za jej wzrokiem, ale nie dostrzegł niczego. Cyndi przewróciła oczami. Na twarzy miała nieruchomy uśmiech cyrkowego klauna.

- Nie rozumiem - wyznał.

- Win chce się z panem zobaczyć - wyjaśniła. Myrona zaskoczył jej głos, usłyszał go po raz pierwszy. Brzmiał tak pewnie jak głos hostessy programu kablowej sieci handlowej, w którym nie milkną telefony od wdzięcznych klientów opisujących nader szczegółowo, jak bardzo odmieniło się ich życie po zakupie zielonej wazy w kształcie góry Rushmore.

- Gdzie Esperanza? - spytał.

- Jest milutki.

- Czy Esperanza jest w biurze?

- Uznał, że to ważna sprawa.

- Ja tylko...

- Pan do niego idzie - przerwała mu Cyndi - i nie kontroluje swojej nieocenionej partnerki.

Uśmiechnęła się miło.

- Ja jej nie kontroluję. Chcę się tylko dowiedzieć...

- Gdzie jest biuro Wina. Dwa piętra wyżej.

Łyknęła kawy, wydając dźwięk, określany niezobowiązująco przez pewne osoby „siorbnięciem”. Dźwięk, po którym łosie w promieniu trzech stanów rzucają się na poszukiwanie samic.

- Powiedz jej, że tu wrócę - rzekł.

- Oczywiście. - Cyndi zatrzepotała rzęsami przypominającymi dwie tarantule w przedśmiertnych drgawkach. - Miłego dnia.

Okna narożnego gabinetu Wina wychodziły na Pięćdziesiątą Drugą Ulicę i Park Avenue. Złoty chłopiec firmy Lock-Horne Securities zasługiwał na najlepszy widok. Myron zagłębił się w luksusowym skórzanym fotelu w kolorze burgunda. Na pokrytych boazerią ścianach wisiało kilka obrazów przedstawiających polowanie na lisa.

Dziesiątki dzielnych jeźdźców w czarnych toczkach, czerwonych żakietach, białych bryczesach, czarnych butach goniło ze strzelbami i psami za małym futrzastym stworzeniem, by go dopaść i zabić. To nie było fair play. Raczej gruba przesada. Jak zapalenie papierosa miotaczem płomieni. Win pisał na laptopie, wyglądającym bardzo samotnie na pustkowiu jego ogromnego biurka.

- Na dyskietkach nagranych w domu Grega znalazłem coś ciekawego - powiedział.

- Tak?

- Nasz znajomy, pan Downing, miał adres internetowy w portalu America Online. Ten liścik otrzymał w sobotę.

Win obrócił laptop tak, żeby Myron mógł przeczytać na ekranie:

***Temat: Seks!***

***Data: 03 11 14:51:36 wsch.***

***Od: Wrzebabka***

***Do: Downing 22***

***Spotkajmy się o dziesiątej. W umówionym miejscu. Przyjdź. Obiecuję ci najbardziej upojny wieczór, jaki można sobie wyobrazić. F.***

Myron podniósł wzrok.

- Najbardziej upojny wieczór, jaki można sobie wyobrazić? - spytał.

- Napisane z polotem, co? Myron skrzywił się.

Win przyłożył rękę do serca.

- Nawet jeśli jest to obietnica bez pokrycia, gotowość pani F. do ryzyka i oddanie swojemu rzemiosłu budzą podziw.

- Mhm - mruknął Myron. - A kim jest ta F.?

- W AOL brak użytkownika o nazwie Wrzebabka - odparł Win. - Co o niczym nie świadczy. Wielu użytkowników nie ma nazw. Nie chcą,

żeby wszyscy znali ich prawdziwe nazwisko. Przypuszczam jednak, że F. to kolejny pseudonim naszej przedwcześnie zmarłej Carli.

- Znamy już jej prawdziwe nazwisko - powiedział Myron.

- Tak?

- Liz Gorman. Win uniósł brew.

- Słucham?

- Liz Gorman. Z Brygady Kruka.

Myron zrelacjonował rozmowę z Fredem Higginsem. Win rozsiadł się w fotelu i złożył dłonie koniuszkami palców. Z jego twarzy jak zwykle nie dało się nic wyczytać.

- Ciekawie, coraz ciekawiej - rzekł, kiedy Myron skończył.

- Powstaje pytanie: jaki związek może łączyć Grega Downinga z Liz Gorman?

- Silny. - Win wskazał głową laptop. - Możliwość spędzenia najbardziej upojnego wieczoru, jaki można sobie wyobrazić, jeśli ktoś da wiarę tej hiperboli.

- Wieczoru z Liz Gorman?!

- Czemu nie - odparł Win prawie obronnym tonem. - Nikogo nie wolno dyskryminować z powodu wieku czy implantów.

Znalazł się obrońca równych praw.

- Nie w tym rzecz. Wprawdzie nikt nie nazwał Liz Gorman ślicznotką, ale założmy, że Grega ona rajcuje...

- Jakiś ty płytki, Myronie. - Win z rozczarowaniem pokręcił głową. - Nie przyszło ci do głowy, że Greg dostrzegł w niej nie tylko powierzchowność? Miała bądź co bądź duże piersi.

- Jak w każdej dyskusji o seksie pomijasz sedno sprawy.

- To znaczy?

- Jakim cudem zawarli znajomość.

Win ponownie złożył dłonie, bębniąc koniuszkami palców po nosie.



- Uhm - mruknął.

- Właśnie, uhm. Oto kobieta, która od ponad dwudziestu lat się ukrywa. Podróżuje po całym świecie, zapewne nigdzie długo nie zagrzewa miejsca. Dwa miesiące temu obrabowała bank w Arizonie. Pracuje jako kelnerka w malutkim barze na Dyckman Street. Jak ktoś taki mógł poznać Grega Downinga?

- To trudne, lecz nie niemożliwe - odparł Win. - Jest na to mnóstwo przykładów.

- Jakich?

- Na przykład - Win wskazał ekran komputera - w tym emailu jest mowa o zeszłej sobocie, o wieczorze, w którym Greg i Liz Gorman spotkali się w nowojorskim barze.

- Spelunce - sprostował Myron. - Dlaczego tam? Dlaczego nie w jakimś hotelu albo u niej?

- Może dlatego, że jest na uboczu. Może Liz Gorman rzeczywiście nie chciała rzucać się w oczy. Taki bar to zatem dobry wybór. - Win rozłożył dłonie i zabębnił palcami w biurko. - Ale zapominasz o jeszcze jednym, przyjacielu.

- O czym?

- O kobiecej garderobie w domu Grega. Twoje śledztwo przywiodło nas do wniosku, że Downing krył się z tym, że ma kochankę. Pytanie: dlaczego? Dlaczego tak bardzo starał się zataić romans? Jednym z możliwych wyjaśnień jest to, że tajemniczą damą była osławiona Liz Gorman.

Myron gubił się w domysłach. Audrey widziała Grega w restauracji z kobietą nie pasującą do opisu Liz Gorman. Co to oznaczało? Mógł mieć randkę z kim innym. Mogło to być całkiem niewinne spotkanie. Może romans na boku, kto wie? Jakoś nie mógł uwierzyć w romantyczny związek Grega Downinga z Liz. Coś tu się nie zgadzało.

- Trzeba znaleźć jakiś sposób na dotarcie do prawdziwego nazwiska użytkownika konta w AOL-u - powiedział. - Upewnijmy się, że należy ono do Liz Gorman pod którymś z fałszywych nazwisk.

- Zobaczę, co się da zrobić. Nie mam żadnych znajomych w America Online, ale któryś z naszych znajomych musi tam kogoś znać. - Win sięgnął za siebie i otworzył pokryte boazerią drzwiczki lodówki. Rzucił Myronowi puszkę yoo-hoo, a sobie nalał piwa Brooklyn. Pił tylko takie. - Trudno było namierzyć pieniądze Grega - rzekł. - Podejrzewam, że niewiele mu zostało.

- Potwierdzałoby to słowa Emily.

- Niemniej znalazłem jedną sporą wypłatę.

- Dużą?

- Pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Zajęło mi to trochę czasu, bo pochodzą z konta, które trzyma dla niego Martin Felder.

- Kiedy je wyjął?

- Cztery dni przed zniknięciem.

- Na spłatę długów hazardowych?

- Być może.

Zadzwoił telefon. Win podniósł słuchawkę.

- Wysłów się... Dobrze, połącz - powiedział i po dwóch sekundach podał słuchawkę Myronowi.

- Do mnie? - spytał Myron. Win spojrzał na niego chłodno.

- Skądże, przekazuję ci ją, bo dla mnie jest za ciężka. Świat pełen jest mądrali. Myron wziął słuchawkę.

- Halo?

- Na dole stoi wóz patrolowy - usłyszał agresywny głos Dimonte'a. - Wskocz do niego.

- Co się stało?

- To, że jestem w domu Downinga, kurwa mać! Żeby uzyskać nakaz przeszukania, o mały włos nie musiałem obciągnąć sędziemu.

- Co za piękny, obrazowy język, Rolly.

- Nie graj ze mną w wała, Bolitar. Powiedziałeś, że w domu jest krew.

- W suterenie - sprostował Myron.

- No, więc siedzę teraz w suterenie - odparł Dimonte. - Jest czysta jak pupa niemowlęcia.

Sutereana rzeczywiście była czysta. Ani śladu krwi.

- Muszą być jakieś ślady - powiedział Myron. Przygryzionej wykałaczkę w zaciśniętych zębach Dimonta groziło, że zaraz trzaśnie.

- Ślady?

- Tak. Wyjdą pod mikroskopem czy innym...

- Pod mikro... - Dimonte zamachał rękami, twarz miał purpurową. - A co mi po jakichś mikrośladach. Niczego nie wykażą.

- Wykażą, obecność krwi.

- I co z tego?! - krzyknął Dimonte. - Pod mikroskopem w każdym domu w Ameryce znajdziesz ślady krwi. Co z tego, do kurwy nędzy?!

- Nie wiem, co powiedzieć, Rolly. Ale tu na pewno była krew.

Dom przeszukiwało pięciu techników z ekipy kryminalistycznej. Żadnych policyjnych mundurów, oznakowanych wozów. Krinsky miał kamerę wideo, ale w tej chwili wyłączoną. Pod pachą ścisnął brązową teczkę z dokumentami.

- To raport koronera? - zagadnął go Myron.

- Nie twój interes, Bolitar! - rozłościł się Roland Dimonte, wkraczając między nich.

- Wiem o Liz Gorman, Rolly.

Wykałaczką opadła na podłogę.

- Jak, do diabła!...

- Nieważne.

- Jak to nieważne?! Kto jeszcze o tym wie? Jeżeli coś przede mną ukrywasz, Bolitar...

- Niczego nie ukrywam, myślę natomiast, że mogę pomóc. Podejrzliwiec Dimonte zmrużył oczy.

- Jak?

- Powiedz mi, jaką grupę krwi miała Gorman. Nic więcej nie chcę. Tylko grupę jej krwi.

- A dlaczego miałbym ci powiedzieć?

- Bo nie jesteś kompletnym idiotą, Rolly.

- Ty mi nie mydl oczu. Do czego ci ta informacja?

- Powiedziałem ci, że znalazłem w tej suterenie krew. Ale nie powiedziałem wszystkiego. Dimonte spojrzał na niego groźnie.

- Czego?

- Że zbadaliśmy jej próbkę.

- Zbadaliśmy?! Jacy my, do kurwy... - Dimonte'a zawiódł głos. - Chryste, tylko nie mów mi, że wciągnąłeś w to tego psychojapiszona! Kto poznał Wina, ten go kochał.

- Dokonajmy małej wymiany.

- Jakiej wymiany?

- Powiesz mi, jaka grupa krwi jest w raporcie koronera, a ja tobie, jaką grupę miała krew znaleziona w suterenie.

- Chrzań się, Bolitar. Mogę wsadzić cię za majstrowanie przy dowodach policyjnego śledztwa.

- Jakie majstrowanie? Nie było żadnego śledztwa.

- I tak mogę cię aresztować za włamanie do cudzego domu.

- Jeżeli to udowodnisz. I jeśli Greg wniesie skargę. Posłuchaj, Rolly...

- AB plus - wtrącił Krinsky, ignorując groźne spojrzenie Dimonte'a.
- Bardzo rzadka grupa. Ma ją tylko cztery procent populacji.

Detektywi patrzyli wyczekująco na Myrona. Skinął głową.

- AB plus. Ta sama - potwierdził.

Dimonte podniósł ręce i wykrzywił twarz w grymasie zdziwienia.

- Chwila, moment. Co ty, kurde, sugerujesz? Że zabito ją tu i przewieziono?

- Niczego nie sugeruję.

- Nie ma żadnych dowodów na przewiezienie zwłok - ciągnął Dimonte. - Najmniejszych. Nie szukaliśmy ich wprawdzie, jednak krwawienie wskazuje... Gdyby zabito ją tu, nie byłoby tyle krwi w jej mieszkaniu. Widziałeś przecież ten syf.

Myron skinął głową.

Dimonte strzelał oczami to tu, to tam, bez celu. Myron niemalże widział, jak przestają mu się obracać trybiki w mózgu.

- Wiesz, co to oznacza, Bolitar?

- Nie, Rolly, może mnie oświecisz.

- To oznacza, że morderca wrócił tu po zbrodni. To jedyne wyjaśnienie. Wiesz, na kogo to wszystko wskazuje? Na twojego koleżkę Downinga. Najpierw znaleźliśmy odciski jego palców w mieszkaniu ofiary...

- Jak to? Dimonte skinął głową.

- Tak jest. Odciski Downinga były na framudze drzwi.

- Ale nie w środku?

- W środku. Na wewnętrznej części framugi.

- Ale nigdzie indziej?

- Co za różnica? Odciski palców potwierdzają, że tam był. Czego więcej trzeba? A odbyło się to tak. - Dimonte wsadził do ust nową wykałaczkę. Nową wykałaczkę do nowej teorii. - Downing zabija ją.

Jedzie do domu, żeby się spakować. Śpieszy się, dlatego zostawia w suterenie bałagan. Ucieka. Po kilku dniach wraca i go sprząta.

- Po co schodziłby do sutereny? - spytał Myron.
- Do pralni - odparł Dimonte. - Zszedł, żeby wyprać rzeczy.
- Pralnia jest na górze, obok kuchni.

Dimonte wzruszył ramionami.

- No to może brał stąd walizkę.
- Walizki są w szafie w sypialni. A tu jest pokój zabaw dla dzieci, Rolly. Więc dlaczego tu zszedł?

Dało im to do myślenia. W tej historii nic nie trzymało się kupy. Czy Liz Gorman zabito tutaj i przewieziono do mieszkania na Manhattanie? Zważywszy na dowody rzeczowe, nie miało to wiele sensu. Czy zraniono ją w suterenie? Jedną chwilę.

Może zaatakowano ją tutaj. Może doszło do szamotaniny i w trakcie obezwładniania bądź ogłuszania ofiary połała się krew. Ale co potem? Czy morderca zapakował ją do samochodu i zawiózł na Manhattan? A później? Zaparkował wóz na dość ruchliwej ulicy, wciągnął nieprzytomną na górę po schodach do mieszkania i dobił?

Czy to miało sens?

- Detektywie! - zawołano z parteru. - Coś znaleźliśmy! Szybko!

Dimonte oblizał usta.

- Włącz kamerę - polecił Krinsky'emu, posłuszny radzie Myrona, by utrwać na taśmie wszystkie ważne momenty. - Zostań tu, Bolitar. Nie chcę się potem tłumaczyć, skąd się wzięła na taśmie twoja zakazana gęba.

Myron podążył za nimi, lecz w bezpiecznej odległości.

Krinsky i Dimonte weszli po schodach do kuchni i skręcili w lewo - do pralni, z żółtą winylową tapetą w białe kurczaki na ścianach. Gust Emily? Wątpliwe. Jej noga raczej tu nie powstała.

- Tutaj - powiedział ktoś.

Myron trzymał się z tyłu. Zobaczył, że od ściany odsunięto suszarkę. Dimonte schylił się i zajrzał za nią. Krinsky wygiął się nad nim, żeby sfilmować znalezisko. Dimonte wyprostował się. Z całych sił starał się zachować posępną minę - uśmiech źle wypadłby na filmie - ale miał z tym duże trudności. Nałożył gumowe rękawice i podniósł przedmiot. Był to zakrwawiony kij baseballowy.

Kiedy Myron wrócił do agencji, przy biurku w recepcji zastał Esperanzę.

- A gdzie Wielka Cyndi? - spytał.

- Na lunchu.

Na chwilę stanął mu przed oczami samochód Freda Flinstone'a przechylający się pod ciężarem żeber brontozaura.

- Win przekazał mi, co się dzieje - powiedziała Esperanza.

Była dziś w rozpiętej pod szyją bluzce koloru morskiego. Na smagłym dekolcie pyszniło się złote serduszko na cienkim łańcuszku, a jej wiecznie rozwichrzone włosy wplątały się w duże kolczyki w kształcie kół. Odgarnęła kosmyki palcem.

- Co się stało u Grega? - spytała.

Opowiedział jej o usunięciu śladów krwi i kiju do baseballu. Zwykle, słuchając go, wykonywała inne czynności. Tym razem jednak patrzyła mu prosto w oczy. Jej spojrzenie miało w sobie taką siłę, że niekiedy trudno było je wytrzymać.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam - powiedziała. - Dwa dni temu ty i Win odkryliście w suterenie krew.

- Tak.

- W tym czasie ktoś ją usunął... ale zostawił narzędzie zbrodni?

- Na to wygląda.

- Może sprzątaczką? - zasugerowała po chwili.
- Policja już to sprawdziła. Nie było jej tam od trzech tygodni.
- Masz jakiś pomysł? Skinął głową.
- Ktoś próbuje zrobić Grega - odparł. - To jedyne logiczne wyjaśnienie.

Uniosła niedowierzająco brew.

- Najpierw podrzucając tam krew, a potem ją usuwając?
- Nie, zacznijmy od początku. - Wziął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Przemysłał to sobie w drodze powrotnej i pragnął wypowiedzieć na głos. Stojący w kącie po lewej faks wydał z siebie cyfrowy zgrzyt pierwotny. Myron odczekał, aż ścichnie. - Po pierwsze, zakładam, że morderca wiedział o wieczornym spotkaniu Grega z Liz Gorman. Może nawet ich śledził albo czekał na nich w pobliżu jej mieszkania. W każdym razie wiedział, że będą razem.

Esperanza skinęła głową i wstała. Podeszła do faksu, żeby sprawdzić, co przyszło.

- Po wyjściu Grega zabił ją. Uznawszy Downinga za dobrego kozła ofiarnego, wziął trochę krwi z miejsca morderstwa i zostawił ją u niego. Żeby wzbudzić podejrzenia. Na dokładkę podrzucił za suszarkę narzędzie zbrodni: kij baseballowy.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że krew usunięto - wtrąciła Esperanza.

- Tak. I tu sprawa się nieco komplikuje. Przypuśćmy, że chcę ochronić Grega Downinga. Wchodzę do jego domu i znajduję krew. Chcę go ochronić przed oskarżeniem o morderstwo. Co zatem robię?

Spojrzała na faks.

- Usuwasz krew.

- Właśnie.

- O raju, dzięki. Dostanę złoty medal? Mów wreszcie co i jak.



- Trochę cierpliwości, dobrze? Widzę krew i ją usuwam.

- Tyle że, co ważne, nie ma tam kija baseballowego. To nie przykład. To rzeczywistość. Win i ja znaleźliśmy tylko krew w suterenie. Kija nie.

- Chwileczkę - przerwała mu. - Twierdzisz, że ktoś sprzątnął krew, żeby uchronić Grega przed oskarżeniem o morderstwo, ale nie wiedział o kiju?

- Tak.

- Kto?

- Nie wiem.

Pokręciła głową, wróciła do biurka i stuknęła kilka razy w klawiaturę.

- To się kupy nie trzyma - stwierdziła.

- Dlaczego?

- Przypuśćmy, że się kocham na zabój w Gregu Downingu - powiedziała, wracając do faksu. - Jestem w jego domu, z jakiegoś niezgłębionego powodu w pokoju zabaw dla dzieci. Zresztą nieważne gdzie. Załóżmy, że u siebie. Albo w twoim domu. Gdziekolwiek.

- Dobrze.

- Widzę krew na podłodze, na ścianach czy gdzie tam. - Spojrzała na Myrona. - Jaki wniosek mam z tego wyciągnąć?

- Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Przypuśćmy - ciągnęła po krótkim namyśle - że stąd wychodzisz i wracasz do mieszkania tej jędzy.

- Nie nazywaj jej tak.

- E tam. Przypuśćmy, że po wejściu widzisz krew na ścianach. Jaka jest twoja pierwsza reakcja?

Myron wolno skinął głową. Wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

- Martwię się o Jessicę - odparł.

- A druga? Kiedy odkrywasz, że nic jej nie jest?

- Chyba zaciekawienie. Czyja to krew? Skąd się wzięła? I tym podobne pytania.

- Właśnie. Pomyślałbyś: „O kurczę, lepiej posprzątam, zanim tę jędzę oskarżą o morderstwo”?

- Przestań ją tak nazywać.

Esperanza zbyła go machnięciem ręki.

- Pomyślałbyś tak czy nie?

- Nie w tych okolicznościach - odparł. - Ten domysł miałby ręce i nogi...

- Gdyby osoba ochraniająca Grega wiedziała o morderstwie - dokończyła za niego, sprawdzając coś w komputerze. - On lub ona musieliby również wiedzieć, że Greg jest w nie tak czy owak zamieszany.

Myronowi zawirowało w głowie od rozwiązań.

- Myślisz, że Greg ją zabił - rzekł. - Że po morderstwie wrócił do domu i zostawił ślady, takie jak krew w suterenie. A potem posłał tam ochraniającą go osobę, żeby je usunęła.

- Jak na to wpadłeś, u diabła?! - Esperanza skrzywiła się.

- Ja tylko...

- Wcale tak nie myślę. - Spięła kartki faksu. - Gdyby posłał tam kogoś, by usunął dowody, zniknęłoby również narzędzie morderstwa.

- Właśnie. Więc co nam pozostaje?

Wzruszyła ramionami i czerwonym flamastrem zaznaczyła coś kółkiem na faksie,

- To ty jesteś wielkim detektywem. Główkuj.

Myron zastanawiał się chwilę, modląc się, żeby rozwiązanie, które raptem wpadło mu do głowy, okazało się błędne.

- Jest jeszcze jedna możliwość - rzekł.

- Jaka?  
- Clip Arnstein.  
- To znaczy?  
- Powiedziałem mu o krwi w suterenie.  
- Kiedy?  
- Dwa dni temu.  
- Jak zareagował?  
- Mocno spanikował. Poza tym ma motyw: jakikolwiek skandal przekreśli jego szansę na zachowanie kontroli nad Smokami. Właśnie po to mnie wynajął. Żebym zapobiegł wszelkim kłopotom. Nikt inny nie wiedział o krwi w suterenie. - Myron zamilkł. Usiadł wygodniej na krześle i jeszcze raz to przemyślał. - Oczywiście nie miałem czasu zawiadomić Clipa o śmierci Liz Gorman. On nie wie, że to nie była krew Downinga. Wie tylko, że była w suterenie Grega. Posunąłby się aż do tego? Zaryzykowałby jej usunięcie, nie mając pojęcia o istnieniu Liz?

Esperanza posłała mu półuśmiech.

- Może wie więcej, niż myślisz - odparła.

- Jak to?

Wręczyła mu wydruk z faksu.

- To wykaz zamiejscowych rozmów z automatu w barze Parkview - wyjaśniła. - Spójrz na numer, który zakreśliłam. Taki sam mam w notatniku w komputerze.

Cztery dni przed zniknięciem Grega z automatu w barze Parkview odbyto dwunastominutową rozmowę. Dzwoniono pod numer Clipa. Uśmiechnął się do Esperanzy. Przy jego opaleniznie i zbyt śnieżnych zębach wydawało się, że zapalił latarkę.

- Kim jest to urocze stworzenie? - zagadnął, puszczając oko.

- Carramba! My, urocze stworzenia, uwielbiamy być tak nazywane  
- odparła.

Kościej znowu się zaśmiał.

- Ta panienka ma charakter. To mi się podoba.

- A mnie wisi.

- Pozwoli pani - rzekł ze śmiechem Kościej - że zajmę jej chwilę,  
panno...?

- Money Penny - dokończyła, naśladując najlepiej jak umiała Seana  
Connery'ego.

Wyszło jej to nie tak dobrze jak Richowi Little'owi, ale nie  
najgorzej, wywołując następny śmiech Kościeja. Ten facet miał coś z  
hieny.

- Proszę tu wezwać Wina - dokończył. - Przez telefon  
głośnomówiący, jeśli łaska. Niech zjeździe tu bez broni.

Esperanza spojrzała na Myrona. Skinął głową. Wybrała numer.

- Wysłów się - odezwał się, tak jak zwykle, Win.

- Chce się z tobą widzieć sztuczny blondyn ze sztuczną opalenizną -  
powiedziała.

- A, spodziewałem się go - odparł Win. - Cześć, Kościej.

- Cześć, Win.

- Domyślam się, że jesteś w dobrze uzbrojonym towarzystwie.

- Zgadza, się. Nie próbuj żadnych numerów, bo twoi przyjaciele nie  
wyjdą stąd żywi.

- Nie wyjdą żywi? - powtórzył Win. - Spodziewałem się po tobie  
czegoś oryginalniejszego, Kościej. Już zjeżdżam.

- Tylko bez broni.

- Mowy nie ma. Ale nie będzie przemocy. Obiecuję. Stuknęła  
odłożona słuchawka. Przez kilka sekund wszyscy patrzyli na siebie

takim wzrokiem, jakby zadawali sobie pytanie, kto przejmie inicjatywę.

- Nie ufam mu - rzekł Kościej i dał znak Cegłowie. - Idź z dziewczyną do drugiego pokoju. Schowaj się za biurkiem czy czymś. Usłyszysz strzały, strzel jej w łeb.

Cegłowa skinął głową.

- Celuj w Bolitara - polecił Kościej Panterce.

- Dobra.

Wyjął rewolwer. Gdy brzęknęła winda, przykucnął i wymierzył w jej drzwi. Ale z kabiny nie wysiadł Win. Wydostała się z niej, trochę jak dinozaur z jaja, Wielka Cyndi.

- O żeż ty! - zdziwił się Panterka. - A to co?

Wielka Cyndi warknęła.

- Kto to jest, Bolitar? - spytał Kościej.

- Moja nowa recepcjonistka.

- Niech zaczeka obok. Myron skinął Cyndi głową.

- W porządku - uspokoił ją. - Jest tam Esperanza. Cyndi warknęła ponownie, ale posłuchała. W drodze do gabinetu minęła Kościeja. Jego rewolwer wyglądał przy niej jak jednorazowa zapalniczka. Otworzyła drzwi, warknęła po raz trzeci i zamknęła je. Zapadło milczenie.

- O żeż ty! - powtórzył Panterka.

Na ponowny dzwonek windy czekali około pół minuty. Kościej jeszcze raz przykucnął i wycelował. Drzwi się odsunęły. Wysiadł Win. Widok wymierzonej broni lekko go zirytował.

- Powiedziałem, że nie będzie przemocy - wycedził.

- Masz potrzebną nam informację - rzekł Kościej.

- Dobrze o tym wiem - odparł Win. - A teraz odłóż rewolwer i porozmawiajmy jak ludzie kulturalni.

- Masz broń? - spytał Kościej, dalej celując w Wina.
- Oczywiście.
- Oddaj.
- Nie. A poza tym nie jedną. Kilka. - Powiedziałem...
- Słyszałem cię, Orville.
- Nie nazywaj mnie tak.

Win westchnął.

- Proszę bardzo, Kościeju! - Pokręcił głową. - Niepotrzebnie utrudniasz.

- Jak mam to rozumieć?

- Zbyt często, jak na człowieka inteligentnego, zapominasz, że są inne rozwiązania niż brutalna siła. Niektóre sytuacje wymagają umiaru.

Win zalecający umiar?! Co może to przebić? Xaviera Hollander zalecająca związek z jednym partnerem?

- Zastanów się, co zwojowałeś - ciągnął Win. - Najpierw para amatorów poturbowała Myrona...

- Amatorów?! - oburzył się Panterka. - Kogo nazywasz...
- Zamknij się, Tony - przerwał mu Kościej.
- Słyszałeś, jak mnie nazwał? Amatorem.
- Powiedziałem: zamknij się!

Ale Tony Panterka jeszcze nie skończył.

- Ja też mam uczucia, Kościej! - odpysknął. Kościej spojrzał na niego groźnie.

- Chcesz mieć całe udo? - wycedził. Tony zamknął usta.
- Przepraszam, że ci przerwano - rzekł Kościej do Wina.
- Przeprasiny przyjęte - odparł Win.
- Mów.

- A więc najpierw próbowaliście poturbować Myrona, a potem porwać go i okaleczyć. Bez powodu.

- Bez powodu? Musimy wiedzieć, gdzie jest Downing.

- A skąd wiesz, że on wie?

- Ty i on byliście w jego domu. A potem Bolitar nagle trafia do jego drużyny. A właściwie wchodzi na jego miejsce.

- I co z tego?

- To, że nie jestem głupi. Wy dwaj coś wiecie.

- A jeżeli wiemy? - Win rozłożył ręce. - Dlaczego nie spytałeś? Przyszło ci to do głowy? Czy w ogóle dopuszczasz myśl, że najlepiej jest po prostu zapytać?

- Spytałem go! - wtrącił, czuły na krytykę, Panterka. - Na ulicy! Spytałem, gdzie jest Greg. Ale mi ubliżył.

- Byłeś kiedyś w wojsku? - spytał Win.

- Nie.

Panterkę pytanie zbiło z tropu.

- Jesteś nic niewartym śmieciem - rzekł Win takim samym tonem, jakim mówił o pakiecie akcji mieszanych. - Taka ektoplazma jak ty, strojąca się w wojskowy dreluch, obraża wszystkich mężczyzn i kobiety, którzy uczestniczyli w prawdziwej walce. Jeżeli jeszcze raz zobaczę cię w podobnym stroju, mocno cię skrzywdzę. Wyrażam się jasno?

- Ej...

- Nie znasz gościa, Tony - przerwał mu Kościej. - Skiń głową i zamknij się.

Panterka, choć bardzo urażony, posłuchał go.

- Możemy pomóc sobie nawzajem wyjść z tej sytuacji - powiedział Win do Kościeja.

- Jak?

- Tak się składa, że my również szukamy nieuchwytnego pana Downinga. Dlatego mam dla ciebie propozycję.

- Słucham.

- Najpierw - rzekł Win - przestań w nas celować.

Kościej łypnął na niego podejrzliwie.

- Mam ci zaufać?

- Gdybym chciał cię zabić, zginąłbyś zeszłej nocy - odparł Win.

Kościej przemyślał to sobie, skinął głową i opuścił broń. Na jego znak Panterka zrobił to samo.

- Dlaczegoś tego nie zrobił? Ja w takiej sytuacji pewnie bym cię zabił - powiedział Kościej.

- To właśnie rozumiem przez brutalną siłę - odparł Win. - Marnotrawstwo. W tej sprawie jesteśmy sobie potrzebni. Gdybym cię zabił, nie mógłbym ci dziś złożyć propozycji.

- Owszem. Przedstaw ją.

- Domyślam się, że pan Downing jest ci dużo winien.

- Bardzo dużo.

- Dobrze. Powiesz nam, co wiesz, a znajdziemy ci go za darmo. Tylko obiecaj, że jak się znajdzie i ci zapłaci, nie zrobisz mu krzywdy.

- A jeśli nie zapłaci?

Win uśmiechnął się i uniół dłonie spodem do góry.

- A kimże my jesteśmy, żeby się wtrącać do tego, w jaki sposób prowadzisz interesy?

- W porządku, jakoś to przeżyję - rzekł Kościej po krótkim namyśle. - Powiem, ale nie przy tym najmicie. Przejdź do drugiego pokoju - polecił Panterce.

- Dlaczego?

- Bo jeżeli ktoś cię weźmie na tortury, nic nie będziesz wiedział.



Ta odpowiedź widać przekonała Panterkę, bo bez słowa wszedł do gabinetu Myrona.

- Usiądźmy - zaproponował Win. Usiedli. Kościej skrzyżował nogi.

- Downing to nałogowy hazardzista - zaczął. - Długo dopisywał mu fart. Żle, gdy ktoś ma chlicę. Kiedy szczęście się od niego odwróciło - a w końcu kiedyś musiało - wciąż liczył, że się odegra. Tak jak oni wszyscy. Jeśli mają tyle szmalu co Downing, pozwalam im grać. Kopać sobie grób. Korzystam na tym. Ale jednocześnie muszę mieć na nich oko. I robić to z wycuciem. Z drugiej strony człowiek nie chce, żeby przekopali się do Chin... Wiesz, o czym mówię? - spytał Myrona.

Myron skinął głową.

- O Chinach.

- Tak jest. W każdym razie Downing zaczął przegrywać. Dużo, bardzo dużo. Nie płacił od razu, ale nie sprawiał kłopotów. Czasem jego dług dochodził do dwustu pięćdziesięciu, a nawet trzystu.

- Tysięcy dolarów?

- Tak. - Kościej uśmiechnął się. - Nie znasz hazardzistów, co?

Myron nie odpowiedział. Nie zamierzał zwierzać się temu ścierwu z życiorysu.

- Hazard uzależnia jak alkohol i heroina - ciągnął Kościej. - Nie mogą przestać. Pod pewnymi względami to jeszcze gorszy nałóg. Ludzie piją i narkotyzują się, żeby uciec przed rozpaczą. Hazard również oferuje ci ucieczkę, lecz poza tym wyciąga do ciebie przyjacielską dłoń nadziei. Kiedy grasz, zawsze masz nadzieję. Zawsze wierzysz, że następny zakład odmieni twój los. To paragraf dwadzieścia dwa. Masz nadzieję, stawiasz dalej. Stawiasz dalej, masz nadzieję.

- Bardzo głębokie - pochwalił Win. - Ale wróćmy do Grega Downinga.

- Mówiąc wprost, przestał spłacać długi. Urosły do pół miliona. Zacząłem go naciskać. Wyjaśnił, że jest splukany, ale nie ma powodu do obaw, bo podpisuje wielki kontrakt reklamowy, który przyniesie krocie.

Kontrakt z Forte, pomyślał Myron. Wyjaśniało to nagłą zmianę stanowiska Grega wobec pieniędzy z reklam.

- Zapytałem, kiedy wpłyną pieniądze z kontraktu. Odparł, że za sześć miesięcy. „Sześć miesięcy? Pół miliona długu, który rośnie? To mnie nie zadowala - mówię. - Płać, nie będę czekał”. A on na to, że nie ma pieniędzy. Więc zażądałem poręczenia.

Myron wiedział, dokąd to zmierza.

- Ustawił wynik meczu.

- Nie. Miał ustawić. Smokom dawano ośmiopunktową przewagę nad Charlotte. Downing musiał się postarać, żeby Smoki wygrały niżej. Nic wielkiego.

- Zgodził się?

- Jasne. Mecz był w niedzielę. Postawiłem na Charlotte kupę forsy. Kupę.

- Ale Greg nie zagrał - dokończył za niego Myron.

- Właśnie. Smoki wygrały dwunastoma punktami. Greg podobno odniósł kontuzję. Tak piszą gazety. Nietypowy uraz, nie jego wina. Ale, nie zrozumcie mnie źle, i tak odpowiada za moją przegraną. Mam płacić za jego nietypowy uraz? - Kościej urwał, żeby sprawdzić, czy ktoś kwestionuje jego rozumowanie. Nikt się nie potrudził. - Czekałem na telefon od niego, lecz nie zadzwonił. A ja mam prawie dwa miliony w plecy. Nie mogę siedzieć beczynn timer, no nie, Win? Win skinał głową.

- Kiedy Greg zapłacił ci po raz ostatni? - spytał Myron.
- Dawno. Czy ja wiem... Pięć, sześć miesięcy temu.
- Później nic?
- Nic.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas. Do pokoju wrócili: Esperanza, Wielka Cyndi, Panterka i Cegłowa. Win i Kościej zmienili temat i zajęli się wspólnymi znajomymi z kręgu sztuk walki. Pięć minut później Kościej i jego świta wyszli. Ledwo zamknęły się drzwi windy, Wielka Cyndi uśmiechnęła się szeroko do Esperanzy i zaczęła skakać wkoło po recepcji. Podłoga zadrżała. Myron spojrział pytająco na Esperanzę.

- To z powodu tego wielkiego, który był z nami w gabinecie - wyjaśniła.

- Co z nim?
- Poprosił ją o numer telefonu.

Wielka Cyndi skakała z dziecięcą zapamiętałością. Zapewne pracujący piętro niżej szukali właśnie schronienia niczym mieszkańcy ginącej Pompei.

- Czy zwróciłeś uwagę, że Greg nie płacił od miesięcy? - spytał Myron Wina.

- Pięćdziesiąt tysięcy, które wyjął, nim zniknął, najwyraźniej nie poszło na spłatę długów hazardowych.

- A na co?
- Podejrzewam, że na ucieczkę.
- A więc zaplanował ją co najmniej cztery dni wcześniej.
- Na to wygląda.

- W takim razie czas dokonania morderstwa nie jest przypadkowy - rzekł po chwili Myron. - Skoro Greg zamierzał zniknąć, śmierć Liz Gorman w dniu jego ucieczki nie może być przypadkiem.

- Bez wątplenia - przyznał Win.

- Myślisz, że Greg ją zabił?

- W tę stronę wiodą tropy. Wspomniałem ci, że te pięćdziesiąt tysięcy wyjęto z konta, którym zawiaduje Marty Felder. Może on zna odpowiedź.

Wielka Cyndi raptem przestała skakać, objęła Esperanzę i wydała z siebie dźwięk lala. Nowa miłość.

- Jeżeli Felder wiedział, że Greg się ukryje, to dlaczego nagrał się na jego sekretarce? - spytał Myron.

- Być może, żeby wywieść nas w pole. Albo nie wiedział o zamiarze Grega.

- Zadzwoń do niego. Może mi się uda z nim umówić na jutro.

- Dziś masz mecz?

- Tak.

- O której?

- Wpół do ósmej. - Myron sprawdził godzinę. - Ale jeżeli przedtem mam porozmawiać z Clipem, muszę się zbierać.

- Poprowadzę - rzekł Win. - Chciałbym poznać tego pana Arnsteina.

Po ich wyjściu Esperanza odsłuchiwała nagrania poczty głosowej, a potem uporządkowała biurko. Ustawiła prosto dwa zdjęcia przekrzywione przez kolana koleżanki - na jednym była z brodatą collie Chloe, zwyciężczynią konkursu na najlepszego psa swojej rasy na wystawie psów w Westchester, a na drugim w stroju Małej Pocahontas z Wielką Cyndi czyli Wielką Szeferką, z pasami mistrzowskimi WDW (Wspaniałych Dam Wrestlingu) w kategorii walk parami.

Wpatrywała się w fotografie, nie przestając myśleć o tym, co usłyszała od Myrona. Nie dawały jej spokoju pytania o czas. Czas morderstwa. Czas zniknięcia Downinga. No i czas związany z Liz Gorman. Kiedy przyjechała do Nowego Jorku? Bank w Tucson

obrabowano dwa miesiące temu. Właśnie wtedy Liz zaczęła pracować w barze Parkview. Poszukiwana kryminalistka uciełaby oczywiście jak najdalej od miejsca przestępstwa, ale żeby do tak gęsto zaludnionego miasta jak Nowy Jork? Dlaczego?

Im dłużej się nad tym głowiła, tym bardziej gubiła się w domysłach. Z pewnością istniała jakaś przyczyna i skutek. Za tym skokiem na bank kryło się coś, co przywiodło Liz Gorman do Nowego Jorku. Po kilku minutach jałowych rozważań Esperanza podniosła słuchawkę i zadzwoniła do zaufanego informatora Myrona i Wina w FBI.

- Potrzebuję wszystkiego o napadzie Brygady Kruka na bank w Tucson - powiedziała. - Możesz przysłać mi kopię akt?

- Dostaniesz je jutro rano.

Win i Myron dzielali dość niezwykle zamiłowanie do broadwayowskich musicali. W tej chwili stereofoniczna aparatura w jaguarze Wina odtwarzała na cały głos ścieżkę dźwiękową z musicalu 7776. Amerykański kongresman wołał: „Niech ktoś otworzy okno!”, doprowadzając do zażartej kłótni na temat zalet otwartego („w Filadelfii było gorąco jak w piekle”) i zamkniętego („za dużo much”) okna. Uwikłane w tę sprzeczkę osoby kazały Johnowi Adamsowi usiąść. Historia.

- Kto grał Thomasa Jeffersona w pierwszej inscenizacji? - spytał Win.

Myron znał odpowiedź. Życie z jego przyjaciółmi było nieustannym quizem.

- Teatralnej czy filmowej? - spytał Myron. Win zmarszczył brwi.

- Nie zajmuję się inscenizacjami filmowymi.

- Ken Howard.

- Dobrze. A najślynniejsza kreacja pana Howarda?
  - Trener w Białym cieniu.
  - Dobrze. A kto pierwszy zagrał Johna Adamsa?
  - William Daniels.
  - Najlepiej znany jako?
  - Okropny lekarz w St. Elsewhere.
  - Jaka aktorka, zagrała Marthę Jefferson?
  - Betty Buckley. Najlepiej znana z roli Abby w Ośmioro wystarczy.
- Win uśmiechnął się.
- Dobry jesteś - pochwalił.

Myron patrzył w okno. Budynki i samochody zbiły się w pulsującą masę. Myślał o Jessice. O zamieszkaniu z nią. Nie miał nic przeciwko temu, żadnych argumentów. Kochał ją. Ona jego. A poza tym to ona zrobiła pierwszy ruch - pierwszy raz, jak sięgał pamięcią. W większości związków zawsze jedno z partnerów dominowało. Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy. Trudno było znaleźć idealną równowagę. W ich przypadku przewagę miała Jessica. Wiedział o tym, a gdyby nie wiedział, i tak uświadomiłyby mu to częste aluzje Esperanzy, że jest „pod pantoflem”. Nie znaczyło to, że Jessica kocha go nie tak mocno jak on ją. Zresztą, może tak było. W każdym razie na pewno rzadko proponowała mu coś pierwsza, rzadko się przed nim odślaniała. Chciał skorzystać z okazji, chciał jeszcze bardziej ją ośmielić. Długo czekał na takie słowa z jej ust. Coś go jednak powstrzymywało. Podobnie jak w przypadku rozmowy z T.C. miotał się między przeciwieństwami.

Z burzy wszystkich za i przeciw w jego głowie nie płynęły żadne wnioski. Najchętniej skonfrontowałby z kimś swoje myśli. Najlepiej byłoby je omówić z kimś bliskim. Tylko z kim? Jego najbardziej niezawodna powierniczka, Esperanza, nie cierpiała Jessiki. Win... jeśli

chodzi o sprawy sercowe, odpadał. Od dawna iskrzyło mu wyłącznie w dolnych partiach ciała.

Mimo to Myron usłyszał własny głos:

- Jessica zaproponowała, żebym z nią zamieszkał.
- Dostajesz pełną stawkę za mecze finałowe? - spytał Win po chwili.
- Słucham?
- Dołączyłeś do drużyny późno. Obliczyłeś, ile dostaniesz za mecze

finałowe?

- Nie martw się. Zadbalem o to.

Win skinął głową. Patrzył na drogę. Bez przerwy zmieniał pasma ruchu. Wskazówka szybkościomierza trzymała się osiemdziesięciu mil, prędkości przekraczającej możliwości drogi numer 3. Choć z biegiem lat Myron co nieco się oswoił z jego sposobem jazdy, mimo to nie odrywał oczu od przedniej szyby.

- Zostaniesz na meczu? - spytał.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy będzie tam Łomot - odparł Win. - Mówiłeś, że szuka pracy. Mógłbym ją przy okazji wypytać.

- Co jej powiesz?

- Stoimy przed dylematem. Zagadniesz ją o telefon od Downinga, to się zdemaskujesz. Zagadnę ją ja, zaraz spyta o przyczyny i powody. Tak czy siak, jeżeli nie ma martwicy mózgu, nabierze podejrzeń. A co więcej, jeśli wie o czymś istotnym, prawdopodobnie nam skłamie.

- Co proponujesz?

Win przechylił głowę, jakby się namyślał.

- Może pójdę z nią do łóżka - rzekł. - A kiedy zatraci się w spazmach napiętności, pociągnę ją za język.

- Ona sypia tylko z graczami Gigantów i Smoków - przypomniał mu Myron, marszcząc czoło. - Do łóżka?

Win wzruszył ramionami.

- To lepsze od chłosty gumowym węzłem - odparł. - No, chyba że ona lubi te rzeczy.

- Masz jakieś inne pomysły?

- Pracuję nad tym.

Skręcili w zjazd do stadionu Meadowlands. Z odtwarzacza CD płynął śpiew Abigail Adams informującej Johna Adamsa, że kobiety w Massachusetts potrzebują szpilek. Win chwilę nucił do wtóru.

- Jeśli chodzi o Jessice - zdjął rękę z kierownicy i poniekąd nią skinął - nie mnie radzić w takich sprawach.

- Wiem.

- Kiedy rzuciła cię pierwszy raz, byłeś nieszczęśliwy. Nie rozumiem, po co miałbyś ryzykować powtórkę.

Myron popatrzył na przyjaciela.

- Naprawdę nie wiesz? - spytał. Win nie odpowiedział.

- To smutne, Win.

- O tak, bardzo tragiczne.

- Ja nie żartuję.

Win po aktorsku zasłonił przedramieniem czoło.

- Biada mi, nigdy nie doświadczę otchłani nieszczęścia, w którą swoim odejściem wtrąciła cię Jessica. Biedactwo.

- Dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej. Win opuścił rękę i pokręcił głową.

- Nieprawda, przyjacielu. Prawdziwe było jedynie cierpienie. Reszta twoich uczuć to okrutna złuda.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak.



- O wszystkich związkach? Win pokręcił głową.
- Tego nie powiedziałem.
- A co z naszą przyjaźnią? Też jest okrutną złudą?
- Nie mówimy o nas.
- Próbuję zrozumieć...
- Nie ma nic do zrozumienia - przerwał mu Win. - Zrób, co uznasz za najlepsze. Powiedziałem: ze mną nie ma co omawiać takich spraw.

Zamilkli. Przed nimi wyłoniła się hala. Przez lata nazywano ją Areną Brendana Byrne'a, od nazwiska niepopularnego gubernatora, sprawującego urząd w czasie, gdy budowano kompleks Meadowlands. Ostatnio jednak poszukujące kapitału władze sportu przemianowały ją na Arenę Continental Airlines nazwa ta wprawdzie nie wpadała w ucho, ale poprzednia też nie wyrwała z piersi pieśni. Hańba, zakrzyknęli z wielkim oburzeniem na tę zniewagę Brendan Byrne i jego dawni służalcy. To spuścizna gubernatora. Jak można mu to zrobić. Myron nie miał wszakże nic przeciwko zmianie nazwy. Bo jaki był wybór? Ściągnąć z amerykańskich podatników dwadzieścia siedem milionów dolarów czy zranić próżność polityka? Konkurencja bardzo nierówna.

Spoglądając na przyjaciela, wpatzonego w drogę i mocno ściskającego kierownicę, Myron powrócił myślami do tego ranka sprzed lat pięciu kiedy po odejściu Jessiki snuł się bez celu po domu, do drzwi zapukał Win.

- Chodź - powiedział bez żadnych wstępów. - Wynajmę ci dziewczynę. Musisz spuścić z krzyża.

Myron pokręcił przecząco głową.

- Na pewno nie? - upewnił się Win.

- Na pewno.

- Wobec tego zrób coś dla mnie.
- Co?
- Nie wychodź z domu, żeby się zalać. Byłby to straszny banał.
- Spuszczenie z krzyża nie jest banałem? Win sznurował usta.
- Jest, ale znośnym - odparł, zawrócił i wyszedł.

I na tym stanęło. Nigdy potem nie wrócili w rozmowie do związku Myrona z Jessicą. Odgrzanie tego tematu było błędem. Win nie bez powodu był, jaki był. Myron spojrział na przyjaciela, szczerze mu współczując. Win traktował życie jako ciągłą lekcję, jak o sobie dbać. Wyniki nie zawsze okazywały się piękne, lecz zwykle skuteczne. Nie zerwał z ludzkimi uczuciami, nie działał jak robot, choć czasami chciał, by ludzie tak o nim myśleli. Po prostu nauczył się im nie ufać i nie polegać na innych. Niewiele osób lubił, ale jeśli już kogoś kochał, to niezwykle mocno. Reszta świata znaczyła dla niego niewiele.

- Załatwię ci miejsce blisko Maggie Łomot - powiedział Myron.

Win skinął głową i zaparkował. Myron podał nazwisko sekretarce i wprowadzono ich do gabinetu. Zastali już tam Calvina Johnsona, który stał po prawej ręce Clipa. Siedzący przy biurku Clip wyglądał dziś starzej. Policzki miał poszarzałe, podgardle bardziej obwisłe. Wstał, ale chyba z większym wysiłkiem.

- Pan Lockwood, jeśli się nie mylę - powiedział, wpatrując się w Wina.

Wiedział o nim, był dobrze przygotowany.

- Tak - odparł Myron.
- Pomaga nam w kłopotach?
- Tak.

Myron przedstawił ich sobie, wymienili uściski dłoni, usiedli. Win, jak zwykle w takich sytuacjach, milczał. Oczami wędrował po pomieszczeniu, nie pomijając niczego.

Zanim się odezwał, lubił dobrze się przyjrzeć nieznajomym, zwłaszcza na ich gruncie.

- A więc, jak się sprawy mają? - zagadnął Clip z wymuszonym uśmiechem.

- Zatrudniając mnie - zaczął Myron - wyraził pan obawę, że odkryję coś kompromitującego. Chciałbym wiedzieć co.

Clip przybrał rozbawioną minę.

- Nie bierz tego do siebie, Myron - rzekł ze śmiechem - ale gdybym to wiedział, nie musiałbym cię wynajmować.

- Nie mówi pan wszystkiego.

- Słucham?

- Greg zniknął wcześniej.

- No i?

- Na początku nie spodziewał się pan kompromitacji. Skąd ta zmiana?

- Już powiedziałem. Czeka mnie głosowanie właścicieli.

- To pana jedyne zmartwienie?

- Skądże. Martwię się również o Grega...

- Ale po jego zniknięciu nie wynajął pan nikogo. Czego się pan boi?

Clip wzruszył ramionami.

- Chyba niczego. Po prostu dmucham na zimne. A bo co? Coś odkryłeś?

- Pan nigdy nie dmucha na zimne. Jest pan ryzykantem. Zawsze pan taki był. Wymieniał pan popularnych, sprawdzonych repów na niewypróbowanych debutantów. Z reguły przedkładał pan agresywny atak nad wzmocnienie obrony. Nigdy nie bał się pan postawić wszystkiego na jedną kartę.

- Ta strategia ma to do siebie, że można też sporo stracić. Czasem bardzo dużo. - Clip uśmiechnął się blade.

- Co pan stracił tym razem?

- Jeszcze nic. Jeżeli Greg nie wróci, może to kosztować mój zespół mistrzostwo NBA.

- Ja nie o tym. Chodzi o coś więcej.

- Przykro mi. - Clip rozłożył ręce. - Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Po zniknięciu Grega uznałem, że jest sens cię wynająć. Owszem, wcześniej też zniknął, nigdy jednak tak późno w sezonie i nie wtedy, gdy byliśmy tak blisko mistrzostwa. To do niego niepodobne.

Myron spojrział na Wina. Miał znużoną minę.

- Zna pan Lizę Gorman? - spytał Clipa.

Kątem oka dostrzegł, że Calvin lekko się wyprostował.

- Nie. A powinienem?

- A kobietę o imieniu Carla albo Sally?

- Słucham? Pytasz, czy znam kobietę...

- Poznaną ostatnio. Lub związaną jakoś z Gregiem Downingiem.

Clip pokręcił przecząco głową.

- Calvin?

Calvin zrobił to samo, lecz z małym opóźnieniem.

- Skąd to pytanie?

- Ponieważ to z nią spotkał się Greg wieczorem, kiedy zniknął.

Clip usiadł prosto, z szybkością peemu wyrzucając z ust słowa:

- Odszukaliście ją? Gdzie ona jest? Może są razem. Myron ponownie spojrział na Wina. Tym razem Win ledwo dostrzegalnie skinął głową. Też to zauważył.

- Nie żyje - odparł Myron.

Z twarzy Clipa spęzły kolory. Calvin milczał, tylko skrzyżował nogi. Jak na Johnsona Mrożonkę, był to ruch nie lada.

- Nie żyje?

- Konkretniej, zamordowano ją.

- O mój Boże!...

Clip skakał spojrzeniem od twarzy do twarzy, jakby szukał w nich odpowiedzi lub pocieszenia. Nie znalazł.

- Na pewno nie słyshał pan o Liz Gorman, Carli ani Sally? - spytał Myron.

Clip otworzył i zamknął usta. Nie wydał żadnego dźwięku.

- Zamordowano? - powtórzył.

- Tak.

- Była z Gregiem?

- Jako ostatni widział ją przy życiu. Jego odciski palców znaleziono w miejscu zbrodni.

- Miejscu zbrodni? - Clipowi drżał głos, patrzył nieprzytomnie. - Mój Boże, krew w suterenie. Zwłoki były w domu Grega?

- Nie. Ta kobieta zginęła w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku.

- Przecież krew znalazłeś w suterenie Grega - zdziwił się Clip. - W pokoju zabaw.

- Tak. Ale zniknęła.

- Zniknęła? - spytał Clip zmieszonym i nieco poirytowanym tonem.

- Jak to zniknęła?

- Uprzątnięto ją. - Myron utkwiał w nim spojrzenie. - W minionych dwóch dniach ktoś wszedł do domu Grega i próbował zatuszować skandal.

Clip się wzdrygnął.

- Myślisz, że to ja? - spytał z nagłym ożywieniem w oczach.

- Tylko panu powiedziałem, że znalazłem tam krew. Chciał pan to utrzymać w tajemnicy.

- Decyzję zostawiłem tobie - odparował Clip. - Powiedziałem, że ją uszanuję, nawet jeśli uznam, że jest niewłaściwa. Oczywiście, że

zależy mi na uniknięciu skandalu. To normalne. Ale czegoś takiego bym nie zrobił. Przecież mnie znasz, Myron.

- Mam wykaz rozmów telefonicznych tej kobiety. Dzwoniła do pana cztery dni przed śmiercią.

- Jak to: dzwoniła do mnie?

- W wykazie jest numer telefonu pańskiego biura.

Clip zaczął mówić, urwał i zaczął od nowa.

- No cóż, być może dzwoniła, co wcale nie znaczy, że do mnie - odparł tonem dalekim od pewności. - Może rozmawiała z moją sekretarką.

Win odchrząknął, a potem przemówił po raz pierwszy od wejścia do gabinetu.

- Panie Arnstein.

- Tak.

- Z całym należnym szacunkiem, ale coraz trudniej mi znieść pańskie łgarstwa.

Clipowi opadły kąciki ust. Przywykł, by młodsi mu kadzili, a nie zarzucali kłamstwo.

- Słucham?

- Myron bardzo pana poważa - ciągnął Win. - To godne podziwu. Bo niełatwo zasłużyć sobie na jego szacunek. Ale pan znał zabiłą. Rozmawiał pan z nią przez telefon. Mamy dowód.

- Jaki dowód? - spytał Clip, mrużąc oczy.

- Po pierwsze, wyciąg rozmów...

- Już powiedziałem...

- Po drugie, pańskie słowa - dokończył Win. Na twarzy Clipa pojawiła się czujność.

- O czym pan mówi? - spytał wolno. Win złożył dłonie koniuszkami palców.

- Wcześniej Myron spytał, czy zna pan Liz Gorman lub kobietę o imieniu Carla albo Sally. Pamięta pan?

- Tak. Zaprzeczyłem.

- Właśnie. A potem powiedział panu... przytoczę dokładnie Jego słowa, bo to ważne: „to z nią spotkał się Greg wieczorem, kiedy zniknął”. Niezręczne zdanie, zgoda, ale wypowiedziane z zamysłem. Pamięta pan dwa swoje kolejne pytania, panie Arnstein?

- Nie.

Clip chyba się pogubił.

- Brzmiały one, znów zacytuję dokładnie: „Odszukaliście ją? Gdzie ona jest?”.

Win zamilkł.

- Tak, i co z tego?

- Powiedział pan „ją” i „ona”. A przecież Myron spytał pana, czy zna pan Liz Gorman, Carlę albo Sally. Czy z jego słów nie wynikało, że chodzi o trzy różne kobiety? O „nie”, nie o „nią”. Ale pan od razu uznał, że te trzy imiona należą do jednej. Czy to nie dziwne?

- Co?! - wybuchnął Clip. - I pan to nazywa dowodem?! Win pochylił się w fotelu.

- Dobrze pan zapłacił Myronowi za fatywę. W zwykłych okolicznościach zaleciłbym mu dalsze usługi dla pana. Chce pan przeszkodzić w śledztwie wszczętym z własnej inicjatywy, wolna droga. Poradziłbym, żeby wziął pieniądze i pilnował swego nosa. Ale Myron by mnie nie posłuchał. Jest wścibski. A co gorsza, hołduje staroświeckiemu nakazowi przyzwoitości, nawet gdy go o to nie proszą.

Win wziął oddech i usiadł wygodnie w fotelu, delikatnie stukając o siebie koniuszkami palców. Oczy wszystkich były zwrócone na niego.

- Rzecz w tym, że kobietę zamordowano. W dodatku ktoś majstrował w miejscu zbrodni. Zniknęła też osoba, która równie dobrze może być mordercą, jak i następną ofiarą. Innymi słowy, zachowanie w tej sytuacji kłapek na oczach może się okazać zbyt niebezpieczne, a ewentualne koszty mogą przewyższyć potencjalne korzyści. Jako biznesmen, panie Arnstein, powinien pan to zrozumieć.

Clip milczał.

- Przejdźmy zatem do rzeczy. - Win rozłożył i złożył dłonie. - Wiemy, że ofiara morderstwa rozmawiała z panem, zdradzi nam pan, co panu powiedziała, albo wymienimy uściski dłoni i się rozstaniemy.

- Najpierw rozmawiała ze mną - odezwał się Calvin.

Poprawił się na krześle. Unikał spojrzenia Clipa, ale niepotrzebnie. Clip nie przejął się wyjściem prawdy na jaw. Zapadł się głębiej w siedzenie - przypominał balon, z którego uchodzi powietrze.

- Użyła imienia Carla.

Win skinął krótko głową i umościł się w fotelu. Zrobił swoje. Wodze były znów w rękach Myrona.

- Co powiedziała? - spytał Myron.

- Że ma jakieś brudy na Grega. Zagroziła, że to zniszczy zespół.

- Jakie brudy?

- Nie dowiedzieliśmy się - włączył się ponownie do rozmowy Clip. Zawahał się. Żeby zyskać na czasie czy może się pozbierać? - Nie chciałem cię okłamać, Myron. Przepraszam. Próbowałem chronić Grega.

- Pan też z nią rozmawiał? Clip skinął głową.

- Calvin przyszedł do mnie po jej telefonie. Drugi raz rozmawialiśmy z nią obaj. Za milczenie zażądała pieniędzy.

- Dużo?



- Dwadzieścia tysięcy. Mieliśmy się spotkać w poniedziałek wieczorem.

- Gdzie?

- Nie wiem - odparł Clip. - Miejsce miała nam podać w poniedziałek rano, ale nie zadzwoniła.

Martwi rzadko dzwonią, pomyślał Myron.

- Nie zdradziła wam swojej wielkiej tajemnicy?

Clip i Calvin wymienili pytające spojrzenia. Calvin skinął głową.

- Nie musiała - rzekł z rezygnacją Clip. - Wiedzieliśmy.

- Co?

- Greg uprawiał hazard. Był winien mnóstwo pieniędzy jakimś oprychom.

- Wiedzieliście, że hazarduje?

- Tak - przyznał Clip.

- Skąd?

- Powiedział mi.

- Kiedy?

- Z miesiąc temu. Poprosił o pomoc. Ja... ja zawsze zastępowałem mu ojca. Lubilem go. Bardzo. - Clip podniósł zbolące oczy. - Ciebie też, Myron. Dlatego to takie trudne.

- Co jest takie trudne? Clip pokręcił głową.

- Chciałem mu pomóc. Namówiłem go na spotkania. Spotkania z profesjonalistą.

- Posłuchał pana?

- Pierwszy raz spotkał się z lekarzem przed tygodniem. Z psychiatrą specjalizującym się w uzależnieniach od hazardu. Rozmawialiśmy też o jego kontrakcie reklamowym. O spłacie długu.

- Czy Marty Felder wiedział, że Greg jest hazardzistą? - spytał Myron.

- Nie mam pewności - odparł Clip. - Wiem jednak od tego lekarza, że hazardziści uciekają się do zdumiewających sposobów, by utrzymać swą przypadłość w tajemnicy. Większością pieniędzy Grega zawiadywał Marty Felder, dlatego zdziwiłbym się, gdyby nie wiedział o jego nałogu.

Za jego głową wisiało zdjęcie tegorocznej drużyny. Myron przyjrzał się plakatowi.

Z przodu klęczało dwóch współkapitanów, T.C. i Greg. Greg uśmiechał się szeroko, a T.C. szyderczo, jak to on.

- A więc kiedy mnie pan wynajmował, już pan podejrzewał, że zniknięcie Downinga ma jakiś związek z hazardem - skonstatował Myron.

- Nie - zaprzeczył Clip. - W każdym razie nie tak, jak myślisz - dodał po chwili. - Nie dopuszczałem myśli, że jego bukmacher go skrzywdzi. Myślałem, że dzięki kontraktowi z Forte Greg kupi sobie czas.

- A co pan podejrzewał?

- Martwiłem się o jego poczytalność. - Clip wskazał na plakat za swoimi plecami. - Przede wszystkim Greg nie jest zbyt zrównoważony, zadawałem więc sobie pytanie, jak presja długu hazardowego zaciąży na jego wrażliwym zdrowiu psychicznym. Może to dziwne, ale Greg kocha swój publiczny wizerunek. Uwielbienie fanów jest dla niego ważniejsze niż pieniądze. Gdyby jednak kibice poznali prawdę, nie wiadomo, jak by zareagowali. Zastanawiałem się, czy wytrzyma tak dużą presję. Czy się nie załamie.

- A co pan myśli teraz, po śmierci tej kobiety? Clip gwałtownie potrząsnął głową.

- Znam Grega lepiej niż ktokolwiek. Gdy czuje się osaczony, ucieka. Nikogo by nie zabił. Serdecznie w to wierzę. Unika przemocy. Od dawna wie, czym ona grozi.

Przez kilka chwil wszyscy milczeli. Myron i Win oczekiwali, że Clip rozwinie temat. Nie rozwinął.

- Ma pan coś do dodania? - odezwał się Win.

- Nie. To wszystko.

Win wstał bez jednego słowa czy gestu i wyszedł z gabinetu. Myron wzruszył nieznacznie ramionami i ruszył za nim.

- Myron? - usłyszał głos Clipa. Odwrócił się. Starzec stał. Oczy miał wilgotne.

- Udanego meczu - rzekł cicho. - To w końcu tylko gra. Pamiętaj.

Zakłopotany jego zachowaniem, Myron skinął głową i prędko dołączył do Wina.

- Masz dla mnie bilet? - spytał Win. Myron wręczył mu bilet.

- Opisz mi tę Łomot. Myron opisał ją.

- Twój pan Arnstein nie mówi nam całej prawdy - powiedział Win, gdy doszli do windy.

- To przeczucie czy konkret?

- Ja nie mam przeczuć - odparł Win. - Wierzysz mu?

- Nie jestem pewien.

- Ale go lubisz?

- Tak.

- Mimo że przyznał się do kłamstwa?

- Tak.

- Pozwól więc, że ci przedstawię ciekawy scenariusz. Kto oprócz Grega ma najwięcej do stracenia, jeśli jego nałóg wyjdzie na jaw? Komu oprócz Grega zależałoby najbardziej na uciszeniu Liz Gorman? Wreszcie, komu zależałoby najbardziej na zniknięciu Downinga,

gdyby miał przysporzyć wstydu zespołowi, wstydu tak strasznego, że osłabi lub nawet przekreśli szansę Clipa Arnsteina na zachowanie władzy w klubie?

Myron milczał.

Miejsce obok Maggie Łomot było wolne. Win usiadł i obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

- Dobry wieczór - powiedziała. Uśmiechnęła się do niego.

- Witam.

- Pani Mason, jak sędzę. Skinęła głową.

- A pan jest Winston Horne Lockwood Trzeci. Znam pana ze zdjęcia w „Forbesie”.

Uścisnęli sobie ręce, spojrzeli w oczy. Ich dłonie się rozłączyły, oczy nie.

- Miło mi panią poznać, pani Mason.

- Proszę mi mówić Maggie.

- Proszę bardzo.

Win uśmiechnął się krótko. Na parkiecie zahuczała syrena. Skończyła się pierwsza kwarta. Zobaczył, że Myron wstaje, ustępując miejsca kolegom z drużyny. Jego widok w kostiumie koszykarza na parkiecie NBA sprawił mu nieoczekiwaną przykrość. Nie chciał tego oglądać. Obrócił się do sąsiadki. Spojrzała na niego wyczekująco.

- Podobno szuka pani pracy w mojej firmie - zagadnęła.

- Tak.

- Mógłbym zadać kilka pytań?

- Proszę. Zachęciła go gestem.

- Obecnie pracuje pani dla Braci Kimmel?

- Tak.

- Ilu giełdźarzy zatrudniają?

- Mniej niż dziesięciu. To bardzo mała firma.  
- Rozumiem. - Win złożył dłonie palcami, udając, że rozważa jej słowa. - Pracuje tam pani w weekendy?

- Zdarza się.

- Także wieczorami?

Jej oczy na chwilę lekko się zwięziły.

- Zdarza się - powtórzyła.

- A w zeszłą sobotę?

- Słucham?

- Zna pani Grega Downinga, prawda?

- Oczywiście, ale...

- I wie pani bez wątpienia, że od soboty wieczorem go nie ma. Ciekawe, że ostatnią rozmowę z domu przeprowadził z pani biurem. Przypomina sobie ją pani?

- Panie Lockwood...

- Proszę mówić mi Win.

- Nie wiem, do czego pan zmierza...

- To bardzo proste - przerwał jej. - Wczoraj wieczorem powiedziała pani mojemu wspólnikowi, panu Bolitarowi, że nie rozmawiała z Gregiem Downingiem od miesiący. Ale, jak nadmieniłem, moje informacje przeczą pani słowom. Taka rozbieżność może nasunąć części osób podejrzenia co do pani uczciwości. W Lock-Horne Securities wystrzegamy się tego. Moi pracownicy muszą być bez zarzutu. Dlatego prosiłbym panią o wyjaśnienie tej sprzeczności.

Z kieszeni marynarki Win wyjął torebkę orzeszków ziemnych, obrął kilka z najwyższą elegancją, wrzucił łupiny do drugiej torebki i umieścił jeden po drugim w ustach.

- Skąd pan wie, że pan Downing dzwonił do mojego biura? - spytała Maggie Łomot.

- Proszę pani. - Win zerknął na nią kątem oka. - Szkoda czasu na błaahostki. Dzwonił. To niezbity fakt. Pani to wie. Ja to wiem. Więc zakończmy temat.

- W zeszłą sobotę wieczorem nie pracowałam - odparła. - Jeśli dzwonił, to do kogo innego.

Win zmarszczył czoło.

- Mam dość pani wykrętów, pani Mason - powiedział. - Przed chwilą przyznała pani, że pracuje w małej firmie. Woli pani, bym zadzwonił do pani pracodawcy? Z pewnością z chęcią udzieli Windsorowi Horne'owi Lockwoodowi Trzeciemu informacji, czy pani wtedy pracowała.

Łomot usiadła wygodnie w fotelu i splotła ręce na piersiach, obserwując grę. Smoki prowadziły 24 do 22. Śledziła wzrokiem ruch piłki na parkiecie.

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia - oznajmiła.

- Ach tak. Nie jest pani dłużej zainteresowana pracą?

- Nie.

- Źle pani zrozumiała. Ja nie mówię o pracy w Lock-Horne Securities. Mam na myśli wszystkie firmy, włącznie z pani obecnym pracodawcą.

- Co takiego?! Obróciła się ku niemu.

- Są dwa wyjścia - rzekł. - Wyłożę je jasno, żeby mogła pani wybrać lepsze. Pierwsze: powie mi pani, w jakiej sprawie zadzwonił w zeszłą sobotę Greg. Powie mi pani, dlaczego okłamała Myrona. Powie mi pani wszystko, co wie o zniknięciu Downinga.

- Jakim zniknięciu? - wtrąciła. - Myślałam, że odniósł kontuzję.

- Wyjście drugie - ciągnął Win. - Nic mi pani nie powie albo mnie okłamię, a wtedy rozpuszczę w branży famę o pani uczciwości. To

znaczy o tym, że władze federalne badają wysunięte przeciwko pani poważne zarzuty o malwersacje.

- Ale... - zaczęła i urwała. - Nie może pan tego zrobić.

- Nie? - Win przybrał rozbawioną minę. - Jestem Windsor Horne Lockwood Trzeci. Mojego słowa w takich sprawach się nie kwestionuje. Tak panią załatwię, że nie zatrudnią pani nawet jako szatniarki w przydrożnym barze. - Uśmiechnął się i przechylił w jej stronę torebkę z fistaszkami. - Orzeszka?

- Pan oszalał.

- A pani jest normalna - odparł Win i spojrzał na boisko. - Na ile zasługuje ten chłopiec, który ściera z parkietu pot gracza? - Wzruszył ramionami. - Czy ja wiem? Najwyżej na zrobienie lodu, co?

Uśmiechnął się miło.

- Wychodzę - oświadczyła, wstając.

- Prześpi się pani ze mną? - spytał. Spojrzała na niego ze zgrozą.

- Co takiego?

- Prześpi się pani ze mną? Jeśli jest pani dobra, mogę się zastanowić nad zatrudnieniem pani w Lock-Horne.

Zacisnęła zęby.

- Nie jestem prostytutką - wysyczała.

- Nie, nie jest pani prostytutką - odparł Win na tyle głośno, że przyciągnął kilka spojrzeń. - Jest pani hipokrytką.

- O czym pan mówi?

- Proszę usiąść. Wskazał fotel.

- Wolę nie.

- A ja wolę nie krzyżeć. - Ponownie skinął ręką. - Proszę.

Spełniła jego życzenie.

- Czego pan chce? - spytała, patrząc nieufnie.

- Podobam się pani? Skrzywiła się.

- Jest pan najbardziej odrażającym mężczyzną, jakiego...

- Mówię o wyglądzie. O fizycznej stronie. Pamięta pani? Seks to sprawa czysto fizyczna, powiedziała pani wczoraj Myronowi. Jak uścisk dłoni, choć takie porównanie podważa sprawność pani partnerów. Wiem, ryzykując posądzenie o nieskromność, że jestem dość atrakcyjny. Proszę przyznać, że wśród legionu graczy Gigantów i Smoków, których zaliczyła pani w swojej prześwieczonej karierze, znajdzie się choć jeden mniej atrakcyjny niż moi.

Zaintrygowana i przerażona, zmrużyła oczy.

- Być może - odparła.

- A jednak się pani ze mną nie prześpi. I to jest, moja droga, hipokryzja.

- Dlaczego? Jestem kobietą niezależną. Wybieram.

- Tak pani twierdzi. Ale dlaczego tylko Gigantów i Smoków? - Widząc, że się zawahała, uśmiechnął się i pokiwał palcem. - Powinna pani szczerze sobie odpowiedzieć, jaka jest tego przyczyna.

- Skoro pan tyle o mnie wie, to może pan mi powie.

- Dobrze. Ni z tego, ni z owego przyjmuje pani dziwaczną zasadę dotyczącą Gigantów i Smoków. Ustanawia pani granice. Ja nie. Wystarczy, że jakaś kobieta mi się podoba. Natomiast dla pani seks musi mieć związek z drużyną. Ta reguła służy pani za parkan, który odgradza.

- Odgradza od czego?

- Nie od czego. Od kogo. Od tak zwanych puszczałskich. Nie jest pani prostytutką, skądże. Nie jest dziwką. Pani wybiera.

- Nie jestem. Win uśmiechnął się.

- Kto w takim razie jest dziwką? Kobieta sypiąca z wieloma partnerami? Nie. Przecież pani to robi. Nie skrytykowałaby pani siostrzycy pokrewnych obyczajów. A zatem, co to jest dziwka? Z pani



definicji wynika, że dziwek nie ma. Czemu więc na moje pytanie odpowiedziała pani, że nią nie jest?

- Robi pan z igły widły - odparła. - Słowo „dziwka” źle się kojarzy. Tylko dlatego zaprotestowałam.

Win rozłożył ręce.

- Ale dlaczego źle się kojarzy? - spytał. - Skoro dziwka jest z definicji tak zwaną kobietą lekkich obyczajów, kobietą, która sypia z wieloma mężczyznami, czemu nie obłąpić rzeczy obunóż? Po co stawiać płoty? Po co stwarzać sztuczne granice? Twierdzi pani, że związki z drużyną są świadectwem pani niezależności. Ale świadczy to o czymś przeciwnym. Świadczy o braku pewności i poczuciu zagrożenia.

- I dlatego jestem hipokrytką?

- Oczywiście. Wracając do propozycji, byśmy poszli do łóżka. Albo seks jest czysto fizycznym aktem, w tym przypadku moja obcesowość względem pani powinna być bez znaczenia, albo jest czymś więcej. Jest więc tym czy tym?

Uśmiechnęła się.

- Ciekawy z pana człowiek, panie Lockwood. Może się z panem prześpię.

- Nic z tego.

- Słucham?

- Zrobiłaby to pani, moja droga, tylko po to, aby udowodnić, że się myślę. To równie niebezpieczne i żałosne jak pani obyczaj. Ale odbiegamy od tematu. Moja wina, proszę wybaczyć. Powie mi pani, o czym rozmawiała z Gregiem Downingiem, czy mam zszargać pani opinię?

Dopiął swego. Wyglądała na oszołomioną.

- Oczywiście jest też trzecie wyjście - ciągnął - zaraz po drugim. A mianowicie, że do zszarganej opinii dojdzie oskarżenie o morderstwo.

Zrobiła wielkie oczy.

- O co?!

- Greg Downing jest głównym podejrzanym w sprawie o zabójstwo kobiety. Jeżeli się okaże, że pani mu w jakiś sposób pomogła, stanie się pani jego współniczką. - Win zmarszczył czoło. - Jednak, szczerze mówiąc, wątpię, czy prokurator uzyska sankcję. Nieważne. Zacznę od pani opinii. Zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi.

- Panie Lockwood?

Maggie Łomot wbiła w niego spojrzenie.

- Tak.

- Wal się pan! Win wstał.

- To z pewnością przyjemniejsze od pani towarzystwa.

Uśmiechnął się i ukłonił. Gdyby był w kapeluszu, toby go uchylił. - Miłego dnia.

Odszedł z podniesioną głową. W jego szaleństwie była metoda. Od samego początku wiedział, że niczego się od niej nie dowie. Była inteligentna i lojalna. Niebezpieczne, ale godne podziwu połączenie cech. Tak czy siak wyprowadził ją z równowagi. Nawet i najlepsi wpadają w popłoch, albo przynajmniej zaczynają działać. Zamierzał więc poczekać pod halą i pojechać za nią.

Spojrzał na tablicę wyników. Połowa drugiej kwarty meczu. Nie miał ochoty dłużej oglądać meczu. Lecz kiedy dotarł do wyjścia, w głośnikach zahuczało i rozległ się głos spikera:

- Za Troya Ericsona wchodzi Myron Bolitar.

Win zawahał się chwilę, zrobił krok do wyjścia. Nie chciał na to patrzeć. Jednakże znów się zatrzymał i obrócił w stronę boiska.

Myron siedział na końcu rzędu rezerwowych. Choć wiedział, że nie zagra, pierś wciąż mu ścisnęły stalowe obręcze tremy. W młodości lubił to przedmeczowe napięcie, pomimo tremy, która paraliżowała. Zresztą szybko ustępowała po rozpoczęciu gry. Po pierwszym fizycznym kontakcie z przeciwnikiem, pogoni za straconą piłką lub strzale z wyskoku na kosz nerwy się uspokajały, publiczność wiwatowała, a szydercze okrzyki wtapiały się w dźwiękowe tło, będące swoistą muzyką.

Po dziesięciu latach życia bez przedmeczowej tremy potwierdziło się to, co zawsze podejrzewał: nerwowe podniecenie miało bezpośredni związek z koszykówką. Z niczym innym. Nigdy nie doświadczył czegoś podobnego w życiu zawodowym i osobistym. Nie dorównywały temu nawet perwersyjne emocje podczas starć z bandziorami. Łudził się, że związane wyłącznie ze sportem doznania osłabną z wiekiem i dojrzałością, gdy drobnemu epizodowi, jakim jest mecz koszykówki, przestajesz nadawać znaczenie nieomal biblijne, a powiększone przez pryzmat młodości stosunkowo nieważne sprawy tracą epickie wymiary. Dorosły oczywiście wie to, czego dziecku nie da się wytłumaczyć - że szkolna potańcówka czy nieudany rzut osobisty stanie się kiedyś jedynie mglistym, niemiłym wspomnieniem. A jednak, choć przekroczył trzydziestkę, przeżywał takie same wzmożone uczucia jak w młodości. Nie minęły z wiekiem, ale - tak jak ostrzegał Calvin - po prostu zapadły w sen zimowy, licząc, że doczekają się szansy, żeby się z niego wybudzić, szansy, która zwykle się nie zdarza. A jeśli przyjaciele mieli rację? Jeżeli to go przerastało? Czyż się z tym wszystkim nie pożegnał? Wypatrzył na trybunach Jessicę. Oglądała mecz z dziwnie skupioną miną. Tylko ona nie przejęła się jego powrotem na parkiet, ale w końcu w dniach

jego koszykarskiej świetności nie było jej jeszcze w jego życiu. Czy kobieta, którą kochał, nie rozumiała, czy może...

Powstrzymał myśli. Czasem, gdy siedzisz na ławce rezerwowych, hala robi się mała. Na przykład, dostrzegł Wina rozmawiającego z Maggie Łomot. Dostrzegł Jessicę. Dostrzegł żony i dziewczyny innych graczy. A wreszcie, w wejściu na wprost, swoich wchodzących rodziców. Bezwłocznie przeniósł wzrok na parkiet i udając, że interesuje go wynik, klaskaniem i okrzykami zaczął dopingować kolegów. Mama i tata. Najwyraźniej skrócili wycieczkę i przylecieli wcześniej.

Zerknął. Usiedli blisko Jessiki, w sektorze dla rodzin i przyjaciół. Mama patrzyła na niego. Nawet z daleka widział zagubienie w jej szklistych oczach. Ojciec z zaciśniętymi szczękami rozglądał się dookoła, jakby zbierał się na odwagę przed spojrzeniem na boisko. Myron rozumiał go. Znał to tak dobrze jak stary rodzinny film. Odwrócił wzrok.

Leon White zszedł z parkietu i usiadł na wolnym miejscu obok niego. Ręcznikowy okrył mu ramiona bluzą i podał plastikową butelkę. Leon łyknął gatorade, jego ciało błyszczało od potu.

- Widziałem wczoraj, że rozmawiałeś z Maggie Łomot - powiedział.
- Owszem.
- Zaliczyła cię?

Myron przecząco pokręcił głową.

- Nie dałem się wyłomotać. Leon zaśmiał się.
- Wiesz, skąd się wzięła jej ksywka?
- Nie.
- Gdy się zabierze do rzeczy, znaczy, gdy się napali, zaczyna walić nogą. Lewą. Zawsze lewą. Leży na plecach, dymasz ją z całych sił, a ta raptem zaczyna łomotać nogą. I słyszysz, łup, łup, łup, kapujesz?

Myron skinął głową. Skapował.

- Jeżeli tego nie robi, jeżeli nie łomocze, toś, brachu, się nie spisał.

Chowasz twarz. Zwieszasz głowę... To poważna tradycja.

- Jak zapalenie menory podczas świąt Hanuka.

- No, nie całkiem. Leon zaśmiał się.

- Zostałeś wyłomotany? - spytał Myron.

- Jasne, raz - odparł Leon i prędko dodał: - Ale przed ślubem.

- Długo jesteście żonaty?

- Ożeniłem się z Fioną ponad rok temu.

Serce Myrona zjechało w dół jak winda. Fiona! Żona Leona miała na imię Fiona. Spojrzył na efektowną, przyjemnie zaokrągloną blondynkę na trybunie. Jej imię zaczynało się na F!

- Bolitar!

Myron podniósł wzrok na Donny'ego Walsh, coacha Smoków.

- Tak?

- Wchodzisz za Ericsona. - Walsh wypluł te słowa jak odgryzione skrawki paznokci. - Stań na obronie. Kiley niech przesunie się do ataku.

Myron patrzył na trenera, jakby ten mówił w języku suahili. Trwała druga kwarta. Wynik był remisowy.

- Na co czekasz, Bolitar? Właż za Ericsona. Już!

- Do boju, stary!

Leon klepnął Myrona w plecy.

Myron wstał. Nogi poruszały się jak rozciągnięta samochodząca sprężynka. Myśli o morderstwie i zniknięciach odfrunęły niczym spłoszone jupiterami nietoperze. Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. Podbiegł do stolika sędziowskiego. Hala zakręciła mu się przed oczami jak pijanemu łóżko. Bezwiednie strząsnął pot na podłogę i skinął głową sędziemu.

- Za Ericsona - powiedział. Dziesięć sekund potem głośniki ożyły.

- Za Troya Ericsona wchodzi Myron Bolitar!

Wbiegł na parkiet. Powitały go zdziwione miny kolegów.

- Kryjesz Wallace'a - rzekł Ericson.

Reggie Wallace był jednym z najlepiej rzucających obrońców. Myron stanął przy nim i się przygotował. Wallace przyjrzał się mu z rozbawieniem.

- Baczość BŚ! - zawołał z kpiącym śmiechem. - Ruszaj się, złamany Beesiu!

Myron spojrział na T.C.

- Beesiu? - spytał.

- Biały Ślimaku - odparł T.C.

- Aha.

Wszyscy mocno dyszeli i byli spoceni. Myron poczuł, że jest sztywny, niegotowy. Spojrział na Wallace'a. Lada chwila piłka miała wrócić do gry. Podniósł głowę, bo jego uwagę przyciągnął Win. Stał przy wejściu, ręce miał skrzyżowane na piersi. Ich oczy spotkały się na moment. Win lekko skinął głową. Rozległ się gwizdek. Wznowiono grę. Reggie Wallace natychmiast zaczął mu dogryzać.

- Jaja sobie robisz, weteranie? Zrobię z ciebie moją kobietę.

- Ale najpierw kolacja i kino - odparł Myron. Wallace zmierzył go wzrokiem.

- Kiepska odzywa, stary. Trudno zaprzeczyć.

- W mordę - zaklął Wallace, zajmując pozycję. - Lepiej by mnie pokryła moja babka.

- No, to zrób z niej swoją kobietę. Wallace posłał mu groźne spojrzenie.

- Robisz postępy - zauważył.

Pacers wprowadzili piłkę do gry. Wallace starał się zatrzymać Myrona pod koszem. I bardzo dobrze. Nic nie zdejmowało stalowych obręczy tremy tak skutecznie, jak walka o pozycję. Odbijali się od siebie, wydając ciche pomruki. Przy swoim wzroście i wadze Myron nie dał się zepchnąć. Trzymał się twardo, wchodząc kolaniem w pośladki rywala, którymi ten próbował go odrzucić.

- Co za siła, stary - powiedział Wallace i natychmiast zrobił prawie niezauważalny ruch.

Obrócił się na kolanie Myrona tak szybko, że ten ledwo miał czas odwrócić głowę, i wykorzystując je jako dźwignię, wystartował w górę niczym statek kosmiczny Apollo. Myron patrzył bezradnie, jak wyciągnięte ręce rywala chwytają na wysokości obręczy loba. Reggie Wallace na moment zawisł w powietrzu, ignorując siłę ciężkości - zastygł niczym obraz na stop-klatce, i znów ruszył w górę. A kiedy wreszcie zaczął opadać w dół, z przerażającą siłą wrzucił piłkę zza głowy do kosza. Wsad!

Wylądował, rozstawiając ręce, by zachęcić do owacji. Jego drwiny goniły Myrona po całym boisku:

- Witamy w NBA, były... A może niedoszły... Jak zwał, tak zwał. Było na co patrzeć, nie? Jak wyglądałem, lecąc w górę? Tylko szczerze. Ładne mam podeszwy skoków? Jestem śliczny. Prześliczny. Jakie to uczucie, gdy wsadzają ci piłę tuż pod nosem? No, weteranie?

Myron próbował go nie słuchać. Smoki zdobyły piłkę i przestrzeliły. Pacers przechwycili odbitą piłkę i popędzili na kosz. Wallace udał, że schodzi do środka, wypadł z pola trzech sekund, przejął podanie i natychmiast strzelił. Piłka zaświstała w koszu. Trzy punkty.

- Słyszałeś, kurde, ten dźwięk, stary? - spytał. - Ten świst? Najmilszy odgłos na ziemi. Słyszałeś? Nie ma milszego. Nie przebije go nawet krzyk kobiety, która ma orgazm.

- To kobiety mają orgazm? - spytał Myron. Wallace zaśmiał się.

- Punkt dla ciebie, weteranie. Punkt dla ciebie!

Myron sprawdził godzinę. Grał od trzydziestu czterech sekund, a kryty przez niego zawodnik zdobył pięć punktów. Szybko obliczył, że w tym tempie ma szansę nie dopuścić, by Reggie zdobył ich pięćset w meczu.

Wkrótce potem na trybunach zaczęto buczeć z niezadowolenia. Lecz te odgłosy nie wtapiały się w tło jak za jego młodych lat. Nie były jednostajnym szumem wiwatów własnej widowni, podobnym do wznoszącej się fali, która niesie cię niczym surferem, ani oczekiwanym i na swój przewrotny sposób ekscytującym buczeniem kibiców rywali w meczu wyjazdowym. Ale buczenia własnych kibiców, niechęci swojej widowni Myron dotychczas nie doświadczył. Słyszał ów tłum wyraźniej niż kiedykolwiek jako szyderczą zbiorowość i zarazem jako pojedyncze obelgi. „Spadaj, Bolitar!”. „Sztyniak z boiska!”. „Rozwal drugie kolano i siadaj!”. Usiłował puszczać je mimo uszu, choć każdy okrzyk przebijał go jak sztylet.

Górze wzięła duma. Postanowił, że nie da Wallace'owi zdobyć punktu! Chciał tego jego mózg. Chciało serce. Ale nie, jak się wkrótce przekonał, kolano. Był zwyczajnie za wolny. Do przerwy kryty przez niego Wallace zdobył jeszcze sześć punktów, w sumie jedenaście. On zaś dwa rzutem z wyskoku. Grał w koszykówkę, którą nazwał „wyrostkową”. Niektórzy gracze na parkiecie byli jak twój wyrostek - albo zbędni, albo sprawiali ci ból. Starał się nie wchodzić w drogę i podawać T.C. pod kosz. Pozbywał się piłki i odsuwał się od niej. Gdy pod koniec kwarty dojrzał lukę i pokozłował w stronę kosza, wielki obrotowy Pacersów wybił mu piłkę w tłum. Buczenie przeszło w grzmot. Myron spojrzał na trybunę. Mama z tatą przypominali dwa nieruchome posągi. W łoży nad nimi grupa dobrze ubranych



mężczyzn z dłońmi przy ustach skandowała „Bolitar won!“. Zobaczył, że zmierza do nich Win. Win podał dłoń głównemu zapiewajle. Ten ją przyjął i natychmiast upadł. Dziwne, choć partaczył, ciągle nawalał w obronie i zawodził w ataku, nie stracił dawnej pewności siebie. Chciał grać. Nadal szukał luk w obronie, nie przejmując się reakcjami widzów, wypierając się faktów, ignorując piętrzące się dowody, które dobrze widział tłum liczący (według spikera) osiemnaście tysięcy osiemset dwanaście osób. Nie był, co prawda, w pełni formy, fakt, lecz nie wątpił, że los się odwróci, że niedługo to się zmieni.

Ta argumentacja, niestety, bardzo przypominała rozumowanie nałogowego hazardzisty z opisu Kościeja.

Wkrótce potem zakończyła się pierwsza połowa meczu. Schodząc z boiska, Myron znowu zerknął na rodziców. Stali i uśmiechali się do niego. Odpowiedział im uśmiechem i skinął głową. Spojrzał też w stronę dobrze ubranych szyderców z łoży. Nie było ich na widowni. Wina również.

W czasie przerwy nikt się do niego nie odezwał. Do końca meczu nie wszedł na parkiet. Podejrzewał, że za jego dzisiejszym występem stoi Clip Arnstein. Dlaczego stary to zrobił? Co próbował udowodnić? Spotkanie zakończyło się dwupunktowym zwycięstwem Smoków. Nim zawodnicy dotarli do szatni i zaczęli się przebierać, zapomnieli o grze Myrona. Dziennikarze obiegli T.C., który rozegrał świetny mecz, zdobył trzydzieści trzy punkty i miał osiemnaście zbiórek. T.C. klepnął w plecy przechodzącego Myrona, ale nic nie powiedział.

Myron rozsznurował buty. Zastanawiał się, czy tata z mamą na niego zaczekają. Pewnie nie, jeśli doszli do wniosku, że chce być sam. Jego rodzice, pomimo wścibstwa, dobrze wiedzieli, kiedy należy się ulotnić. Zazwyczaj czekali na niego w domu, niekiedy nawet do późnej nocy. Po dziś dzień ojciec czuwał na kozetce aż do jego

powrotu, oglądając telewizję. Gdy tylko Myron wkładał klucz do zamka, tata, z okularami tkwiącymi na czubku nosa i gazetą rozłożoną na piersi, udawał, że śpi. Czekał na syna, mimo że ten skończył trzydzieści dwa lata. Na takiego starego byka! Rany boskie! Zza rogu wyjrzała ostrożnie Audrey. Podeszła, dopiero kiedy dał jej znak. Wsadziła do torebki notes i ołówek.

- Pamiętaj o plusach - powiedziała.
- Jakich?
- Tyłeczek masz nadal pierwsza klasa.
- Dzięki koszykarskim spodenkom. Trzymają i podkreślają
- Trzymają i podkreślają? Wzruszył ramionami.
- Ej, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.
- Dzięki - odparła.
- „Strzeż się Idów marcowych” - wyrecytował.
- Idy są piętnastego - przypomniała. - A dziś jest siedemnasty.
- Wiem. Ale każda okazja jest dobra, żeby zacytować Szekspira.

Błysnąć intelektem.

- Rozum i zgrabny tyłek. Co z tego, że nie umiesz nim kręcić.
- Dziwne, Jess mi się na to nie skarży.
- Przynajmniej nie w oczy. - Audrey uśmiechnęła się. - Miło widzieć, że jesteś taki wesoły.

Odwzajemnił jej uśmiech i wzruszył ramionami. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

- Mam dla ciebie informację - szepnęła.
- O?
- O detektywie w sprawie rozwodowej Grega.
- Greg wynajął detektywa?
- On albo Felder. Mam informatora, elektronika, który świadczy usługi firmie ProTec Investigations. Pracują dla Feldera. Nie zna

wszystkich szczegółów, ale dwa miesiące temu pomógł zorganizować nagranie wideo w hotelu Glenpointe. Znasz Glenpointe?

Myron skinął głową.

- Hotel przy drodze Osiemdziesiątej? Pięć mil stąd? - spytał.

- Tak. Mój informator nie wie, na kogo zastawiono pułapkę i co tam nagrano. Wie tylko, że chodziło o rozwód Downinga. Potwierdził też rzecz oczywistą: takie pułapki zastawia się zwykle, żeby przyłapać małżonka lub małżonkę flagrante delicto.

Myron zmarszczył brwi.

- Dwa miesiące temu?

- Tak.

- Po co Greg miałby to robić? On i Emily pozostawali w separacji. Rozwód był praktycznie przesądzony.

- Rozwód tak - przyznała. - Lecz zaczęli walczyć o przyznanie opieki na dziećmi.

- I co z tego? Erotyczna randka prawie rozwódki? W naszych czasach trudno uznać to za dowód niezdolności do bycia rodzicem.

- Jakiś ty naiwny. Audrey pokręciła głową.

- O czym mówisz?

- Matka, która pieprzy się z jakimś ogierem w motelu, robiąc Bóg wie jakie rzeczy? Wciąż żyjemy w społeczeństwie seksistowskim. Taśma z takim nagraniem na pewno zrobi wrażenie na sędzię.

Myron przemyślał to sobie, ale wątpliwości pozostały.

- Po pierwsze, zakładasz, że ten sędzia jest mężczyzną i troglodytą. Po drugie, mamy lata dziewięćdziesiąte, na miły Bóg! Kobieta w separacji z mężem idzie do łóżka z drugim mężczyzną? To żaden skandal.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać, Myron.

- A masz coś jeszcze?

- Tylko tyle - odparła. - Ale pracuję nad tą sprawą.
- Znasz Fionę White?
- Żonę Leona? Na tyle, by jej powiedzieć „dzień dobry”. Bo co?
- Była modelką?
- Modelką? - Audrey parsknęła śmiechem. - No, chyba można tak powiedzieć.

- Z rozkładówki?
- Tak.
- Wiesz, w którym miesiącu?
- Nie. A dlaczego pytasz?

Powiedział jej o emailu. Był niemal pewien, że panna F. to Fiona White, a „Wrzebabka” to „babka września”, miesiąca w którym Fiona pojawiła się na rozkładówce. Audrey słuchała go z uwagą.

- Mogę to zbadać - zaferowała. - Sprawdzę, czy była dziewczyną września.

- Przyda się.
- Sporo wyjaśnia - dodała. - Konflikt pomiędzy Downingiem i Leonem.

Myron skinął głową.

- Muszę lecieć. Jess podjedzie od tyłu. Informuj mnie na bieżąco.
- Dobrej zabawy.

Dokończył toalety, wytarł się ręcznikiem i zaczął ubierać, myśląc o tajemniczej kochance Grega, która mieszkała w jego domu. Czyżby chodziło o Fionę White? Jeśli tak, tłumaczyłoby to jego dyskrecję. Czy Leon White dowiedział się o ich romansie? Na to wskazywałby zgodnie z logiką jego konflikt z Gregiem. Co z tego wynikało? I jak się to wszystko miało do hazardu Grega i szantażu ze strony Liz Gorman?

Zaraz, zaraz, wolnego.

Zapomnijmy na chwilę o hazardzie. Przypuśćmy, że Liz Gorman miała na Grega Downinga innego haka, rewelację równie albo bardziej skandaliczną niż sprawa kilku przegranych zakładów. Przypuśćmy, że dowiedziała się skądś o romansie Grega z żoną najbliższego przyjaciela i postanowiła zaszantażować tą informacją jego i Clipa. Ile Downing gotów byłby zapłacić, żeby o tej zdradzie nie dowiedzieli się kibice i koledzy z drużyny? Ile gotów byłby zapłacić Clip, by uniknąć wybuchu tej bomby w trakcie rozgrywek o mistrzostwo? Warto było to zbadać.

Myron przystanął na światłach na styku South Livingston Avenue i JFK Parkway. Nic się tu nie zmieniło od trzydziestu lat. Na prawo była znajoma ceglana fasada restauracji Nero. Kiedyś, ale co najmniej ćwierć wieku temu, mieścił się tam Steak House Jimmy'ego Johnsona. Drugi róg zajmowała stacja benzynowa Gulf, trzeci remiza straży pożarnej, a czwarty pusta parcela.

Skręcił w Hobart Gap Road. Jego rodzice przenieśli się do Livingston, gdy miał sześć tygodni. Niewiele się tu zmieniło w porównaniu z resztą świata. Znajome, oglądane od lat widoki nie tyle pokrzepiały, co stępiały uwagę. Nie zauważałeś niczego. Patrzyłeś, ale nie widziałeś.

Po wjechaniu w ulicę, na której tata uczył go jeździć na rowerku z reflektorem Batmana z tyłu, spróbował przyjrzeć się domom. Otaczały go przez całe życie. Zaszły tu naturalnie pewne zmiany, choć dla niego trwał wciąż rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty. Rodzice mówili o sąsiednich domach, nadal posługując się nazwiskami ich pierwszych właścicieli, jakby chodziło o plantacje na południu Stanów. Na przykład Rackinowie nie mieszkali w „domu Rackinów” od ponad dziesięciu lat. Myron nie miał pojęcia, kto teraz mieszka „u Kirschnera”, w „domu Rotha”, „u Parkerów”. Bolitarowie,

Rackinowie, Parkerowie i reszta sprowadzili się do całkiem nowego osiedla, z widocznymi jeszcze pozostałościami po farmie Schnectmana, a leżące o dwadzieścia pięć mil od Nowego Jorku Livingston uchodziło za zadupie równie odległe jak zachodnia Pensylwania. Rackinowie, Kirschnerowie i Rothowie spędzili tu kawał życia. Sprowadzili się z małymi dziećmi, wychowali je, nauczyli jeździć na rowerach na tych samych ulicach, na których nauczył się jeździć on, posłali je do podstawówki, później do gimnazjum Heritage, a wreszcie do liceum w Livingston. Młodzież wyjechała na studia, odwiedzając rodzinne kąty tylko w ferie. Niedługo potem pojawiły się zaproszenia na śluby. Niektórzy zaczęli pokazywać zdjęcia wnuków, kręcąc głowami z niedowierzaniem, jak ten czas leci. W końcu Rackinowie, Kirschnerowie i Rothowie poczuli się tu obco. Nic już ich nie trzymało w miejscu przeznaczonym do wychowania dzieci. Ich swojskie domy zrobiły się nagle za duże i za puste, więc sprzedali je młodym rodzinom z małymi dziećmi, które niebawem czekało pójście do szkoły podstawowej Burnett Hill, gimnazjum Heritage i wreszcie liceum w Livingston.

Myron doszedł do wniosku, że prawdziwe życie niewiele się różni od przygnębiających reklam towarzystw ubezpieczeniowych.

Niektórzy z dawnych sąsiadów pozostali. Łatwo było odróżnić ich domy, ponieważ - choć ich dzieci dorosły - dodali przybudówki, ładne werandy i dbali o trawniki. Tak zrobili Braunowie i Goldbergowie. No i naturalnie Ellen i Al Bolitarowie.

Myron wprowadził forda taurusa na podjazd, przeszukując reflektorami podwórko przed domem, jakby to był teren więzienia po ucieczce więźniów. Zaparkował na asfalcie blisko obręczy kosza, zgasił silnik i przez chwilę się w nią wpatrywał. Przed oczami stanął mu ojciec, podnoszący go w górę, by mógł sięgnąć siatki. Nie potrafił

powiedzieć, skąd się wyłonił ten obraz - z pamięci czy wyobraźni. Nieważne.

Kiedy ruszył do drzwi, wykrywacz ruchu zapalił światła Przed domem. Mimo że detektory zainstalowano trzy lata temu, wciąż budziły nabożny podziw rodziców, uważających ów wynalazek za równy odkryciu sposobu rozniecania ognia. Po zamontowaniu wykrywaczy ruchu mama z tatą godzinami z rozkoszą wypróbowywali mechanizm. Sprawdzali, czy da się uniknąć jego baczego oka, lub poruszali się bardzo wolno w nadziei, że przechytrzą czujniki. Czasem w życiu najważniejsze są małe przyjemności.

Rodzice siedzieli w kuchni. Gdy wszedł, natychmiast udali, że są czymś zajęci.

- Cześć - powiedział.

Spojrzeni na niego z pochylonymi głowami i zatroskaniem w oczach.

- Cześć, kochanie - odpowiedziała mama.

- Cześć, Myron - powiedział tata.

- Wcześniej wróciliście z Europy. Skinęli głowami z minami winowajców.

- Chcieliśmy zobaczyć, jak grasz - wyjaśniła mama tak ostrożnie, jakby szła po cienkim lodzie z lampą lutowniczą.

- A jak tam wasza wycieczka? - zagadnął.

- Cudowna - odparł tata.

- Wspaniała - dodała mama. - Karmili nas fantastycznie.

- Ale porcje były małe - zaznaczył tata.

- Małe porcje, co ty gadasz? - obruszyła się mama.

- Ja tylko wyrażam opinię, Ellen. Jedzenie było dobre, ale porcje małe.

- Ważyłeś je, mierzyłeś? Jak to małe?

- Mała porcja to mała porcja, widać na pierwszy rzut oka. Te były małe.

- Małe! Tak jakby potrzebował większych! Ten człowiek je za dwóch! Nie zawadziłoby, gdybyś zrzucił z pięć kilo, Al.

- Ja? Ja nie tyję.

- Nie? Spodnie masz już tak obcisłe jak tancerze w filmie rewiowym.

- Na wycieczce zdejmowałaś je ze mnie bez najmniejszego problemu.

Tata mrugnął do mamy.

- Al! - krzyknęła, lecz na twarzy miała uśmiech. - Nie przy dziecku! Co z tobą?!

Tata spojrzał na Myrona i rozłożył ręce.

- Byliśmy w Wenecji - rzekł tonem wyjaśnienia. - W Rzymie.

- Nic więcej nie mów - powiedział Myron. - Proszę.

Kiedy przestali się śmiać, mama spytała ściszym głosem:

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Nic mi nie jest - odparł.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nieźle ci dziś poszło - zaczął tata. - Kilka razy celnie podałeś do T.C. pod kosz. To były piękne podania. Inteligentne.

Myron zawsze mógł liczyć, że ojciec dostrzeże plusy w jego grze.

- Niestety, zagrałem jak noga.

- Myślisz, że mówię to, żeby ci poprawić samopoczucie?

- Ja to wiem.

- Nieważne - wycofał się tata. - Nigdy nie było ważne. Wiesz o tym.

Myron skinął głową. Wiedział. Przez całe życie spotykał ambitnych ojców, starających się zrealizować własne niespełnione marzenia za



pośrednictwem potomstwa, zmuszając synów do noszenia brzemion, którym sami nie podołali. Ale jego ojciec tego nie robił. Nigdy. Al Bolitar nie faszerował syna pompatycznymi opowieściami o swej sportowej sprawności. Nigdy go do niczego nie zmuszał, cudownie godząc pozorną obojętność z wielką troską o niego. Owszem, w jego zdystansowanym przywiązaniu tkwiła bezpośrednia sprzeczność, ale jakoś godził jedno z drugim. Niestety, pokolenie Myrona nie zwykło przyznawać się do takiego dziwu. Pozostało nieokreślone - wciśnięte pomiędzy pokolenie hipisów a pokolenie X spod znaku MTV, było za młode, gdy falami radiowymi rządzą trzyletniaki, a za stare dla rówieśników bohaterów seriali Beverly Hills 90210 i Melrose Place. Myron sądził, że należy do „pokolenia winnych”, którego życie było serią reakcji i kontrreakcji. W ten sam sposób jak ambitni ojcowie składali wszystko na barki synów, tak synowie w rewanżu obwiniali za swoje niepowodzenia ojców. Jego pokolenie nauczono oglądania się za siebie i wskazywania palcem momentów, w których rodzice zmarnowali im życie. Ale on tego nie robił. Jeżeli spoglądał wstecz - analizując postęпки rodziców - to jedynie z chęci rozwikłania ich tajemnic, zanim dochowa się własnych dzieci.

- Zdaję sobie sprawę z tego, jak dzisiaj wypadłem, tato - powiedział. - I nie za bardzo się tym przejmuję.

- Wiemy - powiedziała mama, pociągając nosem. Oczy miała zaczerwienione. Pociągnęła nosem jeszcze raz.

- Chyba nie płaczesz z powodu... Pokręciła głową.

- Jesteś dorosły - odparła. - Pamiętam o tym. Ale kiedy wybiegłeś na boisko po raz pierwszy po tak długim czasie...

Głos ją zawiódł. Tata Myrona odwrócił wzrok. Pod tym względem ich troje niczym się od siebie nie różniło. Ciągnęło ich do wspomnień jak kandydatki na gwiazdki do obiektywów paparazzich.

Myron odczekał, aż upewnił się, że powie to wyraźnie.

- Jessica chce, żebym z nią zamieszkał.

Spodziewał się protestów, przynajmniej ze strony mamy. Nigdy nie wybaczyła Jessice, że go kiedyś porzuciła. Wątpił, czy kiedykolwiek jej to zapomni. Co prawda tata, jak to on, zachował - niczym dobry dziennikarz - bezstronność, jednakże trudno było dociec, jaką opinię skrywa za swoimi wyważonymi pytaniami.

Mama spojrzała na tatę, tata na nią i położył rękę na jej ramieniu.

- Zawsze możesz tu wrócić - powiedziała.

Myron o mały figiel nie poprosił o wyjaśnienie, ale się powstrzymał i tylko skinął głową. Usiedli we trójkę przy kuchennym stole i zaczęli rozmawiać. Myron przygotował sobie kanapkę ze stopionym serem z rusztu. Mama nie robiła mu kanapek. Była zdania, że obłaskawiać można psy, a nie ludzi. Ucieszył się, gdy przestała gotować. Czułość okazywała wyłącznie słowami, co mu odpowiadało.

Rodzice opowiedzieli o wycieczce. On zaś krótko i bardzo ogólnie wyjaśnił, w jaki sposób trafił do zawodowej drużyny koszykówki. Godzinę potem zszedł do swojej piwnicy. Mieszkał tam od szesnastego roku życia, odkąd jego siostra wyjechała na studia. Piwnica składała się z dwóch pomieszczeń: pokoju dziennego, gdzie przyjmował gości, dlatego było w nim czysto, i sypialni, która wyglądała jak pokój nastolatka. Wpełzł do łóżka i przyjrzał się plakatom na ścianie. Większość z nich powiesił w okresie dojrzewania, kolory wypłowiwały, przypięte pineskami rogi wystrzępiły się.

Myron od zawsze kochał zespół Celtics - jego ojciec dorastał w pobliżu Bostonu - tak więc jego ulubionymi plakatami były ten z Johnem Havlickiem, gwiazdą Celtów w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, oraz drugi z Larrym Birdem, gwiazdą tego

zespołu w latach osiemdziesiątych. Przeniósł wzrok z Havlicka na Birda. W chłopięcych marzeniach roił, że znajdzie się na trzecim plakacie na tej ścianie. Nie zaskoczyło go więc, że Celtics wybrali go do drużyny już w pierwszym zaciągu. Czuwały nad tym wyższe moce. W górze zapisano, że stanie się następną legendą drużyny z Bostonu. A potem wpadł na niego Burt Wesson.

Założył ręce za głowę. Oczy oswoiły się ze światłem. Kiedy zadzwonił telefon, z roztargnieniem sięgnął po słuchawkę.

- Mamy, czego szukałeś - oznajmił elektronicznie zniekształcony głos.

- Słucham?

- To, co chciał kupić Downing. Będzie cię kosztować pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zbierz pieniądze. Instrukcje prześlemy jutro wieczorem.

Rozmówca przerwał połączenie. Myron spróbował zidentyfikować jego numer, ale dzwoniło spoza miasta. Opuścił głowę na poduszkę. A potem utkwił spojrzenie w dwa plakaty, czekając, aż zmorzy go sen.

Mieszcząca się na Madison Avenue w śródmieściu, niedaleko biura Myrona, firma Martina Feldera nazywała się pomysłowo Felder Spółka z o.o., tak żeby w tym mateczniku agencji reklamowych było jasne, że nie zajmuje się reklamą. Dziarska recepcjonistka z radością wprowadziła gościa do gabinetu szefa.

Drzwi były otwarte.

- Marty, przyszedł Myron - oznajmiła.

Marty? Myron? Taki już tu panował styl. Wszyscy zwracali się do siebie po imieniu. Wszyscy byli ubrani z nowoczesnym, eleganckim luzem. Marty - mężczyzna w wieku między pięćdziesiątką a

sześćdziesiątką, z gładko zaczesanymi rzednącymi włosami, ale jeszcze bez „pożyczki” - miał na sobie dżinsową koszulę, jasnopomarańczowy krawat, dobrane do niego pomarańczowe skarpetki, kontrastujące z zielonymi, pięknie wyprasowanymi drogimi spodniami firmy Banana Republic, oraz miękkie zamszaki z cholewką.

- Myron! - zawołał, energicznie ściskając mu dłoń. - Jakże miło cię widzieć.

- Dziękuję, że tak szybko znalazłeś dla mnie czas.

Felder gestem zaznaczył, że to drobiazg.

- Ależ, Myron. Dla ciebie zawsze.

Spotkali się kilka razy na różnych imprezach dla środowisk związanych ze sportem. Marty cieszył się opinią rzetelnego agenta, twardego - by posłużyć się frazesem - ale uczciwego, a ponadto miał talent do ściągania uwagi na siebie i sportowców których reprezentował. Wydał dwie książki typu „jak osiągnąć sukces”, dzięki czemu rozreklamował własne nazwisko i umocnił reputację. Na dodatek wyglądał jak ulubiony, skromny wujaszek. Wszystkim z miejsca przypadał do serca.

- Napijesz się czegoś? - spytał. - Może kawy z mlekiem?

- Nie, dziękuję.

Marty Felder uśmiechnął się.

- Od dłuższego czasu chciałem do ciebie, Myron, zadzwonić. Siadaj, proszę.

Ściany gabinetu zdobiły dziwaczne rzeźby z powyginanych neonów, biurko było ze szkła, szuflady z włókna szklanego. Śladu papierów. Wszystko lśniło jak na statku kosmicznym. Felder wskazał Myronowi jeden z dwóch foteli przed biurkiem i usiadł w drugim. Pogawędka równych sobie. Żadnego odgradzania się barierą, żadnego onieśmiania.

- Nie muszę ci mówić - zaczął Felder bez wstępów - że szybko zdobywasz sobie nazwisko w branży. Twoi klienci darzą cię pełnym zaufaniem. Właściciele klubów i menedżerowie szanują cię i się ciebie boją - podkreślił, klepnął się w uda i pochylił do przodu. - Lubisz reprezentować sportowców?

- Tak.

- To dobrze. - Marty Felder żwawo skinął głową. - Grunt to lubić to, co robisz. Wybór zawodu jest najważniejszą decyzją w życiu, ważniejszą od wyboru żony. - Wpatrzył się w sufit. - Ktoś powiedział, że możesz mieć dość ludzi, ale nigdy pracy, którą kochasz.

- Wink Martindale? - domyślił się Myron.

Felder zaśmiał się i posłał mu nieśmiały, powściągliwy uśmiech.

- Ale przecież nie przyszedłeś wysłuchiwać gładzenia o mojej filozofii życiowej - rzekł. - Dlatego wyłożę karty na stół. Wywalę kawę na ławę. Nie popracowałbyś dla mojej agencji?

- Tu?

Zasada numer jeden, gdy starasz się o pracę: olśnij szefa błyskotliwymi ripostami.

- Wiesz, czego bym chciał? - spytał Felder. - Chciałbym; zrobić cię wiceprezesem. Hojnie cię wynagrodzę. Nadal będziesz mógł poświęcać należytą uwagę dotychczasowym klientom, korzystając ze wszystkich środków tej agencji. Przemyśl to sobie, Myron. Zatrudniamy ponad setkę ludzi. Mamy własną agencję podróży, która zadba o wszystko w tej mierze. Mamy - nie wstydzimy się tego określenia - ludzi do wszystkiego, zajmujących się wszelkimi szczegółami niezbędnymi w branży, dzięki czemu zyskujesz czas na ważniejsze sprawy. - Podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Myrona, choć ten ani drgnął. - Wiem, że masz współpracownicę, Esperanzę Diaz. Zatrudnię ją oczywiście razem z tobą. Za wyższą

pensję. Podobno kończy w tym roku studia prawnicze. W naszej firmie są duże możliwości awansu. - Podkreślił to gestem i dodał: - Co ty na to?

- Bardzo mi pochlebiłeś...

- No nie - wpadł mu w słowo Felder. - Dla mnie to decyzja biznesowa. Od razu rozpoznaję, ile kto jest wart. - Pochylił się do przodu ze szczerym uśmiechem. - Niech ktoś inny będzie chłopcem na posyłki twoich klientów, Myron. Uwolnię cię od tego, żebyś zajął się tym, do czego jesteś stworzony - pozyskiwaniem nowych klientów i negocjowaniem umów.

Chociaż Myron ani myślał rezygnować z własnej firmy, Marty znał się na składaniu atrakcyjnych ofert.

- Pozwolisz, Marty, że się zastanowię?

- Naturalnie. - Felder uniósł ręce w geście zgody. - Nie chcę cię naciskać, Myron. Nie śpiesz się z decyzją. Nie musisz odpowiadać mi już dziś.

- Doceniam twoją propozycję, przyszedłem jednak w innej sprawie - odparł Myron.

- Proszę bardzo. - Felder położył dłonie na udach i uśmiechnął się. - Mów.

- Chodzi o Grega Downinga.

Uśmiech Feldera ani drgnął, choć jego promienność odrobinę przygasła.

- Grega Downinga?

- Tak. Mam kilka pytań. Felder wciąż się uśmiechał.

- Oczywiście wiesz dobrze, że nie ujawnię niczego, co uważam za poufne.

- Oczywiście - przyznał Myron. - A czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest w tej chwili?

Marty Felder zawahał się chwilę. Skończyło się zachwalanie towaru, zaczęły negocjacje. Dobry negocjator jest nieskończenie cierpliwy. Podobnie jak dobry śledczy musi nade wszystko umieć słuchać. Skłonić oponenta do mówienia.

- A dlaczego chcesz to wiedzieć? - spytał po kilku sekundach.
- Muszę z nim porozmawiać.
- Wolno spytać o czym?
- To sprawa poufna.

Patrzyli na siebie szczerze i przyjaźnie, ale jak dwaj oszuści karciani, którzy nie chcą odkryć swoich kart.

- Zrozum moją sytuację, Myron - zaczął Felder. - Nie byłoby w porządku, gdybym ci to wyjawiał, nie mając pojęcia, dlaczego chcesz się z nim widzieć.

Przyszedł czas, by uchylić rąbka tajemnicy.

- Do drużyny Smoków dołączyłem nie po to, by wrócić do koszykówki - rzekł Myron. - Clip Arnstein wynajął mnie, żebym odnalazł Grega.

Brwi Feldera podskoczyły.

- Odnalazł?! Myślałem, że zaszył się gdzieś, żeby wyleczyć staw skokowy.

- Tak Clip powiedział prasie.
- Rozumiem. - Felder przytknął dłoń do brody i wolno skinął głową.
- Próbujesz go namierzyć?
- Tak.
- Wynajął cię Clip? Sam cię wybrał? To był jego pomysł?

Myron potwierdził. Na twarzy Feldera pojawił się uśmiezek, jakby rozbawił go jakiś dowcip.

- Na pewno powiedział ci, że Gregowi zdarzały się już takie rzeczy.
- Tak.

- A więc nie ma powodu za bardzo się tym przejmować. Doceniam twoją pomoc, Myron, ale nie jest potrzebna.

- Wiesz, gdzie on jest? Marty Felder zawahał się.

- Powtarzam, postaw się w mojej sytuacji. Gdyby któryś z twoich klientów chciał pozostać w ukryciu, postąpiłbyś wbrew jego życzeniom czy je uszanował?

- To zależy - odparł Myron, czując, że Felder blefuje. - Gdyby klient był w wielkich kłopotach, prawdopodobnie zrobiłbym wszystko, żeby mu pomóc.

- W jakich wielkich kłopotach?

- Na przykład w związku z hazardem. Greg jest winien masę forsy bardzo nieprzyjemnym typom.

Felder nie zareagował. Myron uznał to za dobry znak. Większość ludzi na wieść, że ich klient jest winien pieniądze gangsterom, okazałaby zaskoczenie.

- Wiesz o jego zamiłowaniu do hazardu, prawda, Marty? Felder odpowiedział powoli, jakby ważył każde słowo na ręcznej wadze.

- Jesteś stosunkowo nowy w branży, Myron. Stąd cechuje cię nie zawsze pożądany zapach. Jestem agentem sportowym Grega, co nakłada na mnie pewne obowiązki. Nie daje mi to jednak prawa, by kierować jego życiem. To, co mój klient robi w wolnym czasie, nie powinno i nie może być moją sprawą. Dla wspólnego dobra. Dbamy o naszych klientów, ale nie zastępujemy im rodziców i nie rządymy ich życiem. Ważne, by się tego nauczyć na początku.

Wniosek: wiedział o nałogu Downinga.

- Dlaczego dziesięć dni temu Greg wyjął z konta pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - spytał Myron.



Felder znów niczego po sobie nie pokazał. Albo wiedza Myrona nie była dla niego zaskoczeniem, albo potrafił zapanować nad mimiką twarzy.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. Nie mogę nawet potwierdzić, czy Greg wyjął taką sumę. - Znów klepnął dłońmi w uda i uśmiechnął się. - Zrób coś dla nas obu. Przemyśl moją propozycję i zostaw tę drugą sprawę. Greg wkrótce się pojawi. Jak zawsze.

- To wcale nie jest pewne - odparł Myron. - Tym razem wpadł w poważne kłopoty.

- Jeżeli mówisz o jego domniemanych długach hazardowych...

- Nie o nich.

- To o czym?

Na razie Felder nie puścił farby.

To, że przyznał się do wiedzy o hazardzie Grega, było celowe. Zorientował się bowiem, że Myron wie o nałogu jego klienta. Gdyby się tego wyparł, wyszedłby na osobę niekompetentną albo nieuczciwą. Marty Felder był bystry. Nie robił fałszywych kroków.

- W jakim celu sfilmowaliście żonę Grega? - spytał Myron, zmieniając kierunek rozmowy.

Felder zamrugał oczami.

- Słucham?

- ProTec. Tak nazywa się agencja, którą wynajęliście. Nakręcili potajemnie wideo w hotelu Glenpointe. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Pomóż mi to zrozumieć, Myron - rzekł Felder, bliski rozbawienia. - Najpierw mówisz, że mój klient ma poważne kłopoty. Twierdzisz, że chcesz mi pomóc. A potem stawiasz zarzuty w sprawie jakiegoś wideo. Przyznam, że się pogubiłem.

- Ja tylko staram się pomóc twojemu klientowi.

- Najbardziej mu pomożesz, mówiąc mi wszystko, co wiesz. Jestem jego adwokatem, Myron. Dbam o jego interesy, a nie o interesy Smoków, Clipa i kogo tam jeszcze. Powiedziałeś, że Greg ma kłopoty. Jakie?

Myron pokręcił głową.

- Najpierw powiedz mi o taśmie wideo.

- Nie.

No i kłapa. Popisowe negocjacje wróciły do punktu wyjścia. Wprawdzie zachowali przyjazne miny, ale byli o krok od pokazania sobie języków. Grali na przeczekanie. Kto pierwszy ustąpi. Myron przeanalizował sytuację. Kardynalna zasada negocjatora brzmiała: nie trać z oczu własnego celu i celu przeciwnika. Dobrze. Co chciał uzyskać od Marty'ego Feldera? Informacje o pięćdziesięciu tysiącach dolarów, taśmie wideo i być może kilku innych rzeczach. Co mógł uzyskać od niego Felder? Niewiele. Zaciekawiał go wzmianką o wielkich kłopotach Grega. Nawet jeżeli je znał, pragnął o nich usłyszeć z cudzych ust. Koniec analizy: na zdobyciu informacji bardziej zależało jemu niż Marty'emu. Ruch należał do niego. Czas podbić stawkę. Dość cackania się.

- Te same pytania co ja może ci zadać ktoś inny - powiedział.

- O czym mówisz?

- Może ci je zadać detektyw z wydziału zabójstw.

Felder nie drgnął, ale źrenice dziwnie mu się rozszerzyły.

- Słucham?

- Pewien detektyw z wydziału zabójstw jest o tyle - Myron zbliżył palec wskazujący do kciuka - od wydania listu gończego za Gregiem.

- Detektyw z wydziału zabójstw?

- Tak.

- A kogo zabito?

- Najpierw taśma - zażądał Myron.

Felder nie należał do wrywnych. Rozplótł i splótł dłonie na kolanach, podniósł wzrok, stuknął stopą. Nie śpieszyło mu się, rozważał wszystkie za i przeciw, koszty, zyski i resztę. Myron wcale by się nie zdziwił, gdyby tamten zabrał się do zrobienia wykresu.

- Nigdy nie praktykowałeś jako prawnik, co, Myron?

- Zrobiłem aplikację. To wszystko.

- Szczęściarz. - Felder westchnął i machnął ręką. Wiesz, dlaczego ludzie wymyślają żarty o prawnikach szujach? Bo to są szuje. Nie ich wina. Naprawdę. To kwestia systemu. To system zachęca do oszustw, łajdactw i kłamstw. Przypuśćmy, że jesteś na meczu ligi szkolnej. Przypuśćmy, że mówisz dzieciakom: dziś nie będzie sędziów, posędziujecie sobie sami. Doprowadzi to do zachowań nieetycznych? Prawdopodobnie. A potem mówisz tym małym urwisom, że muszą wygrać za wszelką cenę. Że ich obowiązkiem jest wygrana, że mają zapomnieć o zasadach sportowej walki i fair play. Taki właśnie jest nasz system sądownictwa, Myron. Dopuszczamy fałsz i nieuczciwość w imię abstrakcyjnego nadrzędnego dobra.

- Chybiona analogia.

- Dlaczego?

- Ze względu na sędziów. Prawnicy muszą stawać w sądzie przed ich obliczem.

- Niewielu. Większość spraw załatwia się, nim trafią na wokandę. Przecież wiesz. Tak czy siak mam rację. System zachęca adwokatów do kłamstw i przeinaczeń pod płaszczykiem obrony interesów klienta. Ta bzdura o obronie interesów stała się uniwersalnym wykrętem usprawiedliwiającym stosowanie wszelkich chwytów. Niszczy nasz system prawny.

- Fascynujące - pochwalił Myron. - I to wszystko ma związek z tym wideo?

- Bezpośredni - odparł Felder. - Adwokatka Emily Downing skłamała, wypaczyła prawdę. Było to zupełnie niepotrzebne i w najwyższym stopniu nieetyczne.

- Mówisz o sprawie opieki nad dziećmi? - spytał Myron.

- Tak.

- Co zrobiła? Felder uśmiechnął się.

- Podpowiem ci. W Stanach oskarżenie to pojawia się w jednym na trzy procesy o przyznanie opieki nad dziećmi. Choć niszczy ludziom życie, stało się praktyką tak powszechną, jak rzucanie ryżu na ślubach.

- Znęcanie się nad dziećmi? Felder nie odpowiedział.

- Uznaliśmy, że należy ukręcić łeb tym podłym, groźnym kłamstwom. Zrównoważyć szale, by tak rzec. Nie jestem z tego dumny. Nikt z nas nie jest. Ale się tego nie wstydzą. Nie można walczyć uczciwie, jeśli przeciwnik wali cię raz po raz mosiężnym kastetem. Żeby przeżyć, musisz chwytać się wszystkiego.

- Co zrobiliście?

- Nagraliśmy Emily Downing w mocno niezręcznej sytuacji.

- Niezręcznej, czyli jakiej?

Felder wstał, wyjął z kieszeni klucz, otworzył szafkę, wyciągnął z niej kasetę, otworzył drugą szafkę z telewizorem i magnetowidem, włożył taśmę do magnetowidu i wziął pilota.

- Twoja kolej - oznajmił. - Powiedziałeś, że Greg jest w wielkich kłopotach.

Przyszedł czas na małe ustępstwo. Kolejna kardynalna zasada negocjacji: nie bądź świnia i nie tylko bierz. Bo za jakiś czas uderzy to w ciebie rykoszetem.

- Podejrzewamy, że pewna kobieta szantażowała Grega - rzekł Myron. - Używała kilku nazwisk. Zwykle występowała jako Carla, ale też jako Sally lub Liz. W sobotę wieczorem ktoś ją zamordował.

Na tę wieść Felder osłupiał. A może tylko udał osłupienie.

- Policja z pewnością nie podejrzewa Grega...

- Podejrzewa - odparł Myron.

- Ale dlaczego?

Myron przedstawił w skrócie fakty.

- Greg był ostatnią osobą, z którą widziano ją w wieczór morderstwa. Na miejscu zbrodni znaleziono odciski jego palców. A w jego domu policja znalazła narzędzie, którym ją zabito.

- Przeszukali jego dom?

- Tak.

- Nie mogli.

- Uzyskali nakaz - powiedział Myron tonem adwokata gotowego do kręctw. - Znałeś tę kobietę? Tę Carlę & Sally?

- Nie.

- Nie wiesz, gdzie jest teraz Greg?

- Pojęcia nie mam.

Myron nie potrafił orzec, czy Felder kłamie. Bardzo rzadko można poznać, czy ktoś kłamie, patrząc mu w oczy, śledząc język ciała i tym podobne. Zdenerwowani, wytrąceni z równowagi ludzie też mówią prawdę, a dobry kłamca będzie sprawiał wrażenie tak szczerego jak Alan Alda w charytatywnym telefonie. Tak zwani badacze języka ciała zwykle dawali się wystrychnąć na dudka.

- Po co Greg wyjął z konta pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce?

- drażył dalej Myron.

- Nie pytałem - odparł Felder. - Już mówiłem, że nie wtrącam się do takich rzeczy.

- Pomyślałeś, że na hazard.

Felder znowu nie odpowiedział. Oderwał wzrok od podłogi.

- Mówisz, że ta kobieta go szantażowała?

- Tak - potwierdził Myron.

- Wiesz czym? - spytał Felder, wpatrując się w niego.

- Nie wiem. Chyba tym, że się hazarduje.

Felder skinął głową. Nie oglądając się za siebie, wymierzył pilota w telewizor za plecami i nacisnął kilka guzików. Na ekranie pojawił się szary śnieg, a potem czarno-biały obraz. Pokój hotelowy. Kamera filmowała z poziomu podłogi w górę. W pokoju nie było nikogo. Cyfrowy licznik pokazywał czas. Ustawienie kamery przypomniało Myronowi nagranie, na którym burmistrz Waszyngtonu Marlon Barry popalał fajkę z crackiem. Och, ach.

Czyżby o to chodziło? Seks w hotelu trudno uznać za podstawę do orzeczenia, że nie nadajesz się na rodzica, ale narkotyki? Czym lepiej zrównoważyć szale, jak ujął to Felder? Pokazaniem, że matka pali, wciąga krechy albo szprycuje się w pokoju hotelowym. Jakie wrażenie wyrze to na sędzie?

Lecz zaraz potem okazało się, że był w błędzie. Drzwi pokoju hotelowego otworzyły się i weszła Emily. Sama. Rozejrzała się niepewnie. Usiadła na łóżku, ale wstała. Zaczęła chodzić. Usiadła. Znowu zaczęła chodzić. Zajrzała do łazienki, szybko z niej wyszła, nie spoczęła. Brała w palce wszystkie napotkane przedmioty - hotelowe broszury, kartę dań, program telewizyjny.

- Nie ma dźwięku? - spytał Myron.

Marty Felder pokręcił przecząco głową. W dalszym ciągu nie patrzył na ekran.

Myron śledził jak skamieniały dalszy ciąg nerwowego rytuału Emily. Nagle zamarła i zwróciła się w stronę drzwi. Z pewnością usłyszała

pukanie. Podeszła do nich ostrożnie. W poszukiwaniu idealnego kochanka, pana Goodbara? Być może. Ale kiedy przekręciła gałkę i drzwi się otworzyły, zrozumiał, że znowu się pomylił. To nie pan Goodbar wszedł do pokoju. Weszła pani Goodbar.

Kobiety chwilę rozmawiały. Z minibarku wzięły coś do picia. A potem zaczęły się rozbierać. Myrona ścisnęło w żołądku. Nim trafiły do łóżka, zobaczył aż za dużo.

- Wyłącz - poprosił.

Felder spełnił prośbę, wciąż nie patrząc na ekran.

- Mówiłem serio - rzekł. - Nie jestem z tego dumny.

- Jesteś wielki - powiedział Myron.

Wreszcie zrozumiał zajadłą wrogość Emily. Nagrano ją in flagranti - nie z mężczyzną, lecz z kobietą. Wprawdzie jej czyn nie był występkiem w oczach prawa, ale z pewnością wpłynęły na decyzje większości sędziów. Taki już był ten świat. A skoro już o tym mowa, to Myron znał panią Goodbar pod innym przydomkiem - „Łomot”.

Wrócił do agencji, zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Po pierwsze, rola Łomot w tej sprawie nie była marginalna. Ale jaka? Uczestniczyła w spisku przeciwko Emily? A może ją także nagrano bez jej wiedzy? Były kochankami czy też spotkały się jednorazowo? Felder twierdził, że nie wie. Nagranie - w każdym razie fragment, który obejrzał - nie świadczyło, by kobiety łączyła duża zażyłość, ale w końcu nie był znawcą zagadnienia.

Przeciął Pięćdziesiątą Ulicę. Albinos w czapce Metsów i żółtych bokserkach włożonych na porwane džinsy grał na hinduskim sitarze. Głosem przypominającym głosy starych Chinek z zaplecza pralni śpiewał klasyczną piosenkę Paper Lace z lat siedemdziesiątych, The Night Chicago Died. Oprócz instrumentu artysta miał puszkę, stos

kaset i karton z napisem: „Autentyczny Benny i jego magiczny sitar, tylko 10 \$”. Autentyczny? Akurat. Farbowany albinos, sitar, zmodulowana amplitudowo muzyka lat siedemdziesiątych? Dziękuję, postoję.

Benny uśmiechnął się do niego. Gdy doszedł do fragmentu, w którym syn dowiaduje się, że zginęło stu policjantów - w tym być może jego ojciec - zaszlochał. Wzruszające. Myron Wcisnął mu do puszki dolara i przeszedł na drugą stronę ulicy, Powracając myślami do nagrania z Emily i Maggie Łomot. Czy było ważne? Oglądając taśmę, czuł się jak obleśny typ, a odtwarzając ją w głowie, czuł się tak samo. Jeśli chodzi o Emily, był to zapewne tylko dziwaczny wybryk. Co mogło go łączyć ze śmiercią Liz Gorman? Nie dostrzegał związku. Nie potrafił też połączyć Liz Gorman z nałogiem Grega i jej roli w całej tej sprawie.

W każdym razie z nagraniem tym wiązało się kilka ważnych kwestii. Po pierwsze, zarzuty wobec Grega o krzywdzenie dzieci. Czy miały jakieś podstawy, czy też była to, jak wskazał Marty Felder, bezpardonowa zagrywka adwokatki reprezentującej Emily? Emily przyznała się przecież, że gotowa jest na wszystko, byleby zachować dzieci. Nawet zabić. Jak zareagowała na wieść o tej taśmie wideo? Do czego mogłaby się posunąć w reakcji na tak skandaliczne pogwałcenie prywatności?

Myron wszedł do biurowca na Park Avenue. Wymienił krótki windowy uśmiech z młodą kobietą w stroju biurowym. W kabinie jechało tanią wodą kolońską, którą oszczędzając czasu na prysznic faceci zlewają się tak obficie, jakby lukrowali weselny tort. Młoda kobieta pociągnęła nosem i spojrzała znacząco.

- To nie ja - zapewnił Myron.



Chyba jej nie przekonał. Być może za ten afront dla zmysłu powonienia potępiła całą męską płęć. W tych okolicznościach nie należało jej się dziwić.

- Niech pani wstrzyma oddech - poradził. Twarz miała zieloną jak wodorosty.

- Dzień dobry - powitała go z uśmiechem Esperanza, kiedy wszedł do biura.

- O nie.

- Co nie?

- Pierwszy raz mówisz mi dzień dobry. Pierwszy raz w życiu.

- Bynajmniej. Pokręcił głową.

- Et tu, Esperanza? - spytał.

- O czym ty mówisz?

- Przecież słyszałaś, co się stało wczoraj. Dlatego starasz się być dla mnie, chyba wolno mi tak powiedzieć, miła.

W jej oczach zapłonął ogień.

- Myślisz, że obchodzi mnie wczorajszy mecz? To, że dawałeś płamę za płamą?

- Za późno - odparł, kręcąc głową. - Obchodzi cię.

- Nie obchodzi. Byłeś do bani. Zapomnij o tym.

- Znów mnie pocieszasz.

- Pocieszam cię?! Byłeś do bani. Do bani!!! Zagrałeś żałośnie.

Wstydziłam się, że cię znam. Wchodząc tu, zakrywałam twarz.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Wytarła go wierzchem dłoni.

- Teraz będę musiała wziąć zastrzyk na wszy.

- Nie mam wszy. Słowo.

- Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- RepSport MB... A, tak, Jason, jest tu. Chwileczkę. - Zakryła mikrofon dłonią. - Jason Blair.

- Ten patafian, co powiedział, że masz ładny tyłek? Skinęła głową.

- Przypomnij mu o moich nogach - dodała.

- Porozmawiam z gabinetu. Co to? - zainteresował się, dostrzegając zdjęcie na wierzchu pliku dokumentów leżących na biurku.

- Akta Brygady Kruka - wyjaśniła.

Wziął gruboziarniste zdjęcie zrobione w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, jedyne, na którym była cała siódemka. Szybko odnalazł Liz Gorman. Nie przyjrzał jej się dobrze, ale jeden rzut oka wystarczył do stwierdzenia, że nikt nie mógłby rozpoznać w niej Carli.

- Mogę je zatrzymać na kilka minut? - spytał.

- Proszę bardzo.

Wszedł do gabinetu i odebrał telefon.

- O co chodzi, Jason? - spytał.

- Gdzie się włączysz, jak rany?

- U mnie jakoś leci. A u ciebie?

- Nie pogrywaj ze mną, Myron. Powierzyłeś sprawę, mojego kontraktu tej małej i go spaprała. Mam ochotę odejść z MB.

- Uspokój się, Jason. Jak to spaprała?

- To ty nie wiesz?

Blairowi z niedowierzania załamał się głos.

- Nie.

- Dopinamy mój kontrakt z Red Sox, tak?

- Tak.

- Chcę pozostać w Bostonie. Obaj to wiemy. Ale trzeba narobić hałasu, że odchodzę. Żeby podbić wysokość kontraktu. Sam

powiedziałeś: „Niech myślą, że chcesz zmienić zespół”. Jestem wolnym elektronem. Tak musimy zrobić, nie?

- Tak.

- Nie mogą się dowiedzieć, że chcę pozostać w drużynie, tak?

- Owszem. Do pewnego stopnia.

- Chrzanić stopień! Następnego dnia mój sąsiad kibic dostaje list od Sox, w którym proszą, żeby odnowił abonament. Zgadnij, czyje zdjęcie jest w reklamówce przy informacji o moim powrocie? No? Domyśl się.

- Twoje, Jason?

- Jasne, że moje! Dzwonię więc do tej zgrabnej dupci...

- Prócz tego ma świetne nogi.

- Co?!

- Nogi. Nie jest wysoka, więc nie są długie, ale zgrabne.

- Dość tych pierdół, Myron. Posłuchaj. Mówi mi, że Skarpety zadzwoniły z prośbą, czy mogą zamieścić moje zdjęcie w reklamie, choć nie podpisałem kontraktu. A ta co? Zamieszczajcie! Zamieszczajcie śmiało, kurwa mać! I co sobie myślą te dupki z Red Sox, ha? Powiem ci. Myślą, że podpiszę z nimi kontrakt tak czy siak! Straciliśmy przez nią środki nacisku!

- Przyszedł dziś rano - powiedziała Esperanza, wchodząc bez pukania i rzucając Myronowi na biurko kontrakt Jasona.

Myron przebiegł go wzrokiem.

- Daj mi ten ptasi mózdzek na głośnik - zażądała. Myron włączył głośnik.

- Jason.

- Zejdź z linii, Esperanza. Rozmawiam z Myronem.

- Nie zasłużyłeś na tę wiadomość, ale wiedz, że sfinalizowałam twój kontrakt - odparła, nic sobie z niego nie robiąc. - Masz wszystko, czego chciałeś, a nawet więcej.

Blair przystopował.

- Czteryście tysiaków więcej rocznie?

- Sześćset tysięcy. Plus ćwierć miliona za podpis na kontrakcie.

- Jak... co...

- Skarpety pokpiły sprawę - odparła. - Z chwilą zamieszczenia twojego zdjęcia w folderze reklamowym kontrakt był gotowy.

- Jak to?

- To proste. W folderze było twoje zdjęcie. Skłania to ludzi do zakupu karnetów. Zadzwoniłam więc do dyrekcji klubu i powiedziałam, że zdecydowałeś się podpisać kontrakt z Rangers. Nadmieniłam, że umowa z Teksasem jest prawie gotowa. - Esperanza poprawiła się w fotelu. - Wyobraź sobie, że zarządzasz Red Sox. Jak postąpisz? Jak wyjaśnisz karnetowiczom, że Jason Blair, którego zdjęcie widnieje w najnowszym folderze, nie zagra, ponieważ Texas Rangers przebili twoją ofertę?

Zapadło krótkie milczenie.

- Pal sześć twój tyłeczek i nogi - przerwał jej Jason. - Takiej kiepeły jak twoja w życiu nie widziałem.

- To wszystko, co do mnie masz? - spytał Myron.

- Potrenuj, Myron. Tak wczoraj zagrałeś, że ci się przyda. Chcę omówić z Esperanzą szczegóły.

- Z mojego telefonu - powiedziała. Myron kazał mu poczekać.

- Dobrze to rozegrałeś - pochwalił ją. Wzruszyła ramionami.

- Jakiś młody z marketingu Skarpet schrzanił sprawę. Bywa.

- Świetnie to wyczytałeś.

- Moje falujące łono rośnie z dumy - odparła umyślnie bezbarwnym tonem.

- Idź, dokończ rozmowę. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

- O nie, chcę być taka jak ty.

- Nic z tego, takiego tyłka jak ja mieć nie będziesz.

- Co racja, to racja - przyznała.

Kiedy wyszła, Myron wziął zdjęcie Brygady Kruka. Rozpoznał troje jej członków wciąż przebywających na wolności - Glorię Katz, Susan Milano i najślawniejszego z nich, tajemniczego przywódcę Kruków, Cole'a Whitemana, który ściągnął na siebie największe gromy i zainteresowanie prasy. Kruki zeszyły do podziemia, gdy Myron chodził do podstawówki, ale do dziś pamiętał, co o nich pisano. Wywodzący się z zamożnej rodziny blondyn o arystokratycznych rysach, Cole, mógłby ujść za brata Wina. W przeciwieństwie do niechlujnych, długowłosych towarzyszy ze zdjęcia, był porządnie ostrzyżony, gładko ogolony, a o pewnym ustępstwie na rzecz mody lat sześćdziesiątych świadczyły tylko nieco dłuższe baczki. Nie wyglądał na radykalnego lewicowca z hollywoodzkiego filmu. Ale Win był najlepszym przykładem, że wygląd może bardzo mylić.

Odłożył zdjęcie i zadzwonił do Dimonte'a w komendzie na Police Plaza. Kiedy ten warknął do słuchawki „halo”, Myron spytał go, czy ma coś nowego.

- Myślisz, że jesteśmy partnerami, Bolitar? - usłyszał.

- Jak Starsky i Hutch.

- Boże, jak mi ich brakuje. Ta ich bryka. Konszachty z Misiem Fuzzy.

- Z Misiem Huggy.

- Co?

- Ich kapuś nazywał się Miś Huggy, nie Miś Fuzzy.

- Tak?

- Czas ucieka. Rolly. Kto daje, ten dostaje.

- Ty pierwszy. Co masz?

Znowu negocjacje. Myron powiedział mu o hazardowym nałogu Grega. A także o podejrzeniu szantażu, bo Rolly też pewnie miał wyciąg rozmów telefonicznych. Ale nie o taśmie wideo. To nie byłoby w porządku, najpierw musiał porozmawiać z Emily.

Dimonte zadał mu kilka pytań.

- Dobra, co chcesz wiedzieć? - spytał, zadowolony z odpowiedzi Myrona.

- Znaleźliście coś więcej w domu Grega?

- Nic. Dosłownie. Powiedziałeś, że w sypialni były kobiece drobiazgi, pamiętasz? Ciuchy, kosmetyki, te rzeczy.

- Tak.

- No, więc ktoś je zwinął. Ani śladu kobiecych łaszków.

Teoria z kochanką w tle znów daje o sobie znać, pomyślał Myron. Kochanka wraca do domu, usuwa krew, żeby ochronić Grega, a potem zaciera swoje ślady, aby ich związek nie wyszedł na jaw.

- A co ze świadkami? Czy w domu, gdzie mieszkała Liz Gorman, ktoś coś widział?

- Nie. Wypytaliśmy sąsiadów. Nikt nic nie widział. Wszyscy się uczyli itd. Aha, jeszcze jedno: morderstwo zwąchała prasa. Napisali o nim w porannych gazetach.

- Podalesz im prawdziwe nazwisko Gorman?

- Coś ty głupi? Uznali, że to kolejne zabójstwo z włamaniem. Ale dziś rano dostaliśmy anonimowy cynk. Zasugerowano, żebyśmy przeszukali dom Grega Downinga.

- Żartujesz.

- Nie. Dzwoniła kobieta.

- Wrabiają go, Rolly.
- Co ty powiesz, Sherlocku. Na pewno jakaś dupa. To morderstwo nie było sensacją. Upchnęli je na dalszych stronach, jak inne nieefektywne zabójstwa w tym bagnie. Zyskało nieco rozgłosu, bo zdarzyło się w pobliżu kampusu.
- Zbadaliście ten trop? - spytał Myron.
- Jaki trop?
- Bardzo blisko jest Uniwersytet Columbia. W latach sześćdziesiątych źródło połowy ruchów kontestacyjnych. W kadrze uniwersyteckiej z pewnością nadal są ich sympatycy. Może któryś pomógł Liz Gorman. Dimonte westchnął dramatycznie.
- Bolitar, czy ty całą policję masz za debili?
- Nie.
- Myślisz, że tylko ty na to wpadłeś?
- Miałem opinię zdolnego - odparł Myron.
- Nie w dzisiejszej konkurencji. Trafiony!
- Czego się dowiedzieliście?
- Wynajęła to mieszkanie od jakiegoś popaprańca, fanatyka, lewaka, komucha, tak zwanego profesora, niejakiego Sidneya Bowmana.
- Jakiś ty tolerancyjny, Rolly.
- Zawsze się robię taki, gdy opuszczam zebrania Amerykańskiego Związku Obrony Praw Obywatelskich. W każdym razie, ten lewak udaje Greka. Twierdzi, że tylko wynajął jej lokal, a ona zapłaciła gotówką. Wiemy, że kłamie. Federalni wzięli go w obroty, ale od wykręcenia się sianem ma całe stado pedalskich, liberalnych papug. Nazwali nas bandą nazistowskich świń itd.
- Na wypadek gdybyś nie wiedział, Rolly, to nie jest komplement.

- Dzięki za wskazówkę. W tej chwili śledzi go Krinsky. Na razie bez efektu. Ten Bowman to nie debil. Połapał się, że za nim chodzimy.

- Co jeszcze o nim wiecie?

- Rozwiedziony, dwoje dzieci. Wykłada egzystencjalne pierdoły, nieprzydatne w normalnym życiu. Według Krinsky'ego, większość czasu spędza, pomagając bezdomnym. Przesiadanie z włóczkami w parkach i schroniskach to jego codzienny rytuał. Jak mówiłem, popapraniec.

Do gabinetu wszedł bez pukania Win, skierował się do kąta i otworzył szafę z dużym lustrem na drzwiach. Przejrzał się w nim, przyglądził fryzurę, z której nie odstawał ani jeden włos, rozstawił lekko nogi i opuścił ręce. Ściskając w nich wyimaginowany kij golfowy, powoli zamachnął się zza głowy, sprawdzając w lustrze, czy ręka z przodu jest wyprostowana, a chwyt swobodny. Robił to bez przerwy, nawet przed wystawami sklepów na ulicy. Myron podejrzewał, że jest to golfowy odpowiednik nawyku ciężarowców, prężących mięśnie, ilekroć widzą swoje odbicia. Strasznie go to irytowało.

- Masz jeszcze coś, Rolly?

- Nie. A ty?

- Nic. Pogadamy później.

- Nie mogę się doczekać, Hutch - odparł Dimonte. - Wiesz co? Krinsky jest taki młody, że nie pamięta tego serialu. Smutne, nie?

- Ta dzisiejsza młodzież. Za grosz kultury. Myron zakończył rozmowę.

- Wprowadź mnie w sytuację - poprosił Win, nie przestając podziwiać w lustrze swoich uderzeń.

Myron zrelacjonował mu wypadki.



- Ta Fiona, była dziewczyna miesiąca, to chyba idealna kandydatka na przesłuchanie jej przez Windsora Horne'a Lockwooda Trzeciego? - zagadnął Win.

- Mhm - mruknął Myron. - Ale może najpierw opowiesz mi o przesłuchaniu Maggie Łomot przez Windsora Horne'a Lockwooda Trzeciego.

Patrząc na siebie w lustrze, Win zmarszczył brwi i poprawił chwyt.

- Nie była elokwentna - odparł. - Więc obrałem specjalną taktykę.

- Jaka?

Win streścił mu rozmowę w hali. Myron pokręcił głową.

- Pojechałeś za nią, Win?

- Tak.

- No i?

- Niewiele mam do powiedzenia. Po meczu udała się do T.C. Została na noc. Z jego domu nie przeprowadzono żadnych ważnych rozmów. Albo nasza pogawędka wytrąciła ją z równowagi, albo ta kobieta nic nie wie.

- Lub spostrzegła, że ją śledzisz.

Win znów zmarszczył brwi. Może nie spodobała mu się ta sugestia, a może wykrył jakiś błąd w zamachu kijem. Pewnie to drugie. Odwrócił się od lustra i spojrzał na biurko Myrona.

- To Brygada Kruka? - spytał.

- Tak. Jeden z nich przypomina ciebie. Myron wskazał Cole'a Whitemana. Win przyjrzał się zdjęciu.

- Ten człowiek jest bardzo przystojny, lecz brak mu mojego wyczucia stylu i uderzająco dobrej prezencji.

- Nie wspominając o skromności.

- Nic dodać, nic ująć - skostatował Win.

Myron znów spojrział na zdjęcie, wrócił myślami do słów Dimonte'a o codziennym zwyczaju profesora Sidneya Bowmana i nagle go oświeciło. W żyłach poczuł lód. W wyobraźni zmienił nieco rysy Cole'a, dodając deformacje powstałe wskutek domniemyanych operacji plastycznych i upływu dwóch dziesięcioleci. Podobieństwo nie było zupełne, niemniej jednak spore.

Liz Gorman zmyliła pogonię, zmieniając najbardziej charakterystyczną cechę swojego wyglądu. Czy zasadne było więc przypuszczenie, że Cole Whiteman zrobił to samo?

- Myron?

- Chyba wiem, gdzie znaleźć Cole'a Whitemana - powiedział Myron, podniósłszy wzrok.

Hector nie ucieszył się na jego ponowną wizytę w barze Parkview.

- Znaleźliśmy wspólnika Sally - rzekł Myron. Hector wytarł kontuar ścierką.

- Nazywa się Norman Lowenstein. Zna go pan? Hector pokręcił głową.

- To bezdomny. Kręci się na zapleczu baru i korzysta z pańskiego automatu.

Hector przerwał ścieranie.

- Myśli pan, że wpuściłbym do kuchni bezdomnego? - spytał. - A poza tym tu nie ma zaplecza. Pan sprawdzi.

Odpowiedź nie zaskoczyła Myrona.

- Kiedy byłem tu poprzednio, siedział przy barze - powiedział. - Nieogolony. Długie czarne włosy. Postrzępiony beżowy płaszcz.

Hector, nie przerywając wycierania laminowanego blatu, skinął głową.

- Już kojarzę. Czarne buty?

- Tak.
- Często tu zachodzi. Ale nie znam jego nazwiska.
- Widział pan, żeby kiedykolwiek rozmawiał z Sally?
- Może, kiedy go obsługiwała. Trudno mi powiedzieć.
- Kiedy był tu ostatnio?
- Nie widziałem go od pańskiej wizyty.
- Nigdy go pan nie poznał?
- Nie.
- I nic pan o nim nie wie?
- Nie.

Myron zapisał na karteluszkę numer telefonu.

- Gdyby go pan zobaczył, proszę zadzwonić. Czekają tysiąc dolarów nagrody.

Hector przyjrzał się numerowi telefonu.

- To numer do pracy? Do AT&T?
- Nie. Mój prywatny.
- Aha. Jak pan stąd wyszedł, zadzwoniłem do AT&T. Nie ma nic takiego jak Y pięćset jedenaście i nie pracuje tam żaden Bernie Worley.

Hector nie był zdenerwowany, ale też nie tańczył hula. Czekał, wpatrując się w Myrona.

- Skłamałem panu - przyznał Myron. - Przepraszam.
- Jak pan nazywa się naprawdę?
- Myron Bolitar.

Myron wręczył mu wizytówkę. Hector rzucił na nią okiem.

- Jest pan agentem sportowym? - spytał.
- Tak.
- A co agent sportowy ma wspólnego z Sally?
- To długa historia.

- Nie powinien pan tak kłamać. To nie było ładne.

- Wiem. Ale skłamałem w ważnej sprawie.

Hector schował wizytówkę do kieszeni koszuli.

- Mam klientów - powiedział i odwrócił się.

Myron zastanawiał się, czy nie wyjaśnić mu więcej, ale chyba nie było sensu.

- No i co? - spytał Win, który czekał na chodniku.

- Cole Whiteman to bezdomny, który podaje się za Normana Lowensteina.

Win przywołał ręką taksówkę. Kierowca w turbanie zwolnił. Wsiedli. Myron podał mu adres. Taksówkarz skinął głową, turbanem polerując podsufitkę. Z głośników płynęły dźwięki sitaru, szarpiące powietrze szponami ostrymi jak brzytwy. Makabra. Przy nich muzyka Benny'ego i jego Magicznego Sitaru koła jak śpiew skrzypiec Itzhaka Perlmana. Ale i tak wołał je od produkcji Yanniego.

- W niczym nie przypomina siebie z tego zdjęcia - rzekł Myron. - Miał operację plastyczną. Zapścił włosy i ufarbował je na czarno.

Stanęli na światłach. Tuż przy nich zatrzymał się granatowy TransAm, jeden z tych podrasowanych modeli, które hip-hopują w rytm czadowej muzy, tak głośnej, że rozsadza jądro ziemi. Poziom decybeli był taki, że zaczęła chodzić cała taksówka. Światło zmieniło się na zielone. TransAm wyrwał do przodu.

- Wyszedłem od zmiany w wyglądzie Liz Gorman, która z jednej skrajności popadła w drugą- ciągnął Myron. - Cole był dobrze wychowanym, bogatym chłopcem o miłej aparycji. Czyż dla kogoś takiego może istnieć lepszy kamuflaż niż przemiana w zaplutego włóczęgę?

- W zaplutego żydowskiego włóczęgę! - podkreślił Win.

- Właśnie. Tak więc, kiedy usłyszałem od Dimonte'a, że profesor Bowman zadaje się z bezdomnymi, skojarzyłem to sobie z Lowensteinem.

- Trasa! - odezwał się taksjarsz w turbanie.

- Słucham?

- Trasa. Aleją Hudsona czy Broadwayem?

- Aleją Hudsona - odparł Win i spojrzał na Myrona. - Kontynuuj.

- Myślę, że rzeczy miały się tak. Cole Whiteman nabrał podejrzeń, że Liz Gorman coś grozi. Może do niego nie zadzwoniła, może nie przyszła na spotkanie. Coś się stało. Niestety, nie mógł tego sprawdzić osobiście. Przetrwiał w ukryciu tyle lat, bo nie jest w ciemny bity. Wiedział, że jeśli znajdzie ją policja, zastawi na niego pułapkę, taką jak w tej chwili.

- Dlatego posłużył się tobą, żebyś sprawdził za niego. Myron skinał głową.

- Pałętał się w pobliżu baru, licząc, że dowie się czegoś o „Sally”. Podśluchał moją rozmowę z Hectorem i doszedł do wniosku, że trafiła mu się okazja. Podsunał mi dziwną historię, że poznali się, bo korzystała z automatu w kuchni, że zostali kochankami. Jego opowieść nie trzymała się kupy, ale o nic go nie pytałem. W każdym razie zaprowadził mnie pod jej dom. Kiedy wszedłem do środka, schował się i czekał, co się stanie. Przyjechała policja. Pewnie widział z bezpiecznej odległości, jak wynoszą ciało. Potwierdziło to prawdopodobnie jego podejrzenia, że Liz Gorman nie żyje.

Win zastanawiał się chwilę.

- Myślisz, że profesor Bowman kontaktuje się z nim, odwiedzając bezdomnych? - spytał.

- Tak.

- A więc kolejny nasz cel to odnaleźć Cole'a Whitemana.

- Tak.

- Wśród niedomytych nieszczęśników w jakimś zakazanym przytułku?

- Tak.

- No, to pysznie - rzekł Win ze zboląłą miną.

- Moglibyśmy zastawić na niego pułapkę. Ale za długo by to trwało.

- Zastawić pułapkę? Jak?

- Myślę, że to Whiteman zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

Trzeba przyjąć, że na pewno pomagał Liz Gorman szantażować Grega.

- Ale dlaczego do ciebie? - zdziwił się Win. - Skoro ma jakiegoś haka na Downinga, czemu chce wyciągnąć pieniądze od ciebie?

Myrona dręczyło to samo pytanie.

- Nie wiem - odparł wolno. - Do głowy przychodzi mi tylko to, że rozpoznał mnie w barze Hectora. Pewnie myśli, że jestem ściśle związany z Gregiem. Nie mógł się z nim skontaktować, więc postanowił spróbować ze mną.

Zadzwoniła komórka.

- Hej, Starsky - odezwał się po jego „halo” Dimonte.

- Jestem Hutch - powiedział Myron. - Starsky to ty.

- Tak czy siak, kopnij się raz-dwa na komendę.

- Masz coś?

- Jeśli „czymś” nazwiesz zdjęcie mordercy wychodzącego od Gorman.

Myron o mało nie wypuścił telefonu.

- Serio? - spytał.

- A jak. Nigdy byś się nie domyślił.

- Czego?

- To kobieta.

- Rzecz wygląda tak - rzekł Dimonte, torując im drogę przez istną ONZ, złożoną z policjantów, świadków i kogo tam jeszcze.

Win nie wszedł do środka. Nie lubił policji, a policja też nie zafundowałaby mu lodów na piękne oczy. Najlepiej dla wszystkich było, gdy trzymał się z daleka.

- Na taśmie wideo mamy cząstkowy obraz przestępczyni. Niestety, za mało wyraźny, żeby ją zidentyfikować. Może ty ją rozpoznasz.

- Skąd ta taśma? - spytał Myron.

- Z magazynu spedycyjnego na Broadwayu pomiędzy Sto Dziesiątą i Sto Jedenastą, po stronie wschodniej - odparł Dimonte. Szedł szybko, o krok przed Myronem, wciąż spoglądając za siebie, by upewnić się, że za nim nadąża. - Specjalizują się w sprzęcie elektronicznym. Wiesz, jak jest, pracownicy kradną, jakby gwarantowała im to Konstytucja. Firma wszędzie montuje kamery. Nagrywają wszystko. - Wciąż w ruchu, pokręcił głową, nagroził Myrona uśmiechem bez wykałaczkii i dodał: - Stary dobry Wielki Brat. Raz na jakiś czas ktoś nagrywa na taśmę nie grupę glin tłukących przestępcę, tylko zbrodnię, rozumiesz.

Weszli do małego pokoju przesłuchań. Myron spojrzał w lustro. Wiedział, że jest weneckie, tak jak każdy, kto obejrzał przynajmniej kilka seriali i filmów kryminalnych. Wątpił, czy ktoś jest po jego drugiej stronie, ale na wszelki wypadek pokazał język. Pan Dorosły. Przy telewizorze i magnetowidzie stał Krinsky. Już drugi raz dzisiaj Myron miał obejrzeć nagranie wideo. Liczył, że to będzie przyzwoitsze.

- Cześć, Krinsky - pozdrowił detektywa. Krinsky skinął głową. Ot, gaduła.

Myron spojrzał na Dimonte'a.

- Jakim cudem kamera w magazynie spedycyjnym zarejestrowała na taśmie morderczynię? - spytał.

- Jedną z kamer umieszczono przy wjeździe dla ciężarówek - wyjaśnił Dimonte. - Po to, żeby przy wyjeździe wysyłany towar nie dostał nóg, rozumiesz. Kamera obejmuje też kawałek chodnika. Widzi przechodniów. - Oparł się o ścianę i wskazał Myronowi krzesło. - Zaraz zobaczysz.

Myron usiadł. Krinsky wcisnął odtwarzanie. Czarno-biały obraz. Znów bez dźwięku. Tym razem jednak w ujęciu z góry. Myron ujrzał przód ciężarówki, a za nią kawałek chodnika. Przechodniów było niewielu. Na dobrą sprawę widział tylko ich sylwetki.

- Jak na to trafiliście, Rolly?

- Na co?

- Na tę taśmę.

- Zawsze sprawdzam takie rzeczy - odparł Dimonte, podciągając spodnie za szlufki. - Garaże, magazyny, co tylko. Obecnie wszędzie są kamery.

Myron skinął głową.

- Dobra robota, Rolly. Zaimponowałeś mi.

- Kurdemol, teraz umrę szczęśliwy.

Co jeden to mądrała. Myron ponownie wpatrzył się w ekran.

- Ile godzin nagrania mieści się na taśmie? - spytał.

- Dwanaście - odparł Dimonte. - Taśmy są zmieniane o dziewiątej rano i dziewiątej wieczorem. Kamer jest osiem. Każdą taśmę przechowują trzy tygodnie. Potem ją zagrywają. - Wskazał palcami. - Idzie... Krinsky!

Krinsky zatrzymał obraz.

- Kobieta, która weszła w kadr z prawej, idzie na południe, oddala się od kamery.



Obraz był niewyraźny. Myron nie widział twarzy kobiety, nie potrafił określić jej wzrostu ani wagi. Miała buty na wysokich obcasach i długi płaszcz z marszczonym kołnierzem. Ale włosy wyglądały znajomo.

- Tak, widzę ją - potwierdził neutralnym tonem.

- Spójrz na jej prawą rękę.

Myron spojrział. Trzymała w niej długi, ciemny przedmiot.

- Nie umiem powiedzieć co to.

- Mamy go w powiększeniu. Krinsky!

Krinsky podał Myronowi dwa duże czarno-białe zdjęcia. Na pierwszym widniała powiększona głowa kobiety, ale nie było widać rysów twarzy. Na drugim - lepiej widoczny - długi, ciemny przedmiot.

- To chyba plastikowa torba na śmieci, w którą coś zawinięto - powiedział Dimonte. - Ma dziwny kształt, co?

Myron spojrział na zdjęcie i skinął głową.

- Myślisz, Rolly, że jest w niej kij baseballowy?

- A ty nie?

- Też.

- Podobne torby znaleźliśmy w kuchni Gorman.

- Znajdziesz je w większości kuchni w Nowym Jorku - rzekł Myron.

- Owszem. Spójrz na datę i godzinę na ekranie.

W górze, z lewej strony ekranu zegar elektroniczny wskazywał godzinę 02:12.32 w nocy. Była niedziela. Kilka godzin po spotkaniu Grega Downinga z Liz Gorman w Szwajcarskiej Chacie.

- Czy kamera zarejestrowała kobietę, kiedy szła w drugą stronę? - spytał Myron.

- Tak, ale niezbyt wyraźnie. Krinsky!

Krinsky włączył przewijanie. Po kilku sekundach zatrzymał taśmę i znów pojawił się obraz. Była godzina 01:41.12. Nieco ponad pół godziny wcześniej.

- Idzie - zapowiedział Dimonte.

Obraz niemal przemknął przed oczami. Myron rozpoznał idącą jedynie po długim płaszczu z marszczonym kołnierzem. Tym razem nic nie miała w ręku.

- Pokażcie mi tę drugą część - poprosił. - Od początku. Dimonte skinął głową Krinsky'emu. Ten odszukał właściwe miejsce na taśmie i włączył odtwarzanie. Myron wprawdzie nie widział twarzy kobiety, ale jej chód jak najbardziej. Był charakterystyczny. Serce podeszło mu do gardła. Dimonte patrzył na niego spod zmrużonych powiek.

- Rozpoznajesz ją, Bolitar? - spytał.

- Nie - skłamał Myron.

Esperanza lubiła sporządzać listy.

Na podstawie leżących przed nią akt Brygady Kruka ustaliła i zapisała na kartce w porządku chronologicznym trzy istotne fakty:

1) Brygada Kruka obrabowuje bank w Tucson.

2) W następnych dniach przynajmniej jeden z jej członków (Liz Gorman) przebywa na Manhattanie.

3) Niedługo potem Liz Gorman nawiązuje kontakt z powszechnie znanym zawodowym koszykarzem.

Nie łączyło się to w spójny ciąg.

Otworzyła akta i przebiegła wzrokiem historię brygady. W 1975 roku Kruki porwały Hunta Frootwortha, dwudziesto-dwuletniego syna magnata wydawniczego Coopera Frootwortha. Na Uniwersytecie Stanowym w San Francisco Hunt studiował i przyjaźnił się z kilkoma członkami grupy, w tym z Cole'em Whitemanem i Liz Gorman. Sławny Cooper Frootworth, człowiek, który nie zwykł siedzieć beczynnie i pozwalać, by inni działali za niego, wynajął do odbicia syna zawodowców. Podczas owej akcji jeden z Kruków zastrzelił

młodego Hunta strzałem z bliska w głowę. Nikt nie wiedział który. Czterem członkom brygady udało się uciec.

Do biura weszła w podskokach Wielka Cyndi. Drgania wprawiły w ruch pióra leżące na biurku Esperanzy.

- Przepraszam - powiedziała.
- Nie szkodzi.
- Zadzwonil Timmy - obwieściła. - W piątek mamy randkę.
- Ma na imię Timmy? Esperanza zrobiła minę.
- Ślicznie, co?
- Rozkosznie.

- Będę w pokoju konferencyjnym - powiedziała Cyndi. Esperanza wróciła do akt. Zatrzymała się na skoku na bank w Tucson - pierwszym od ponad pięciu lat napadzie Brygady Kruka. Bank obrobiono tuż przed zamknięciem. Policja federalna podejrzewała, że Krukowi pomógł jeden ze strażników, lecz poza tym, że sympatyzował z lewicą, nic na niego nie mieli. Zrabowano około piętnastu tysięcy dolarów w gotówce, przy okazji poświęcając czas na rozwalenie skrytek bankowych. Ryzykowne. Być może, spekulowali federalni, przestępcy dowiedzieli się skądś o ukrytych w nich pieniądzech z handlu narkotykami. Kamery bankowe zarejestrowały dwóch ubranych od stóp do głów na czarno rabusiów w kominiarkach na twarzach. Nie pozostawili odcisków palców, włosów, włókien. Niczego.

Esperanza jeszcze raz przeczytała dokumenty, ale nie znalazła żadnych rewelacji. Próbowała wyobrazić sobie, jak wyglądało dwadzieścia ubiegłych lat życia ocalałych Kruków - ciągła ucieczka przed prawem, niemożność zagrania gdzieś miejsca na dłużej, wyjazdy i powroty do kraju, uzależnienie od dawnych sympatyków,

co do których nie ma pewności, czy można im w pełni ufać. Wzięła kartkę i zapisała:

Liz Gorman => napad na bank => szantaż.

Idź za strzałkami, powiedziała sobie. Liz Gorman i Krukowi zabrakło środków, więc obrabowali bank. W porządku. Wyjaśniało to pierwszą strzałkę. Łatwizna. Twardym orzechem było drugie połączenie:

Napad na bank => szantaż.

Mówiąc wprost: co sprawiło, że po napadzie Gorman przyjechała na Wybrzeże Wschodnie i zaszantażowała Grega Downinga? Zapisała ewentualności:

1) Downing zamieszany w napad na bank. Podniosła wzrok. Uznała, że to możliwe. Potrzebował pieniędzy na spłatę długów. Mógł zrobić coś niezgodnego z prawem. Ale ta hipoteza nie wyjaśniała najważniejszego: jak zawarli znajomość? Co związało ze sobą Liz Gorman i Grega Downinga?

Tu był pies pogrzebany. Zapisała dwójkę. Zaczekała. Co jeszcze mogło łączyć jedno z drugim? Ponieważ nic nie przyszło jej na myśl, postanowiła spróbować z drugiego końca. Zacząć od szantażu i cofnąć się. Żeby zaszantażować Downinga, Gorman musiała natrafić na coś, co go obciążało. Kiedy? Narysowała drugą strzałkę: Napad na bank <=> szantaż.

Poczuła mrowienie. Napad na bank. Podczas napadu na bank znaleźli coś, co skłoniło ich do szantażu! Szybko przekartkowała akta, wiedząc, że nie znajdzie w nich odpowiedzi. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Odezwał się mężczyzna.

- Masz spis najemców skrytek bankowych? - spytała.
- Gdzieś jest - odparł. - Czyżbyście ich potrzebowali?
- Tak. Westchnął głęboko.

- No dobrze. Zaczę szukać. Ale przypomnij Myronowi, że ma u mnie dług. Duży dług.

- Jesteś sama? - spytał Myron, kiedy Emily otworzyła drzwi.

- Tak, a bo co? - odparła kokieteryjnie. - Masz na myśli coś konkretnego?

Przebiął się obok niej. Z ustami otwartymi ze zdziwienia zatoczyła się do tyłu. Myron podszedł wprost do szafy w przedpokoju i otworzył ją.

- Co robisz?! - krzyknęła.

Nie raczył odpowiedzieć. Zaczął rozgarniać wieszaki. Nie zajęło mu to długo. Wyciągnął na wierzch długi płaszcz z marszczonym kołnierzem.

- Kiedy kogoś znowu zabijesz, pozbądź się ciuchów, w których chodzisz - rzekł.

Cofnęła się o dwa kroki, jej dłoń pofrunęła do ust.

- Wynoś się! - wysyczała.

- Daję ci okazję powiedzenia prawdy.

- Mam gdzieś, co mi dajesz. Wynoś się z mojego domu! Uniósł w górę jej płaszcz.

- Nie tylko ja o tym wiem. Policja ma cię nagraną na taśmie z miejsca przestępstwa. Jesteś w tym płaszczu.

Zwiotczała. Jej twarz wykrzywił grymas, jakby oberwała w splot słoneczny.

Myron opuścił płaszcz.

- Podrzuciłaś narzędzie zbrodni do swojego dawnego domu. Wymazałaś krew suterene. - Myron obrócił się, szybko wszedł do salonu i wskazał plik wciąż leżących tam dzienników brukowych. -

Szukałaś w gazetach wiadomości o morderstwie. Kiedy przeczytałaś o znalezieniu zwłok, zadzwoniłaś anonimowo na policję.

Spojrzał na Emily. Oczy miała niewidzące i szkliste.

- Wciąż myślałem o pokoju zabaw dla dzieci - ciągnął. - I zadawałem sobie pytanie: czy Greg zszedłby po morderstwie właśnie tam? W tym rzecz, że nie zszedłby, bo po co. Mogłyby minąć tygodnie, nim ktoś odkryłby krew w suterenie.

Emily zacisnęła dłoń w pięści, wreszcie odzyskała głos.

- Nie rozumiesz - powiedziała.

- To mi wyjaśnij.

- Chciał mi zabrać dzieci.

- Dlatego wrobiłaś go w morderstwo.

- Nie.

- Nie czas kłamać, Emily.

- Ja nie kłamię. Nie wrobiłam go.

- Podrzuciłaś narzędzie...

- Tak - przerwała mu - w tym przypadku masz rację. Ale go nie wrobiłam. - Zamknęła oczy i otworzyła je jak przy minimedytacji. - Nie można wrobić kogoś w coś, czego dokonał.

Myron zeszytniał. Emily wpatrywała się w niego z kamienną twarzą i z dłońmi wciąż zaciśniętymi w kułak.

- Twierdzisz, że Greg ją zabił?

- Oczywiście. - Przynęła się ku niemu niespiesznie, wykorzystując biegnące sekundy niczym bokser liczony do ośmiu po niespodziewanym lewym haku. Wzięła płaszcz. - Naprawdę mam go zniszczyć czy mogę ci ufać?

- Najpierw mi wszystko wyjaśnij.

- Napijesz się kawy?

- Nie - odparł.

- Ja muszę się napić. Chodź. Pogadamy w kuchni.

Z wysoko podniesioną głową ruszyła tym samym krokiem, jaki zobaczył na taśmie. Wszedł za nią do jasnej białej kuchni ze lśniącymi kafelkami. Większość ludzi pewnie marzyła o takim wystroju, ale jemu kojarzył się on z pisuarem w luksusowej restauracji. Emily wyjęła modną zaparzarkę do kawy.

- Na pewno się nie napijesz? To Starbucks. Hawajska mieszanka kawy.

Myron pokręcił głową. Emily zdążyła odzyskać zmysły. Znow nad sobą panowała. Nie przeszkadzał jej w tym. Kto nad sobą panuje, więcej mówi, a mniej myśli.

- Zastanawiam się, od czego zacząć. - Wlała gorącą wodę do zaparzarki. W kuchni natychmiast zapachniało kawą. Gdyby grali w reklamówce, jedno z nich w tej chwili już wzdychałoby „Aaaach!”. - Tylko nie ponaglaaj mnie, bo zacznę krzyczeć.

Podniósł ręce na znak, że nic takiego nie zrobi. Nacisnęła tłok, napotkała opór, znowu nacisnęła.

- Któregoś dnia podeszła do mnie w supermarkecie - ciągnęła. - Ni stąd, ni zowąd. Sięgam po mrożone bajgle, a ta nagle oznajmia mi, że odkryła coś, co może zniszczyć mojego męża. Grozi, że jeżeli nie zapłacę, pójdzie z tym do gazet.

- Co odpowiedziałaś?

- Spytałam, czy potrzebuje ćwierć dolara na telefon. - Emily zaśmiała się, przerwała tłoczenie i wyprostowała się. - Wzięłam to za żart. Odparłam, że proszę bardzo, niech zniszczy tego drania. Skinęła głową i powiedziała, że się skontaktuje.

- To wszystko?

- Tak.

- Kiedy to było?

- Czy ja wiem. Dwa, trzy tygodnie temu.

- A kiedy odezwała się ponownie?

Emily otworzyła szafkę i wyjęła kubek z jakąś postacią z kreskówki i napisem NAJWSPANIALSZA MAMA NA ŚWIECIE.

- Kawy wystarczy na dwoje - powiedziała.

- Nie, dziękuję.

- Na pewno?

- Tak. Co było potem?

Pochyliła się i zajrzała do zaparzarki jak do szklanej kuli.

- Kilka dni później Greg zrobił mi coś... - Urwała. - Jak ci już mówiłam - podjęła zmienionym tonem, wypowiadając słowa ostrożniej i wolniej - zrobił coś strasznego. Szczegóły nie są ważne.

Myron skinął głową, lecz nic nie powiedział. Nie było sensu mówić jej o nagraniu z hotelu i zbijać z tropu. Należało ułatwić zwierzenia.

- Tak więc kiedy się do mnie zgłosiła, informując, że Greg gotów jest dużo zapłacić za milczenie, odparłam, że dam jej więcej za mówienie. Usłyszałam, że będzie mnie to słono kosztowało. Powiedziałam, że nie dbam o to ile. Próbowалам zaapelować do niej jak kobieta do kobiety. Posunęłam się do tego, że opisałam jej, jak się sprawy mają, że Greg chce mi odebrać dzieci. Chyba mi współczuła, ale dała do zrozumienia, że nie może sobie pozwolić na filantropię. Za informację muszę zapłacić.

- Wymieniła sumę?

- Sto tysięcy dolarów.

Myron wstrzymał się od gwizdnięcia. Podwójne oskubanie. Albo Liz Gorman zamierzała ciągnąć pieniądze od obojga i doić ich tak długo, jak się da, albo walnąć ich po kieszeni raz a dobrze, przewidując, że znów będzie musiała się ukryć. Tak czy siak, z jej punktu widzenia należało wycisnąć dolary od wszystkich zainteresowanych - Grega,



Clipa i Emily. Wziąć forszę za milczenie. Wziąć forszę za mówienie. Szantażyści są tak lojalni jak politycy w roku wyborów.

- Wiesz, czym szantażowała Grega? - spytał.

- Nie powiedziała.

- Ale byłaś gotowa zapłacić jej sto tysięcy.

- Tak.

- Nawet nie wiedząc za co?

- Tak.

- Skąd wiedziałaś, że nie masz do czynienia z wariatką? - Wzmocnił to pytanie gestem.

- Szczerze? Nie wiedziałam. Ale groziło mi, że utracę dzieci! Byłam w desperacji.

Pomyślał, że Liz Gorman wykorzystała jej desperację do maksimum.

- I nadal nie wiesz, czym go szantażowała?

- Nie.

- Mogło chodzić o hazard Grega? Jej oczy się zwężyły.

- W czym rzecz? - spytała zdezorientowana.

- Wiedziałaś, że Greg uprawiał hazard?

- Jasne. I co z tego?

- Wiedziałaś, jak wysoko grał?

- Nie bardzo. Raz na jakiś czas jeździł do Atlantic City. Obstawiał za pięćdziesiąt dolarów zakłady futbolowe.

- Tak myślałaś?

Powiodła oczami po jego twarzy, próbując odgadnąć, co myśli.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

Myron spojrział przez okno. Basen wciąż był zakryty, ale gromada drozdów powróciła z pielgrzymki na południe. Z tuzin ptaków, z

opuszczonymi głowami i skrzydłami chodzącymi wesoło jak psie ogony, obsiadło karmnik.

- Greg jest nałogowym hazardzistą. W ciągu lat przegrał miliony. Felder nie sprzeniewierzył pieniędzy. Greg je przegrał.

- Niemożliwe. - Emily pokręciła głową. - Żyłam z nim blisko dziewięć lat. Coś bym zauważyła.

- Hazardziści umieją się kryć z nałogiem. Kłamią, oszukują, kradną... robią wszystko, byleby grać dalej. Są uzależnieni.

Oczy jej rozbłysły.

- I tym szantażowała go ta kobieta? Że jest hazardzistą?

- Chyba tak - powiedział Myron. - Nie jestem pewien.

- Ale hazardował się na pewno? Dopóki nie stracił pieniędzy?

- Tak.

Na twarzy Emily zapłonęła nadzieja.

- W takim razie żaden sędzia nie odda mu pod opiekę dzieci - ucieszyła się. - Wygram!

- Prędzej odda je hazardziście niż morderczyni - zgasił ją Myron - czy kobiecie, która podrzuca fałszywe dowody.

- Już mówiłam, że ten dowód jest prawdziwy.

- To ty tak twierdzisz. Ale wróćmy do szantażystki. Zażądała od ciebie stu tysięcy.

Emily znów zajęła się zaparządką.

- Tak.

- Jak miałaś jej zapłacić?

- Kazała mi czekać w sobotę wieczorem przy automacie przed supermarketem Grand Union. Miałam się tam stawić o północy, z gotówką. Zadzwoiła punktualnie o dwunastej i podała adres na Sto Jedenastej Ulicy. Poleciała przyjechać o drugiej.

- I pojechałaś o drugiej w nocy na Sto Jedenastą ze stoma tysiącami dolarów? - spytał, starając się ukryć niedowierzanie w głosie.

- Zebrałam tylko sześćdziesiąt tysięcy.

- Wiedziała o tym?

- Nie. Wiem, że wygląda to bardzo głupio, ale zrozumiem, byłam zdesperowana. Gotowa na wszystko.

Myron zrozumiał. Widział wielokrotnie z bliska, do czego zdolne są matki. Każda miłość wypacza, a miłość matczyzna wypacza całkowicie.

- Mów dalej - zachęcił.

- Kiedy wyjechałam z za rogu, zobaczyłam, że z jej domu wychodzi Greg. Osłupiałam. Mimo postawionego kołnierza dojrzałam jego twarz. - Emily podniosła oczy. - Jestem jego żoną od dawna, ale pierwszy raz widziałam u niego taką minę.

- Jaką?

- Był przerażony. Do Amsterdam Avenue pobiegł dosłownie sprintem. Zaczekałam, aż skręci za róg, a potem podeszłam do drzwi i nacisnęłam guzik domofonu. Bez efektu, zaczęłam więc naciskać inne guziki. Wreszcie ktoś mnie wpuścił. Weszłam po schodach i dłuższą chwilę pukałam do drzwi. Nacisnęłam klamkę. Nie były zamknięte. Otworzyłam je.

Emily urwała. Trzęsącą się ręką podniosła kubek do ust. Łyknęła kawę.

- Zabrzmi to okropnie, ale nie widziałam zwłok, tylko moją ostatnią deskę ratunku na zatrzymanie przy sobie dzieci.

- I postanowiłaś podrzucić dowód.

Emily odstawiła kubek i jasnymi oczami spojrzała na Myrona.

- Tak. Miałaś rację co do wszystkiego. Wybrałam pokój zabaw, bo wiedziałam, że Greg tam nie zejdzie. Nie miałam pojęcia, że uciekł. Pomyślałam, że kiedy wróci do domu, krew nie zniknie. Owszem, posunęłam się za daleko, ale nie skłamałam. On ją zabił.

- Tego nie wiesz.

- Jak to?

- Mógł się natknąć na zwłoki tak jak ty.

- Mówisz poważnie? - spytała ostrzejszym tonem. - Oczywiście, że ją zabił. Krew na podłodze była całkiem świeża. To Greg miał wszystko do stracenia. Miał motyw i sposobność.

- Ty też.

- Miałam motyw? Jaki?

- Chciałaś go zrobić w morderstwo. Chciałaś zachować dzieci.

- Absurd! - oburzyła się.

- Masz jakiś dowód na potwierdzenie swojej wersji?

- Mam co?!

- Dowód. Wątpię, Emily, czy policja ci uwierzy.

- A ty? - spytała.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Dowód? Jaki? Przecież nie robiłam zdjęć!

- Jakies fakty potwierdzające to, co mówisz.

- Po co miałabym ją zabić? W jakim celu? Potrzebna mi była żywa.

Dzięki niej miałam szansę zachować dzieci.

- Przypuśćmy, że ta kobieta rzeczywiście miała coś na Grega. Jakiś konkretny. Jego list, taśmę wideo, coś takiego...

Myron czekał na reakcję Emily.

- Dobrze. - Skinęła głową. - Mów.

- Przypuśćmy też, że cię zdradziła, że sprzedała obciążający dowód Gregowi. W końcu był pierwszy w kolejce. Może zapłacił jej tyle, że

wycofała się z umowy z tobą. Wchodzisz do jej mieszkania, dowiadujesz się, co zrobiła, dociera do ciebie, że twoja jedyna szansa na zachowanie dzieci przepadła, zabijasz Gorman i zrzucasz winę na tego, kto najwięcej zyska na jej śmierci. - Na Grega.

- Zwariowałeś!

- Wystarczająco mocno go nienawidziłaś - ciągnął Myron. - Grał z tobą po świńsku, więc odpłaciłaś mu pięknym za nadobne.

- Nie zabiłam jej.

Myron znów spojrział przez okno, ale drozdy odleciały. Podwórko wyglądało pusto i bez życia. Odczekał kilka sekund, zanim znów obrócił się w stronę Emily.

- Wiem o taśmie wideo z tobą i Maggie Łomot - powiedział.

W jej oczach rozbłysnął gniew. Zaciśnęła palce na kubku. Myron obawiał się, niemal oczekiwał, że nim w niego ciśnie.

- Jak, do diabła...? - Rozluźniła chwyt. Poddała się. Niepewnie wzruszyła ramionami, przygarbiła się. - Nieważne.

- Na pewno się wściekłaś.

Pokręciła głową... Z jej ust wydobył się cichy dźwięk przypominający śmiech.

- Nic nie rozumiesz, co, Myron? - spytała.

- Czego nie rozumiem?

- Nie szukałam zemsty. Liczyło się tylko to, że przez to nagranie mogę stracić dzieci.

- Rozumiem doskonale. Zrobiłabyś wszystko, żeby je zatrzymać.

- Nie zabiłam jej.

- Opowiedz mi o sobie i o Łomot - rzekł, zmieniając temat.

Emily zaśmiała się szyderczo.

- Nie wiedziałam, że jesteś z takich - zadrwiła.

- Nie jestem.

Podniosła kubek i łyknęła kawy.

- Obejrzałeś nagranie od początku do końca? - spytała flirtującym tonem, podszytym złością. - Puściłeś je sobie w zwolnionym tempie? Przewijałeś je, odtwarzając niektóre „momenty” kilka razy? Opuściłeś spodnie do kolan?

- Nad kolana.

- Dużo zobaczyłeś?

- Dość, żeby zorientować się, co się święci.

- I wtedy przestałeś?

Przyjrzała mu się sponad kubka.

- Wierzę ci, wiesz? Świętoszek z ciebie.

- Emily, staram się pomóc.

- Mnie czy Gregowi?

- Pomóc dojść do prawdy. Tobie też chyba na tym zależy.

Wzruszyła wymijająco ramionami.

- Więc kiedy ty i Łomot...? - spytał zakłopotany, wykonując nieokreślony gest mający oznaczać randkę.

Zaśmiała się.

- To był mój pierwszy raz - odparła. - W pełnym znaczeniu tego słowa.

- Ja nie osądzam...

- Mam gdzieś, czy osądzasz, czy nie. Chcesz wiedzieć, co się stało, tak? To był mój pierwszy raz. Ta kurewka mnie podeszła.

- Jak?

- Jak to jak? Mam opisać szczegóły? Ile wypiałam, jak bardzo czułam się samotna, jak zaczęła mnie gładzić po nodze?

- Nie.

- W takim razie streszczę to krótko: uwiodła mnie. W przeszłości kilka razy niewinnie flirtowałyśmy. Zaprosiła mnie do Glenpointe na

kielicha. Potraktowałam to jak wyzwanie. Kuszące i zarazem odpychające. Wiedziałam jednak, że nie pójdę na całość. Od łyżka do rzemyczka... Wjechałyśmy na górę. Koniec streszczenia.

- A więc Łomot wiedziała, że was nagrywają?

- Tak.

- Skąd wiesz? Wygadała się?

- Nic nie powiedziała. Po prostu wiem.

- Skąd?

- Myron, skończ z tym wypytywaniem. Wiem i już. Kamery nie zainstalowano tam przypadkiem. Wrobiła mnie i tyle.

Miało to sens.

- Ale po co? - spytał.

Na twarzy Emily odbiło się rozdrażnienie.

- Chryste, Myron, to kurwa Smoków. Jeszcze cię nie przerznięła?

Ale zaraz, niech pomyślę. Odmówiłeś jej, tak?

Wypadła z kuchni do salonu i usiadła na kanapie.

- Podaj mi aspirynę - powiedziała. - Jest w łazience. W apteczce.

Myron wytrząsnął z buteleczki dwa proszki i nalał wody do szklanki.

- Emily, muszę cię spytać o jeszcze jedną sprawę. Westchnęła.

- Jaka?

- Wiem, że wysunęłaś przeciwko Gregowi oskarżenia.

- Za pośrednictwem adwokatkki.

- Prawdziwe?

Położyła proszki na języku, popiła wodą, połknęła.

- Niektóre.

- A te o znęcanie się nad dziećmi?

- Jestem zmęczona, Myron. Możemy porozmawiać później?

- Były prawdziwe?

Emily spojrzała mu w oczy tak, że poczuł w sercu zimny prąd.

- Greg chciał mi zabrać dzieci - powiedziała wolno. - Miał pieniądze, władzę, prestiż. Potrzebowałyśmy czegoś na niego.

Myron odwrócił wzrok. Ruszył do drzwi.

- Nie zniszcz tego płaszcza - powiedział.

- Nie masz prawa mnie sądzić.

- W każdym razie w tej chwili wolę nie mieć z tobą do czynienia - odparł.

- Esperanza powiedziała, że cię tu zastanę - oznajmiła Audrey.

Stała oparta o jego samochód. Skinął głową.

- Jezu, jak ty wyglądasz?! Co się stało? - spytała.

- To długa historia.

- Którą opowiesz mi z pasjonującymi szczegółami. Ale najpierw opowiem ja. Fiona White rzeczywiście była Miss Września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, zwyciężczynią, jak nazywa to ów szmatławiec, Wrześniowej Kociakoramamy.

- Zgrywasz się.

- Skądże. Fionę rajcowały między innymi spacerować przy księżycu po plaży i przytulne wieczory przy kominku.

- Jakie oryginalne.

Myron uśmiechnął się mimo woli.

- Nie lubiła natomiast płytkich bażantów, dbających tylko o swój wygląd. I typów z zarośniętymi plecami.

- Wymienili jej ulubione filmy?

- Lista Schindlera i Wyścig Armatniej Kuli dwa. Zaśmiał się.

- Wymyśliłaś to - powiedział.

- Z wyjątkiem tego, że w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim zwyciężyła we Wrześniowej Kociakoramie.

Myron pokręcił głową.



- Greg Downing i żona najlepszego przyjaciela.

Westchnął. Wieści te poniekąd go pocieszyły. Własny wyskok sprzed dziesięciu lat z Emily zaczął wyglądać nieco lepiej. Taka logika nie powinna co prawda krzepić, ale cóż, człowiek dosładza się, czym może.

- Co z twoją byłą? - spytała Audrey, wskazując dom.

- To długa historia.

- Już mi to powiedziałaś. Mam czas.

- A ja nie.

Uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem.

- Bądź uczciwy, Myron. Byłam bardzo grzeczna. Biegałam na twoje posyłki, trzymałam buzię na kłódkę, a w dodatku nie dałam mi nic na urodziny. Nie zmuszaj mnie do ponowienia gróźb.

Miała rację. Zrelacjonował jej w skrócie rozwój wypadków, pomijając dwie sprawy: nagranie wideo z Maggie Łomot (o którym nikt nie musiał wiedzieć) i fakt (zbyt sensacyjny, by powierzyć go w zaufaniu jakiemukolwiek dziennikarzowi, wierząc, że go nie ujawni), iż Carla to osławiona Liz Gorman. Audrey słuchała w skupieniu. Jej fryzura na pazia z przodu nieco za bardzo odrosła, dlatego, wysunąwszy dolną wargę, zdmuchiwała na czoło kosmyki włosów, które wchodziły jej w oczy. Myron nie znał oprócz niej nikogo powyżej jedenastu lat, kto by tak robił. To było urocze.

- Wierzysz jej? - spytała, wskazując ponownie dom Emily.

- Bo ja wiem - odparł. - Jej wersja brzmi sensownie. Jest możliwość, że zabiła tę kobietę, żeby zrobić Grega, ale to zbyt naciągany domysł.

Audrey przechyliła głowę, jakby chciała powiedzieć: na dwoje babka wróżyła.

- O co ci chodzi, Audrey?

- A czy przypadkiem nie patrzymy na to z niewłaściwej strony? - spytała.

- To znaczy?

- Zakładamy, że ta szantażystka miała haka na Grega Downinga. A może miała go na Emily?

Myron spojrział na dom, jakby w nim kryła się odpowiedź, po czym przeniósł wzrok na Audrey.

- Emily powiedziała, że szantażystka ją zaczepiła. Dlaczego? Przecież ona i Greg już się rozstali.

- Carla o tym nie wiedziała - odparł Myron. - Sądziła, że Emily, będąc jego żoną, zechce go chronić.

- Możliwe - przyznała Audrey. - Ale są też lepsze wyjaśnienia.

- Chcesz powiedzieć, że tamci szantażowali Emily, a nie Grega?

- Mówię tylko - Audrey odwróciła dłonie spodami w górę - że mogło być odwrotnie. Szantażystka miała coś na Emily... coś, co Greg mógł wykorzystać w sprawie o opiekę nad dziećmi.

Myron splótł ręce i oparł się o samochód.

- A co z Clipem? - spytał. - Jeżeli mieli coś na Emily, skąd jego zainteresowanie sprawą?

- Nie wiem. Może miała haki na oboje.

- Oboje?

- Pewnie. Coś, co mogłoby ich zniszczyć. A może Clip uznał, że cokolwiek to jest, nawet jeśli dotyczy Emily, odbije się na Gregu.

- Masz jakieś przypuszczenia?

- Żadnych.

Myron przetrwał kilka sekund, ale nic nie wymyślił.

- Jest szansa, że dowiemy się tego dziś wieczorem.

- Jak?

- Szantażysta zadzwonił do mnie. Chce mi sprzedać informację.

- Dziś wieczorem?

- Tak.

- Gdzie?

- Jeszcze nie wiem. Zadzwoń. Mój domowy telefon jest sprzężony z komórkowym.

W tym momencie odezwała się jak na zawołanie jego komórka.

- Plan zajęć naszego profesora wisi na drzwiach jego gabinetu - oznajmił Win. - Za godzinę zacznie przyjmować u siebie młode jęczydusze, skamlące o lepsze oceny.

- Gdzie jesteś?

- W kampusie Columbii. Przy okazji, są tu całkiem atrakcyjne panie. To znaczy, jak na taką elitarną uczelnię.

- Miło, żeś nie straciłeś zmysłu obserwacji.

- Pewnie. Jesteś po rozmowie z naszą dziewczyną? - spytał Win.

„Naszą dziewczyną” była Emily. Win nie wierzył komórkom, dlatego nie wymieniał przez nie nazwisk.

- Tak.

- Pysnie. O której się ciebie spodziewać?

- Już jadę.

Win siedział przy bramie Uniwersytetu Columbia na Sto Szesnastej Ulicy. Był w spodniach khaki od Eddiego Bauera, mokasynach na gołych stopach, koszuli z kołnierzykiem z guziczkami i krawacie.

- Wtapiam się w otoczenie - wyjaśnił.

- Jak chasyd w Boże Narodzenie na mszy w kościele katolickim. Czy Bowman wciąż jest na zajęciach? - spytał Myron.

Win skinął głową.

- Za dziesięć minut powinien wyjść przez te drzwi.

- Wiesz, jak wygląda?

Win podał mu informator akademicki.

- Strona dwudziesta pierwsza. Opowiedz mi o Emily.

Myron opowiedział. Minęła ich wysoka brunetka w czarnym, opiętym kombinezonie „kobiety kota” i książkami przyciśniętymi do piersi. Julie Newmar w telewizyjnym Batmanie. Win i Myron przyjrzeni się jej uważnie. Miau! Myron skończył.

- Mam spotkanie w biurze - rzekł Win, nie zadając żadnych pytań. - Pozwolisz?

Odszedł. Myron usiadł ze wzrokiem utkwionym w drzwi. Dziesięć minut później z budynku zaczęli wysypywać się studenci. Dwie minuty po nich wyłonił się profesor Sidney Bowman. Brodą miał równie rozczochraną jak na zdjęciu w informatorze, a jego łysinę okalały nedorzeczenie długie włosy. Dżinsy, tanie buty i czerwona flanelowa koszula świadczyły, że pozuje na swojego chłopa albo na Jerry'ego Browna podczas kampanii prezydenckiej.

Bowman podsunął w górę okulary i ruszył przed siebie. Myron podążył za nim, dopiero gdy zniknął mu z oczu. Nie było pośpiechu. Poczciwy profesor zmierzał do swojego gabinetu. Przeciął trawiasty plac i wszedł do innego budynku z cegły. Myron znalazł ławkę i usiadł.

Minęła godzina. Obserwując studentów, poczuł się bardzo stary. Powinien był wziąć z sobą gazetę. Siedząc i nie mając nic do czytania, był zmuszony myśleć. Jego mózg wyczarowywał i odrzucał wciąż nowe ewentualności. Wiedział, że coś pominął, coś, co kołysało się w oddali jak szałwika na wodzie, ale ilekroć po to sięgał, chowało się pod powierzchnią.

Nagle przypomniał sobie, że nie sprawdzał dziś sekretarki w domu Grega. Wyjął komórkę, wystukał numer i po usłyszeniu głosu Grega

wcisnął zaprogramowany kod 317. Na taśmie nagrano tylko jedną wiadomość, za to nadzwyczajną.

- Nie graj z nami w bambuko - ostrzegł elektronicznie przetworzony głos. - Rozmawiałem z Bolitarem. Jest gotów zapłacić. Tego chcesz? Koniec wiadomości.

Myron siedział bez ruchu i wpatrywał się w ceglana naga, pozbawioną bluszczu ścianę. Kilka sekund wsłuchiwał się beczynn timerze w telefoniczny sygnał. O co tu chodziło...? „Jest gotów zapłacić. Tego chcesz?”. Nacisnął gwiazdkę, żeby odtworzyć wiadomość. A potem jeszcze raz. Odsłuchałby jej pewnie po raz czwarty, gdyby w wejściu nie pojawił się Bowman.

Profesor zatrzymał się z dwójką studentów i wdał z nimi w bardzo poważną, bardzo ożywioną akademicką dyskusję. Uczelnia. Kontynuując niewątpliwie ważką wymianę poglądów, wyszli z kampusu i ruszyli Amsterdam Avenue. Myron schował komórkę do kieszeni i ruszył, trzymając się w pewnej odległości za nimi. Na Sto Dwunastej Ulicy trójka się rozstała. Dwaj studenci poszli dalej na południe. Bowman przeszedł przez ulicę i skierował się w stronę katedry Świętego Jana Bożego.

Katedra Świętego Jana Bożego to ciekawa, potężna świątynia, kubaturowo największa katedra na świecie (Bazylika Świętego Piotra w Rzymie nie zalicza się do katedr). Budowla ta jest jak miasto, w którym stoi: podniszczona, ale budzi podziw. Wysokich kolumn i wspaniałych witrażowych okien strzegą tablice z napisami ROBOTY NA WYSOKOŚCI (choć budowę przybytku rozpoczęto w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim, nigdy jej nie ukończono) i DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA KATEDRA JEST STRZEŻONA PRZEZ PATROLE I MONITOROWANA ELEKTRONICZNIE. Dziury w granitowej fasadzie zasłaniają deski. Z lewej strony tego architektonicznego

cudu stoją dwa aluminiowe baraki, przywodzące na myśl czołówkę z serialu o Gomerze Pyle'u. Na prawo mieści się Ogród Rzeźb z Fontanną Pokoju, olbrzymią rzeźbą, wprawiającą w różne nastroje, z wyjątkiem spokojnego. Mętlik złożony z odrąbanych głów i członków, szczypiec homara, skrzydeł, rąk sterczących z ziemi, jakby chciały uciec z piekła, mężczyzny skręcającego kark sarnie tworzyły atmosferę bliższą Dantemu w połączeniu z Goyą niż ospałemu spokojowi.

Bowman skierował się uliczką z prawej strony katedry. Mieściło się tam schronisko. Minał grupę bezdomnych w wytartych ubraniach ze sztucznych włókien i spodniach z obwisłymi siedzeniami. Któryś skinął ręką i coś zawołał. Bowman pomachał mu w odpowiedzi i zniknął w drzwiach. Myron rozważył sytuację. Nie miał wyboru. Musiał wejść do środka, choćby za cenę zdemaskowania.

Mijając bezdomnych, skinął im głową i uśmiechnął się. Odpowiedzieli mu tym samym. Do schroniska prowadziły dwuskrzydłowe czarne drzwi z tandetną firanką w progu. Nieco dalej dwie tablice informowały: UWAGA DZIECI, ZWOLNIJ oraz SZKOŁA KATEDRALNA. Schronisko dla bezdomnych i szkoła dla dzieci? Interesujące i praktyczne połączenie. Nie ma jak Nowy Jork.

Wszedł i natychmiast uderzył w niego wypalający włoski w nosie smród jak z fifki do narkotyków po całonocnym jaraniu. Spróbował się skrzywić. Pomieszczenie wypełniały obskurne materace i bezdomni. Bowman rozmawiał w kącie z kilkoma tubylcami. Żaden z nich nie był Cole'em Whitemanem alias Normanem Lowensteinem.

Myron rozejrzał się po nieogolonych twarzach i pustych oczach. Dostrzegli się w tej samej chwili. Ich spojrzenia spotkały się najwyżej na sekundę, ale to wystarczyło. Cole Whiteman odwrócił się i puścił biegiem. Myron ruszył za nim, przedzierając się przez tłum. Profesor

Bowman spostrzegł zamieszanie i z płonącym wzrokiem zastąpił mu drogę. Nie zwalniając kroku, Myron staranował go opuszczonym ramieniem. Jak napastnik Jim Brown. Tyle że na drodze Jima stawali tacy gołiacy, jak Dick Butkus i Ray Nitschke, a nie ważący z osiemdziesiąt kilo, pięćdziesięcioletni profesor college'u z miękkim brzuchem. Niemniej był pewną zawadą.

Cole Whiteman zniknął w tylnych drzwiach, zatraskując je za sobą. Myron pokonał je wkrótce po nim. Znaleźli się na dworze, lecz na krótko. Whiteman wbiegł po metalowych schodach i wpadł do katedry. Myron podążył za nim. W środku było bardzo podobnie jak na zewnątrz - okazałe przykłady dobrej architektury i sztuki sąsiadowały z lichotą i tandetą. Zamiast ław stały tam tanie składane krzesła, z granitowych murów zwieszały się bezładnie kunsztowne gobeliny, a grube kolumny obrosły drabinami.

Cole skierował się do najbliższych drzwi. Myron popędził za nim wśród odbitego od ogromnego łukowego sklepienia katedry echa stukających obcasów. Znów wylecieli na zewnątrz. Cole po krótkim biegu wzdłuż budowli wpadł do środka przez ciężkie drzwi przeciwpożarowe z napisem KURSY DOKSZTAŁCAJĄCE. W suterenie mieściła się albo szkoła, albo przedszkole. Pobiegli korytarzem z metalowymi, rozsypującymi się szafkami po bokach. Cole skręcił w prawo i zniknął za drewnianymi drzwiami. Kiedy Myron otworzył je pchnięciem, stanął oko w oko z ciemną klatką schodową. Z dołu dobiegł go odgłos kroków. Ruszył kłusem. Z każdym stopniem robiło się ciemniej. Zstępował do podziemi katedry. Cementowe ściany lepiły się od wilgoci. Schodził do krypty, grobowca czy równie nieprzyjemnego pomieszczenia. Czy w amerykańskich katedrach też były krypty jak w europejskich?

Gdy dotarł do podnóża schodów, spowiły go ciemności, a światło na górze zmieniło w odległą poświatę. Wspaniale. Wszedł do pomieszczenia, które było czarną dziurą. Schylił głowę, łowiąc dźwięk niczym pies myśliwski. Cisza. Ręką poszukał kontaktu. Nie znalazł. Przesycone wilgocią ciemności zionęły przeraźliwym, bezwietrznym chłodem. Wcale mu się tu nie podobało. Nic a nic. Ruszył z wolna na ślepo przed siebie, z rękami wyciągniętymi jak potwór Frankensteina.

- Cole! - zawołał. - Chcę tylko porozmawiać!

Jego słowa odbiły się twardym echem, zanikając jak piosenka w radiu.

Szedł dalej. Było tu cicho jak... w grobie. Półtora metra dalej na coś natrafił. Wyciągniętymi palcami dotknął gładkiej, zimnej powierzchni. Jak marmur, pomyślał. Przesunął dłońmi w dół. Jakiś posąg. Wymacał rękę, ramię, plecy, marmurowe skrzydło. Dekoracja nagrobka? Szybko cofnął rękę.

Znieruchomiał, znów zaczął nasłuchiwać. Słyszał jedynie szum w uszach, jakby ktoś przycisnął mu do nich muszle. Miał chęć wrócić na górę, ale nie mógł tego zrobić. Cole dowiedział się, że odkryto jego tożsamość. Ukryłby się ponownie i przepadł jak kamień w wodę. Była to więc jedyna szansa, żeby się z nim rozmówić.

Wymacując drogę nogą, Myron zrobił następny krok i dużym palcem uderzył w jakiś twardy przedmiot. Znowu marmur. Okrążył go. Coś szurnęło. Znieruchomiał. Dźwięk dobiegł od ziemi. Nie była to mysz. Coś większego. Przechylił głowę i czekał. Puls mu przyspieszył. Oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności i rozróżniał już wzrokiem niewyraźne, wysokie figury. Posągi. Z pochylonymi głowami. Wyobraził sobie, jak z błogimi, charakterystycznymi dla sztuki sakralnej minami patrzą na niego



pełne wiedzy, nabytej w pielgrzymce do lepszego miejsca niż to, w którym przebywają.

Zrobił jeszcze jeden krok i na jego kostce zacisnęły się zimne palce. Krzyknął.

Ręka pociągnęła go za nogę i zwałił się na cement. Wierzgnął, wyszarpnął się, odczołgał do tyłu, plecami uderzył w marmur i usłyszał obłąkany śmiech mężczyzny. Od tego śmiechu zjeżyły mu się włosy na karku. Zaraz potem zaśmiał się następny. I jeszcze jeden. Miał wrażenie, że osacza go stado hien.

Zanim zdołał wstać, mężczyźni rzucili się na niego. Nie wiedział, ilu ich jest. Ręce ściągnęły go z powrotem na podłogę. Machnął na oślep pięścią. Trafił w czyjaś twarz. Zachrząściło. Napastnik upadł. Ale inni dosięgli celu. Rozciągnięty na mokrym cemencie, walczył ślepo i zapamiętałe. Słyszał pomruki. Nie było ucieczki od duszącego odoru ich ciał, alkoholu i rąk, które go oblażyły. Jedna ściągnęła mu zegarek. Inna chwyciła portfel. Zadał następny cios. Trafił w żebra. Kolejny pomruk, upadł kolejny napastnik. Ktoś zapalił latarkę i zaświecił mu prosto w oczy. Myron miał wrażenie, że jedzie na niego pociąg.

- W porządku, odsuńcie się - usłyszał głos.

Ręce wycofały się jak mokre węże. Myron spróbował usiąść.

- Nim zaczniesz kombinować, spójrz na to - rzekł głos zza światła latarki.

Jej właściciel wysunął przed nią pistolet.

- Sześćdziesiąt dolców? - odezwał się inny głos. - Tylko tyle? Kurwa!

W pierś Myrona uderzył portfel.

- Ręce do tyłu.

Myron spełnił polecenie. Ktoś chwycił go za przedramiona i ściągnął je razem, aż do bólu ścięgien. Na przegubach zatrzaśnięto mu kajdanki.

- Zostawcie nas - polecił głos.

Myron usłyszał szelesty. Zaduch się zmniejszył. Skrzypnęły otwierane drzwi, ale, oślepiiony światłem, niczego nie zobaczył. Zapadła cisza.

- Przepraszam za te nieprzyjemności, Myron - rzekł po dłuższej chwili głos. - Za kilka godzin cię wypuszczą.

- Długo jeszcze zamierzasz uciekać, Cole? Cole Whiteman zaśmiał się.

- Uciekam od tak dawna, że przywykłem - odparł.

- Nie przyszedłem, żeby cię zatrzymać.

- Co za ulga. Jak odkryłeś, kim jestem?

- To nieważne.

- Dla mnie tak.

- Nie mam najmniejszego zamiaru cię wydać. Chcę informacji.

Nie było odpowiedzi. Myron zmrużył oczy.

- Jak się w to wplątałeś? - spytał Cole.

- Zniknął Greg Downing. Wynajęto mnie, żebym go znalazł.

- Ciebie?

- Tak.

Cole Whiteman zaśmiał się serdecznie. Śmiech odbijał się od ścian jak piłeczki z „magicznej gumy”, coraz głośniej i przeraźliwiej, nim w końcu litościwie ścichł.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Myron.

- Żart dla wtajemniczonych. - Cole wstał, a wraz z nim światło latarki. - Przepraszam, ale muszę iść.

Znów zapadła cisza. Cole zgasił latarkę. Pograżony w zupełnych ciemnościach, Myron usłyszał oddalające się kroki.

- Nie chcesz wiedzieć, kto zabił Liz Gorman?! - zawołał.

Kroki nie zwolniły. Pstryknął kontakt i zapłonęła żarówka. Słaba, może czterdziestowatowa. Wprawdzie nie oświetliła pomieszczenia, ale różnica była ogromna. Myron zamrugał, by przepędzić czarne punkciki po ostrym świetle latarki, i przyjrzał się otoczeniu. Piwnicę wypełniały posągi, zgrupowane wbrew rozumowi i logice. Niektóre stały krzywo. W każdym razie nie były to katakumby, tylko dziwaczny magazyn sztuki kościelnej.

Cole Whiteman powrócił do Myrona i usiadł na wprost niego po turecku. Siwa szczecina wciąż porastała mu twarz, w niektórych miejscach gęsta, w innych nieobecna. Włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Opuścił pistolet do boku.

- Chcę wiedzieć, jak zginęła - rzekł cicho.

- Od ciosów zadanych kijem do baseballu - odparł Myron.

- Kto to zrobił? - spytał z zamkniętymi oczami Cole.

- Staram się to ustalić. W tej chwili głównym podejrzanym jest Greg Downing.

Cole Whiteman pokręcił głową.

- Był tam za krótko - powiedział.

Myrona ścisnęło w żołądku. Próbował oblizać wargi, ale miał za sucho w ustach.

- Byłeś tam? - spytał.

- Po drugiej stronie ulicy, za koszeni na śmieci. Jak Oskar Zręda z Ulicy Sezamkowej - Cole rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu. - Chcesz być niewidzialny? Udawaj bezdomnego. - Wstał jednym płynnym ruchem niczym mistrz jogi. - Kijem do baseballu - powtórzył.

Uszczyptał się w grzbiet nosa, odwrócił i opuścił podbródek na piersi. Myron dosłyszał cichy szloch.

- Pomóż mi znaleźć jej zabójcę, Cole - rzekł Myron.

- Dlaczego mam ci zaufać?

- Masz do wyboru: mnie albo policję.

- Policja gówno zdięła - odparł Cole. - Dla nich ona jest morderczynią.

- W takim razie mi pomóż.

Cole usiadł na podłodze i przysunął się bliżej Myrona.

- Nie jesteśmy mordercami - powiedział. - Taką etykietę przyklepili nam władze i wszyscy w nią uwierzyli. Ale to nieprawda. Rozumiesz?

Myron skinął głową.

- Rozumiem.

- Masz się za lepszego?

Cole zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Nie.

- Chcesz, żebym z tobą rozmawiał, to nie waż się traktować mnie z góry. Zachowasz się uczciwie, to ja też.

- Dobrze - zgodził się Myron. - Tylko oszczędź mi hasła „nie jesteśmy mordercami, jesteśmy bojownikami o wolność”. Nie mam ochoty na cytaty z *Blowing in the Wind*.

- Myślisz, że ja o tym?

- Was nie ściągały zdemoralizowane władze. Porwaliście i zabiliście człowieka, Cole. Chcesz, to ubieraj to w piękne słówka, ale liczą się fakty.

Cole niemal się uśmiechnął.

- Ty naprawdę w to wierzysz.

- Zaczekaj, nic więcej nie mów. Niech zgadnę. - Myron uśmiechnął się namyślnie. - Rząd wyprał mi mózg, tak? Całą tę intrygę sprokurowała

CIA, żeby zmiażdżyć grupę studentów, którzy zagrozili naszym władzom.

- Nie. Ale nie zabiliśmy Hunta.

- A kto?

Cole zawahał się. Podniósł oczy i zamrugał, by powstrzymać łzy.

- Hunt sam się zastrzelił - odparł, szukając zaczerwienionymi oczami reakcji na twarzy Myrona.

Myron nie zareagował.

- Porwanie było żartem - ciągnął Cole. - Pomysł wyszedł od Hunta. Chciał zranić swojego ojca. Uznał, że najlepiej zabrać mu pieniądze, a potem dopiec do żywego. Niestety, te dumnie zaskoczyły nas, i Hunt wybrał inną formę zemsty. - Oddech Cole'a stał się ciężki i nierówny.

- Wybiegł z bronią na zewnątrz, krzyknął: „Pierdolę cię, tato!” i strzelił sobie w głowę.

Myron milczał.

- Spójrz na nas - rzekł na wpół błagalnie Cole. - Byliśmy paczką nieszkodliwych outsiderów. Protestowaliśmy na wiecach antywojennych. Dużo ćpaliśmy. Wystrzegaliśmy się przemocy. Nikt z nas, oprócz Hunta, nie miał broni. Mieszkałem z nim w jednym pokoju, był moim najlepszym kolegą. Nigdy bym go nie skrzywdził.

Myron nie wiedział, w co wierzyć. A co więcej, nie miał czasu, by się przejąć śmiercią dwudziestolatka. Czekał, aż Cole podejmie wątek, opowie mu o przeszłości. Nadaremnie. W końcu postanowił uaktualnić temat.

- Widziałeś, jak Greg Downing wchodzi do domu Liz Gorman? - spytał.

Cole wolno skinął głową.

- Szantażowała go?

- Nie tylko ona. Pomysł był mój.

- Co takiego miałeś na Grega?
- Nic ważnego.
- Prawdopodobnie przez to zginęła.
- Prawdopodobnie - przyznał Cole. - Ale nie musisz znać szczegółów. Wierz mi.
- Opowiedz mi o wieczorze, kiedy zginęła - rzekł Myron z braku dalszych środków nacisku.

Cole potarł zarost z siłą, z jaką kot ociera się o słupek.

- Jak wspomniałem, byłem po drugiej stronie ulicy. Kiedy się ukrywasz, przestrzegasz określonych zasad. Zasad, dzięki którym przeżyliśmy na wolności całe dwadzieścia lat. Jedna z nich brzmi, że po dokonaniu przestępstwa nie wolno się trzymać razem. Federalni szukali naszej grupy, a nie pojedynczych osób. Od przyjazdu do Nowego Jorku Liz i ja dbaliśmy o to, żeby nigdy nie być razem. Komunikowaliśmy się z automatów telefonicznych.

- A co z Glorią Katz i Susan Milano? - spytał Myron. - Gdzie są?

Cole uśmiechnął się niewesoło. Myron dostrzegł, że brakuje mu zębów. Czy ubytek ten należał do kamuflażu? A może stracił je w bardziej dramatycznych okolicznościach?

- O nich opowiem kiedy indziej.

- Mów dalej - zachęcił Myron.

Bruzdy na twarzy Cole'a pogłębiły się i pociemniały w świetle nagiej żarówki. Zwlekał.

- Liz była spakowana i gotowa do wyjazdu - rzekł po chwili. - Zamierzaliśmy zdobyć gotówkę i wynieść się z miasta zgodnie z planem. Czekałem po drugiej stronie ulicy na jej sygnał.

- Jaki?

- Po odbiorze pieniędzy miała zamrugać światłami trzy razy. Oznaczało to, że zejdzie za dziesięć minut. Mieliśmy się spotkać na

Sto Szesnastej i stamtąd odjechać metrem linii Jeden. Ale nie dała znaku. Światło w jej mieszkaniu w ogóle nie zgasło. Z oczywistych powodów bałem się sprawdzić, co się stało. Tu też obowiązywały zasady.

- Od kogo Liz miała tej nocy wziąć pieniądze?

- Od trzech osób - odparł Cole, unosząc palec wskazujący, środkowy i serdeczny. - Od Grega Downinga... - opuścił palec serdeczny - jego żony, jak tam jej na imię...

- Emily.

- Właśnie, Emily. - Środkowy palec opadł. - I od tego starego, właściciela Smoków.

Cole zamknął dłoń w pięść. Myrona ścisnęło w sercu.

- Chwileczkę - powiedział. - Miał do niej przyjść Clip Arnstein?

- Nie tylko miał. Przyszedł - sprostował Cole. Myron poczuł w kościach lodowaty chłód.

- Clip tam był?

- Tak.

- A pozostali?

- Przyszli wszyscy. Ale plan był inny. Liz umówiła się z Downingiem w barze w śródmieściu. Tam mieli dopełnić transakcji.

- W Szwajcarskiej Chacie?

- Tak.

- Czy Greg przyszedł też do jej mieszkania?

- Owszem, później. Najpierw przyjechał Clip Arnstein. Myron przypomniał sobie ostrzeżenie Wina względem Clipa. „Za bardzo go lubisz. Nie jesteś obiektywny”.

- Ile miał zapłacić Clip? - spytał.

- Trzydzieści tysięcy.:

- Policja znalazła w jej mieszkaniu tylko dziesięć. Banknoty zrabowane z banku.

Cole wzruszył ramionami.

- Albo stary jej nie zapłacił, albo pieniądze wziął morderca. A może to Clip Arnstein ją zabił - dodał po krótkim namyśle. - Ale to przecież staruszek, prawda?

Myron nie odpowiedział.

- Długo był w środku? - spytał.

- Dziesięć, piętnaście minut.

- Kto przyszedł następny?

- Greg Downing. Pamiętam, że miał torbę na pasku. Domyśliłem się, że były w niej pieniądze. Wszedł i szybko wyszedł, najwyżej po minucie. Wyszedł z torbą. I właśnie wtedy zacząłem się martwić.

- Mógł ją zabić - rzekł Myron. - Kijem baseballowym można zabić bardzo szybko.

- Ale on nie wszedł z kijem baseballowym - odparł Cole. - Do torby by go nie zmieścił. Kij trzymała w mieszkaniu Liz. Dla ochrony, nie zносиła broni.

Myron wiedział, że w mieszkaniu Liz Gorman nie znaleziono narzędzia zbrodni. Co znaczyło, że morderca zabił ofiarę jej własnym kijem. Czy podobna, żeby Greg w tak krótkim czasie wszedł na górę, znalazł kij baseballowy, zabił nim i uciekł? Wątpliwe.

- A co z Emily?

- Przyszła ostatnia.

- Jak długo była w środku?

- Pięć minut. Mniej więcej.

Wystarczająco długo, żeby zebrać dowody do podrzucenia.

- Widziałeś jeszcze kogoś, kto wchodził i wychodził z tego domu?

- Oczywiście. Mieszka tam sporo studentów.



- A zatem można założyć, że kiedy przyjechał Greg Downing, Liz już nie żyła, tak?

- Tak.

- Stąd pytanie: pamiętasz, kto poza Clipem Arnsteinem wchodził tam pomiędzy jej powrotem ze Szwajcarskiej Chaty i przybyciem Grega?

Cole myślał chwilę.

- Głównie studenci. I bardzo wysoki mężczyzna...

- Jak wysoki?

- Nie wiem. Bardzo.

- Ja mam ponad metr dziewięćdziesiąt. Był wyższy ode mnie?

- Tak, myślę, że tak.

- Czarny?

- Nie wiem. Stałem po drugiej stronie słabo oświetlonej ulicy. Aż tak uważnie się nie przyglądałem. Może był czarny. Ale wątpię, czy to on zamordował.

- Dlaczego?

- Obserwowałem dom do rana. Nie wyszedł z niego. Może tam mieszka, a przynajmniej u kogoś nocował. Wątpię, czy pozostałby tam tyle czasu, gdyby zabił.

Trudno się było z tym spierać. Myron próbował przetworzyć to, co usłyszał od Cole'a, beznamiętnie jak komputer, ale wnet przeciążył sobie obwody.

- Kogo jeszcze zapamiętałeś? Kto ci się rzucił w oczy? - spytał.

Cole znowu się zamyślił, wędrując oczami bez celu.

- Kobieta - odparł. - Weszła tam niedługo przed Gregiem.

Przypominam sobie, że wyszła, zanim się pojawił.

- Jak wyglądała?

- Nie pamiętam.

- Blondynka, brunetka? Cole pokręcił głową.  
- Zapamiętałem ją tylko z powodu długiego płaszcza. Studenci chodzą w wiatrówkach, bluzach albo czymś podobnym. Pomyślałem, że wygląda jak dorosła.

- Coś niosła? Czy ona...

- Przepraszam, Myron. Na mnie pora. - Cole wstał i spojrzał na Myrona pustym, zagubionym wzrokiem. - Powodzenia w znalezieniu tego skurwysyna. Liz była dobra. Nikogo nie skrzywdziła. Żadne z nas nie skrzywdziło nikogo.

- Dlaczego zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem? - spytał Myron. - Co mi chciałeś sprzedać?

Cole uśmiechnął się smutno i ruszył. Nim doszedł do drzwi, zatrzymał się i odwrócił.

- Zostałem sam - rzekł. - Głorię Katz postrzelono podczas szturm na nas. Zmarła trzy miesiące później. Susan Milano zginęła w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Liz i ja trzymaliśmy ich śmierć w tajemnicy. Chcieliśmy, żeby federalni szukali nas czworo, nie dwoje. Uznaliśmy, że pomoże to nam się ukrywać. Jak więc widzisz, z naszej paczki pozostałem tylko ja.

Wyglądał jak śmiertelnie zmęczony ocalony, niepewny, czy zmarli nie mieli więcej szczęścia niż on. Powrócił do Myrona i rozkuł go z kajdanków.

- Idź - powiedział.

Myron wstał, rozcierając przeguby.

- Dziękuję - odparł. Cole skinął głową.

- Nikomu nie powiem, gdzie jesteś.

- Tak, wiem.

Myron pomknął do samochodu i zadzwonił do Clipa. Od sekretarki usłyszał, że pana Arnsteina nie ma w tej chwili w biurze. Poprosił więc, żeby połączyła go z Calvinem Johnsonem. Kazała poczekać, zanim go połączy.

- Cześć, Myron, co się stało? - odezwał się dziesięć sekund później Calvin.

- Gdzie jest Clip?
- Powinien tu być za dwie godziny. A na pewno w porze meczu.
- Gdzie jest teraz?
- Nie wiem.
- Znajdź go - powiedział Myron. - A kiedy znajdziesz, oddzwoni.
- Co się dzieje?
- Po prostu go znajdź.

Myron rozłączył się, otworzył okno i wziął kilka głębokich oddechów. Było tuż po szóstej. Większość graczy z pewnością już się rozgrzewała w hali. Pojechał Riverside Drive i przez most George'a Washingtona. Wystukał numer Leona White'a. Odebrała kobieta.

- Halo?
- Czy pani Fiona White? - spytał zmienionym głosem.
- Przy telefonie.
- Czy chce pani zaprenumerować „Mechanikę Popularną”? Przez ograniczony czas proponujemy ofertę specjalną.
- Nie, dziękuję. Odłożyła słuchawkę.

Wniosek: obiecująca upojny wieczór Wrzebabka, Fiona White, była w domu. Mógł jej zatem złożyć wizytę.

Z autostrady numer 4 zjechał w Kindermack Road. Pięć minut później dotarł na miejsce. Dom White'ów okazał się pseudomodernistycznym parterowcem z pomarańczowej cegły, z oknami w kształcie rombów. Ta architektoniczna forma była krzykiem

mody przez jakieś dwa miesiące w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym i zestarzała się tak szybko jak moda na garnitury sportowe. Myron zaparkował na podjeździe. Po obu stronach cementowego chodnika biegły niskie żelazne płotki z wplecionym w nie sztucznym bluszczem. Klasa!

Zadzwonił do drzwi. Otworzyła je Fiona White ubrana w biały trykot i rozpiętą zieloną kwiecistą bluzkę. Kosmyki rozjaśnionych, związanych w rozsypujący się kok włosów spadały jej na oczy i uszy. Popatrzyła na niego i zmarszczyła brwi.

- Tak? - spytała.

- Cześć, Fiona - powiedział. - Jestem Myron Bolitar. Poznaliśmy się u T.C.

- Leona nie ma - odparła, z wciąż zmarszczonymi brwiami.

- Chciałem z tobą porozmawiać.

Westchnęła i skrzyżowała ręce pod wydatnym biustem.

- O czym?

- Mogę wejść?

- Nie. Jestem zajęta.

- Powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.

- Rozmawiamy w cztery oczy - powiedziała z nieustępliwą miną. -

Czego chcesz?

Myron wzruszył ramionami, uśmiechnął się najczarowniej, jak potrafił, i odkrył, że nic nie wskóra.

- Chcę wiedzieć, co cię łączy z Gregiem Downingiem.

Ręce jej opadły. Przeraziła się.

- Słucham?

- Wiem o twoim e-mailu do niego. O Wrzebabce. Miałaś się spotkać z nim w sobotę na... - Myron nakreślił palcami w powietrzu

cudzysłów - „najbardziej upojny wieczór, jaki można sobie wyobrazić”. Pamiętasz?

Chciała zamknąć drzwi, ale wstawił w nie nogę.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - odparła.

- Nie zamierzam cię demaskować. Ścisnęła mu stopę drzwiami.

- Wynoś się!

- Chcę odnaleźć Grega Downinga.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Mieliście romans?

- Nie. Odejdź.

- Ja widziałem ten e-mail, Fiona.

- Myśl sobie, co chcesz. Nie rozmawiam z tobą.

- Proszę bardzo. - Myron cofnął się i uniósł ręce. - W takim razie pogadam z Leonem.

Poczerwieniała.

- Rób, co chcesz. Nie miałam z nim romansu. Nie widziałam się z nim w zeszłą sobotę. Nie wiem, gdzie jest - wyrecytowała.

Zatrzasnęła drzwi. Kurczę, pełny sukces.

Myron wrócił do samochodu. Kiedy sięgał do drzwiczek, ulicą nadjechało w pędzie czarne bmw z przyciemnionymi szybami i z piskiem zatrzymało się przy podjeździe. Z jego otwartych drzwiczek wyfrunął jak uciekający ptak Leon White.

- Co ty tu, kurwa, robisz?! - spytał ze złością.

- Spokojnie, Leon.

- Pierdolę spokój! - krzyknął Leon, podbiegł do Myrona i przystawił twarz do jego twarzy. - Co ty tu robisz, kurwa mać?!

- Wpadłem cię odwiedzić.

- Chrzanisz! - Policzki Myrona ochlapała ślina. - Za dwadzieścia minut mamy być w hali!

Leon odepchnął go tak, że Myron się zatoczył.

- Co tutaj robisz, ha?! - Leon znów go pchnął. - Czego szukasz?

- Niczego.

- Myślałeś, że będzie sama?

- Nic z tych rzeczy.

Leon przyszykował się do następnego pchnięcia. Myron również. Kiedy White sięgnął ku niemu, prawym przedramieniem błyskawicznie przygwoździł jego dłoń do swojej piersi i zrobił skłon, odginając je w przeciwną stronę. Nacisk zmusił Leona do przyklęknięcia na jedno kolano. Przesuwając prawą rękę, Myron chwycił przeciwnika za lewą i zablokował ją w łokciu. Leon skrzywił się.

- Uspokoileś się? - spytał Myron.

- Skurwysynu!

- Chyba nie.

Myron mocniej nacisnął łokieć White'a. Zablokowanie stawu pozwala dawkować ból. Polega to na tym, że zginasz staw w miejscu, gdzie on się nie zgina. Im bardziej go zginasz, tym bardziej boli. Trzeba jednak uważać, by ręka z niego nie wyskoczyła lub żeby jej nie złamać. Myron był ostrożny.

- Greg znów zniknął. Dlatego znalazłem się w waszym zespole - powiedział. - Mam go znaleźć.

Leon wciąż klęczał, z unieruchomioną ręką w górze.

- A co ja mam z tym wspólnego? - spytał.

- Pokłóciłeś się z nim. Chciałbym wiedzieć o co. Leon spojrzął na niego.

- Puść mnie, Myron - poprosił.

- Jeżeli mnie znowu zaatakujesz...

- Nie zaatakuję. Puść.

Myron odczekał parę sekund i go puścił. Leon pomasaował rękę i wstał.

- Jesteś tu, bo myślisz, że Greg i Fiona się spiknęli.

- A spiknęli?

Leon pokręcił głową.

- Próby były.

- To znaczy?

- Greg to podobno mój najlepszy przyjaciel. Ale jaki z niego przyjaciel. To jeszcze jedna supergwiazda, która bierze, co jej się podoba.

- W tym Fionę.

- Startował do niej. Wychodził ze skóry. Ale ona nie jest taka.

Myron milczał. To nie była jego sprawa.

- Faceci zawsze uderzali do Fiony - ciągnął Leon. - Z powodu urody. I tego, że jest żoną czarnego. A ponieważ przyszedłeś, licząc, że mnie nie będzie, więc kiedy cię tu zobaczyłem...

- Starłeś się z Gregiem? - spytał Myron.

- Tak. Dwa tygodnie temu.

- Co mu powiedziałeś? Leon zmrużył nieufnie oczy.

- A co to ma wspólnego z odszukaniem go? - spytał podejrzliwie. -

Próbujesz zwalić to na mnie?

- Zwalić co?

- Mówiłeś, że zniknął. Chcesz mnie tym obciążyć?

- Po prostu staram się ustalić, gdzie on jest.

- Nie mam z tym nic wspólnego.

- A kto mówi, że masz? Chcę tylko wiedzieć, co się stało, kiedy się z nim starłeś.

- A co się stało, jak myślisz? Skurwysyn wyparł się wszystkiego. Zaczął się zaklinać, że nie sypia z mężatkami, a już zwłaszcza z żoną najlepszego przyjaciela.

Myron uchwycił się tego.

- Ale mu nie uwierzyłeś - powiedział.

- Greg jest supergwiazdą, Myron.

- Co nie znaczy, że kłamcą.

- Nie, ale znaczy to, że jest inny. Tacy gracze, jak Greg, Michael Jordan, Shaq, T.C. różnią się od nas. Żyją w swoim świecie. Pozostali są tylko ich pomagierami. Cała planeta jest stworzona po to, żeby zaspokajać ich zachcianki, rozumiesz?

Myron skinął głową. Na uczelni należał do wybrańców oddychających rozrzedzonym powietrzem gwiazdorstwa. Znów pomyślał o więzach łączących gwiazdy koszykówki. Choć zanim Greg odwiedził go w szpitalu, zamienili z sobą najwyżej pięć słów, istniała między nimi więź. Obaj to wiedzieli. Garstka supergwiazd oddychała tym samym rozrzedzonym powietrzem, żyjąc w dziwnie wyizolowanym świecie, co, według słów T.C., nie wychodziło im na dobre.

Wraz z tą myślą przyszło coś bliskiego objawieniu. Myron cofnął się o krok.

Był przekonany, że jeżeli Greg wpadnie w kłopoty, to o pomoc zwróci się do człowieka uchodzącego za jego najbliższego przyjaciela. Ale nie zrobił tego. Gdyby faktycznie natknął się na zwłoki i wpadł w popłoch, gdyby osaczyły go zewsząd problemy - długi hazardowe, groźba, że wyjdzie to na jaw, rozwód, proces o opiekę nad dziećmi, szantaż, prawdopodobieństwo, że stanie się podejrzanym o morderstwo - to do kogo by się o nią zwrócił? Do kogoś, kto rozumiał go najlepiej. Kogoś, kto potrafił się wczuć w problemy wynikające z



gwiazdorstwa. Kogoś, kto oddychał tym samym rozrzedzonym powietrzem co on. Nie bardzo wiedział, co począć dalej.

Prawdę mówiąc, miał tylko podejrzenie. Żadnych dowodów i niezbitych faktów. Podejrzenie to jednak mogło przynieść odpowiedzi na wiele pytań. Na przykład, dlaczego Maggie Łomot pomogła nagrać Emily na wideo? Przecież w powszechnej opinii nie była blisko z Gregiem. Trzymała za to z T.C.

Znowu więź supergwiazd? Greg bał się, że przegra walkę o opiekę nad dziećmi. Czy można mieć większe zmartwienie? Do kogo więc zwrócił się o pomoc? Do T.C.

Kiedy Win przycisnął wczoraj Maggie, dając do zrozumienia, że szuka Grega, kogo ostrzegła? T.C. Nie był to oczywiście dowód. Ale pasował do tej układanki.

Zebrało się już sporo danych. Greg był w straszliwym stresie - nie najlepsza sytuacja dla kogoś o tak osłabionej odporności psychicznej. Co pomyślał na widok zwłok Liz Gorman na podłodze? Z pewnością zrozumiał, że stanie się głównym podejrzanym o ten mord. Jak dowodziła Emily, miał powód, motyw, sposobność i był na miejscu zbrodni. Pojęła to w lot. Dlatego go wrobiła. Greg z pewnością również to pojął.

I co zrobił? Uciekł.

Widok martwej Liz Gorman przeppełnił czarę. Ale Greg był świadom, że sam nie da rady. Że tym razem zaczną go szukać. Potrzebował pomocy. Potrzebował czasu i miejsca. Do kogo zatem się zwrócił?

Do kogoś, kto rozumiał go najlepiej. Kto potrafił się wczuć w problemy wynikające z gwiazdorstwa. Kto oddychał tym samym rozrzedzonym powietrzem co on.

Myron zatrzymał się na czerwonym świetle. Był blisko, bardzo blisko rozwiązania. To T.C. pomógł się ukryć Gregowi. Na pewno.

Lecz T.C. stanowił jedynie część zagadki. Nie dawało to odpowiedzi na pytanie najważniejsze: kto zabił Liz Gorman?

Myron cofnął się pamięcią i odtworzył wieczór morderstwa. Pierwszy z trójki zjawił się tam Clip, stając się pod wieloma względami głównym podejrzanym. Z hipotezą tą były jednak duże kłopoty. Na przykład, jaki miał motyw. Owszem, informacja Liz Gorman mogła zaszkodzić drużynie. Jej kaliber mógł kosztować go przegraną w głosowaniu. Ale czy z tego powodu staruszek zatłukłby kijem baseballowym kobietę? Ludzie zabijali się bez przerwy dla pieniędzy i władzy. Ale czy on?...

Prócz tego istniał poważniejszy problem, którego siłą rzeczy nie dało się pominąć. Krew i narzędzie zbrodni podrzuciła do domu Grega Emily. Był to fakt niezbity. Dobrze. Wiadomo, kto podrzucił dowody...

Ale kto je usunął?

Logika podpowiadała trzy możliwości:

- 1) Greg Downing,
- 2) ktoś kto chciał ochronić Grega,
- 3) morderca.

Ale Greg nie mógł tego zrobić. Nawet jeśli przyjąć dopuszczalną przesłankę, że powrócił do domu, wychodząc z ukrycia, to jak znalazł krew? Przypadkiem zszedł do pokoju zabaw? Nie. Zbyt niedorzeczne. Zszedłby tam tylko wówczas, gdyby wiedział o krwi. Myron zamarł.

Właśnie! Ten, kto usunął ślady krwi, wiedział, co zrobiła Emily. Nie natknął się na nie przypadkiem. Skąd się o nich dowiedział? Od niej? Niemożliwe. Emily nikomu by o nich nie powiedziała. A może ktoś widział, jak to robi? Jeszcze raz stanowcze „nie”. Bo w takim przypadku zabrałby również kij baseballowy. Co więcej, krew zniknęłaby, zanim znaleźli ją on i Win. Kluczowy był czas usunięcia

jej z sutereny - nastąpiło to, gdy ujawnili swe odkrycie. Wygadali się. Ale komu?

Palec znów wskazał na Clipa.

Myron skręcił w drogę numer 3 i wjechał na tereny kompleksu sportowego Meadowlands. W przodzie wyłoniła się jak wielki statek UFO na białym lądowisku hala. Czy Clip Arnstein zabił Liz Gorman i usunął krew? Taka możliwość wchodziła w grę, jednak nie dawał jej wiary. W jaki sposób Clip dostał się do domu Grega? Na drzwiach nie było śladów włamania. Użył wytrycha? Wątpliwe. Wynajął zawodowca? Wątpliwe. Skoro z obawy, że sprawa się wyda, nie zlecił prywatnemu detektywowi, by sprawdził, czy Greg korzystał z kart kredytowych, to czy powierzyłby komuś usunięcie krwi osoby, którą zamordował? Jeszcze jedno nie dawało mu spokoju, kłując ostrym, stalowym szpikulcem: kobiece ciuchy w sypialni. Je również zabrano. Po co Clip usuwałby ślady po tajemniczej przyjaciółce Grega? Po co ktoś miałby to robić?

W głowie Myrona wirowały jak gumowe kaczuszki w wirze wodnym rozmaite wersje wydarzeń. Skupił się na powrót na tajemniczej przyjaciółce Grega. Czy to była Fiona White? Do niczego się nie przyznała, ale pewien był, że to nie ona. Czyż mogła mieszkać z Gregiem w tajemnicy przed tak obsesyjnie zazdrosnym mężem jak Leon? Może Grega i ją coś łączyło - przygodny seks w jakimś motelu - ale wątpił nawet w to. Im dłużej myślał o liściku obiecującym „najbardziej upojny wieczór”, tym bardziej wyglądał mu on na wabik niż na korespondencję kochanków. Logiczniejsza wydawała się odpowiedź, że Greg powiedział Leonowi prawdę, iż nigdy nie spał z cudzą żoną. Na tę myśl Myron znowu się zawstydził z powodu tego, co sam kiedyś mu zrobił.

Z radia leciała reklama. Supermodny mężczyzna i super-modna kobieta zachwycali się przesadnie piwem Molson's Golden. Mówili ściszymi głosami i śmiali się ze swoich kiepskich żartów. Myron zgasił radio.

Pytań wciąż było więcej niż odpowiedzi. Kiedy wyjął komórkę, żeby sprawdzić, czy coś się nagrało na telefoniczną sekretarkę Grega, zadrgały mu palce. Coś ścisnęło go w piersi, utrudniając oddychanie. Lecz uczucie to nie przypominało przedmeczowej tremy. W rzeczywistości było krańcowo odmienne.

37

Myron szybko minął sekretarkę Clipa.

- Nie ma go! - zawołała.

Mimo to otworzył drzwi gabinetu. Światła były zgaszone, pokój pusty.

- Gdzie jest? - spytał, odwracając się.

Sekretarka, typowa herod-baba, która pracowała z Clipem chyba od czasów prezydentury Coolidge'a, złożyła ręce na biodrach.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - fuknęła.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Calvin Johnson. Myron podszedł do niego. Zaczekał, aż wejdą do środka i znajdą się za drzwiami.

- Gdzie on jest? - spytał. Calvin podniósł ręce.

- Nie wiem. Dzwoniłem do jego domu, ale nie podniósł słuchawki.

- Ma telefon w samochodzie?

- Nie.

Myron pokręcił głową i zaczął przemierzać gabinet.

- Skłamał mi - powiedział. - Sukinsyn mnie okłamał.

- Jak to?

- Spotkał się z szantażystką.

Calvin uniósł brew. Podszedł do fotela za biurkiem i usiadł.

- O czym ty mówisz? - spytał.
- Wieczorem w dniu morderstwa Clip pojechał do jej mieszkania.
- Przecież miała się z nami spotkać w poniedziałek.
- Słyszałeś to od niej?

Calvin skubnął podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Od jego tysiąjącego czoła odbiły się ruchome światła na szynie. Twarz miał spokojną niczym tafla stawu.

- Nie - odparł wolno. - Wiem od Clipa.
- Okłamał cię.
- Ale dlaczego?
- Bo coś ukrywa.
- Wiesz co?
- Nie. Ale dziś wieczorem się dowiem.
- Jak?
- Szantażysta wciąż chce sprzedać wiadomość - odparł Myron. -

Kupno zaproponował mnie.

Calvin przechylił głowę.

- Powiedziałeś, że nie żyje.
- Ta kobieta miała partnera.
- Rozumiem. - Calvin lekko skinął głową. - I dziś się spotykacie?
- Tak. Ale jeszcze nie wiem o której i gdzie. Ma zadzwonić.
- Rozumiem - powtórzył Calvin. Zwinął dłoń w pięść i odkaslnął. -

Jeśli jest to coś niedobrego... coś, co może wpłynąć na wynik jutrzejszego głosowania...

- Zrobię, co należy, Calvin.
- Oczywiście, niczego nie sugeruję. Myron wstał.
- Daj mi znać, kiedy się zjawi.
- Jasne.

Myron wszedł do szatni. T.C. siedział w przedmeczowej pozie - nieruchomy, rozwalony na krześle w kącie, ze słuchawkami walkmana w uszach i wzrokiem utkwionym przed

314

siebie. Nie zareagował na jego wejście. W szatni był też Leon. Również unikał jego wzroku. Nic dziwnego. Do szatni weszła Audrey.

- Jak ci poszło z... - zaczęła, ale uciszył ją ruchem głowy. Dała znak, że rozumie. - Dobrze się czujesz? - spytała.

- Tak.

- Myślisz, że nas słyszą?

- Unikam ryzyka. Spojrzała w prawo i lewo.

- Odkryłeś coś nowego?

- Mnóstwo - odparł. - Dziś wieczorem dostaniesz materiału od groma i jeszcze trochę.

Jej oczy mocniej rozbłyły.

- Wiesz, gdzie on jest? - spytała.

Skinął głową. Drzwi szatni otworzyły się i pojawił się Cahdn. Pochylił się, zamienił kilka słów z trenerem Kiperem i wyszedł. Myron spostrzegł, że skierował się w prawo, do wyjścia, a nie do biura, które znajdowało się po przeciwnej stronie.

W jego kieszeni zadzwoniła komórka. Myron spojrział na Audrey, a ona na niego, po czym przesunął się bliżej kąta i odebrał telefon.

- Halo?

- Masz pieniądze? - spytał elektronicznie zmieniony głos.

- Dzwonisz nie w porę - rzekł Myron.

- Odpowiedz na pytanie.

Leon wciągnął spodenki. T.C. stał, kołysząc głową w rytm muzyki.

- Mam - odparł Myron. - Mam też dziś wieczorem mecz.

- Daruj go sobie. Znasz park Overpeck?

- Ten w Leonii? Znam.

- Zjedź z prawej strony autostrady Dziewięćdziesiąt Pięć. Przejedź pół mili i znów skręć w prawo. Zobaczysz zaulek. Stań tam i wypatruj światła latarki. Podejdź z rękami w górze.

- A co z hasłem? Uwielbiam hasła.

- Masz kwadrans. Nie spóźnij się. Przy okazji, twój super-

315

bohaterski partner jest w Oej ćKwili w biurze na Park Avenue. Pod obserwacją. Jeżeli stamtąd wyjdzie, nici z umowy.

Myron wyłączył telefon. Zbliżał się finał. Do zakończenia sprawy pozostał kwadrans.

- Słyszałaś? - zwrócił się do Audrey. Skinęła głową.

- Większość.

- Będzie dziwnie - powiedział. - Do utrwalenia wszystkiego przydałaby mi się bezstronna dziennikarka. Pojedziesz?

Uśmiechnęła się.

- To pytanie retoryczne, tak?

- Będziesz musiała przycupnąć na podłodze przy tylnym siedzeniu. Nie mogę ryzykować, że cię zauważą.

- Nie szkodzi. Przypomnę sobie randki ze szkoły średniej. Myron skierował się do drzwi. Nerwy miał postrzępione jak stare postronki. Kiedy wychodzili, starał się zachowywać nonszalancko. Leon sznurował buty. T.C. się nie poruszył, lecz tym razem śledził ich oczami.

J

38

Od padającego deszczu pociemniał chodnik. Na parking przed areną zaczęły napływać samochody. Estakadą wyjazdową Myron

dotarł na autostradę New Jersey i tuż za ostatnią roгатką wjechał na pasy biegnące na północ. Skręcił i pozostał na autostradzie 95.

- Co się dzieje? - spytała Audrey.
- Mam się spotkać z mordercą Liz Gorman.
- Jakiej Liz Gorman?
- Zamordowanej szantażystki.
- Myślałam, że nazywa się Carla.
- „Carla” to był pseudonim.
- Zaraz. Czy nie tak nazywała się jakaś radykałka z lat sześćdziesiątych?

Myron potwierdził skinieniem głowy.

- To długa historia. Nie ma czasu na szczegóły. Ale ten, z którym zaraz się spotkamy, był jej współnikiem w szantażu. Coś nie wyszło. I zginęła.

- Masz dowód? - spytała Audrey.

- Nie. Właśnie dlatego jesteś mi potrzebna. Masz swój mikromagnetofon?

- Jasne.
- Daj mi go.

Audrey sięgnęła do torebki po aparat.

317

- Spróbuję skłonić go do mówienia - wyjaśnił.

- Jak?

- Naciskając odpowiednie guziki. Zmarszczyła brwi.

- Myślisz, że się na to nabierze?

- Pewnie. Jeżeli naciśnę właściwe. - Wskazał telefon w samochodzie. - Mam dwa telefony: ten i komórkę w kieszeni. Z komórki połączę się z telefonem w samochodzie. W ten sposób



usłyszysz, co się dzieje. Zapisz każde słowo. Gdyby coś mi się stało, zwróć się do Wina. Będzie wiedział, co robić.

Pochyliła się i skinęła głową. Po jej twarzy śmigaly cienie wycieraczek. Deszcz się wzmógł, lakierując jezdnię w przedzie. Myron skręcił w następny zjazd. Ćwierć mili dalej powitała ich tablica z napisem Overpeck Park.

- Schowaj się - polecił.

Audrey zniknęła z widoku. Skręcił w prawo. Z napisu na kolejnej tablicy wynikało, że park jest zamknięty. Pojechał dalej. Było za ciemno, by coś widzieć, wiedział jednak, że na lewo jest las, a na wprost stajnie. Skręcił w pierwszą bocznicę w prawo. Reflektory zatańczyły po terenie pikniku, oświetlając stoły, ławki, kosze na śmiecie, huśtawkę, zjeżdżalnię. Dotarłszy do zaułka, Myron zatrzymał się, zgasił światła, silnik, z komórki połączył się z telefonem w samochodzie i włączył głośnik, żeby Audrey mogła słyszeć, co się dzieje. Czekali.

Minęło kilka minut. Deszcz bębnił w dach jak ziarenka żwiru. Audrey siedziała cicho. Myron położył dłonie na kierownicy i mimowolnie je zacisnął. Słyszał dudnienie własnego serca.

Wtem noc przeciął znienacka jak kosa kostuchy promień światła latarki. Myron przesłonił oczy dłonią, zmrużył je, wolno otworzył drzwiczki, podźwignął się z siedzenia i wysiadł. Wiatr, który przybrał na sile, ochlapał mu twarz deszczem.

- Ręce do góry! - krzyknął męski głos, zniekształcony przez żywyoty.

Myron podniósł ręce nad głowę.

318

- Rozepnij płaszcz. Wiem, że w kaburze pod pachą masz broń. Wyjmij ją dwoma palcami i rzuć na siedzenie w samochodzie.

Jedną rękę trzymając w górze, Myron rozpiął płaszcz. Deszcz zdążył go przemoczyć i przykleić włosy do czoła. Wyjął pistolet i położył go na siedzeniu.

- Zamknij drzwi. Spełnił polecenie.
- Masz pieniądze?
- Muszę zobaczyć, z czym przychodzisz.
- Nic z tego.
- Bądź rozsądny. Nawet nie wiem, co kupuję.
- Podejź - rzekł szantażysta po krótkim wahaniu. Myron ruszył w

stronę światła.

- Cokolwiek mi sprzedajesz, jaką mam gwarancję, że nie zrobiłeś kopii? - spytał.

- Żadnej. Musisz mi zaufać - odparł głos.
- Kto jeszcze o tym wie?
- Tylko ja. Nikt oprócz mnie nie żyje.

Myron przyśpieszył kroku. Ręce wciąż trzymał w górze. Wiatr smagał mu twarz. Przemókł.

- Kto mi zagwarantuje, że nikomu o tym nie powiesz?
- Nikt. Za pieniądze kupisz moje milczenie.
- Do czasu, aż ktoś da więcej.
- Nie. Zaraz po tym wyjeżdżam. Więcej o mnie nie usłyszysz. -

Latarka zamigotała. - Stój.

Trzy metry od Myrona stał mężczyzna w kominiarce. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej pudełko. Skinął głową i uniósł je w górę.

- Jest tu.
- Co?
- Najpierw pieniądze.
- Nie wiem, czy w tym pudełku coś jest.

- Dobrze. No, to wracaj do samochodu i jazda. Szantażysta odwrócił się.

- Zaczekaj! - zawołał Myron. - Pójdę po pieniądze.

319

Mężczyzna w kominiarce rozejrzał się uważnie.

- Żadnych sztuczek - ostrzegł.

Myron ruszył do samochodu. Gdy przeszedł dwadzieścia kroków, usłyszał strzały. Trzy. Nie przestraszył się. Obrócił się wolno. Człowiek w kominiarce leżał na ziemi. Do nieruchomego ciała biegła Audrey. Z jego pistoletem w dłoni.

- Chciał cię zabić! - krzyknęła. - Musiałam strzelić! Dopadła do leżącego i podniosła pudełko. Myron podszedł do niej wolno.

- Otwórz je - powiedział.

- Najpierw schrońmy się przed deszczem. Policja...

- Otwórz je.

Zawahała się. Nie zagrzmiał żaden grom. Nie strzelił żaden piorun.

- Miałaś rację - rzekł.

- Co do czego? - spytała zdziwiona.

- Patrzyłem na to z niewłaściwej strony.

- O czym ty mówisz? Zrobił krok w jej stronę.

- Zadając sobie pytanie, kto wiedział o krwi w suterenie Downinga, pamiętałem o Clipie i Calvinie. Zapomniałem o tobie. Gdy się zastanawiałem, dlaczego kochanka Grega chciała zachować anonimowość, brałem pod uwagę Fionę White i Liz Gorman. Znowu zapominając o tobie. Kobiecie trudno wybić się w dziennikarstwie sportowym. Gdyby ktoś odkrył, że spotykasz się z graczem, o którym piszesz w gazecie, zrujnowałoby ci to karierę. Musiałaś zachować to w tajemnicy.

Utkwiła w nim oczy. Z jej mokrej, bladej twarzy nie dało się nic wyczytać.

- Ty jedna pasujesz do całości, Audrey. Wiedziałaś o krwi w suterenie. Musiałaś taić romans z Gregiem. Dzięki kluczowi mogłaś bez najmniejszego problemu wejść do jego domu. A poza tym tylko ty jedna miałaś powód, by usunąć krew. Chciałaś go ochronić. Czyż nie dlatego ją zabiłaś? Usunięcie krwi to przy tym pestka.

320

Odgarnęła włosy z oczu i zamrugła w padającym deszczu.

- Jak możesz serio przypuszczać, że...

- Powinno mi dać do myślenia - przerwał jej - już po tamtym wieczorze u T.C., kiedy mi powiedziałaś, że poskładałaś wszystko do kupy. Wprawdzie dołączyłem do drużyny w dziwnych okolicznościach, ale tylko osoba blisko związana z Downingiem, ktoś, kto wiedział, że zniknął i dlaczego, połapałaby się w tym tak szybko. Byłaś jego sekretną kochanką, Audrey. Ale ty również nie wiesz, gdzie on jest. Współpracowałaś ze mną nie z powodu artykułu, tylko dlatego, że chciałaś go odnaleźć. Kochasz Grega.

- Bzdury - zachnęła się.

- Policja przeczese dom, Audrey. Znajdą włosy.

- To o niczym nie świadczy - odparła. - Kilka razy robiłam z nim wywiady...

- W jego sypialni? W łazience? Pod prysznicem? - Myron pokręcił głową. - Kiedy się o tobie dowiedzą, przeczesa też miejsce zbrodni. Tam też będą dowody. Włosy lub co innego.

Zrobił następny krok. Audrey uniosła pistolet, trzęsła jej się ręka.

- Strzeż się Idów marcowych - powiedział.

- Słucham?

- Sama udzieliłaś mi wskazówki. Idy wypadają piętnastego marca. Twoje urodziny siedemnastego. Siedemnastego marca. Trzy, jeden, siedem. To numer szyfru w sekretarce Grega.

Wymierzyła pistolet w jego pierś.

- Wyłącz magnetofon - rozkazała. - I komórkę. Myron sięgnął do kieszeni i spełnił polecenie.

Po policzkach Audrey ciekły łzy pomieszane z deszczem.

- Nie mogłeś się zamknąć? - spytała, szlochając. Wskazała na nieruchome ciało na mokrej trawie. - Słyszałeś, co powiedział: nikt o tym nie wie. Wszyscy szantażyści nie żyją. Mogłam to zniszczyć - uniosła pudełko - raz na zawsze. Nie krzywdząc ciebie. Wreszcie byłby z tym koniec.

- A co z Liz Gorman? Prychnęła szyderczo.

321

- Podła szantażystka! Nie można jej było ufać. Powiedziałam to Gregowi. Co mogło ją powstrzymać od zrobienia kopii i odarcia go ze skóry? Tamtego wieczoru poszłam do niej. Podałam się za jego byłą, która chce upiec własną pieczeń. Wyraziłam chęć kupienia kopii. Zgodziła się. Sam więc widzisz. Zapłacenie jej nic by nie dało. Można było ją uciszyć tylko w jeden sposób.

- Zabijając.

- To była zwykła kryminalistka, Myron. Obrabowała bank, na miły Bóg! Greg i ja... byliśmy dla siebie stworzeni. Miałaś rację co do mojej kariery. Musiałam zachować nasz związek w tajemnicy. Nie na długo. Zaproponowano mi zajęcie się inną konkurencją. Baseballlem. Drużynami Mets lub Yankees. Po tym możemy się ujawnić. Tak świetnie nam się układało, a wtedy zjawiała się ta podła suka... - Audrey zamilkła, potrząsając głową. - Musiałam myśleć o naszej

przyszłości. Nie tylko o przyszłości Grega. Nie tylko o własnej. Także o przyszłości naszego dziecka.

Myronowi zrobiło się tak przykro, że zamknął oczy.

- Jesteś w ciąży - powiedział cicho.

- Teraz rozumiesz? - spytała z odnowionym naiwnym zapałem, w którym było coś chorego. - Chciała go zniszczyć. Chciała zniszczyć nas. Co mi pozostało? Nie jestem zabójczynią, ale miałam wybór: my albo ona. Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda: Greg ucieka i nic mi nie mówi. On już taki jest. Jesteśmy razem od pół roku. Wiem, że mnie kocha. Po prostu potrzebował czasu.

Myron przełknął ślinę.

- To już koniec, Audrey.

Potrząsnęła głową i chwyciła pistolet oburącz.

- Przykro mi, Myron. Nie chcę tego robić. Chyba wolałabym umrzeć pierwsza.

- Nieważne.

Myron zrobił następny krok. Cofnęła się. Pistolet w jej ręku zadrżał.

- To ślepari - oznajmił.

322

Zdezorientowana, zmrużyła oczy. Trup w kominiarce usiadł jak Bela Lugosi w starym filmie o Draculi, ściągnął ją i pokazał odznakę.

- Policja! - zawołał Dimonte.

Win i Krinsky wyszli z ukrycia. Usta Audrey utworzyły regularne koło. Wcześniej Win wcielił się w szantażystę, a Myron podkręcił w szatni jego głos w telefonie tak, by go słyszała. Reszta poszła gładko.

Dimonte i Krinsky dokonali aresztowania. Myron przyglądał się wszystkiemu, nie czując już deszczu. Kiedy Audrey wsadzono do wozu patrolowego, on i Win poszli do samochodu.

- Superbohaterski partner? - spytał. Win wzruszył ramionami.

39

Kiedy odezwał się faks, Esperanza była nadal w biurze. Przeszła przez recepcję i patrzyła, jak maszyna wypluwa papier. Zaadresowaną do niej przesyłkę nadano z FBI.

Dot. PIERWSZY MIEJSKI BANK NARODOWY - TUC-SON, ARIZONA.

Temat: najemcy skrytek bankowych

Czekała na nią cały dzień.

Jej teoria na temat szantażu wyglądała z grubsza następująco: Brygada Kruka obrabowuje bank. Dostają się do skrytek bankowych. W skrytkach przechowywane są różności. Pieniądze, biżuteria, ważne dokumenty. Stąd zbieżność zdarzeń. W jednej ze skrytek Brygada Kruka znajduje haka na Grega Downinga i obmyślają szantaż.

Nazwiska właścicieli skrytek ułożono alfabetycznie. Odczytała je z płachty papieru wychodzącego z faksu. Pierwsza strona kończyła się na L. Żadne z nazwisk nie było jej znane. Druga na literę T. Kiedy wydruk na stronie trzeciej doszedł do W, serce skoczyło jej do gardła. Ręką zakryła na chwilę usta w obawie, że krzyknie.

Uporządkowanie wszystkiego zajęło kilka godzin. Trzeba było przyjąć zeznania. Dokonać wyjaśnień. Myron opowiedział

324

Dimonte'owi wszystko, co wiedział. Pominął tylko sprawę taśmy wideo z Maggie Łomot i Emily, bo nie miała ona nic do rzeczy. Nie wspomniał też o spotkaniu z Cole'em Whitemanem. Uznał bowiem, że jest mu to winien. Audrey nie powiedziała nic, ale zażądała sprowadzenia adwokata.

- Wiesz, gdzie przebywa Downing? - spytał Dimonte Myrona.

- Wiem.

- Ale mi nie powiesz.
- Bo to nie twoja sprawa.
- Faktycznie - przyznał Dimonte. - No, to jazda stąd.

Spadajcie.

Z komendy na Police Plaża I Win i Myron wyszli w nocne miasto. Okolicę pożerały duże gmachy komunalne. Wykwity współczesnej biurokracji w najskrajniejszej, przytłaczającej formie. Nawet późną nocą miałeś przed oczami kolejki wylewające się z ich drzwi.

- To był dobry plan - odezwał się Win.
- Audrey jest w ciąży.
- Słyszałem.
- Jej dziecko urodzi się w więzieniu.
- Nie przez ciebie.
- Uznała, że nie ma innego wyjścia - rzekł Myron. Win skinął głową.
- Szantażysta stanął jej na drodze do spełnienia marzeń. Nie wiem, czy postąpiłbym inaczej niż ona.

- Morderstwami nie usuwa się przeszkód życiowych. Win nie zaoponował ani nie przytaknął. Szli w milczeniu.

- Co nam pozostaje? - spytał Win, gdy znaleźli się przy samochodzie.
- Clip Amstein. Musi to i owo wyjaśnić.
- Pojechać z tobą?
- Nie, chcę z nim porozmawiać sam.

40

Do hali sportowej dotarł już po meczu. Samochody tak zatkały trasy wylotowe ze stadionu, że trudno było przejechać w drugą stronę. Myronowi udało przebić się przez tłok. Pokazał strażnikowi dokumenty i wjechał na parking dla graczy.



Gdy biegł do biura Clipa, ktoś zawołał go po imieniu. Nie zareagował. Dopadł do zewnętrznych drzwi i nacisnął klamkę. Były zamknięte. Miał ochotę je wyważyć.

- Jo, Myron - pozdrowił go mały ręcznikowy. Myron nie pamiętał jego imienia.

- O co chodzi? - spytał.

- To przyszło do pana.

Chłopiec wręczył mu brązową kopertę. Dużymi drukowanymi literami nagryzmołono na niej jego nazwisko. Rozerwał ją. Najpierw wysunęła się z niej kartka. Potrząsnął znowu i na dłoń spadła czarna kasetka. Schował ją i rozwinął list.

Myron, powinienem ci to dać w katedrze. Wybacz, byłem zbyt przejęty śmiercią Liz. Chciałem, żebyś skoncentrował się na schwytaniu jej mordercy, nie na taśmie. Bałem się, że ta taśma cię rozsierdzi. Pewnie tak się stanie, ale nie mam . prawa ci jej odmówić. Liczę jednak, że mimo to skupisz się na tyle, by odnaleźć drania, który zabił Liz. Zasłużyła na sprawiedliwość.

326

Chciałem ci też powiedzieć, że zamierzam się ujawnić. Po śmierci Liz nie widzę powodu, żeby się dłużej ukrywać. Rozmawiałem o tym ze starymi kolegami z prawa. Już zaczęli docierać do najemników zatrudnionych przez ojca Hunta. Są pewni, że któryś z nich potwierdzi moją wersję. Zobaczymy.

Nie słuchaj tej taśmy samotnie, Myron. Wysłuchaj jej z przyjaciелеm.

Cole

Myron złożył list. Nie wiedział, co o tym myśleć. Spojrzał na korytarz. Śladu Clipa. Pobiegł do wyjścia. Większość graczy opuściła halę. T.C. oczywiście też. Ostatni do przyjścia, pierwszy do wyjścia.

Myron wsiadł do samochodu, przekręcił kluczyk, wsadził kasetę do magnetofonu i zaczekał.

Esperanza próbowała się do niego dodzwonić, ale telefon w samochodzie nie odpowiadał. Zadzwoiła na komórkowy. To samo. A przecież nie rozstawał się z komórką. Jeżeli nie odbierał, to dlatego, że nie chciał. Zadzwoiła do Wina. Odebrał po drugim sygnale.

- Czy wiesz, gdzie jest Myron? - spytała.

- Pojechał do hali.

- Znajdź go, Win.

- Dlaczego? Co się stało?

- Brygada Kruka obrobiła skrytki bankowe. To stamtąd uzyskali informację, której użyli do szantażowania Downinga.

- Co znaleźli?

- Nie wiem, ale mam listę właścicieli skrytek.

- No i?

- Jedną wynajął B. Wesson.

- Sądzisz, że chodzi o tego samego B. Wessona, który sfaulował Myrona? - spytał Win po chwili.

- Już sprawdziłam - odparła. - B to Burt, figurujący w podaniu jako trzydziestotrzyletni szkolny trener koszykówki. To on, Win. Ten sam Burt Wesson.

41

Nic.

Myron podkręcił głoś. W głośnikach zatrzeszczało. Ściszył je na moment i znów podkręcił. Usłyszał stłumione dźwięki, ale z niczym ich sobie nie skojarzył. Zamknęły.

Cisza.

Minęły dwie minuty, zanim wreszcie rozległy się głosy. Wyteńczył słuch. Dopiero po chwili zamazane dźwięki przybrały na sile i

wyrazistości. Nachylił się ku głośnikowi i usłyszał nagle przerażająco wyraźne, zadane szorstkim tonem pytanie:

- Masz forszę?

Ręka, która weszła w jego pierś, złapała go za serce i ścisnęła. Nie słyszał tego głosu od dziesięciu lat, ale rozpoznał go natychmiast. Należał do Burta Wessona. Ki diabeł...?

I w tym momencie usłyszał drugi głos, który wstrząsnął nim jak uderzenie.

- Mam połowę. Tysiąc teraz. Drugi dostaniesz, kiedy go załatwisz...

Myron zadrżał. W jednej chwili zalała go wezbrana fala gorącego gniewu, jakiego dotąd nie doświadczył. Zaciśnął dłonie w pięści. Z oczu puściły się łzy. Przypomniawszy sobie, jak się zastanawiał, dlaczego szantażyści chcą sprzedać mu brudy na Grega. Przypomniawszy sobie śmiech Cole'a Whitemana i ironiczny uśmiech Marty'ego Feldera na wieść, że wynajęto go

328

do odszukania Downinga. Przypomniawszy sobie głos nagrany na jego sekretarce: „Jest gotów zapłacić. Tego chcesz?”. Nade wszystko zaś przypomniał sobie zboląłą minę Grega w szpitalu przed laty. To nie więź między nimi go tam przywiodła. Przywiodło go tam poczucie winy.

- Nie uszkodź go za mocno, Burt. Chcę, żeby Bolitar wypadł z gry na kilka meczów...

W głębokich zakamarkach mózgu Myrona coś trzasnęło jak sucha gałązka. Bezwiednie cofnął taśmę.

- Słuchaj, naprawdę potrzebuję forsy. Nie dorzuciłbyś pięciu stów? Wkrótce mnie wyrzucą. To mój ostatni mecz kontrolny i zostaję bez roboty...

Myron wrzucił bieg, zjechał na drogę i nadepnął pedał gazu. Wskaźnik prędkościomierza podskoczył. Twarz Myrona zastygła w grymasie nieświadomej furii. Policzki zalały bezgłośnie łzy. Prowadził na oślep.

Kiedy dotarł do zjazdu w Jones Road, otarł twarz rękawem. Skręcił do domu T.C. Przejazd blokowała brama.

Ze stróżówki wychylił się ochroniarz. Myron dał mu znak, żeby podszedł. Gdy wyłonił się z budki, Myron pokazał mu pistolet.

- Rusz się, a rozwalę ci łeb - zagroził.

Strażnik podniósł ręce do góry. Myron wysiadł, otworzył bramę i kazał mu wsiąść do wozu. Ford z rykiem popędził podjazdem. Kilka kroków od drzwi wejściowych Myron nacisnął hamulec, wyskoczył z samochodu, bez wahania wyważył nogą drzwi i wpadł do pokoju wypoczynkowego.

Grał telewizor.

- Co jest...? - spytał zaskoczony T.C.

Myron przebył susami salon, chwycił go za rękę i wykręcił ją do tyłu.

- Hej...

- Gdzie on jest? - spytał.

- O co chodzi... Myron szarpnął rękę T.C.

- Chcesz, żebym ci ją złamał? Gdzie on jest?

329

- Co ty, kurwa, wyrabiasz...?

Myron nie dał mu dokończyć, podciągając rękę wyżej. T.C. krzyknął, gnąc się wpół, żeby zmniejszyć nacisk.

- Pytam po raz ostatni. Gdzie jest Greg?

- Tutaj.

Myron puścił T.C., obrócił się ku stojącemu w drzwiach Gregowi Downingowi i natychmiast z nieartykułowanym rykiem zaatakował.

Greg zasłonił się rękami, ale było to jak gaszenie wulkanu pistoletem na wodę. Po ciosie pięścią w twarz przewrócił się na plecy. Myron rzucił się na niego, kolaniem trafiając w żebra. Trzasnęło. Usiadł okrakiem na piersi wroga i zadał kolejny cios.

- Przestań! - krzyknął T.C. - Zabijesz go! Myron słyszał go jak przez mgłę.

Unióś drugą pięść, lecz T.C. doskoczył do niego, zanim nią uderzył. Pozwolił mu się pociągnąć, waląc łokciem w jego splot słoneczny. Kiedy rąbnęli w ścianę, T.C. stracił dech i wybałuszył oczy, łapiąc powietrze jak ryba. Myron wstał. Widząc, że Greg odczołguje się niezdarnie, przesadził kanapę, chwycił go za nogę i przyciągnął do siebie.

- Zerznąłeś moją żonę! - krzyknął Greg. - Myślisz, że nie wiedziałem? Zerznąłeś mi żonę!

Jego słowa przyhamowały Myrona, ale go nie powstrzymały. Ze łzami w oczach zadał następny cios. Z ust Grega pociekła krew. Gdy ponownie uniósł pięść, za przegub chwyciła go żelazna ręka.

- Dość - powiedział Win.

Zdezorientowany, Myron podniósł wzrok. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

- Słucham? - spytał.

- On ma dość.

- Nie myliłeś się. Wesson zrobił to umyślnie. Greg wynajął go.

- Wiem. Ale on ma dość.

- O czym ty mówisz, do diabła! Na moim miejscu...

330

- Pewnie bym go zabił - dokończył za niego Win. Spojrzał na nich i w jego oczach mrugnęła iskra. - Ale nie ty.

Myron przełknął ślinę. Win skinął głową i uwolnił jego przegub. Myron opuścił rękę. Wstał z Grega Downinga. Greg usiadł, wypluwając na dłoń krew.

- Tamtego wieczoru pojechałem za Emily - rzekł, pokasłując. - Zobaczyłem was... chciałem się zemścić, i tyle. Miałeś ucierpieć, ale nie aż tak.

Myron znów przełknął ślinę i głęboko odetchnął. Przyptyw adrenaliny wkrótce miał się cofnąć, lecz na razie nadal w nim buzował.

- Ukrywałeś się tu od początku? - spytał. Greg dotknął twarzy, skrzywił się, skinął głową.

- Bałem się posądzenia, że zabiłem tę kobietę - wyjaśnił. - A do tego na karku mam gangsterów, walczę w sądzie o opiekę nad dziećmi, a moja przyjaciółka jest w ciąży. - Podniósł wzrok. - Potrzebowałem czasu.

- Kochasz Audrey?

- To ty wiesz? - zdziwił się Greg.

- Tak. Bardzo ją kocham.

- W takim razie zadzwoń do niej. Jest w więzieniu.

- Co?

Myron nie rozwinął tematu. Liczył, że rzucając wrogowi tę wieść w twarz, poczuje przewrotną przyjemność, ale nie poczuł. Przypomniało mu to tylko, że sam nie jest bez winy.

Odwrócił się i odszedł.

Clipa znalazł w tej samej łoży dla VIP-ów, w której spotkali się na początku. Starzec siedział plecami do niego i patrzył na pusty parkiet. Nie poruszył się na jego chrząknięcie.

- Wiedział pan cały czas - rzekł Myron. Clip nie odpowiedział.  
- Tamtej nocy poszedł pan do mieszkania Liz Gorman. Odegrała panu taśmę, prawda?

331

Clip splótł dłonie na karku i skinął głową.

- Dlatego mnie pan wynajął. Wcale nie przez przypadek. Chciał pan, żebym poznał prawdę.

- Nie znalazłem innego sposobu. - Clip wreszcie obrócił się ku niemu. Spojrzenie miał zagubione i mgliste, twarz bladą jak ściana. - Wiedz, że nie udawałem. Nie udawałem wzruszenia na konferencji prasowej... - Opuścił głowę, pozbierał się, znów ją uniósł. - Po twojej kontuzji straciliśmy kontakt. Tysiąc razy chciałem do ciebie zadzwonić, wiedziałem jednak, co czujesz. Chciałeś trzymać się z daleka od koszykówki. Ale kontuzja zostaje z wielkimi zawodnikami na zawsze, Myron. Byłem pewien, że się od niej nie uwolniesz.

Myron otworzył usta, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Czuł się obnażony, jakby dotknięto jego najczulszego nerwu. Clip podszedł bliżej.

- Uznałem, że dzięki temu dowiesz się prawdy. Miałem też nadzieję, że przeżyjesz swoiste katharsis. Nie pełne. Jak powiedziałem, kontuzje na zawsze zostają z wielkimi.

Przez kilka chwil wpatrywali się w siebie.

- Poleciał pan Walshowi, żeby mnie wpuścił do gry - rzekł Myron.

- Tak.

- Wiedział pan, że nie sprostam. Clip wolno skinął głową.

Do oczu Myrona znowu napłynęły łzy. Zamrugał, żeby je powstrzymać.

Clip zacisnął szczęki. Twarz mu lekko drgała, lecz nie dał się ponieść wzruszeniu.

- Chciałem ci pomóc - rzekł - ale nie wynająłem cię z czystego altruizmu. Wiedziałem, na przykład, że zawsze grasz zespołowo. Że czerpiesz przyjemność z należenia do drużyny.

- No i?

- Bardzo chciałem, żebyś poczuł się jak członek zespołu. Prawdziwy członek. W takim stopniu, żebyś nas nie skrzywdził.

Myron zrozumiał.

332

- Uznał pan, że jeżeli związę się z kolegami z drużyny i poznam prawdę, to jej nie ujawnię.

- Taki już masz charakter, Myron.

- Niestety, prawda i tak wyjdzie na jaw. To nieuniknione.

- Wiem.

- Może pan utracić zespół.

Clip uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

- Są gorsze rzeczy - odparł. - Przecież wiesz, że są gorsze rzeczy niż to, że więcej nie zagrasz w koszykówkę.

- Zawsze o tym wiedziałem. Ale może potrzebowałem przypomnienia - odparł Myron.

42

Siedział z Jessicą w jej mansardzie. Obejmowała rękami kolana i ze zbolałym wzrokiem kiwała się w przód i w tył.

- Była moją przyjaciółką - powiedziała.

- Wiem.

- Zastanawiam się...

- Nad czym?

- Co bym zrobiła w takiej sytuacji. Żeby cię ochronić.

- Nie zabiłabyś.

- Nie. Chyba nie.



Myron przyglądał się jej. Była bliska łez.

- Czegoś się o nas z tego dowiedziałem - rzekł. Zaczekała, aż rozwinie temat.

- Win i Esperanza nie chcieli, żebym znowu grał. Ale nie starali się mnie powstrzymać. Bałem się, że być może nie rozumiesz mnie tak dobrze jak oni. Lecz nie o to chodziło. Nie potrafili dostrzec tego co ty.

Baczenie mu się przyjrzała. Puściła kolana, postawiła nogi na podłodze.

- Nigdy dotąd o tym nie mówiliśmy - powiedziała. Skinął głową.

- Faktem jest, że nigdy nie ubolewałeś nad końcem swojej kariery koszykarskiej - ciągnęła. - Nie okazywałeś słabości.

334

Upchnąłeś w sobie żale niczym w jakimś kufrze i żyłeś dalej, do wszystkiego podchodząc tak, jakbyś chciał zdusić rozpacz. Nie czekałeś. Brałeś to, co ci pozostało, i przyciskałeś do siebie w obawie, że twój świat jest równie kruchy jak to kolano. Popędziłeś na studia prawnicze. Pomknąłeś z pomocą Winowi. Chwytałeś, co ci wpadło w ręce. Urwała.

- Włącznie z tobą - dokończył.

- Włącznie ze mną. Nie tylko dlatego, że mnie kochałeś. Ale dlatego, że bałeś się utracić jeszcze więcej.

- Kochałem cię naprawdę. I wciąż kocham.

- Wiem. Nie chcę wszystkiego zwać na ciebie. Byłam idiotką. To ja głównie zawiniłam. Przyznaję. Jednakże twoja miłość graniczyła z desperacją. Przemieniłeś swój żal w zachłanną żądzę. Bałam się, że się uduszę. Nie chcę wyjść na domorosłego psychiatrę, ale musiałeś

opłakać swój los. Rozprawić się z przeszłością, zamiast dusić ją w sobie. Nie potrafiłeś jednak spojrzeć prawdzie w oczy.

- Myślisz, że zrobiłem to, wracając do gry?

- Tak.

- Ten lek nie jest uniwersalny.

- Wiem. Ale z pewnością odrobinę ci ulżył.

- I dlatego uważasz, że pora, abym się do ciebie wprowadził.

Przełknęła ślinę.

- Jeśli chcesz. Jeśli jesteś gotów. Spojrzał w górę i rzekł:

- Potrzebuję więcej zamkniętej przestrzeni.

- Zgoda - szepnęła. - Co tylko zechcesz. Przytuliła się do niego.

Wziął ją w ramiona, mocno objął

i poczuł się jak w domu.

Był duszny ranek w Tucson w Arizonie. Frontowe drzwi otworzył wielki Murzyn. - Pan Burt Wesson?

335